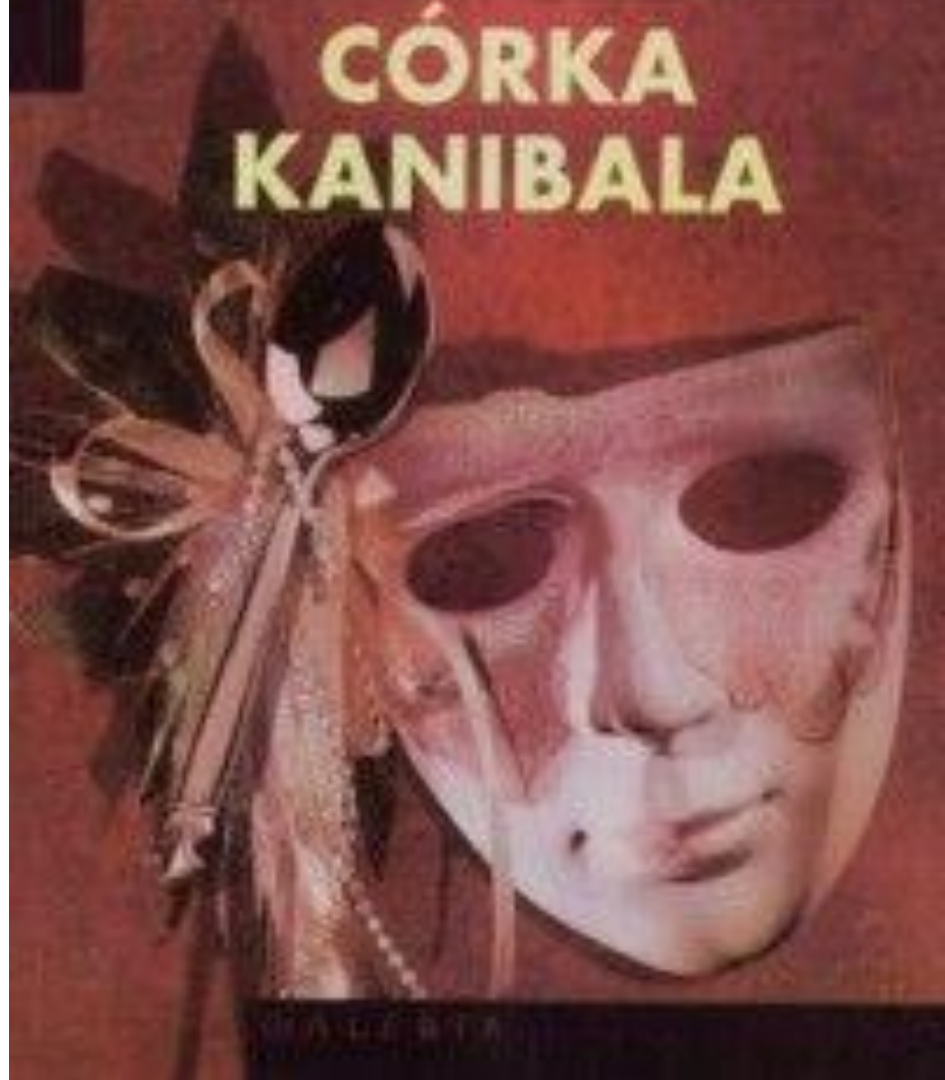


VALERIA

**ROSA
MONTERO**

**CÓRKA
KANIBALA**



ROSA MONTERO

CÓRKA KANIBALA



Kilka słów wstępu

Pragnę wymienić główne źródła, z jakich korzystałam, malując historyczne tło tej powieści. Są to: znakomity artykuł Marcela MendozyPrado o poczynaniach Durrutiego w Ameryce, opublikowany przez „El Pais” 27 listopada 1994 roku; prześliczna książka HansaMagnusa Enzensbergera Krótkie lato anarchii; dwa tomy Anarchistów pod redakcją Irvinga Louisa Horowitza, a także trzytomowa Kronika antyfrankizmu autorstwa Fernanda Jaureguiego i Pedra Vegi; Hiszpania w XX wieku Tuñona de Lara; Durruti Abła Paza; Anarchizm a rewolucja na tle wiejskiej społeczności aragońskiej Juliana Casanovy i Historia Hiszpanii Tamamesa.

Dodam też pewną oczywistość: wprawdzie pozostaję wierna faktom historycznym, jednak pozwoliłam sobie, rzecz jasna, na nieco swobody. Na przykład: wiadomo, że w okresie powojennym jeden z przywódców katalońskiej CNT1 był konfidentem policji i że po zdemaskowaniu został zgładzony przez dwóch uzbrojonych anarchistów, przybyłych z Francji. Natomiast opisana przeze mnie scena jest całkowicie wytworem wyobraźni; poza tym zmieniłam personalia trzech osób, nie chcąc narazić na szwank dobrego imienia ich ewentualnych krewnych.

1 CNT - Confederació Nacional del Treball (Narodowa Konferencja Pracy), organizacja anarchistyczna założona w 1910 roku w Barcelonie (ten i następne przypisy pochodzą od tłumacza).

Prawdą jest też, że sławetny José Sabater zginął w listopadzie 1949 roku podczas strzelaniny z policją. Ale już nieszczęsny Germinal, który złożył na niego donos, jest od początku do końca moim wymysłem. Chcę to wyjaśnić, aby nie było najmniejszych wątpliwości - rzeczywistość jest bowiem delikatną materią, która często usiłuje naśladować fikcję. Mogłoby się zatem okazać, że prędzej czy później pojawią się krewni bądź potomkowie jakiegoś rzekomego Germinala (imię w sam raz dla anarchisty), skłonni bronić dobrego imienia dziadka. Życie - jak powiada Adrián, jeden z bohaterów niniejszej książki - jest pełne niezwykłych przypadków.

O ile opisując środowisko anarchistów, przezornie pozmieniałam tożsamości niektórych osób, o tyle wszyscy wymienieni przeze mnie toreadorzy istnieli naprawdę. Wspominam tu imiona „Crespito” („Kędziorka”), Teofila Hidalga czy Primitivo Ruiza właśnie po to, by wydobyć ich z czarnego oceanu zapomnienia i złożyć hołd ich epickim, tragicznym dziejom. Największe objawienie, jakiego doznałam w całym swoim życiu, zaczęło się w chwili, gdy wpatrywałam się w wahadłowe drzwi toalety publicznej. Dotarło do

mnie, że rzeczywistość lubi przejawiać się właśnie tak, w sposób niedorzeczny, niepojęty, paradoksalny, że czasem z grubiaństwa rodzą się rzeczy wzniosłe, z potworności piękno, a z transcendencji - skrajna głupota. Zauważcie, że kiedy tamtego dnia moje życie zmieniało się raz na zawsze, nie studiowałam akurat analizy transcendentnej Kanta, nie ślęczałam w laboratorium nad szczepionką przeciw AIDS, nie przeprowadzałam gigantycznej transakcji na giełdzie tokijskiej, ale ot, po prostu gapiłam się beznamiętnie na pokryte kremową farbą drzwi męskiej toalety na lotnisku Barajas.

Z początku nie zorientowałam się, że coś nie gra. Był dwudziesty ósmy grudnia, Ramón i ja mieliśmy spędzić sylwestra w Wiedniu. Ramón to mój mąż: byliśmy rok po ślubie, a żyliśmy ze sobą dziewięć lat dłużej. Teraz przeszliśmy już odprawę paszportową i czekaliśmy w sali odlotów na nasz samolot, kiedy Ramonowi nagle zachciało się iść do ubikacji. Do mojego drzewa genealogicznego musiał się w mrocznej przeszłości zaplątać jakiś wiejski pasterz, bo nie znoszę, jak towarzyszący mi ludzie się rozpraszają, i na podobieństwo mojej SukiFoki, która zawsze z mozołem zagania stado do kupy, też pilnuję przyjaciół, jeżeli gdzieś z nimi jestem. Należę do osób, co to ciągle liczą, ile nas jest, co poganiają opieszających, krzyczą „nie tak szybko!” do ludzi, którzy gnają do przodu, a po wejściu do zatłoczonego baru nie spocznę, dopóki nie znajdę przytulnego kącika, w którym wszyscy się zmieszczą. Nic więc dziwnego, że - mając podobny charakter - na oddalenie się Ramona zareagowałam bez entuzjazmu. Ale że do odlotu zostało jeszcze sporo czasu, a toalety znajdowały się blisko, w zasięgu wzroku, niecałe trzydzieści metrów od mojego krzesła, przyjąłam to ze spokojem, ograniczając się do dwukrotnej prośby o punktualność:

- Tylko się nie spóźnij, dobra? Nie spóźnij się.

Patrzyłam w ślad za nim: był wysoki, ale pulchny, za bardzo zaokrąglony w pasie, miał zdecydowanie za duże pośladki i brzuch, a na ciemieniu, spod cienkich kasztanowatych włosów, przebierał lekki prześwit. Nie należał do ludzi brzydkich, raczej - zgnuśniałych. Kiedy poznałam go dziesięć lat wcześniej, był szczuplejszy, bardziej kościsty i przez to jakby silniejszy, co kazało mi wtedy wierzyć, że jego wewnętrzna gnuśność to nic innego, jak przejaw wrażliwego ducha. Cztery z każdych pięciu par łączą się właśnie w wyniku takich niewybaczalnych omyłek. Z czasem dupa mu urosła, był coraz bardziej znudzony, i kiedy już nie mogliśmy wytrzymać ze sobą jednej godziny, żeby nie rozdziawiać szczęk w potwornym ziewaniu, nagle wpadło nam głowy, by się pobrać - w nadziei, że to coś pomoże. Prawdę mówiąc, nie pomogło.

Tak sobie o tym rozmyślałam, patrząc na skrzypiące drzwi toalety, aczkolwiek właściwie myślałam nie myśląc, to znaczy nie przywiązywałam szczególnej wagi do

własnych refleksji. Ot, bujałam w obłokach, skacząc myślą z jednego na drugi. No więc myślałam o Ramonie i o tym, że muszę się spotkać z ilustratorem mojej najnowszej książeczki i poprosić go, żeby zmienił rysy Osiołka Gaduły, bo bardziej przypomina Wściekłą Krówkę; i jeszcze o tym, że zaczynam być głodna. Pomyślałam, żeby w Wiedniu pójść obejrzyć Wenus z Willendorfu, a obraz tej pękatej figurki znów przypomniał mi Ramona, który jak zwykle za długo marudził. W męskiej ubikacji panował najwidoczniej ożywiony ruch, mężczyźni wchodzili i wychodzili, wszyscy jakoś sprawniejsi niż mój mąż. Na przykład ten chłopak, co teraz popycha drzwi, wszedł później od Ramona. Znowu zaczęłam nienawidzić Ramona zwykłą, domową, nieznośną nienawiścią.

Właśnie pracownik obsługi naziemnej, w czerwonej bluzie, wyprowadzał z toalety prawie łysego starca na wózku. Kolejne parę minut rozmyślałam o tym, że ostatnio lotniska pełne są inwalidów. Staruszków, ale przede wszystkim staruszek. Wiekowych, łykowatych, matuzalemowych dam, które z wiekiem powpadały w pułapki foteli na kółkach i teraz były przepychane w tę i we w tę jak paczki. W windach zawsze siedzą twarzami do ściany i podczas całej jazdy stoicko kontemplują metalową wykładzinę. Ale są to staruszki zwycięskie, które pokonały śmierć, pokonały mężów i rozmaite biedy dawnego życia. Staruszki podróżniczki, staruszki szalawicy, staruszki ponaddzwiękowe, które trafiają na lotnisko, bo zapewne pędzą z jednego miejsca w drugie na podobieństwo pocisków i chyba są oczarowane faktem, że wozi je pracownik lotniska w czerwonej bluzie. Co ja mówię: oczarowane, więcej, przypuszczalnie czują się pomszczone, one, które przez całe lata prowadziły tłumy dzieci za rękę, teraz same są prowadzane jak królowe na swoich w trudzie zdobytych tronach na kółkach. Kiedyś spotkałam jedną z tych uskrzydłych babć w windzie któregoś z wielu lotnisk. Siedziała wciśnięta w swój wózek niczym ostryga w muszlę, istna kruszynka, mikroskopijna mumia z bezzębnymi ustami i oczami zasnutymi dżdżystym welonem starości. Przyglądałam się jej ukradkiem, z czymś na pograniczu współczucia i zaciekawienia, kiedy tamta naraz uniosła głowę i wbiła we mnie swoje zamglone spojrzenie. „Z życia trzeba korzystać, kiedy tylko się da” - powiedziała delikatnym, a jednak silnym głosem i uśmiechnęła się z niewątpliwym, może wręcz dzikim zadowoleniem. Ot, późny triumf starych pierników.

A Ramón nie wychodził. Zaczynałam się niepokoić.

Wówczas, nie bardzo wiem czemu, zastanowiło mnie, czy gdybym się zgubiła, to ktoś by mnie rozpoznał. Kiedyś, na jakimś lotnisku, ujrzałam mężczyznę, który mi przypominał byłego narzeczonego. Nasz związek trwał kilka miesięcy. Nie widziałam go zaledwie od jakichś dwóch lat, ale w tym momencie trudno mi się było zdecydować: Tomas czy nie

Tomas. Patrzyłam nań z drugiego końca sali i przez kilka sekund wydawał mi się podobny do Tomasa jak dwie krople wody: to samo ciało, ten sam sposób poruszania się, gładkie, długie włosy związane gumką na karku, rysunek szczęki, oczy podkrążone jak u pandy. Ale już po chwili wszelkie podobieństwo prysło, byłam przekonana, że są kompletnie różni - nie te gesty, nie ta postura, nie te oczy. Ukradkiem zbliżyłam się do faceta, żeby skończyć z tą męczarnią, ale nawet z mniejszej odległości nie byłam w stanie się upewnić. Dopiero co wydawał mi się doskonale znajomy, dopiero co odżywało wspomnienie, jak przesuwalam czubkiem języka po jego apetycznych wargach, gdy nagle znów nabierałam przeświadczenia, że wpatruję się w kompletnie nieznaną mi twarz. Czyli wystarczyły zaledwie dwa lata, żebym nie potrafiła już go sobie wzrokowo zrekonstruować, jak gdyby człowiek mógł potwierdzić tożsamość drugiej osoby, dowolnej osoby, tylko pod warunkiem, że będzie z nią pozostawał w stałym kontakcie. Albowiem tożsamość ludzka jest ulotna, przypadkowa, zmienna, i jeśli na dłuższy czas przestaniesz kogoś obserwować, możesz go utracić na zawsze. To tak, jakbyś patrzył na maleńką rybkę w ogromnym akwarium - wtem coś cię rozproszy i już nigdy nie zdołasz jej rozpoznać pośród tłumu jej podobnych. Przyszło mi do głowy, że mnie też mogłoby spotkać coś takiego, że gdybym się zgubiła, nikt nie byłby w stanie mnie sobie przypomnieć. I tak dobrze, że w podobnych przypadkach można się odwołać do jakże przydatnych znaków tożsamości: Lucía Romero, wysoka, włosy ciemne, oczy szare, szczupła, wiek czterdzieści jeden lat, na brzuchu blizna po wycięciu wyrostka, blizna w formie półksiężyca na prawym kolanie będąca śladem po upadku z roweru, okrągły i niebywale kokieteryjny pieprzyk w kąciку ust.

W tym momencie zaczęto przez głośniki wzywać pasażerów naszego samolotu i cała sala zerwała się na równe nogi. Chwyciłam torby Ramona i swoją i ogarnięta furią ruszyłam ku uchylnym drzwiom do toalety, pod prąd tłumu ludzi. Czułam się jak jakaś nierozgarnięta uciekiniarka, która podczas masowej ucieczki z oblężonego miasta zaczyna się przedzierać w zupełnie niezrozumiałym kierunku. Każdemu startowi i lądowaniu samolotu towarzyszy frenetyczny exodus.

- Ramón! Ramón! Samolot za chwilę odlatuje! Co ty tam jeszcze robisz? - krzyknęłam od drzwi.

Ubikację spiesznie opuściło dwóch młodzieńców i jakiś pięćdziesięciolatek z widomymi oznakami chorej prostaty.

A Ramona ciągle ani śladu. Uchyliłam nieco drzwi i zerknęłam do środka. Na oko było pusto. Desperacja i rosnący niepokój napęłniły mnie siłą, dzięki której złamałam tabu męskiej siusialni (terytorium zakazanego, uświęconego, obcego) i zdecydowanie wtargnęłam

do pomieszczenia. Było duże i białe jak sala operacyjna. Po prawej ciągnął się rząd kabin skrytych za drzwiczkami. Po lewej widniały sławetne pękate naczynia z fajansu, przytwierdzone do ściany. W głębi - umywalki. Nie dostrzegłam ani drugiego wyjścia, ani żadnego okna.

- Najmocniej przepraszam! - zawołałam w nadziei, że ta śmiałość zostanie mi wybaczona. - Ramón? Ramón! Gdzie jesteś? Samolot nam ucieknie!

Ciszę mąciło jedynie ciurkanie wody. Zbliżyłam się do ściany po prawej i zaczęłam otwierać drzwi kabin, w strachu, że natknę się w którejś na ciało Ramona: zawał, zawrót głowy, omdlenie. Ale nie. Nikogo nie było. Jak to możliwe? Byłam przekonana, że ani na moment nie spuściłam wzroku z wejścia do toalety. Powiedzmy: prawie przekonana - Ramón najwyraźniej wyszedł, czyli czujność musiała mnie na chwilę opuścić. Na pewno teraz czeka na mnie na zewnątrz, może wręcz już się wścieka, że gdzieś się podziałam, w końcu to ja mam bilety. Wybiegłam z ubikacji, popędziłam w kierunku wyjścia do samolotu, gdzie kłębił się spory tłumek, i jęłam wypatrywać Ramona w pstrokatej masie podróżnych. Na próżno. Nagle poczułam, że go nienawidzę, och, jakże go nienawidzę, jedną z tych częstych w małżeństwie, bezsilnych i gwałtownych nienawiści.

- Co za palant, gdzie on u diabła przepadł?! Jasne, polazł sobie do wolnocłowego kupić szlugi, zawsze musi mi to zrobić, jakby nie wiedział, ile mnie to nerwów kosztuje... - mamrotałam prawie na głos.

I odsunęłam się na bok, w miejsce, gdzie byłam dobrze widoczna, postawiłam ciężkie torby na podłodze i czekałam, w beznadziejnej nadziei, że wreszcie wróci.

Kilka następnych godzin mogę śmiało zaliczyć do najbardziej gorzkich w moim życiu. Po pierwsze, liczba stłoczonych przed wyjściem podróżnych coraz bardziej malała, stale i nieuchronnie, na podobieństwo piasku w klepsydrze, aż wreszcie tłumek rozplynął się zupełnie. Pracownica Iberii powiedziała, żebym wchodziła, ja jej wyjaśniłam, że czekam na męża, ona odparła mi na to, bym go szukała, bo lot i tak jest już poważnie opóźniony.

- No tak, pewnie, szukała, ale gdzie? - jęknęłam żałośnie.

Ale poszłam go szukać, zostawiłam torby koło tej kobiety i popędziłam jak szalona w głąb budynku lotniska. Przebiegłam przez wolnocłowy, przez bar, przez butiki, kiosk z prasą, a tymczasem z głośników rozlegał się już komunikat:

„Pan Ramón Iruña Diaz, pasażer linii lotniczych Iberia, lot numer’349 do Wiednia, jest proszony o pilne zgłoszenie się do wyjścia B26”.

Wróciłam zziębnięta, w przepoconych zimowych ciuchach, ale w nadziei, że czeka na mnie przy drzwiach, pełen skruchy i z jakimś wiarygodnym usprawiedliwieniem na ustach.

Jednak już z daleka było widać, że go nie ma. Natomiast, owszem, przybyło pracowników linii lotniczych. Teraz stali tam dwaj mężczyźni i dwie kobiety, wszyscy w uniformach.

- Szanowna pani, samolot musi już startować, nie jesteśmy w stanie dłużej czekać na pani męża.

Nieraz mnie deprimowało, jak zwracano się do mnie per „szanowna pani”, tym razem jednak naprawdę pragnęłam umrzeć.

- Proszę się nie martwić, to się zdarza. Okaze się na przykład, że się upił - mówiła jedna z kobiet, zapewne myśląc, że to brzmi pocieszająco.

Z trudem wybełkotałam, że Ramón jest abstynentem.

- Albo tak sobie, zwyczajnie się ulotnił. Pamiętasz tamtego faceta, co wsiadł do innego samolotu, żeby wyskoczyć na weekend z sekretarką? - zagadał jeden z mężczyzn do kolegi.

A ja tymczasem usiłowałam odzyskać choćby odrobinę godności, by wykrztusić, że Ramón w żadnym razie nie byłby zrobił czegoś takiego.

Zdołałam też, pomimo udręki, zauważyć czające się w komentarzach ludzi z Iberii spore zniecierpliwienie - zresztą całkiem zrozumiałe, jeśli zważymy, że musieli wylądować nasze walizki z luku samolotu i że samolot, między innymi z tego właśnie powodu, wystartował z półtoragodzinnym opóźnieniem. Przez parę minut rozmawiali ze mną jakaś kierowniczką z Iberii i facet w cywilu, jak się potem okazało, policjant. Gdy enty już raz opowiedziałam o toaletach, funkcjonariusz poszedł im się przyjrzeć.

- Na oko nie ma tu nic niezwykłego. Proszę posłuchać, na pani miejscu wróciłbym do domu, w końcu się znajdzie, w małżeństwach takie numery zdarzają się częściej, niż się pani zdaje.

Jakież to numery zdarzają się w małżeństwach? Słowa policjanta zabrzmiały zagadkowo i złowieszczo. Nagle poczułam się jak naiwna, głupia koza, co to nie ma pojęcia o regułach rządzących światem dorosłych: jak to, nie wiedziałaś, że mężowie wykazują niezdrową skłonność do znikania po wejściu do publicznej ubikacji? Zacerwieniłam się pod wpływem poczucia winy, jak gdyby odpowiedzialność za zaginięcie Ramona spadała w jakiś sposób na mnie.

Kierowniczka zmiany, widząc mój rumieniec, postanowiła się ulotnić, więc szybko się pożegnała. Po chwili to samo zrobił policjant i nagle znalazłam się sama w wyludnionej sali odlotów, z wózkiem pełnym bagaży, które nie leciały już donikąd, otoczona pustką lotniska. Unieruchomiona pasażerka bez celu podróży, zagubiona jak w złym śnie.

Spędziłam w tym otępieniu parę godzin, nawet nie wiem ile, licząc na cudowne

zstąpienie Ramona. Kilkakrotnie przetoczyłam nieporęczny wózek bagażowy przez cały gmach lotniska, widziałam kolejne, liczne odloty z nieszczęsnego wyjścia B26. Wreszcie zaczęła docierać do mnie oczywista prawda, że nie wróci. Może faktycznie mnie rzucił - pomyślałam - tak jak mówił policjant. Może i poleciał na Bahamy z sekretarką (aczkolwiek Marina ma sześćdziesiąt lat). Albo na przykład urznął się jak Świnia i zwałił gdzieś w ciemny kąt. Ale jak mu się to wszystko udało bez opuszczania toalety? Widziałam, jak wchodził, ale na pewno nie wyszedł.

W końcu złapałam taksówkę, pojechałam do domu, a kiedy przekonałam się o tym, co i tak wiedziałam, to znaczy że i tam Ramona nie ma - poszłam na policję i złożyłam zawiadomienie. Zadali mi mnóstwo pytań, wyłącznie nieprzyjemnych: jak nam się układało, czy Ramón miał kochanki, czy miał wrogów, czy się pokłóciliśmy, czy był zdenerwowany, czy zażywał narkotyki, czy ostatnio zmienił sposób bycia. I chociaż starałam się odpowiadać z niezłomną pewnością, zdałam sobie sprawę, jak niewiele uwagi zwracałam na mojego męża, jak słabo znam odpowiedzi na pytania policji, jak ogromna jest niewiedza wynikająca z rutyny.

Ale tej nocy w łóżku, oszołomiona niewytłumaczalnymi wypadkami, ze zdziwieniem doświadczyłam bólu, o którym dawno zdążyłam zapomnieć: bólu spowodowanego nieobecnością Ramona. W końcu już dziesięć lat byliśmy ze sobą, spaliśmy ze sobą, znosiliśmy nawzajem swoje chrapanie i kaszel, sierpniowe upały, zziębnięte stopy w czasie zimy. Nie kochałam go, mogę nawet powiedzieć, że mnie denerwował, od jakiegoś czasu rozważałam ewentualne odejście, ale przecież tylko on czekał na mnie, kiedy wracałam z podróży, tylko ja wiedziałam, że co rano wcierał sobie minoksydil w łysinkę. Codziennosc rodzi właśnie taką wspólnotę powietrza, którym oddycha się we dwoje, wymieszanego nocą potu, zwierzęcej czułości wobec wszystkiego, czego nie da się naprawić. Tak więc owej nocy, gdy roztrzęsiona nie mogłam zasnąć w pustym łóżku, pojęłam, że muszę go odszukać, że nie spocznę, dopóki się nie dowiem, co zaszło. Ramón to mój obowiązek - wynikający nie z małżeństwa, ale z przyzwyczajenia.

No dobrze, ledwie zaczęłam, a już nakłamałam. Ramón zniknął wcale nie dwudziestego ósmego, a trzydziestego grudnia, ale uznałam, że ta absurdalna historia wypadnie lepiej, jeśli rozpocznę ją w Dzień Niewiniątek¹. Ta drobna zmiana przyszła mi do głowy nagle, jako stylistyczny ornament. Zresztą sądzę, że w rzeczywistości wszyscy tak robimy, korygujemy i wymyślamy własną przeszłość, układamy naszą biografię. Niektórzy uważają, że najpierwotniejszą dziedziną sztuki jest muzyka, że u zarania czasu w pierwszej jaskini zamieszkanaj przez istoty ludzkie ktoś zaczął klaskać w dłonie albo uderzać

kamieniem o kamień, żeby uzyskać rytm. Ja jednak jestem przekonana, że najpierw była sztuka narracji, bo żeby zaistnieć, ludzie muszą swoje istnienie opowiedzieć. Tożsamość to nic innego jak opowieść, którą snujemy sobie o nas samych.

Ja zawsze dobrze wychodziłam na wymyślaniu. Jest to moja naturalna cecha, nie potrafię nic na to poradzić: nagle coś mi odbija i wierzę we wszystko, co sobie pomyślę. Kiedyś - pamiętam, miałam chyba z dziewięć lat - mój Ojciec Kanibal zostawił mnie w samochodzie należącym do teatru, w którym grał, a sam poszedł zabrać graty z sali prób, bo wyjeżdżał właśnie z objazdowym spektaklem. Samochód, czarny i rozklekotany citroen „kaczka”, nagrzewał się od słońca - mieliśmy czerwiec - a ja byłam bliska zejścia od upału. Nie wiem, czy to z przemęczenia, czy z nudów, w każdym razie uklęknęłam na siedzeniu, wychyliłam się do połowy przez otwarte okno i zaczęłam wołać o ratunek.

1 Dzień Niewiniątek - obchodzony 28 grudnia w Kościele hiszpańskim dla upamiętnienia rzezi niewiniątek.

- Ratunku! Proszę, niech mi ktoś pomoże!

Na ulicy nie było widać dużo ludzi, ale zaraz obok stanęło dwóch chłopaków, potem młode małżeństwo, wreszcie jakiś starszy pan. Czasy wtedy były jeszcze spokojne.

- Co ci jest, skarbie?

Kompletnie przybita zaczęłam odpowiadać na ich pytania i zrelacjonowałam im swoje życie: moich rodziców przejechał pociąg, tak, obydwójce naraz, co za nieszczęście, straszna sprawa. Tu z oczu popłynęły mi łzy, chociaż za wszelką cenę starałam się je powstrzymać. Mieszkałam z wujostwem, którzy traktowali mnie okropnie, bili i głodzili, nawet w tej chwili nie miałam nic w ustach od poprzedniego dnia. Żebym im nie przeszkadzała, zamykali mnie na całe godziny w samochodzie, czasem nawet musiałam w nim nocować. Teraz już gorzko szlochałam, a przechodniów zdążyła zdjąć prawdziwa groza. Usiłowali otworzyć drzwi citroena, ale że Ojciec Kanibal zamknął wóz na kluczyk, abym nie wyszła i czegoś nie zbroiła, więc mężczyzna, który był tam z żoną, chwycił mnie pod pachami i wyciągnął przez okno. Był młody, silny i ładny. Objęłam go za szyję i dałam się ukołysać jego rozkosznym pociechom, tak potrzebnym małej dziewczynce w chwili smutnego, mrocznego sieroctwa. Ale dokładnie w tym momencie nadeszli rodzic i macierz i nim ktokolwiek zdołał cokolwiek wyjaśnić, Kanibal oberwał parę razy w twarz. Cała historia zakończyła się na komisariacie. Obawiam się, że Kanibal nie może mi tego wybaczyć do dziś dnia, aczkolwiek później przez wiele lat powtarzał: „Ta dziewczyna wdała się we mnie, będzie aktorką”. Tu zresztą też nie miał racji.

Ramona zawsze irytowały moje improwizacje na temat własnego życia, mój zmysł

konfabulacji. Kiedyś na przykład mieliśmy spędzić weekend w hotelu w Cuenca. Recepcjonistka wzięła moją zwiewną, bardzo luźną sukienkę za oznakę ciąży i z macierzyńską, konfidencką troską zapytała, czy to moje pierwsze.

- Moje pierwsze? Nie, szóste - odparłam natychmiast, korzystając, że Ramón poszedł po coś do samochodu i zostawił mnie samą na parę minut.

- Szóstka? To niebywałe! Kobiety rzadko teraz miewają tyle dzieci. Ja sama mam troje, a i tak wygląda, że jestem niedzisiejsza.

- Ja, owszem, mam sześcioro: najpierw były bliźniaki, potem Anita i Rosita, wreszcie Jorge i Damián.

- Ale to znaczy, że to jest siódme, a nie szóste - odezwała się tamta z nagłym zdumieniem: śledziła moją wyliczankę, odhaczając każde dziecko na grubych palcach.

- Tak, siódme. Bliźniaki są tak do siebie podobne, że prawie zawsze traktujemy je jak jedno dziecko.

Kiedy Ramón dowiedział się, że ma sześcioro dzieci, wpadł w furję, ale że zawsze tchórzliwie obawiał się, co inni powiedzą, więc nie śmiał zaprzeczyć mi przy ludziach. Czy to przy śniadaniu, czy przy obiedzie, za każdym wyjściem albo przyjściem, kobieta nie omieszkła wygłosić jakiegoś komentarza na temat naszego potomstwa lub niezbędnych środków ostrożności, jakich trzeba przestrzegać w czwartym miesiącu (czyli w moim), lub wreszcie cierpień i wspaniałości porodu. Należała do tych kobiet, co to żyją dzięki macierzyństwu, dla macierzyństwa, tak jakby wydawanie na świat było najwyższym osiągnięciem ludzkości i plasowało nas na Olimpie tuż obok królików doświadczalnych.

- No jak, rozmawiali już dziś państwo z dziećmiakami?

- zapytywała, na przykład, z uprzejmą czułością.

- A tak, tak - odpowiadałam, a Ramón zaczynał żółknąć.

- I co u nich słychać?

- Nic, wszystko dobrze, świetnie: Rosita przewróciła się i obtarła sobie kolanko, bliźniaki coś mają katar, a Jorgitowi zaczął się wyrzywać pierwszy ząbek. Wie pani, jak to z dziećmi, wiecznie jakieś nieszczęście.

- A pewnie, pewnie - odpowiadała recepcjonistka, promieniując matczynym znanstwem.

Koniec końców, Ramón spędził bardzo nieprzyjemny weekend.

Nie mam dzieci. Oznacza to, że jestem córką i tylko córką, że nie przeszłam naturalną kolejną rzecz do następnego etapu, co staje się udziałem normalnego mężczyzny i normalnej kobiety, kłaczy i konia, barana i owcy, ptaszka i ptaszki (jak sama pisywałam w swoich

okropnych książeczkach dla dzieci). Czasami ten stan zawieszenia biologicznego odbieram bardzo dziwnie. Wszystkie boże stworzenia mozolą się tylko i wyłącznie w jednym celu, aby urodzić, złożyć jaja, trzeć się, wysiedzieć, wychować. Wszystkie boże stworzenia przychodzą na świat z zadaniem zostania rodzicami - a ja tymczasem zatrzymałam się w stadium pośrednim, jako córka i jedynie córka, wieczna córka aż do końca, kiedy będę córką starą, czciogodną, sędziwą, zgrzybiałą, ale tylko córką.

A wracając do rzeczy: skłamałam jeszcze w dwóch drobnych sprawach. Przede wszystkim nie należę do osób wysokich, jestem raczej niska. Gwoli pełnej ścisłości - malutka, i to do tego stopnia, że w domach towarowych dzinsy kupuję w dziale dziecięcym. Poza tym wcale nie mam oczu szarych, tylko czarne. Przykro mi! Nie mogłam nic na to poradzić. Owszem, jak na swoje lata wyglądam młodo. Nawet dużo, dużo młodziej. Bardzo często, z uwagi na mój niewielki wzrost, ludzie biorą mnie od tyłu za nastolatkę. Później patrzą na mnie z przodu i mówią: „Przepraszam, pani wybaczy”, nie mając pojęcia, że właśnie tego zdania nie mogę im wybaczyć. Kiedyś opalałam się na plaży, leżałam na brzuchu w bikini i naraz usłyszałam za plecami piskliwy głos:

- Chcesz się ze mną przepląnąć rowerem wodnym?

Wsparłam się na łokciu i zerknęłam do tyłu: jakiś piętnasto, szesnastoletni chłopak. Nie wiem, które z nas wpadło w większe osłupienie.

- Co? - bąknęłam tępo.

- Że może by pani chciała popływać na rowerze wodnym - powtórzył z wielką brawurą.

- Nie, dzięki. Mam morską chorobę.

Tu chłopiec odszedł i każde z nas z niewymowną ulgą oddało się swoim sprawom. Ot, intergalaktyczne spotkanie trzeciego stopnia.

No więc wyglądam dużo młodziej, a oczy mam wprawdzie czarne, ale ładne. Nos niewielki, a usta zgrabnie zarysowane, raczej pełne. Mam też śliczne zęby, zresztą sztuczne, bo własne straciłam w wypadku przed trzema laty. Czasami, kiedy łapią mnie duże nerwy, czubkiem języka przesuwam protezę do tyłu i w przód.

Nie ulega również wątpliwości, że Lucia Romero posiada kokieteryjny pieprzyk w kąciку ust. Owo drobne znamię stanowi jądro grawitacji jej uroku, ognisko jej kontaktów z mężczyznami, bo wszystkich kochanków, nawet najbardziej zniewalających i przelotnych, na widok tego milimetra jej skóry brało natchnienie poetyckie. „To drogowskaz ku twoim ustom” - usłyszała kiedyś od kóregoś. „To wyspa bezludna, na którą wyrzuciło mnie morze” - improwizował drugi. „Zajebisty pieprzyk, od kórego normalnie mi staje” - trafił w sedno

jeszcze inny. Z czego wynika, że erotyczna siła Lucii Romero, podstawa jej ewentualnego wdzięku, skupiła się w szerniałym, wadliwym kawałku ciała, w ustercie naskórka, w grupce zmutowanych komórek, które kiedyś mogą stać się początkiem raka.

Poza tym Lucía Romero odnosi czasem wrażenie, że obserwuje samą siebie z zewnątrz, jakby była bohaterką filmu albo książki. W takich chwilach najbezczelniej w świecie mówi o sobie, używając trzeciej osoby. Sądzi, że ten nałóg przyplątał się do niej bardzo dawno, może z zamiłowania do lektur, i że tę skłonność do rozdwojenia jaźni mogłaby wykorzystać z pożytkiem, gdyby tylko zdecydowała się pisać powieści - ostatecznie pisarstwo jest niczym innym, jak tylko sztuką tłumaczenia się ze schizofrenii. Ale w którymś momencie coś w życiu Lucii się poprzestawiało, bo chociaż zawsze miała wielką ochotę poświęcić się pisaniu, jak dotąd jedyne, co popełniła, to straszliwe historyjki dla dzieci, mdłe paplaninki pełne kózek, kurek, białych robaczek - prawdziwa orgia zdrobnień.

Dzięki bredniom pisany dla najmłodszych Lucía Romero wyrobiła sobie nazwiskowa polu literatury dziecięcej i jest w stanie wyżyć z książek. Jednak trudno powiedzieć, by ta robota ją pasjonowała. Faktem jest, że podobnie jak większość jej kolegów, Lucia nie znosi dzieci. Autorzy książek dla dzieci bowiem z reguły nienawidzą dzieci, tak jak krytycy filmowi nienawidzą filmów, a krytycy literaccy nienawidzą czytać. Czasami Lucia styka się z ludźmi z branży, na przykład na targach albo podczas jakiegoś zjazdu. I wtedy najboleśniej odczuwa, jak bardzo obrzydliwe i nieznośne ma zajęcie, widząc tych podstarzałych mężczyzn i kobiety, co wciąż odgrywają młodzieńczą sprawność i niezdrową wesołość. Wszystkich tych oszustów (z nią włącznie), którzy zanieczyszczają powietrze lepką słodyczą i zdrobnięciami. A przecież każdy wie, że dzieciństwo tak naprawdę to czas okrutny i bez żadnych zdrobnień.

Wraz ze zniknięciem Ramona dowiedziałam się, że cisza może być ogłuszająca, a nieobecność - natrętna. Nie żebym jakoś specjalnie tęskniła za mężem: wspomniałam już, że przyzwyczailiśmy się nawzajem ignorować. Jednak byliśmy ze sobą całą dekadę, a to wytwarza szczególną relację z przestrzenią. Już nie mijałam się z nim wieczorami w łazience, już nie słyszałam jego oddechu w łóżku, po przebudzeniu nie znajdowałam resztki jego kawy w kuchni - zawsze wstawałam po nim; Ramón pracował w Ministerstwie Gospodarki i prowadził regularny tryb życia. Świat dostosowuje się do dźwięków produkowanych przez dwoje ludzi, do ich rytmu, do ich sylwetek, a nagle zniknięcie jednej osoby wywołuje istną katastrofę w krajobrazie. Czulałam się jak ślepiec, któremu pewnego dnia bez uprzedzenia poprzestawiano meble, przez co niby dotąd dobrze znany salon staje się terytorium tak obcym i deprymującym jak tundra.

Rano trzydziestego pierwszego grudnia, po bardzo długiej bezsennej nocy, zadzwoniłam na komisariat z pytaniem, czy mają jakieś wiadomości. Nie, nic nie wiedzą. Ale wobec mojej rozpaczliwej i natarczywych błagań poradzili mi, żebym udała się na komendę przy ulicy Rafaela Calvo i skontaktowała z oficerami, którzy zajmują się osobami zaginionymi. Dotarłam tam ubrana prawie jak wdowa - w skromną, wąską sukienkę z żakietem w kolorze ołowiu. Chciałam zrobić na policji wrażenie, bo nas, ludzi niewielkiego wzrostu, rzadko traktuje się poważnie. A i tak kazali mi czekać prawie godzinę w jakimś lichym pokoiku. Wreszcie przyszedł facet. Nazywał się Garcia. José Garcia - strasznie oryginalnie.¹ Po minie sądząc, był nad wyraz znudzony.

- Na pani miejscu spokojnie bym parę dni odczekał. W końcu wróci. Często tak jest - rzekł, powtarzając słowa policjanta z lotniska. W ogóle nie przejął się moimi obawami.

Po jego słowach oczami wyobraźni ujrzałam świat zaludniony opuszczonymi żonami, tłum kobiet czekających z bezustanną troską przy telefonie.

- Cudownie! To tak pracuje policja w tym kraju! Jasne, dużo łatwiej przyjąć, że Ramón odszedł ode mnie, niż się wziąć do szukania! - wybelkotałam z wściekłością.

Nie tracąc znużonego wyrazu twarzy, policjant wyciągnął niebieską teczkę z gumką i wyjął z niej plik faksów i maszynopisów.

- Pani spojrzy. Pewnie, że go szukamy. Wykonujemy wszelkie regulaminowe czynności. Sprawdzamy szpitale, placówki pogotowia, dworce kolejowe i autobusowe. No i lotnisko, ma się rozumieć. A także kostnice. Nie ma go. Dzisiaj mamy trzydziesty pierwszy grudnia. Sylwester. Zabawy, różne komplikacje, te sprawy. Ludzie nagle miewają ochotę zmienić swoje życie. Pojęcia pani nie ma. Trzeba mu dać parę dni.

Garcia mówił w synkopowanym rytmie, używając niewielu czasowników i często stawiając kropki. Był wysoki, suchy, miał oliwkową cerę i nieprzyjemną twarz o wystających kościach: zaostrowany podbródek, orli nos. Ludzie z taką fizjonomią, kiedy chcą pocałować kogoś w policzek, są jedynie w stanie dziobać skórę kostnymi wypustkami, próżno usiłując dosięgnąć własnymi ustami warg drugiej osoby. Gadał tak Garcia, poruszając swoim Rowem Mariańskim, a ja słuchałam i wyobrażałam sobie miliony wzgardzonych kobiet w żałobnych sukniach przystrojonych brylantami, jak w samotności połykają winogrona¹. Zrobiło mi się tak niedobrze, że się szybko pożegnałam. Trudno zaliczyć to pierwsze spotkanie do sukcesów.

¹ José Garcia - jedno z najpopularniejszych imion i nazwisk hiszpańskich.

W powrotnej drodze wstąpiłam do hotelu dla zwierząt i odebrałam Sukę-Fokę. Po przyjeździe do domu nie wiedziałam, co mam robić, więc zaczęłam wydzwaniać po znajomych.

Na wieść o tym, co się stało, dosłownie tracili mowę. Ale kiedy powtarzałam im słowa policjanta, wyczuwałam w ich (moich przyjaciół!) milczeniu głupie zakłopotanie. Może wskutek napięcia i ogólnego wyczerpania popadłam w pewną paranoję, w każdym razie domyśliłam się, że traktują absurdalne przypuszczenia inspektora całkiem serio. Dlatego kiedy Gloria nieopatrznie palnęła, że „od jakiegoś czasu wyraźnie wam się nie układało”, trzasnęłam ze złością słuchawką i postanowiłam do nikogo więcej nie dzwonić. Włączyłam sekretarkę, żeby odgrodzić się murem od telefonu, który właśnie się rozdzwonił, i maksymalnie ściszyłam głośnik, żeby mnie nawet nie podkusiło odebrać. Co to za przyjaciele, którzy nie potrafią się zachować tak, jak tego od nich oczekuję? Jak mogli uwierzyć w podobną bzdurę, że Ramón przepadł z własnej woli? Nie ma co, przyjęłam ten fakt z rezygnacją, choć była to nader gorzka konstatacja: oni wcale nie byli przyjaciółmi, a ledwie znajomymi, z którymi można zjeść raz w miesiącu kolację, ot tak, żeby nie wyjść na odludka. Lucia Romero, pisarka dla dzieci, ni stąd, ni zowąd traci męża w ubikacji na lotnisku, a wokoło żadnej bratniej duszy. Idiotyczny dramat opuszczonych kobiet, które nie mają się gdzie podziać, wdów bez wdowieństwa, samiec czepiających się beznadziejnej nadziei.

1 Hiszpanie w sylwestra zjadają winogrona, po jednym z każdym uderzeniem zegara o północy.

Weszłam do gabinetu Ramona - maleńkiego pokoiku wychodzącego na wąskie patio - i przez dłuższą chwilę rozglądałam się z uwagą: biblioteka, biurko, obrotowe krzesło, czternastocalowy telewizor. Wszystko ułożone z najwyższą skrupulatnością: popielniczka zawsze na tym samym rogu, książki w porządku alfabetycznym, ozdoby na regałach ustawione symetrycznie. Nawet spinacze upchane pionowo w pudełeczku. Obsesyjna mania.

Zanim ośmieliłam się czegokolwiek tknąć, omiotłam pokój wzrokiem raz i drugi - Ramona do pasji doprowadzało, jeśli ktoś ruszał jego rzeczy. A kiedy wreszcie wyciągnęłam dłoń i wysunęłam szuflady biurka, dotarło do mnie w całej rozciągłości, że Ramona nie ma, w przeciwnym przypadku bowiem nie odważyłabym się nawet palca wsunąć do środka. Było to uczucie nieprzyzwoite, wręcz skatologiczne, jak gdybym grzebała w trzewiach nieboszczyka. Spodziewałam się objawienia, ale niczego nie znalazłam, bo przecież trudno zobaczyć coś, gdy się nie wie, czego szukać.

Aczkolwiek, prawdę mówiąc, owszem, na parę ciekawostek natrafiłam. Niespodzianki drobne, ale jednak doniosłe, ot, choćby ułożone w stosik w głębi szuflady trzy paczki prezerwatyw. Których, ma się rozumieć, nie zamierzał używać w naszym małżeńskim łożu. Poza tym były tu ołówki o zaostzonych, lśniących czubkach, niczym żołnierzyki w szyku bojowym, dalej książeczki czekowe naszych banków, zeszyty w kratkę z domowymi

rachunkami, otrzymane w prezencie i nietknięte terminarze z lat ubiegłych, cukierki miętowe, foldery turystyczne zachwalające Bajeczne Wakacje w Tajlandii (nie, nie podejrzewałam go, że wyrwał się tam z jakąś blondyną, po prostu parę lat wcześniej zastanawialiśmy się, czy nie wybrać się w taką podróż), klucze rozmaitego kształtu przechowywane w starej bombonierce, pomieszany europejski bilon w przezroczystej torebce oraz plik świeżych rachunków: za gaz, światło, wodę, wszystkie spięte dużym metalowym klipssem. Przejrzałam pobieżnie papierki i już miałam je odłożyć, kiedy jeden obudził we mnie lekki niepokój. Wysunęłam go spośród pozostałych: nic takiego, zwykły rachunek telefoniczny. Ale zaraz - wprawdzie był wystawiony na Ramona, ale nie dotyczył naszego numeru domowego, tylko dziewięćset ósemki. Czyli że Ramón ma komórkę! Przedziwne. Dlaczego nic nie powiedział? Zaczęłam czytać billing na rachunku: znakomitą większość stanowiły połączenia z zagranicą. Tknięta nagłym impulsem czy przecuciem, złapałam za telefon i wybrałam pierwszy numer, który zresztą powtarzał się wielokrotnie.

-„Witaj, kochany. Czekałam na ciebie. Jestem naga, specjalnie dla ciebie pomalowałam sobie sutki na czerwono”... - zaszeptał po drugiej stronie chrapliwy głos.

Sekstelefony. Ramón zakitnął sobie komórkę, przez którą gadano mu świństwa na ucho. Wybrałam na chybił trafił jeszcze parę numerów.

-„Mmmmm. Wreszcie dzwonisz, jestem tak rozpalona, że nie mogłam się doczekać. Już się zaczęłam dotykać”.

Wszystkie mówiły, że czekają - tak samo jak opuszczone żony, które też czekają na telefon od swoich mężów.

-„Czekałam na ciebie, fiucie. Chcesz mnie wydupczyć, co? Ale ja się ciebie boję, bo jesteś niedobry i zawsze robisz mi krzywdę”.

Jeszcze na domiar sadystyczne gierki! Nie posiadałam się ze zdumienia. Wiedziałam od jakiegoś czasu, że my, ludzkie istoty, jesteśmy jak góry lodowe i na wierzch wystawiamy jedynie drobną część siebie: wszyscy ukrywamy, wszyscy kłamiemy, wszyscy posiadamy jakiś wstydlivy sekret. Jednakże wspólne życie powoduje, że obraz drugiej osoby ulega coraz większemu spłaszczeniu, jak gdyby góra lodowa topniała w ciepłym morzu rutyny. I w końcu często bywa tak, że nasz współmałżonek zostaje zredukowany do dwuwymiarowego bohomazu, do cienkiej kopii przez kalkę, do banalnej, wątlej bazgraniny, siłą rzeczy nieznośnie nudnej. Taki, między innymi, może być kres małżeństwa: kiedy dwie osoby patrzą na siebie i widzą płaską głowę jak na pocztowym znaczku.

Otóż zgodnie ze stereotypem, jaki wyrobiłam sobie w stosunku do własnego męża, niepodobieństwem było, by Ramón wydzwaniał do sekstelefonów, żeby miał skłonności

sadomasochistyczne ani żeby potrafił osiągnąć orgazm przez telefon. Przecież w łóżku milczał jak głaz! Odkrycie rachunku było dla mnie sporym zaskoczeniem - naraz otworzyły mi się oczy na to, że każdy człowiek jest niezmierną zagadką, której poznać do końca właściwie nie sposób.

Wyszłam z gabinetu i usiadłam w salonie w nieodłącznym towarzystwie poczciwej, grubej SukiFoki. Odsłuchiłam wiadomości na sekretarce: galimatias pisków i niespokojnych słów najróżniejszych znajomych, z których część zapraszała mnie na wieczór (w tym momencie zorientowałam się, że właśnie jest sylwester); histerycznego telefonu od mojej matki z Palma de Mallorca, która mówiła, że właśnie dowiedziała się z telewizji; i jeszcze jakiegoś sępa dziennikarskiego, usiłującego pożywić się przy świeżej padlinie. Jak to, o sprawie mówili w telewizji? Spojrzałam na zegarek: punkt szósta po południu. Włączyłam radio, żeby wysłuchać dziennika. Zgadza się, powiedzieli pod koniec, w połowie czegoś na kształt skrótu informacji. Chyba niewiele wiadomości mieli do przekazania trzydziestego pierwszego grudnia:

„Na lotnisku MadrytBarajas, w sali odlotów, zaginął pracownik Ministerstwa Gospodarki. Czterdziestosześcioletni Ramón Iruña jest żonaty z Lucią Romero, córką emerytowanego aktora Lorenza Romero, autorką opowiadań dla dzieci, z których największą sławę zdobył cykl Kaczuszka Kwaczuszka”.

To wszystko. Trzydzieści parę słów, wśród których zmieściła się nieznośna pomyłka, bo autorką Kaczuszki Kwaczuszki jest Francisca Odón, moja bezpośrednia konkurentka i przeciwniczka (moją najslynniejszą bohaterką jest Pstroszka, Śliczna Kokoszka). Na dodatek definiowali moją tożsamość poprzez przodka, jak gdyby moją istotą był fakt, że przyszedłam na świat jako Córka Kanibala. A jedyną rekompensatą za cały ten kielich goryczy było nazwanie mojego Ojca-Kanibala Aktorem Emerytowanym, a nie Sławnym, Renomowanym czy Znakomitym. Byłam pewna, że na taką kwalifikację musiała go ogarnąć wściekłość.

Zgasiałam radio, kiedy zaczęli nadawać kolędy. Telefon nadal dzwonił, a sekretarka się włączała: znów znajomi, znów dziennikarz, wreszcie znów matka. Nie odbierałam, nie miałam siły z nikim rozmawiać. Suka-Foka wstała z trudem, podeszła i zaczęła mocno trącać mnie głową w nogi: nie była to pieszczota, ale sygnał, że chce się wysiusiać i jest głodna. Psie potrzeby są zawsze czyste, konkretne i nie cierpią zwłoki. Wyprowadziłam ją więc na ulicę, gdzie przewlokła swoje stare cielsko owczarki alzackiej po okolicznych narożnikach, a gdy wróciliśmy, napełniłam jej miskę suchym pokarmem.

Teraz kompletnie nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Za oknami było już ciemno, raz po raz dobiegał mnie huk świątecznej petardy. Oto jedna z niewielu chwil, gdy świat

wstrzymuje oddech, jak gdyby Ziemia na moment przestała się obracać. Lucia Romero powinna była już dawno być w Wiedniu i szykować się na bal. Lucia Romero straciła męża nagle, w sposób zupełnie niepojęty. Kiedy wróci stamtąd, gdzie jest, Lucia przytuli się do niego i powie: „Ramón, Ramón, co się stało?”. Głos jej będzie ochrypliwy z emocji, a oczy tkliwe i mokre. Chociaż może nie, może Ramón nie żyje. „Nie żyje, proszę pani. Przykro mi” - powie policjant. A Lucia chwyci się drżącymi rękoma futryny drzwi i będzie jej brakować tchu, i nawet nie odczuje cierpienia, z początku nie, takie są właśnie rany psychiczne, że najpierw się nie cierpi, choć łzy będą jej ciekły obficie po policzkach. Dokładnie w tej chwili rozległ się dzwonek do drzwi i Lucia poszła otworzyć, właściwie pobiegła otworzyć, bo może to Ramón (zgubił klucze?) albo policjant z tragiczną wiadomością. Ale nie był to żaden z nich. Za drzwiami stał jakiś dziadzio. Lucia wpatrywała się weń oszołomiona.

- Witam. Usłyszałem w dzienniku. Chciałem tylko pani powiedzieć, że jestem naprzeciwno, jakby coś było potrzeba. Niech się pani nie waha.

Dopiero wtedy go poznałam: sąsiad. Cichy, wykształcony staruszek, który mieszka po przeciwnej stronie korytarza. W życiu nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, oprócz jakichś przelotnych, zdawkowych uprzejmości.

- Jestem Félix, Félix Robie. Proszę.

Podał mi białą, równo złożoną chusteczkę, dzięki czemu zorientowałam się, że mam twarz zalaną łzami. Poczerwieniałam, pół na pół ze wstydu i ze złości: nie dość, że się pobecztałam wskutek własnych rozmyślań, to jeszcze sąsiad mnie na tym przyłapał. Musiałam wyglądać jak archetyp niepokieszzonej wdowy. Obrzydliwy ekshibicjonizm.

- Proszę nie myśleć sobie niestworzonych rzeczy - rzekłam oschle, wrywając mu chustkę z rąk i wycierając w pośpiechu twarz. - Oglądałam film i stąd te łzy - dodałam, nie mijając się za bardzo z prawdą.

- A pewnie. Ja też nieraz w kinie płakałem. Ale u mnie to po prostu lata robią swoje. Każdy mięknie z wiekiem.

Mówiąc to, uśmiechnął się. Przemiałym uśmiechem, bez śladu politowania czy paternalizmu, ot, powszednim, spokojnym uśmiechem, który przywrócił mnie rzeczywistości.

- Nie wiem dlaczego, ale odnoszę wrażenie, że ostatnio niewiele pani jadła - dorzucił.
- Mam w domu wyborną suszoną szynkę jabugo, znośny pasztet, znakomitą rioję i świeży, chrupiący chleb. Byłbym zaszczycony, gdyby zechciała pani towarzyszyć przy kolacji biednemu starcowi.

Zawsze nienawidziłam ludzi posługujących się zużyтыми formularzami, ale w jego ustach „biedny starzec” zabrzmiało jak wyzwanie, osobisty żarcik, kokieteria. Jak gdyby w

rzeczywistości wcale nie był starcem, choć naturalnie był stareńkim staruszkim, dokładnie pokrytym zmarszczkami. Ale był starcem zabawnym i z klasą. A ja, co teraz dopiero stwierdziłam, byłam głodna. Dlatego zanim się zorientowałam, już siedziałam w mieszkaniu sąsiada Feliksa i otwierałam butelkę riojy. Którą, nawiasem mówiąc, opróżniłam sama, bo starzec nie wypił ani kropelki.

Dwie godziny później wiedziałam już, że Félix jest emerytem, że jest wdowcem, że kiedyś zawiadywał pobliskim sklepem papierniczym, ale że go odstąpił po śmierci żony, że nie ma dzieci i że właśnie skończył osiemdziesiąt lat.

- Osiemdziesiąt! No to znakomicie pan się trzyma.

Wprawdzie tymi słowy chciałam mu pochlebić, ale i tak była to szczerza prawda. Ubierał się swobodnie, przez co sprawiał nieco młodzieńcze wrażenie: sztruksowe spodnie, sweter i tweedowa marynarka - przypominał emerytowanego profesora Oksfordu. Wysoki, szczupły, poruszał się całkiem żwawo i tylko szyja, kurczowo uczepiona korpusu (za odwracaną głową podążały także barki), zdradzała zeszywnienie leciwego szkieletu. W uchu nosił aparat i zauważyłam, że nie zawsze wszystko rozumiał, oile nie patrzyło się mu w oczy w trakcie mówienia. Miał białe, lśniące, bardzo gęste włosy i piękne błękitne oczy, trochę łzawe, ale wciąż pełne koloru i wyrazu. Całości dopełniała subtelna twarz o orlich rysach, pokryta głębokimi zmarszczkami.

- Nie wiem, chyba mi pani nie uwierzy, ale ćwiczę fizycznie godzinę dziennie - odparł z rozbrajającą chłopięcą dumą.

No i zaczęłam mu szczegółowo tłumaczyć absurdalną tajemnicę zaginięcia mojego męża. Nie wiem, po co, chyba musiałam to komuś opowiedzieć. Félix Robie wysłuchał mnie z rozumną uwagą - takie przynajmniej odniosłam wrażenie, pogrążona w oparach czerwonego wina.

- W porządku, więc podsumujmy, co tu mamy - odezwał się wręście - Po pierwsze, zniknięcie, którego przyczyny zupełnie nie znamy. Żadnych podejrzeń, żadnych wskazówek, żadnych przeczuć. I po drugie, ciągle nierozwiązaną zagadkę: jakim cudem Ramón wyszedł z ubikacji niezauważony. Myślę, że na razie powinniśmy się skupić na tej drugiej. Nie dlaczego przepadł, ale j a k. Wydaje mi się, że mamy cztery ewentualności. Pierwsza, że wcale nie wyszedł.

- To znaczy, że co?

- Że Ramón ciągle tam siedzi w toalecie.

- Jak to? Przecież sprawdzałam.

- Tak, ale zdarzają się podwójne ściany, klapy, ukryte szafy. Nie wie pani, czy jakiś

ekspert policyjny skontrolował ubikacje?

Nie odezwałam się. Właśnie stanął mi przed oczami Ramón uwięziony za białymi, schludnymi kafelkami ustępu, Ramón uduszony, zasztyletowany, siny, martwy.

- Druga - ciągnął sąsiad - że oprócz ukrytych szafek może są tam zamaskowane drzwi. Czyli że wyszedł albo został wyciągnięty z innej strony.

Tu Félix zamilkł i wpatrywał się we mnie uważnie.

- Co jeszcze? - rzuciłam wyczekująco.

- Trzecia, że wyszedł zwykłymi drzwiami, ale pani była zajęta czym innym i nie zauważyła.

- Nie. To wykluczone. Rozmyślałam nad tym dużo, to wykluczone. Nie spuściłam toalety z oka. Wie pan, ja jestem po trosze maniaczką. I wnerwia mnie, jak ktoś idzie się załatwić tuż przed odlotem.

- No i czwarta ewentualność, że wyszedł tymi samymi drzwiami, ale w przebraniu. Mamy tylko takie możliwości: Wydaje mi się, że warto podjechać teraz na Barajas i posprawdzać jeszcze raz te ubikacje, co pani na to?

Cóż, najdziwniejsze, że ja na to jak na lato. Poziom sporego odurzenia alkoholowego objawia się u mnie tym, że nie widzę nic nienormalnego w wycieczce we dwoje na lotnisko w środku nocy sylwestrowej, by poszperać w publicznej toalecie. W okamgnieniu znalazłam się na przednim siedzeniu samochodu Feliksa Robie. Ponieważ ten facet miał samochód. Ścisłej mówiąc, dość dziwaczny pojazd: stare renault 5, pomalowane ręcznie na wściekły żółty, z grubym czarnym pasem, też własnego wyrobu, biegnącym od zderzaka do zderzaka przez dach.

- Kupiłem go od jednego alfonsa z dyskoteki. Paskudny, ale tanio mnie wyniósł i nieźle jeździ - wyjaśnił mój sąsiad.

Jechaliśmy promenadą Prado z nurtem rzeki rozkołysanych samochodów. Félix rozprawiał z ożywieniem, stanowczo za często puszczał kierownicę, w ogóle nie patrzył w lusterko, zmieniał pas, nie włączając kierunkowskazu. Wszyscy wokół trąbili na nas, ale on zachowywał się, jakby go to nie dotyczyło. Otworzyłam szeroko okienko. Od chłodnego wiatru sztywniały mi policzki, ale jednocześnie w przepelnionym chaosem mózgu pojawiły się przebliski światła. Byliśmy na placu Cibeles i Félix właśnie zatamował ruch, usiłując wykonać niedozwolony skręt z porażającą prędkością kulawego żółwia. Tłum zaczął obrzucać nas wyzwiskami. Przyglądałam się skonsternowana mojemu sąsiadowi: sytuacja go przerosła, był wyraźnie zdezorientowany i zbity z pantałyku.

- Do przytułku, ty pierniku! - wrzasnął ktoś z boku.

To prawda, teraz i ja dostrzegłam, że Félix jest starym piernikiem, pierwszy raz zobaczyłam w nim zwykłego staruszka. Co ja, u licha, robię o tej porze w tym bezsensownym wozie z tym nienormalnym osiemdziesięcioletkiem?

W końcu dotarliśmy. Parę razy pomyliliśmy drogę na autostradzie, ale dotarliśmy. Lotnisko było prawie puste, jeśli nie liczyć legionu rozgorączkowanych Japończyków, którzy obrzucali się serpentynami w oczekiwaniu na swój lot. Do sali odlotów międzynarodowych przeszliśmy bez kart pokładowych, tylko za okazaniem dowodów - wszędzie królował nastrój święta i rozprężenia. Félix pierwszy wszedł do ubikacji: zobaczyłam, jak znika za wahadłowymi drzwiami, i nie mogłam pozbyć się niemal podejrzliwego niepokoju, że i on teraz wyparuje, jak gdyby te skromne, lekko pożółkłe drzwi były zamaskowanym przejściem do czarnej dziury. Ale po chwili mnie zawołał:

- Niech pani wejdzie, nikogo nie ma.

Rzeczywiście, w toaletach było pusto jak poprzedniego dnia. Robie, nie wiem skąd, wyjął klucz francuski i przystąpił do ostukiwania ścian.

- Ja będę tu sprawdzał, a pani, proszę, niech spuści wszędzie wodę i odkręci wszystkie krany, może któryś źle działa - polecił mi tonem, po którym poznałam, że nawykł do rozkazywania.

Zrobiłam, jak kazał, i po chwili otaczał nas szum wody przypominający wodospad Niagara. Miotaliśmy się tak po publicznych klozetach, oblani mdłym światłem, otoczeni smrodem szczyń, ogłuszeni kaskadami z rezerwuarów - i bezskutecznie szukaliśmy nieistniejących drzwi.

- Nic nie ma - odezwał się wreszcie sąsiad, przekrzykując huk. - Tak więc jestem teraz prawie całkowicie przekonany, że pani mąż był tym starym inwalidą, którego pracownik lotniska wywiózł na wózku.

Mimowolnie sama się zdumiałam: no jasne, dlaczego wcześniej mi to nie wpadło do głowy? Nagły błysk spowodował, że znów spojrzałam na Feliksa Robie. Staruszek podpalił zimny ogień i trzymał go teraz dwoma palcami. W żywym blasku iskier dostrzegłam, że dłoń starego jest okaleczona: nie miał palca małego, serdecznego i dużego. Ostatni rezerwuar rzygnął końcowym, wątlwym pluskiem i ucichł. W tej nagłej ciszy rozlegało się tylko skwierczenie zimnego ognia.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedział Félix Robie. - Nie zauważyła pani? Dwunasta.

Czasem ogarnia mnie głębokie przekonanie, że jesteśmy czymś więcej niż tylko chwilą, w której żyjemy, czymś więcej niż tylko śmiertelnym ciałem. W takich

niecodziennych wizjach, objawiających się w najbardziej absurdalnych momentach (kiedy opiekasz grzankę na śniadanie, kiedy prowadzisz samochód w korku, kiedy stoisz w kolejce, żeby zapłacić podatki), mistycy wszystkich epok odnajdywali fundamenty swoich religii. Jestem niewierząca, dlatego takie nadprzyrodzone uczucie przybiera u mnie postać pragnienia piękna, pragnienia tak gwałtownego i konkretnego, jakby chodziło o atak głodu u bulimika. Mówię o sprawach niskich i codziennych, bo czy istnieje bardziej toporny banał niż ta usilna chęć, by żyć i nie umrzeć? Na pewno nie było w dziejach świata ani jednej istoty ludzkiej, która choć raz nie doświadczyłaby takiego złudzenia piękna, takiej potrzeby trwałości. Nawet idioci miewają transcendentne niepokoje i zdarza im się odetchnąć wiecznością. Metafizyka to najpopularniejsza z przyziemnych namiętności.

No więc pierwszego stycznia, mniej więcej koło dziesiątej rano, trwałam pogrążona w takim właśnie napadzie transcendencji, wychylając się przez okno (zimne powietrze, świat wyciszony i przezroczysty po ekscesach poprzedniej nocy, krystaliczne zarysy przedmiotów), kiedy z transu wyrwał mnie dzwonek telefonu za plecami. Włączyła się sekretarka i najpierw ciszę rozerwał mój własny nagrany głos. A potem inny, nieznany mi dotąd, suchy i ochrypły, dosłownie zmroził mi krew w żyłach:

-,To jest wiadomość od Dumy Robotniczej. Jeśli chce pani jeszcze zobaczyć Ramona Iruñę żywego, niech pani zgromadzi dwieście milionów peset. Niech pani nie zawiadamia policji, bo pani pożałuje. Będziemy w kontakcie”.

Podbiegłam do telefonu, ale było za późno. Trudno uznać, żebym tego dnia miała szczególny refleks.

Znów skłamałam: oczywiście, że zdążyłam. Aparat stał tuż obok, więc spokojnie mogłam podnieść słuchawkę i przerwać komunikat, mogłam drania przepytwać, połajac, zwymyślać. Ale nie śmiałam. Nagle ogarnęło mnie przeczucie wielkiego niebezpieczeństwa, pojawiły się zimne poty, mdłości, przyspieszone tętno, wzburzenie w piersi, czyli cały repertuar tchórzy. Zawsze miewałam napady tęgiego strachu. Ręka zatrzymała mi się dwa centymetry od słuchawki, gdzie znieruchomiała na dobrych parę chwil, dużo dłużej wręcz, niż trwało połączenie z tamtym facetem. Dziwne, Ramón nigdy się specjalnie nie przejmował, że ja się tak boję. Szczerze mówiąc, podejrzewam, że nawet to lubił. Ramón Iruña to pedant i nudziarz, prawie bez wyrazu i tak ospały, że trud wszelkiej dyskusji z kimkolwiek zadawał sobie naprawdę od wielkiego dzwonu. Czyli spełniał wymogi człowieka powszechnie uważanego za poczciwca. Ale kiedy dopadał mnie jeden z tych ostrych ataków trwogi, on się przeistaczał: stawał się grzeczny, dowcipny, czuły, zabawny. Na przykład: podczas spaceru gdzieś na wsi przechodziliśmy przez rzeczkę, ja nagle utknęłam zdrętwiała ze strachu na

kamieniu pośrodku koryta i nie byłam w stanie ani dać kroku do tyłu, ani przeskoczyć ponad spienionym nurtem na następny kamień. Otóż w takich sytuacjach Ramón wracał z drugiego brzegu, prawił mi miłe słówka, usiłował mnie uspokoić, rozśmieszał, znosił ślane przeze mnie wiąchy, wyciągał rękę ponad wodą, tłumaczył raz po raz, jak mam postawić niezdarną stopę na ostrym głazie i w końcu, ku mojej dozgonnej wdzięczności, wydobywał mnie z tarapatów. Sądzę, że te chwile czułości i zrozumienia (jego zabawa w opiekuńczość pasowała do mojego strachu jak w dziecięcej układance) najbardziej w naszym przypadku przypominały coś, co u innych nazywamy namiętnością.

Wracając do wydarzeń pierwszego stycznia - kiedy już udało mi się uwolnić od gwałtownego przyływu paniki i odzyskać władzę w ciele, przewinęłam taśmę do tyłu i odsłuchałam wiadomość jeszcze raz. Duma Robotnicza? Co to jest, u licha ciężkiego? Czyli że Ramón został porwany? Stało się to, co zdarza się tylko innym? W telewizji i w filmach? Pobiełam do sąsiada i zaczęłam walić do drzwi. Félix otworzył z dużym ociąganiem, przynajmniej tak mi się zdawało. Włosy miał kompletnie rozczochrane, wyglądały jak sterta pierza.

- Co się stało, co jest grane, coś się będzie działo? - stropiony wykorzystał wszystkie możliwe czasy gramatyczne. Bez wątpienia wyrwałam go z łóżka.

Nie traciłam czasu na wyjaśnienia, popchnęłam go w kierunku mojego mieszkania. Nie protestował, powłóczył tylko nieco filcowymi pantoflami.

- Niech pan słucha! - krzyknęłam tonem może nieco nazbyt tragicznym.

I odtworzyłam mu wiadomość od porywaczy.

- Co pan na to? - zapytałam.

- Proszę? - odparł, przykładając dłoń do ucha.

Nie włączył aparatu słuchowego, więc musieliśmy wszystko powtórzyć. Puszczalam taśmę parokrotnie, aż narowiste uszy dziadzia zdołały wyłowić wszystkie słowa bandytów.

- No, no. Ładna historia. Czyli że takie buty... - wymamrotał wreszcie, zamyślony.

A mnie nagle ogarnął śmiech:

- I jeszcze ci idioci domagają się dwustu baniek! Równie dobrze mogliby krzyknąć miliard! Wyobrażają sobie, że mają do czynienia z Rockefellerem? Ramonowi i mnie ledwie udało się zgromadzić ze dwa miliony, więc niech sobie czekają! Cha, cha! To niepoważne! Bałwany chyba dostaną guzik z pętelką! Źle trafili!

Dopiero teraz zobaczyłam minę, z jaką patrzył na mnie sąsiad - na poły niepewną, na poły oburzoną - i momentalnie zrozumiałam, że sytuacja wcale nie należała do zabawnych. Śmiech zamarł mi na ustach.

- Jasne. Pan podejrzewa, że niemożność skombinowania dwustu milionów dodatkowo pogarsza położenie biednego Ramona. Boże, co mi do głowy strzeliło z tym śmiechem...? Co się ze mną dzieje? Mam kompletny mętlik.

Rzeczywiście, mętlik miałam taki, że pozwoliłam, by Félix Robie przejął pełną inicjatywę, i zdałam się na jego decyzje. Z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się, że musiałam postradać zmysły: w ogóle go nie znałam, poza tym to był przecież zwykły staruszek. Zważywszy na wiek, to ja powinnam się nim zająć, a nie on mną i moimi problemami, a stało się odwrotnie. Zgodnie z jego pierwszą decyzją powinniśmy natychmiast zadzwonić na policję.

- Ale tamci właśnie radzą, żebym tego nie robiła.

- Nieważne. Wszyscy porywacze zawsze to mówią. To coś w rodzaju zawodowej normy, niepisanego zwyczaju.

Po prostu dodają to właściwie rutynowo, jak urzędnik, który nie zaczyna inaczej, niż: „W odpowiedzi na Pański uprzejmy list z dnia 17 bieżącego miesiąca”. W każdym razie porywacze zawsze mówią, żeby nie zawiadamiać policji. A i tak wszyscy wiedzą, że każdy zawiadomi.

Półtorej godziny później siedzieliśmy w barze i czekaliśmy na inspektora Garcia. W barze, bo kiedy namierzaliśmy go przez komórkę, znudzony Garcia nie ukrywał, że na pierwszego stycznia wziął urlop i nie ma najmniejszej ochoty spędzać go w komisariacie. Nie pozbył się swojej nudy i apatii nawet wówczas, kiedy w końcu przyszedł, spóźniony dwadzieścia minut.

- Dobra - westchnął, waląc się na krzesło. - Macie państwo nagranie?

Pewnie, że mieliśmy. Inspektor wyjął z kieszeni mały dyktafon, wsunął minikasetę i z uwagą kilkakrotnie odsłuchał wiadomość, po czym zamarł zamyślony. Wysiłek umysłowy odcisnął mu na czole cztery poprzeczne zmarszczki.

- No, mam pewną wątpliwość. Podzielę się nią z państwem - odezwał się w końcu.

Félix i ja nadstawiliśmy z zaciekawieniem uszu.

- Mogę czy nie mogę się napić? Jestem na urlopie. Mógłbym strzelić mały koniaczek. Mam wielką ochotę. Ale jednocześnie jestem na służbie. Czy jakoś tak. To znaczy tu, z państwem. A na służbie mowy nie ma o piciu. Wszyscy to wiedzą. Co państwo na to?

Oniemieliśmy. Zanim zdołaliśmy wypowiedzieć słowo, inspektor Garcia wyciągnął rękę w kierunku kelnera:

- Piwo! - krzyknął, po czym znów zwrócił się do nas.

- Piwo to takie nie wiadomo co. Ni pies, ni wydra. Ni to, ni sio. Rozwiązanie

kompromisowe.

Zaczęło mnie to porządnie irytować.

- Ale co z tym komunikatem? Co to za Duma Robotnicza? Czy naprawdę go porwali? Nic mu nie będzie? Zabiją go? Co można zrobić? Przecież nie sądzi pan chyba, że przyszliliśmy tu sobie na kielicha! - krzyczałam.

José Garcia wyjął taśmę z dyktafonu, włożył ją do białej koperty, napisał na wierzchu: „Sprawa Ramona Iruñi. Dowód rzeczowy 1” i wsunął do kieszeni. Wszystko to robił beznadziejnie powoli. Następnie wypił połowę kufła i cmoknął językiem.

- Dużo pytań. Parę odpowiedzi. Jeden, pierwsze słyszę o Dumie Robotniczej. Porozmawiam z ekspertami. Dwa, tak, chyba został porwany. Trzy, nie wiem, czy nic mu nie będzie. Cztery, nie wiem, czy go zabiją. Pięć, jeśli pani zapłaci okup, wyląduje pani w więzieniu.

- Co? To niesprawiedliwe. Poza tym ja nie mam dwustu milionów.

- Jeśli się dowiemy, jeśli dowiemy się, że pani płaci, będziemy musieli panią zatrzymać.

- Nie słyszy pan? Nie mam pieniędzy!

- Płacenie okupu terrorystom jest zabronione. Oczywiście każdy próbuje. Po kryjomu. Ja na pani miejscu pewnie bym zapłacił. Uratować zakładnika. To najważniejsza sprawa dla rodziny. Ale ja jestem policjantem. Nie mogę się dowiedzieć, że pani płaci. Bo moim obowiązkiem jest to uniemożliwić.

- Nie mam tych pieniędzy - powtórzyłam bliska płaczu.

- Bardzo dobrze. Pani sprawa. Ja tylko mówię, że nie chcę oniczym wiedzieć. To ostrzeżenie. Ja tymczasem pobadam, podowiaduję się. To zadanie policjantów. Badamy. Jesteśmy dochodzeniowcami. Prowadzimy dochodzenia. A teraz na mnie czas. Będziemy w kontakcie. Niech się pani nie martwi.

Wróciliśmy do domu kompletnie zniechęceni: ze wszystkich policjantów w kraju nam się musiał trafić najgłupszy. Dokładnie to samo powiedział mój sąsiad, kiedy wysiadaliśmy na naszym piętrze z windy:

- Trafił się nam najgłupszy policjant.

Trudno było nie zauważyć pierwszej osoby liczby mnogiej, za której pomocą Félix wpisał się w moją tragedię. Wyszło na to, że teraz obydwójce odczuwaliśmy zniechęcenie, niepewność i niepokój. Félix rozgościł się w całej historii, jakby dotyczyła jego. Ci emeryci są potworni - pomyślałam z pretensją - wypełniają sobie życie, czym popadnie. Już otwierałam usta, żeby powiedzieć coś, co by go odsunęło ode mnie, żeby pożegnać się z nim

w sposób taktowny, żeby zrobić jakiś uprzejmy gest i w tył zwrot. Ale nie zdołałam wyrzec ani słowa, bo spostrzegłam, że spod moich drzwi wystaje rozek kartki. Znowu dreszcz niebezpieczeństwa, znowu zimny pot, znowu mdłości. Moja intuicja tchórza podpowiedziała mi trafnie: papier (duży arkusz w białej kopercie) to list od porywaczy. Ścisłej mówiąc, był to list od Ramona:

Błagam, zrób to, co ci każą. Daj im to, czego żądają. Traktują mnie dobrze, ale są zdolni do wszystkiego, naprawdę, Lucio, DO WSZYSTKIEGO. Mam pieniądze. Pamiętajsz spadek po mojej ciotce Antonii? Jest większy, niż ci powiedziałem. Leży w sejfie w Banco Exterior de España. W głównym oddziale. Sejf ma numer 67, jest na wszelki wypadek na nazwiska nas obojga. Parę miesięcy temu dałem ci do podpisania blankiet bankowy. Przepraszam, że nic ci wtedy nie powiedziałem, ale było mi wstyd. To brudna forsa, a ja pracuję w ministerstwie. Błagam, pójdz tam i wybierz ją jak najprędzej. Klucz leży w szufladzie mojego biurka. I rób wszystko, co oni ci każą. Błagam, błagam, ZRÓB TO. Kocham cię.

Natychmiast rozpoznałam charakter Ramona, chociaż litery, zazwyczaj bardzo staranne i regularne (mój mąż ma ładne, drobne pismo), teraz były rozchwiane i krzywe. najgłupszy. Dokładnie to samo powiedział mój sąsiad, kiedy wysiadaliśmy na naszym piętrze z windy:

- Trafił się nam najgłupszy policjant.

Trudno było nie zauważyć pierwszej osoby liczby mnogiej, za której pomocą Félix wpisał się w moją tragedię. Wyszło na to, że teraz obydwójce odczuwaliśmy zniechęcenie, niepewność i niepokój. Félix rozgościł się w całej historii, jakby dotyczyła jego. Ci emeryci są potworni - pomyślałam z pretensją - wypełniają sobie życie, czym popadnie. Już otwierałam usta, żeby powiedzieć coś, co by go odsunęło ode mnie, żeby pożegnać się z nim w sposób taktowny, żeby zrobić jakiś uprzejmy gest i w tył zwrot. Ale nie zdołałam wyrzec ani słowa, bo spostrzegłam, że spod moich drzwi wystaje rozek kartki. Znowu dreszcz niebezpieczeństwa, znowu zimny pot, znowu mdłości. Moja intuicja tchórza podpowiedziała mi trafnie: papier (duży arkusz w białej kopercie) to list od porywaczy. Ścisłej mówiąc, był to list od Ramona:

Błagam, zrób to, co ci każą. Daj im to, czego żądają. Traktują mnie dobrze, ale są zdolni do wszystkiego, naprawdę, Lucio, DO 'WSZYSTKIEGO. Mam pieniądze. Pamiętajsz spadek po mojej ciotce Antonii? Jest większy, niż ci powiedziałem. Leży w sejfie w Banco Exterior de España. W głównym oddziale. Sejf ma numer 67, jest na wszelki wypadek na nazwiska nas obojga. Parę miesięcy temu dałem ci do podpisania blankiet bankowy.

Przepraszam, że nic ci wtedy nie powiedziałem, ale było mi wstyd. To brudna forsa, a ja pracuję w ministerstwie. Błagam, pójdź tam i wybierz ją jak najprędzej. Klucz leży w szufladzie mojego biurka. I rób wszystko, co oni ci każą. Błagam, błagam, ZRÓB TO. Kocham cię.

Natychmiast rozpoznałam charakter Ramona, chociaż litery, zazwyczaj bardzo staranne i regularne (mój mąż ma ładne, drobne pismo), teraz były rozchwiane i krzywe.

Nie miałam najmniejszej wątpliwości: to znak skrajnej trwogi. Czytanie tego listu sprawiało mi ból, każde słowo ciążyło jak ołów. Poza tym, co to znaczy, że ma pieniądze? Ile pieniędzy? Tyle, żeby wystarczyło na astronomiczny okup? I najgorsze ze wszystkiego: jakim cudem koperta trafiła pod moje drzwi? Już na samą myśl o tym czułam mrowienie w kręgosłupie: najwidoczniej musieli dotrzeć osobiście aż tutaj. Do mojego domu. Na sam próg. Porywacze. Członkowie Dumy Robotniczej. Terrorysty.

- No już, niech się pani nie da stłamsić. Poszukajmy klucza - Félix w porę sprowadził mnie na ziemię.

I ruszył przez przedpokój, przyczesując dłonią zmierzwione włosy.

Pośród całej gromady kluczy w szufladzie znaleźliśmy jeden z mosiądzu, duży i skromny, z wyrytym na główce numerem 67.

- Gdzie jest centrala Banco Exterior? - spytał Félix.

- Przy alei San Jerónimo.

- Jedziemy tam jutro z samego rana - zawyrokował sąsiad, znowu używając tej nieznośnej pierwszej osoby liczby mnogiej.

- Dobrze. Pojedziemy trochę później, koło jedenastej - odparłam z kąśliwą niechęcią, tylko po to, żeby mu pokazać, kto tu ma prawo podejmować ostateczne decyzje.

Szczerze mówiąc, nie byłam jednak w najlepszym stanie do podejmowania decyzji. Jedyne, co w tym momencie naprawdę tłukło mi się obsesyjnie po głowie, to ostatnie zdanie z listu Ramona, czyli owo przygnębiające „kocham cię”. Poczulałam się tak niepocieszona, choć wiedziałam przecież doskonale, że dopiero w chwili słabości wierzymy w naszą miłość do osoby, której akurat potrzebujemy. (Ostatni raz Ramón powiedział mi „kocham cię”, kiedy wycinali mu wyrostek).

Po rozmowie z inspektorem Garcia Lucia Romero postanowiła nie wspominać policji ani słowem o liście Ramona i sejfie z pieniędzmi w banku. W konsekwencji mogli teraz z Feliksem polegać wyłącznie na własnym szczęściu i o wszelkich skomplikowanych drobiazgach musieli decydować na własne ryzyko. W trakcie śniadania, przed wyprawą do sejfu, opracowali plan dnia z precyzją Attyli szykującego się do najazdu na Galię. Po

pierwsze, Lucia musiała mieć ze sobą torebkę dostatecznie dużą, żeby zmieściło się w niej ileś tam milionów, więc po dłuższym zastanowieniu wybrała ogromną torbę plażową z mocnego płótna. Po drugie, trzeba było rozstrzygnąć kwestię transportu, bo raczej nie miała zamiaru przechadzać się po Madrycie z fortuną przewieszoną przez ramię.

- Weźmiemy mój samochód - zaproponował Félix.

- Koło banku wprawdzie nie ma gdzie zaparkować, ale będę krążyć w pobliżu, w czasie kiedy pani będzie wyjmować pieniądze z sejfu. Jak już pani je wyjmie, niech pani czeka na mnie przy wejściu, obok strażników, aż się znów pojawię.

Przystąpiła na ten plan, aczkolwiek obecność sąsiada była jej faktycznie bardzo nie na rękę. W towarzystwie dziadka nie będzie mogła poruszać się dostatecznie szybko: trzeba się będzie zajmować nie tylko milionami w torbie, ale jeszcze i nim. Myśląc o tym, Lucia wpadała w coraz większą irytację, ale nie potrafiła przeciwstawić się dynamicznemu staruszkowi. Właśnie ów słaby charakter, manifestujący się w kluczowych momentach, stanowił jedną z jej podstawowych wad. Lucia za często cichła, za często przyzwalała, za często przytakiwała. Była upiornie kobieca z tym swoim zewnętrznym milczeniem, gdy tymczasem wewnątrz niej frustracja aż wylała. Lucia zazdrościła kobietom zdolnym przeciwstawić się i szermować dialektyką na nieprzytulnym forum publicznym. Podobnie jak Rosa Montero, ciemnoskóra pisarka pochodząca z Gwinei hiszpańskiej, była trochę sawantką, czasem nawet despotką i krzykaczką, ale kiedy tylko tamta Montero otwierała usta (a zęby jej lśniły na tle czarnego księżycy twarzy), ludzie milkli i słuchali. Lucia też bardzo chciałaby taka być, mieć nieco więcej werwy i pewności siebie.

Ale nie miała, dlatego teraz było tak, a nie siak: musiała znosić nieznośnego dziadka, dokładnie jak przedtem, kiedy przez tak wiele lat znosiła Ramona, gdy obydwójce wiedzieli zbyt dobrze, że ich uczucie wygasło. Właściwie wcale nie zamierzała w tym momencie krytykować Ramona, nieszczęsnego Ramona w łapach pozbawionych sumienia bandziorów. Teraz, bywało, na wspomnienie męża tak się wzruszała, że nie wykluczała nagłego powrotu miłości.

Wyruszyli do banku, jak zaplanowała, około jedenastej przed południem, dotarli zaś na miejsce w południe: po drodze zabrakło im benzyny, wjechali pod prąd w ulicę jednokierunkową i stoczyli dyskusję z policjantem, który ich zatrzymał.

- Błagam, czy mógłby pan nie powodować więcej zamieszania na jezdni? - rzekła Lucia, wysiadając z samochodu przed wejściem do budynku.

- Niech się pani nie martwi. Spokojnie. Proszę iść po forszę, ja czekam.

Gmach banku imponował i przytłaczał majestatem, niczym ministerstwo stalinowskie.

Lucia weszła z przestraczem do lśniącego mosiądzem holu i zapytała, którędy do sejfów.

- Dwa piętra w dół, tymi schodami albo windą.

Udręka, niepokój. Schodząc, miała wrażenie, że zstępuje do grobu. Czuła, jak na plecach rośnie jej brzemię pieniędzy i kamienia. Wreszcie na dole opancerzona krypta. Wszędzie okucia i sztaby, a za stolikiem jakiś znudzony jegomość.

- Chciałam, hm, chciałabym wyjąć coś z jednego sejfu - wydukała Lucia, mając poczucie winy, jakby przyszła obrabować bank.

Facet otworzył kraty i spojrzał na nią z niechęcią, takie przynajmniej odniosła wrażenie.

- Dowód proszę.

Lucia wyciągnęła dowód i klucz. Dłonie jej się trzęsły, wołała więc położyć rzeczy na stole, żeby się nie zdradzić.

- Proszę tu podpisać. Pani pójdzie za mną.

Weszli do opancerzonej salki, pomieszczenia o regularnych wymiarach, którego ściany wypełnione były metalowymi szafkami. Numer 67 należał do największych. Mężczyzna wsunął obydwie klucze, otworzył drzwiczki, z wyraźnym wysiłkiem wyjął sporą kasetę i postawił ją na słupku pośrodku pokoju.

- Proszę mi powiedzieć, jak pani skończy - rzucił przed wyjściem, jakby wygłaszał wyświechtaną kwestię w filmie.

Od całej operacji aż wiało skatologią, jakąś niewysłowioną potrzebą fizjologiczną: krypta przypominała podziemną toaletę, strażnik zaś salowego w szpitalu, przywykłego do cudzych nieczystości. Lucia wstrzymała dech i otworzyła wieko. Oto i trzewia - sine, niepojęte. Bardzo dużo. Bez liku. Nieprawdopodobna ilość. Wszystko w banknotach po dziesięć tysięcy, plik na pliku, obłęd ściśle opasanych papierków. Niech lichy porwie ciotkę Antonię! Liczyła pliki, wsuwając je do torby: w sumie wyszło dwieście jeden. Wszystkie się zmieściły, przykryła je z wierzchu gazetami, ale kiedy szarpnęła swój bagaż, zdała sobie sprawę, że nie wzięła dotąd pod uwagę, ile to waży. Przytłaczający ciężar deformował torbę i w widoczny sposób wyciągał jej rączki. Lucia uniosła ładunek w powietrze: Jezu, tam musiało leżeć ze dwadzieścia kilo. Z bólem uwiesiła sobie torbę na prawym ramieniu i zawołała pracownika banku:

- Już.

Kiedy strażnik uniósł kasetę, żeby wstawić ją na miejsce, zerknął badawczo na Lucię. Jasne - podpowiedziała jej intuicja paranoiczki - dotarło do niego, że już nie jest ciężka, i wie, że teraz dźwigam całe tony nieczystych banknotów. Usiłowała iść prosto i swobodnie, jakby

bark nie rozszczepiał jej się właśnie na dwoje, ale torba tak jej ciążyła, że przed dojściem do windy musiała się zatrzymać, postawić ją na podłodze i odsapnąć, inaczej padłaby tam na miejscu bez zmysłów. Mężczyzna patrzył na nią bez słowa, nie spiesząc z pomocą, świadom niebotycznej wartości pakunku i tego, że do jego obowiązków strażnika krypty bankowej należało także nie być ciekawym. Wreszcie Lucia dopełzła do windy, a potem, po osiągnięciu parteru, od windy do głównego wyjścia, uginając się pod ciężarem torby i z trudem udając, że ma przy sobie ot, niewielki bagaż podręczny. Na szczęście na zewnątrz już czekał stary Félix we wściekle żółtym samochodzie. Ostatecznie pomyślał, żeby towarzyszył jej sąsiad z wozem, nie okazał się taki zły.

- Mam. To niewiarygodnie dużo. Normalnie kupa kasy - odezwała się, wsiadłszy do samochodu i w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie szepcze.

Mówi, że naliczyła dwieście jeden plików? W takim razie jest dwieście jeden milionów, bo w każdym pakiecie jest sto banknotów, orzekł Félix Robie, wysłuchawszy zdyszanej relacji. Podczas jazdy jeszcze raz przeliczyła zawartość torby: tak, dwieście jeden. Czyli wystarczało na okup. Ramón był uratowany, bo przecież odstawią go całego i zdrowego, prawda? I nagle Lucii przyszła do głowy przerażająca myśl:

- Torturowali go.

- Co? - zapytał sąsiad.

- A jakim cudem terroryści wiedzieli, że mieli żądać dwustu milionów? Torturowali Ramona i wyciągnęli z niego informację.

- Spokojnie, droga pani. Nie wierzę. O pieniądzech musieli wiedzieć przed porwaniem, bo inaczej po co w ogóle zawracaliby sobie głowę? Może dowiedzieli się skądinąd, nie wiem, na przykład dostali cynk od pracownika banku.

Facet z krypty - pomyślała. Facet z krypty może być takim zawodowcem, że nawet ważąc kasetę w dłoniach, potrafi odgadnąć, ile milionów czai się wewnątrz. Facet z krypty może być wtyczką Dumy Robotniczej albo wynajętym donosicielem, który sprzedaje informacje temu, kto da więcej, raz grupie terrorystycznej, innym razem rozwódce skłonnej puścić byłego męża w skarpetkach, jeszcze innym - jakimś łotrzykom z ciemnych uliczek Madrytu. Kto wie, może właśnie teraz facet z krypty podnosi słuchawkę swojego donosicielskiego, czarnego telefonu i zawiadamia jakiegoś gangstera, że przed chwilą wypuścił ptaszka z nadwagą dwudziestu kilogramów.

Mieli szczęście podczas parkowania, na rogu blisko domu akurat było wolne miejsce. Przed wyjściem z samochodu bacznie zlustrowali ulicę, czekając, aż się względnie wyludni. W końcu ruszyli, dźwigając z trudem torbę, ale bez pośpiechu, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Stanęli przed drzwiami na klatkę, jak zwykle zamkniętymi na klucz. Félix ją przetrząsać kieszenie, Lucia zaczynała się niecierpliwić.

- Spokojnie... - upomniął ją sąsiad. - Już mam. No, nareszcie w domciu.

Dokładnie w chwili, kiedy Félix przekręcał klucz w zamku, pchał skrzydło drzwi i wydawał okrzyk triumfu, Lucia poczuła ostre ukłucie w krzyżu. Weszła szybko do środka, potykając się, i usłyszała za plecami gwałtowne zatrzaśnięcie.

- Ale co...?

Nie zdołała nic więcej wyrzec - błysk metalu w półmroku przykuł jej uwagę i odjął mowę. Miała przed sobą bujający w powietrzu gigantyczny nóż, którego czubek celował prosto w jej żołądek. Ścisłej mówiąc, nóż nie bujał w powietrzu ot, tak sobie, do uchwytu doczepiona była ręka, na której drugim końcu znajdowało się ciało złowrogiego faceta.

- Dawaj torbę, i to już - rzekł tamten.

Torbę albo życie - pomyślała tępo zeszywniała Lucia. Za plecami raczej niskiego agresora dostrzegła, że drugi napastnik chwycił Feliksa za gardło, do którego przytknął ostrze sztyletu.

- No, dawaj, idiotko!

Bandzior wyciągnął rękę po torbę, Lucia jednak instynktownie się cofnęła. Pieniądze Ramona! Życie Ramona!

I zacisnęła dłoń na rączce bagażu. To nierozumne zachowanie mogło skończyć się dla niej fatalnie, gdyby na zakręcie schodów nie pojawił się naraz młody chłopak.

- Ejjjjjj! A co to takiego? - krzyknął młodzieniec.

I rzucił się na rzezimieszka, który trzymał Feliksa, czyli bliższego, a uczynił to z takim samym heroizmem, z jakim pewnie Cyd cwałował na Maurów. Dzięki zaskoczeniu chłopak natarł na łotra z taką siłą, że tamten padł na kolana, i pewnie zdołałby mu wyrwać nóż z dłoni, gdyby drugi facet, zostawiwszy na chwilę Lucię i jej torbę, nie grzmotnął młodzieńca w głowę tępym narzędziem. Bohater osunął się na ziemię jak kukła.

Czyli wracamy do sytuacji pierwotnej - przemknęło Lucii przez głowę, gdy zrekapitulowała stan rzeczy. - Napastnicy znów mają przewagę.

- No, tylko spokojnie. Noże na ziemię, łapy do góry.

Nie, napastnicy wcale nie mieli przewagi. To było niewiarygodne, to było niemożliwe, to bez wątpienia jakiś omam, ale Félix trzymał w dłoniach pistolet, a ściślej mówiąc, czarne i ogromne pistolecisko, najwyraźniej ciężkie i złowroge, śmiercionośne żelastwo, którym posługiwał się, jak gdyby nigdy nic. Lucia bardziej chyba wystraszyła się dziadka niż bandytów.

W ciągu ułamka sekundy akcja zamarła, jakby biblijna klątwa wszystkich zmieniła w słupy soli. Potem powalony młodzieniec podniósł się i jęknął, Félix na moment się odwrócił, a złodzieje ruszyli z kopyta w kierunku drzwi, otworzyli je pospiesznie i pomknęli na oślep ulicą. Félix też wypadł za nimi z bronią w rękę.

- Stać, bo strzelam!

- Co pan? Oszalał?! - wrzasnęła Lucia.

Ale nim zdołała czemukolwiek zapobiec, zobaczyła, że dziadek staje nieruchomo na chodniku, w rozkroku, i unosi pistolet dwiema dłońmi, zupełnie jak na filmach. Wymierzył dokładnie i położył palec na spuście, celując w nogi. I nacisnął.

Rozległ się żaloszny trzask, który zupełnie nie przystawał do takiego nagana.

- A niech to! - wybełkotał Félix. - Znow mi się zaciął!

- Znow? To często pan tak sobie strzela? - spytała wstrząśnięta Lucia.

- Muszę go naoliwić. Szkoda, bo chyba bym go dostał.

- Boże święty!

Przerwał jej kolejny jęk. Ich młody pomocnik doszedł do drzwi i oparł się niepewnie na progu.

- O... Moja głowa...

Przyłożył dłoń do ciemienia, po czym przeniósł ją na wysokość oczu: była poplamiona krwią. Stwierdziwszy, że jest ranny, zbladł jak płótno i zaczął się osuwać po ścianie.

- O... o... o...

- Co ci jest, co cię boli, gdzie cię walnął, jak się nazywasz, gdzie mieszkasz? - zadanie wszystkich tych pytań nie zajęło Lucii więcej niż pół sekundy.

- O... o... o...

- Nic takiego. Drobne puknięcie. Tylko krew tak potwornie wygląda - ocenił Félix, badając uraz na głowie.

- Nie trzeba go zawieźć do szpitala?

- Cóż. Za jakiś czas, jak dojdzie do siebie, jeśli zechce, czemu nie? Moim zdaniem nie ma po co. Patrz, krew już nie leci.

Pomogli więc młodzieńcowi wejść do mieszkania Lucii, umyli mu głowę i dali kieliszek koniaku, dziękując przy tym wylewnie. Miał na imię Adrián i od paru miesięcy mieszkał na poddaszu, które odnowiono i adaptowano na maleńkie mieszkanie. Powiedział, że pochodzi z Galicji i chce być muzykiem. Czasami w barze grywa na dudach z grupą Irlandczyków. Mówił to wyciągnięty na sofie w salonie, po czym położył stopy na stole, wsparł swoją bohaterką głowę na jaśku i w niepojęty sposób usnął.

- Zapadł w śpiączkę! To przez to uderzenie! - przeraziła się Lucia. Jak zwykle przeczuwała najgorsze.

Adrian łaskawie chrapnął lekko.

- A zaraz tam śpiączka! Śpi jak suseł! Przecież słyszałaś, co mówił: miał nocny koncert, na pewno nie zdążył się jeszcze położyć - odparł Félix. - Niech sobie trochę pośpi, będziemy mieli pewność, że nic mu nie jest.

Przykryli go czule kocem i zostawili w salonie, a sami przeszli do kuchni. Sami - w towarzystwie torby plażowej, którą podczas całej rozmowy z młodzieńcem trzymali na widoku, żeby myślał, że nie ma tam nic podejrzanego.

- A co teraz robimy z pieniędzmi? - spytała Lucia.

- Trzeba je schować. Chwilowo muszą pozostać w ukryciu.

- Dobrze, ale gdzie? Nielicha paka.

- Nie wiem, może w piekarniku?

Lucia oczami wyobraźni ujrzała omyłkowo zapalony piekarnik, a w nim skwierczące i płonące banknoty, niczym w piekle bankierów.

- Nie, nie, tylko nie w piekarniku.

- W pudle na buty? - podsunął Félix.

- Nie zmieszczą się. Już wiem, mam pomysł.

Pomysł był dobry: w torbie z karmą dla Suki-Foki.

Dwudziestokilogramowa paczka była w połowie opróżniona. Lucia wysypała pozostałą część karmy, powkładała pieniądze w plastikowe torebki, ułożyła je na dnie worka, a na wierzch dała z powrotem suche, sypkie kuleczki. Suka-Foka kontrolowała całą operację z zaciekawieniem i lekkim niepokojem. Była bardzo żarłoczna i wszelkie zabawy z jedzeniem uznawała za nietakt.

Pozbywszy się brzemienia pieniędzy, Lucia i Félix zasiedli z westchnieniem ulgi za kuchennym stołem.

- Ledwie żywa.

- Nie masz się czego trwożyć, kochanie. Masz mnie blisko - odparł dziadzio, waląc się w pierś na wysokości serca i pistoletu.

Lucia spojrzała nań z niedowierzaniem i niechęcią.

- Powiedziałam „ledwie żywa”, a nie „zatrwożyłam się”. Jestem ledwie żywa - rzekła oschle.

- Aha. Ja też.

Ależ on stareńki - pomyślała. Chociaż trzeba przyznać, że ocalił jej życie.

- Napijesz się koniaku? - zapytała i momentalnie zdała sobie sprawę, że od dobrej chwili mówią sobie na ty.

- Dzięki, wolałbym kawę.

Szykując maszynkę do kawy, Lucia popatrywała z ukosa na starego: był blady, oczy miał podkrążone, ale siedział wyprostowany. Włosy na głowie w kompletnym nieładzie.

- Ciągle masz przy sobie ten pistolet?

- Pewno - odrzekł.

Sięgnął za pazuchę, pod przepastną marynarkę, i wyciągnął straszliwe narzędzie. Lucia wpatrywała się w nie z mieszkanką strachu i pogardy, jaką odczuwają kobiety na widok broni palnej.

- Zabiłbyś go jak nic - burknęła z wyrzutem.

- Nie. Celowałem w nogi.

- Cmentarze są pełne ludzi, którym jakiś cwaniak celował w nogi.

- Ale ja umiem strzelać - odpowiedział spokojnie Félix.

- Już ci wierzę. A nawet gdyby, to strzeliłbyś im w plecy, kiedy uciekali?

Nie wiedzieć czemu Lucia czuła narastającą wściekłość.

- Owszem, bo pomyślałem, że chyba mają coś wspólnego z porwaniem i że naprowadziliby nas na ślad Ramona.

- Tak sądzisz? - Lucia nie potrafiła ukryć podziwu.

- Niemożliwe. Moim zdaniem to typowe złodziejzki, które śledziły nas od banku.

- Niewykluczone.

- No, bo po co porywacze mieliby nas okradać? - ciągnęła Lucia z niepokojem. - Skoro i tak mamy im dostarczyć pieniądze.

Staruszek uśmiechnął się i wzruszył ramionami, unosząc przy tym dłonie przed siebie, jakby chciał dać do zrozumienia, że postępowanie ludzkie bywa zagadkowe. Pistolecisko spoczywało na blacie obok filiżanki kawy. Zamyślona Lucia znów wbiła w nie wzrok.

- Dotąd podejrzewałam, że handlowcy, którzy wyciągają spluwy, to raczej jubilerzy, barmani czy jacyś tacy. Ale nie sądziłam, że właściciel księgarni albo papiernika, taki jak ty, może bawić się bronią.

- W życiu nie wyciągnąłem broni we własnym sklepie. Moja żona nawet nie wiedziała, że ją mam.

- Nie?

- Otóż nie. Jedną z niewielu korzyści, jakie płyną ze starzenia się, jest to, że gromadzisz własne życie za plecami. Ten pistolet pochodzi z bardzo dawnych czasów. Z

bardzo dawnych. Zanim zostałem księgarzem, prowadziłem niejedno życie.

Mówiąc to, Félix zdjął tweedową marynarkę i przewiesił ją przez oparcie krzesła stojącego obok. Na swetrze widniała stara wytarta kabura skórzana, zawieszona na rzemieniach. Ujął pistolet w dłonie i zaczął rozkładać go z dużą wprawą. Manewrował okaleczoną dłonią precyzyjnie niczym szczypcami.

- Niejedno życie? - powtórzyła Lucia szeptem.

Félix westchnął:

- To długa historia.

- Nieważne - odrzekła, nalewając drugą kawę do filiżanek. - Najbardziej na świecie uwielbiam dobre historie.

Wszystko, co dotąd opisałam, przydarzyło się właśnie mnie, ale równie dobrze mogło się przytrafić komuś innemu - zdarza się, że własne wspomnienia wydają się nam samym obce. Nie mam pojęcia, z jakiej niezwyklej substancji utworzona została tożsamość, ale robi wrażenie materii nieciągłej, którą cerujemy siłą woli i pamięci. Kto to jest na przykład ta dziewczynka, którą byłam? Gdzie się podziała, co by pomyślała teraz o mnie, gdyby mnie spotkała?

Moje ciało też się zmienia. Nie wiem już, gdzie przeczytałam, że wszystkie komórki naszego organizmu odnawiają się co siedem lat. Z tego wynika, że nawet coś tak pozornie opornego i trwałego jak kości z czasem traci swoją niezłomność. Od kości skokowej po drobniotkie strzemiączko w uchu - wszystkie kosteczki i kościska z latami ulegają przemianom. Nie ma we mnie niczego, co istniało w Lucii przed dwudziestoma laty. Niczego - prócz usilnego pragnienia, by czuć się nadal tą samą osobą. Właśnie tę wolę bycia biurokraci określają mianem tożsamości, wierzący zaś - mianem duszy. Ja wyobrażam sobie nieszczęsną duszę pod postacią cienia, niedbale uplecionego w ulotną pajęczynę, który przezroczyste palce mocują do rozgrzanych komórek ciała (zwinnych komórek, które błyskawicznie obumierają i rodzą się), byle tylko zachować ciągłość. Podobnie szklanka umieszczona pod odkręconym kranem narzuca cieczy wciąż ten sam kształt, choć zawarta wewnątrz woda składa się z coraz to innych cząsteczek. Z czego wynika, że my, ludzkie istoty, przypominamy na dobrą sprawę ni mniej, ni więcej, tylko przelewające się dzbany. A więc jedynie dzięki troskliwości owej cieniejszej duszy mogę stwierdzić, że to zmienne ciało jest moim ciałem. Co z kolei przynosi ulgę i wiele upraszcza w sytuacji, gdy trzeba pisać w pierwszej osobie.

Po prawdzie to nie jestem jednak ani tą, która była, ani tą, która będzie, ale co najwyżej mgnieniem świadomości w mroku, a właściwie nawet tego nie mogę być pewna, bo

czasami widzę samą siebie jak na dłoni. Na przykład wtedy, gdy razem z Feliksem zastanawialiśmy się, gdzie schować pieniądze Ramona - widziałam siebie z zewnątrz, przed sobą, żywcem ze sceny jakiegoś film noir. oto dyskutowałam o łupie przy stole kuchennym zastawionym filiżankami ze śladami kawy, butelką koniaku i pistoletem, niczym bandytka ze swoim wspólnikiem. Nie wiem, co takiego mają do siebie chwile działania, że często przeżywasz je w izolacji, a ściślej - w jeszcze większej izolacji niż pozostałe momenty życia. Kiedy przydarza się nam wypadek samochodowy, kiedy spadamy ze schodów, kiedy przebywamy ostatnie metry w wyścigu sportowym - to wspominając owe chwile, zawsze odbieramy je jako obrazy obce, wspomnienia innej osoby. A co dopiero mówić o seksie, esencji działania? Czysta schizofrenia: kochając się, spoglądamy na siebie z dystansu, jak na aktorów kiepskiego filmu pornograficznego (czasami, jeśli mamy szczęście, to niezłego filmu).

Nie koniec na tym: bywa, że nie potrafię wyraźnie odróżnić własnego wspomnienia od czegoś, co mi się tylko śniło czy przyszło do głowy, albo wręcz od wspomnienia cudzego, które zostało mi ze swadą zrelacjonowane. Tak jest z ową długą, fascynującą historią, którą Félix zaczął mi opowiadać tamtego wieczoru. Wiem, że nie jestem nim, ale jakoś czuję się częścią jego wspomnień, jakby były moimi własnymi. Wydaje mi się, że sama doświadczyłam przemożnych emocji podczas napadów, ogłuszającego wrzasku publiczności na jakiejś skromnej arenie do korridy, poalkoholowego zdziczenia i przede wszystkim nieuleczalnej rany doznanej na skutek zdrady. Chociaż czasami wydaje mi się, że to wszystko jest ułudą, że jesteśmy pogrążeni w terażniejszym śnie, w którym śnimy jakąś przeszłość. Zatem mnie, Lucii Romero, śni się, że przeżyłam czterdzieści jeden lat poprzedzających obecną wieczność. Może także śni mi się, że pewnego dnia poznałam niejakiego Feliksa Robie, ten zaś opowiedział mi, co śniło się jemu.

Urodziłem się w tysiąc dziewięćset czternastym roku, w którym wybuchła wojna światowa, a cały znany świat rozpadł się na strzępy. I nic już nie było takie jak przedtem - rzekł Félix Robie tego wieczora, kiedy zaczął opowiadać mi swoją historię. - Była to niedobra data na narodziny, fatalny początek. Mimo to, a może właśnie dlatego, moi rodzice dali mi na imię Félix¹. Nie narzekam, choć czasami, kiedy czułem się nieszczęśliwy, odbierałem moje imię jako głos ironii. Mojego brata ochrzczono Víctor². I przegrał prawie na całej linii. Imiona są ważne, o czym rodzice nie zawsze wiedzą. Imiona oddziałują na nas, uwarunkowują nas, zobowiązują. A czasem stają się przekleństwem, od którego nie sposób uciec.

Otóż urodziłem się w roku tysiąc dziewięćset czternastym, ale od dawna uważałem, że

moje życie rozpoczęło się naprawdę w marcu dwudziestego piątego roku, kiedy w meksykańskim porcie Veracruz zszedłem na ląd z pokładu frachtowca czarnego i cuchnącego jak wieloryb. Cokolwiek wydarzyło się przed tamtym dniem, zupełnie mnie nie interesuje, wcześniejszą przeszłość starałem się puścić w niepamięć. Teraz jednak, gdy się starzeję, owe pierwsze lata powracają obsesyjnie i coraz częściej, jak złe sny. Ostatnio nieraz wspominałem mojego ojca, Beniego Robie, znanego CNTystę. Był Andaluzyjczykiem, który wyemigrował na północ, do Barcelony, i tam ja się urodziłem. Z zawodu był drukarzem, zgodnie z tradycją anarchizmu hiszpańskiego. Wiesz, jak anarchizm dotarł do Hiszpanii? Za sprawą Włocha Fanellego, dawnego towarzysza broni Garibaldiego, a następnie gorącego zwolennika Bakunina. Fanelli przybył do Madrytu w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku i sprzymierzył się z dziesięcioma drukarzami. Fanelli mówił tylko po francusku i po włosku, drukarze zaś tylko po hiszpańsku, ale święty duch anarchizmu obdarzył ich darem wymowy, bo koniec końców porozumieli się, albo przynajmniej domyślili nawzajem, o co im chodzi. Pięć lat później w kraju było już pięćdziesiąt tysięcy anarchistów.

1Félix - od łacińskiego felix - szczęśliwy.

2Víctor - od łacińskiego victor - zwycięzca.

Spadkobiercą tej właśnie apostołskiej tradycji drukarzy był między innymi mój ojciec. Zmarł bardzo młodo - mój brat i ja grubo przekroczyliśmy jego granicę wieku. Víctor i ja zawsze pamiętaliśmy ojca, jakby był raczej naszym młodszym bratem, nieszczęsnym beniaminkiem-męczennikiem, i to wspomnienie ciążyło nam jak ołów. Ojciec zginął w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku, podczas strajku w zakładach kolejowych La Canadiense i rozruchów w Barcelonie. Generał policji Martínez Anido i jego podwładny Arlegui wprowadzili tak brutalne represje, że nawet wtedy uznano je za nadużycie. Wykorzystywali rewolwerowców i stosowali tak zwany „dekret o uciekinierach”. W taki sposób zamordowali masę ludzi, strzelając im w plecy. Ojciec padł razem z przywódcą CNTystów, „Chłopakiem z Sucre”.

Potem było jeszcze gorzej. Powiem krótko i bez upiększeń, bo cierpię do dzisiaj na samo wspomnienie: moja matka umarła wskutek gruźlicy, nędzy i głodu. Też była jeszcze młoda, Víctor przyszedł na świat, kiedy rodzice byli niemal dziećmi. Przez całe życie chciałem zapomnieć o latach dzieciństwa. Za bardzo mi się kojarzą z koszmarem i nieszczęściem. Zalutują powieścią społeczną. A ja wolę powieść łotrzykowską, bo łotrzyk to bohater, który przynajmniej dzięki własnej przemyślności umie się bronić przed złym losem. Mimo to wspomnienia dopadły mnie teraz, gdy jestem stary. Niewyraźne, ulotne obrazy. Zwłaszcza obraz matki. Matki stojącej przy otwartym oberlufcie i dyszącej.

Ale, jak już ci mówiłem, naprawdę zacząłem żyć szesnastego marca tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku, gdy razem z bratem Victorem i Gregoriem Joverem zszedłem na ląd w Veracruz. Anarchista Gregorio należał do mitycznej grupy bojowej Solidarni. Atrakcyjny facet, zawsze nienagannie ubrany: trzyczęściowy garnitur, koszula, krawat. Nazywano go „Chińczykiem” ze względu na skośne oczy i wydatne kości policzkowe. Kobiety dosłownie szalały za nim. U Solidarnych to mi się najbardziej spodobało - że kobiety szalały za Gregoriem. On zaś w ogóle nie zwracał na nie uwagi: prawdziwi anarchiści byli wstrzeźliwymi purytanami, prawie kalwinami. Mieli wrogi stosunek do alkoholu i pozostawali wierni swoim towarzyszkom aż do śmierci. Ja, jedenastoletni chłopak, uważałem to za marnotrawstwo. Zawsze przepadałem za babami. Dlatego nigdy nie był ze mnie dobry anarchista i wszystko skończyło się tak, jak się skończyło. Ale to już inna historia. Historia przygnębiająca i smutna. Teraz nie mam ochoty jej wspominać. Wolę wrócić do statku i do Veracruz.

Jak powiedziałem, Solidarni byli purytańscy, w rodzaju misjonarzyateistów, szerzących swoją wiarę ogniem i mieczem. A jednak „Chińczyk” musiał mieć za sobą jakiś bardziej frywolny epizod w życiu, bo pamiętam, jak któregoś dnia, jeszcze na pełnym morzu, zaczął ze mną gawędzić o kobietach, tej wielkiej zagadce ludzkości, i łaskawie pouczył mnie, jak mam tańczyć z dziewczynami. Uważał, że można je ująć w pasie w sposób niezwykle męski: „Musisz dobrze przyłożyć rękę, nie wolno ci zatrzymać się w połowie jej talii. Ramię musi objąć dwie trzecie obwodu pleców, ale i nie więcej, bo wtedy czują się osaczone i mogą się później okazać bardzo chytre. Dwie trzecie to akurat. Następnie otwórz szeroko łapę i przyłóż mocno do jej ciała, nie przyciskaj, ale jednak musisz czuć, jak jej dotykasz całą powierzchnią dłoni i wszystkimi palcami, kapujesz? Żeby dotarło do niej, że jest w twoich rękach”.

Po Joverze pozostało mi wspomnienie tej rady, która na długo napełniła mnie podziwem i wdzięcznością. Jednak poza tym, w sprawach fundamentalnych i kosmologicznych, moimi idolami byli Buenaventura Durruti i mój brat Víctor - w tej kolejności. Jasne, Víctor miał osiemnaście lat, więc łatwiej go było naśladować niż Durrutiego, który grubo przekroczył w tym czasie dwudziestkę i jawił mi się jako pomnik, Wielki Przywódca, Bohater, CzłowiekLegenda.

Otóż Víctor i ja udaliśmy się do Meksyku, żeby przyłączyć się do oddziałów Durrutiego i Ascasa. Właściwie to miał się do nich przyłączyć mój brat, o którego upomniał się Durruti przez pamięć naszego ojca. Ale Víctor nie zgodził się zostawić mnie, nieszczęsnego sieroty, w Barcelonie, więc wsiedliśmy na statek obydwa. Kiedy dopłynęliśmy

do Veracruz, Ascaso wpadł w furię: „Nie sądziłem, że przyjechalibyśmy do Ameryki niańczyć małych kajtków” - wycedził z pogardą. Jego złość była zimna i pełna sarkazmu i wprawiała w tym większe przerażenie, im ton jego głosu brzmiał łagodniej.

Francisco Ascaso i Durruti byli nierozłącznymi przyjaciółmi, a wspólnie z Juanem Garcią Oliverem stali na czele hiszpańskiego anarchizmu. Ludzie nazywali ich „trzema muszkietierami”. To oni utworzyli Solidarnych, podziemne ugrupowanie bojowe zwalczające bojówki na usługach państwa. W owym czasie policyjni mordercy setkami zabijali związkowców z CNT, pałując albo strzelając w plecy, jak mojemu ojcu. Mówiono na to Biały Terror, bo „białymi” nazywano kontrewolucjonistów w Rosji. Epoka niebieskiego jako koloru bestialskiej polityki jeszcze wówczas nie nadeszła. Solidarni z kolei odpowiadali zamachami na policjantów, przedsiębiorców, kapusiów - to już była niemal otwarta wojna. Robotnicy stawiali się do pracy z - bronią w skrzynkach na narzędzia i nie mieli pewności, czy żywi wrócą wieczorem do domu. W kawiarni Español przy barcelońskiej alei Paralelo CNTyści rozdawali ciężkie browningi i zapalczywie dyskutowali, komu nazajutrz wymierzyć sprawiedliwość. Któregoś popołudnia trafiłem do kawiarni Español razem z matką. Nie pamiętam, po co poszliśmy, chyba po jakieś pieniądze, bo po śmierci ojca pomagali nam finansowo, jak mogli - czyli skromnie. Wówczas usłyszałem, że planowali kolejną akcję - twarze mieli rozognione, głosy ochryple, a pistolety kładli wprost na stołach. Jeden z nich, taki z wąsem, dał mi kostkę cukru umoczoną w mleku.

Solidarni przeprowadzili kilka spektakularnych akcji. Zabili na przykład biskupa Saragossy, napadli na siedzibę Banco de España w Gijón, żeby zdobyć fundusze dla CNT. Jasne, byli ludźmi bezwzględny. Ale i czasy, trzeba ci wiedzieć, były bezwzględne. Czasy rozpacz, niewiarygodnej niesprawiedliwości, czasy, gdy ludzie umierali z głodu i nędzy. Czasy oligarchów i ich ofiar. Przekonasz się, że członkowie CNT klepali biedę, jak ci powiem, że chociaż było ich w pewnym momencie milion, to związek stał na granicy bankructwa, w trzydziestym szóstym roku mieli słownie jednego członka na posadzie. Ciężki był wtedy los związkowca anarchisty, ciągle ich wsadzano do więzienia, a organizację delegalizowano. Durruti trzy razy dostawał wyrok śmierci i połowę życia spędził za kratami.

W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku, kiedy przyplłynęliśmy do Veracruz, CNT przechodziła właśnie w kolejny okres działalności podziemnej. To były czasy dyktatury Primo de Riverę, w kiciu siedziało czterdzieści tysięcy anarchistów. Dlatego umarła moja matka - związku nie było stać na utrzymywanie kolejnych pozbawionych środków do życia rodzin. Sytuacja stała się krytyczna do tego stopnia, że Solidarni postanowili przeprowadzić serię napadów w Ameryce, żeby wspomóc kasę CNTystów. Tak więc Durruti i Ascaso udali

się tam z fałszywymi paszportami w grudniu dwudziestego czwartego roku, na frachtowcu holenderskim płynącym na Kubę. Pojechali sami i najpierw zaczęli pracować przy zbiorach trzciny cukrowej w Santa Clara. Ale doszło do strajku w sprawie podwyżki płac, a rządcy zrobili to, co w owym czasie zwykli robić rządcy ze strajkującymi: dorwali trzech chłopów, spałowali ich bez litości i zostawili zmaltretowanych i na wpół żywych. Nazajutrz rano właściciela plantacji znaleziono w domu z przestreloną na wylot głową. Na jego piersi leżała kartka z wypisanymi ołówkiem słowami: „Z wyroku Wędrowców”.

Wtedy właśnie pierwszy raz pojawiło się to słowo. To pomysł Ascasa - uznał, że na czas awantury amerykańskiej Solidarni powinni zmienić nazwę na Wędrowców. Taki był Ascaso, miał pomysły. Ale nie umiałbym ci powiedzieć, czy dobre. Cechowały go żarliwość, niski wzrost i ironia. Nosił się wyzywająco jak paniczyk. Jakby chciał sobie powetować nikczemną posturę i ogólną wątłość. Należał do ludzi, którzy ledwie gdzieś wejdą, a zaraz w pomieszczeniu wyczuwa się wielkie napięcie. Wyobrażałem go sobie, jak był kelnerem i dosłownie płonął z wściekłości, skrepowany uniformem i obowiązkiem usługiwania. Ale może jestem wobec niego niesprawiedliwy - nigdy za nim nie przepadałem, bo od kiedy trafiłem do Veracruz, traktował mnie jak robaka. Ja chciałem być prawdziwym mężczyzną, a on mnie publicznie upokarzał: „No, świetnie, świetnie. Jak nas złapie policja, powiemy temu gnojnikowi, żeby się poryczał. Może to zrobi na nich wrażenie. Mówię serio, Pepe, nie możemy się wozić z takim gówniarzem”.

I nawet nie zwracał się do mnie, tylko do Durrutiego. Nie spojrzął na mnie ani przez chwilę, co mnie normalnie dobiło. Ale wówczas wielki, zarośnięty Buenaventura podszedł do mnie, owszem, popatrzył mi w oczy, jak gdyby mnie mierzył albo ważył, potem położył mi na ramieniu swoją ciężką łapę hutnika i odwrócił się do Ascasa z lekkim uśmiechem: „Masz rację, Paco, jak zwykle masz rację, ale na razie chłopak z nami zostanie, a później się zobaczy”.

I tak zostałem, bo to Durruti miał zawsze ostatnie słowo, chociaż skąpił go, żeby się wydawało, że Ascaso wypowiada więcej słów niż on.

Durruti i Ascaso tworzyli dziwną parę. Buenaventura, na którego najbliżsi wołali Pepe, był atletycznie zbudowanym, zapalczwym olbrzymem, walącym pięścią w stół i huczącym tak, że powietrze drżało, gdy mówił. Postać pełna niewiarygodnej energii - bez wątplenia po części energii zabójczej. Stojąc przed Durrutim, czułaś wyraźnie, że ten facet mógłby cię zabić, jeśliby tylko zechciał: był dostatecznie silny, gwałtowny, skupiony, zdecydowany i dziki. Ale z taką samą pewnością dostrzegałaś, że Durruti nie chce tego zrobić. Później, podczas wojny, ukuto legendę o nieprawdopodobnych ekscesach, jakich

rzekomo się dopuścił. Na przykład, że podpalił katedrę w Leridzie. Kłamstwo - jego kolumna przeszła przez miasto miesiąc przed pożarem, a kiedy tamci piromani, którymi okazali się jacyś anarchiści-maruderzy, dołączyli na froncie do Durrutiego, kazał ich surowo ukarać. Zawsze starał się być sprawiedliwy. Zapalczywy i popędliwy, miał przecież fantastyczne wyczucie umiaru jak na te nieumiarkowane lata, lata wojny, rewolucji i chaosu. Był krwawym bohaterem, bo przyszło mu żyć w krwawych czasach, ale nigdy nie utracił niewinności.

Ascaso był inny. Już ci mówiłem, że wspominam go z urazą, ale wszyscy jesteśmy subiektywni, rzeczywistość istnieje tylko w takim wymiarze, w jakim ją obejmujemy, odczytujemy i modyfikujemy własnym spojrzeniem. Tyle rzeczywistości, ile spojrzeń. A wedle mego spojrzenia Ascaso był zimny, wyniosły, pyszny. Zawsze z tym swoim sardonicznym uśmieszkiem na ustach. Durruti to uczucia, a Ascaso - ideologia. Był intelektualistą ugrupowania, słynnym strategiem. Jasne, facetem wyrafinowanym i inteligentnym. Ale ja się go bałem. Olbrzym Durruti, ogrzniętym głosem, walący piąchami w stoły, nawet w połowie nie napędzał takiego stracha, jak karzeł Ascaso, drobny, spokojny i cichutki. Miał z pięć, sześć lat mniej od Durrutiego i Buenaventura darzył go pełnym podziwem, opiekuńczym uczuciem, jakie zazwyczaj kierujesz do młodszego brata, beniaminka, który okazał się sprytniejszy, bardziej czytany, ale jeszcze musi swoje przeżyć. Dlatego Ascaso mówił dużo i słuchano go z najwyższą uwagą, ale kiedy Durruti wypowiadał jedno słowo, było to słowo decydujące.

Poza tym byli to młodzi, odważni, przystojni zapaleńcy. Najbardziej czytani w tym świecie analfabetów, najnowocześniejsi, najbardziej pomysłowi, awangarda swoich czasów. Trzeba ci było ich widzieć: świetnie skrojone ubrania, fantazyjne kokardki, dobrane chustki wystające z kieszeni. Zgodnie z ostatnią modą. Tak się przebierali, żeby ich strój nie zdradzał, żeby nie można było rozpoznać w nich rewolwerowców. A może odwrotnie, może właśnie chcieli dać się poznać, bo pamiętam, że prawicowe zbiry też się tak nosiły. Jak manekiny. W każdym razie kiedy Solidarni szli ulicą, świat do nich należał. Pamiętam dobrze, bo ja też z nimi szedłem - chociaż byłem tylko kajtkiem, któremu przewracało się we łbie między dorosłymi, również odczuwałem ten zawrót głowy, tę gorączkę. W owym czasie, zwróć uwagę, byliśmy przekonani, że przyszłość jest w naszych rękach, że nasze dzisiejsze czyny to załążek jutra. Wiesz, co zrobili Solidarni z pieniędzmi ukradzionymi z banku w Gijón? To było jeszcze w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku, przed Veracruz. Otóż udali się na emigrację do Paryża, gdzie założyli Księgarnię Międzynarodówki na ulicy Petit pod numerem czternastym. I zaczęli wydawać Encyklopedię anarchizmu. Ponieważ tworzyli

nowy świat i potrzebowali nowych słów, żeby go ponazywać. Całą, absolutnie całą forszę wsadzili w to przedsięwzięcie. „Pistolet i encyklopedia to klucze do wolności” - mawiał Ascaso. Uwielbiał rzucać złote myśli.

Nigdy nie przywłaszczyli sobie choćby jednej pesety z któregoś napadu. Na życie, na jedzenie, na czynsz za swoje liche mieszkania i na lekarstwa dla dzieci wydawali forszę, którą sami zarobili. Na przykład w Paryżu Durruti pracował jako mechanik w warsztatach Renault. Buenaventura zawsze był biedniejszy niż mysz kościelna - połowę czasu spędzał w więzieniu, więc potem nikt nie chciał go zatrudnić, za bardzo dał się poznać jako związkowiec. Często nie było go stać nawet na kawę. Kiedy zabili go w trzydziestym szóstym, cały jego majątek stanowiło ubranie, które miał na sobie, pistolet, zmiana bielizny, okulary i skórzana czapeczka, słynna czapeczka, którą potem ochrzczono „durruti”, wiesz, która. Chociaż nie, pewnie nie wiesz, minęło już tyle czasu.

Ale odbiegam od tematu. Jesteśmy w Veracruz, Durruti postanowił, że zostaję. No i zostałem. Udaliśmy się wszyscy na folwark w Ticomán, żeby przygotować się do akcji. Folwark należał do wdowy po jakimś anarchiście, kobiety słusznej tuszy, która, chociaż mogła mieć najwyżej ze trzydzieści parę lat, wydawała mi się dużo starsza. Pamiętam jej bardzo ciemne włosy i jedną prostą, czarną brew, która dzieliła jej czoło na dwie części niczym wąs. Ale miała przepiękne oczy i najbielsze zęby, jakie w życiu widziałem. Kiedy po zmierzchu uśmiechała się w domowym półmroku, rzuciła nimi blask na ściany. Aczkolwiek bardzo rzadko się uśmiechała. Tylko kiedy spoglądała na Gregoria Jovera. Wówczas rozbłyskiwały jej oczy i ukazywała swoje oślepiające zęby.

Tam spędzaliśmy dni - dorośli, zamknięci w jednym pomieszczeniu, przygotowywali plany, a ja pomagałem wdowie, gnałem wołu do wodopoju, nabierałem wody ze studni, zbierałem pomidory. Wdowa była straszliwym rzeźnikiem: chwytła kurę, kładła jej łusą głowę na pniaczku i zanim stworzenie zdołało mrugnąć, przecinała mu szyję toporkiem. Zarzynała prosiaki, ukłęcała łby królikom, podcinała gardziele bezbronnym jagniętom. Tam nauczyłem się zabijać - uciąłem łeb kaczce. Do dziś pamiętam migotliwą krew, strumień kropel połyskujących w meksykańskim słońcu.

Któregoś dnia bardzo wcześnie rano wszyscy wyjechali z folwarku ogromnym, obdrapanym fordem. Mój brat objął mnie mocno, nim wsiadł do samochodu. Nic nie powiedział, ale wyczułem, że jadą dokonać napadu. Znikli w tumanie kurzu na drodze i zostaliśmy z wdową sami w tym spalonym słońcem folwarku. Wdowa westchnęła hałaśliwie i zarznęła koguta. Nie wiem, po co to zrobiła, wcale go nie zjedliśmy. Podejrzewam, że chodziło o jakiś rytuał pomyślności, pradawną ofiarę, pozostałość z jej azteckiej przeszłości.

Poskutkowało, bo po dwóch dniach wrócili. Przyjechali bardzo zadowoleni - napadli na parę fabryk i przywieźli znaczny łup.

„Poszło bez najmniejszej trudności, nie oddaliśmy jednego strzału” - rozповідаł mój brat. Víctor był bardzo odmieniony, teraz przylizywał sobie włosy do tyłu za pomocą brylantyny jak Jover i błdził wzrokiem na boki jak Ascaso. Czuł się ważny, zasłużył się w szeregach Solidarnych. Był w wyśmienitym humorze, jak i cała reszta - po wszystkich było widać oznaki zadowolenia. Durruti w przypływie euforii sporządził mi listę lektur. Jak przystało na anarchistę, bardzo dbał o moje wykształcenie. A po nocach uczył mnie, jak być działaczem. Nauczyłem się więc, na przykład, jak konstruować bomby z prochu i starych puszek po konserwach. Albo jak patrzeć prosto w oczy człowiekowi, którego ma się zamiar zaatakować.

„Numer polega na tym, żeby nie spuszczać go z oczu ani na chwilę. Musisz wbić w niego wzrok i wpatrywać się, jakby to był szałwik wędkę - tłumaczył Durruti. - Jeżeli nagle do banku, gdzie pracujesz, wchodzi facet, celuje ci w usta z pistoletu i patrzy ci w oczy w ten sposób, zapewniam cię, że ogarnia cię potworny strach i widzisz już tylko czarną dziurę lufy, czarne dziurki jego źrenic i czarną dziurę swojego własnego przerażenia. Dlatego bandyta może spokojnie przyjść choćby z odkrytą głową, bo świadkowie i tak go później nie rozpoznają”.

Nawet Ascaso sprawiał wrażenie łagodniejszego. Zaczął ze mną rozmawiać i nie zaprotestował, kiedy inni przystąpili do omawiania planów na przyszłość w mojej obecności. Ku wielkiej uldze szybko zrozumiałem, że wezmą mnie z sobą, kiedy opuścimy folwark. Nadchodziły lepsze czasy - śmielsze zamachy, dzikie wyprawy, smak niebezpieczeństwa. Byłem niezwykle podniecony, liczyłem dni do odjazdu. Wdowa też, ale robiła to z większą melancholią. Podejrzewam, że podkochiwała się w Gregoriu, ale to mnie nawiedziła w nocy przed pożegnaniem. Spałem jak zwykle na sienniku w kuchni, gdy zbudziło mnie czyjeś muśnięcie, czyjaś obecność. Otworzyłem oczy z przestrawieniem: to była wdowa. Uklękła obok mnie i wpatrywała się we mnie dziwnym, nieodgadnionym wzrokiem. Od stóp po szyję skrywała ją koszula nocna z szorstkiej materii. Gospodyni trzymała w jednej dłoni koślawą świecę, drugą gładziła mnie lekko po głowie. Właśnie ten delikatny dotyk wyrwał mnie ze snu.

„Coś się stało?” - prawie krzyknąłem głosem zaspanym i ochryplym ze strachu.

„Ciii... - odparła, nasilając pieśczoć, jakby uspokajała dziecko. - Ćśśś”.

I położyła się obok mnie na sienniku.

Byliśmy ze sobą do świtu. Ona, która nigdy się nie odzywała, szeptała mi do ucha

niekończące się matczyne czułości: ledwie słyszalne kołysanki, słodkie śpiewki, zbawienne rady.

„Uważajże na siebie, syneczku, maluszkę mój, pilnuj się, niech Panienska cię strzeże, zachowuj się, nie wpadnij w tarapaty”.

W późniejszych latach poznałem kobiety milczące i spokojne, którym łóżko nadspodziewanie rozwiązywało język i przemawiały kwiecistymi słowami. Coś podobnego zdarzyło się tamtej nocy z wdową, ale jej głos brzmiał nie zmysłowo, a swojsko i rodzinnie. Między nami nie było śladu erotyki: wdowa bez męża i dzieci, stojąca na progu wieku średniego, przez kilka godzin widziała we mnie swego własnego potomka, a ja, stęskniony za matką sierota, zapadłem jak urzeczony w jej przepastne ramiona. Tak trwaliśmy aż po świt, wtuleni w siebie, moja brudna, postrzępiona koszula w jej grubą, szeleszczącą szatę nocną, wszystko spowijał zapach chleba i potu, jej dłonie nawykłe do zabijania kogutów, prosiąt i kaczek głaskały mnie delikatnie po głowie, owe wszechwładne dłonie kobiece, które tak samo potrafią zarządzić, nakarmić i uspokoić. Była to niezapomniana noc, bo wtedy dobiegło kresu moje dzieciństwo. Była to noc końca niewinności.

Byłam sama i miałam powody do narzekań. Wprawdzie są tak małe, że nie możemy ich dostrzec, ale niewątpliwie otaczają nas miliardy mikroorganizmów, z którymi dzielimy ten świat. Najwięcej jest roztoczy, drobniotkich pajęczaków, które łażą wszędzie. Widziałam je na powiększonych zdjęciach: mają kuliste korpusy, długie łapy i okropny wygląd jadowitych potworów z kosmosu. Od kiedy przeczytałam, że na każdy centymetr materaca przypada Bóg wie ile setek tysięcy tych paskudztw, co noc kładąc się, słyszę, jak między sobą rozmawiają. Chroboty, trzaski, chrzęst malutkich kroczków. Roztocze nie mają pojęcia, że ich wszechświat zamyka się w zwykłej poduszce. Jak się dobrze zastanowić, nasz wszechświat może też jest tylko poduszką jakiegoś megakolosa. Zważywszy, że świat został dosłownie wypchany istnieniami, nie rozumiem, jak ludzie mogą czuć się samotni pośród tylu owadów, roztoczy, bakterii i innych mikrobów.

Ale właśnie tak się czułam, gdy porwano Ramona - rozpaczliwie samotna, przeraźliwie samotna. Teraz pojęłam, dlaczego dotąd nie rozstałam się z mężem: chociaż Ramón mnie nudził, choć mnie drażnił, ale oddychał i kręcił się po mojej norze, był oparciem jako osobnik tego samego gatunku, był oczami, które mnie widziały, i ufną bliskością na wypadek złych czasów, wobec świata zewnętrznego, pełnego burz, gwałtownych huraganów i kataklizmów. Samotność w tej sytuacji napawała mnie paniką.

I zapewne dlatego pozwoliłam, żeby Félix Roble tak bezceremonialnie wkroczył w moje życie, dlatego dniem i nocą otwierałam mu drzwi mojego domu i mojej codzienności. A

Félix nie dawał się prosić. Jemu też pewnie doskwierała samotność, jak tyłu owdowiałym emerytom. W takich okolicznościach nie ma się co dziwić, że przyłączył się do sprawy bez wahania.

Podobnie stało się z Adrianem. Wtedy, pierwszego dnia, po nieudanym napadzie, nasz młody sąsiad przebudził się z drzemki i przyłapał Feliksa i mnie w kuchni, jak gadaliśmy o Durrutim i oliwiliśmy ogromny pistolet. Chłopak zaskoczony wpatrywał się w broń, wobec czego uznałam za stosowne wprowadzić go w sytuację. Oczywiście nie wypaplałam mu całej prawdy, przemilczałam na przykład, że trzymam dwieście milionów peset w torbie z karmą Suki-Foki.

- Porwali twojego męża? - zdumiał się Adrián, najwyraźniej zaintrygowany. - Coś potwornego. Oczywiście chciałbym ci jakoś pomóc. Absolutnie możesz na mnie liczyć.

Był miłym, raczej milczącym chłopcem. Nie odzywał się za wiele - doszłam do wniosku, że to przez nieśmiałość. W każdym razie zaprosiłam go razem z Feliksem Robie na kolację. Adrián pojawił się z kaktusikiem, niewielką, delikatną roślinką z mikroskopijnym kwiatuszkiem na samym czubku; przyszło mi do głowy, że ta mieszanka kolczastej nieprzystępności i kruchości może być wyrazem jego charakteru. Stary z kolei przyszedł z butelką riojy, której znów nie skosztował ani kropelki.

Była to kapitalna kolacja. O dziwo, bardzo dobrze się z nimi czułam. Jasne, potrzebowałam ich, a zawsze idealizujesz to, czego potrzebujesz. Byli mi potrzebni, bo nie chciałam zostać sama, a poza tym nie znosiłam mojej rodziny ani znajomych - za to ich wścibstwo, za te ich nieustanne wyrazy współczucia, za ich podstępne pytania, za ich paternalizm. Kiedy krewni albo przyjaciele dzwonili do mnie lub kiedy mnie odwiedzali (tak, przez pierwsze parę dni kilka osób wpadało do mnie z niespodziewanymi wizytami), swoim tonem i badawczym wzrokiem zdradzali tak nieznośnie cenzorskie zapędy, że pozbywałam się ich jak najszybciej i chyba niespecjalnie uprzejmie, bo wkrótce przestali się narzucać. Nie wiem, jakiego zachowania spodziewali się po żonie porwanego, ale ewidentnie jakiegoś się spodziewali: może eleganckiego przygnębienia, kontrolowanego niepokoju, czegoś na kształt wdowieństwa in spe.

Natomiast Félix i Adrián niczego nie oczekiwali, żadnego przedstawienia, żadnych odpowiedzi. Narodziła się między nami szybko rosnąca zażyłość, rodzaj błyskawicznego zakumplowania, jakie spotyka się u towarzyszy podróży wakacyjnych albo u mieszkańców dotkniętej powodzią dzielnicy. Porwanie Ramona odegrało w naszym przypadku rolę siły przyciągania, oddziałującej na trójkę rozbitków z Bóg wie jakich odległych katastrof. W końcu żadne z nas nie miało stałej pracy ani konkretnego zajęcia, żadnych zobowiązań

rodziny. Félix pierwszy zaczął spędzać u mnie bite godziny pod byle jakim pretekstem, wkrótce zaś tę codzienność dzielił z nami także Adrián. Biwakowaliśmy w moim mieszkaniu na podobieństwo ludzi obłożonych w obozie, mając nadzieję, że porywacze się ze mną skontaktują; gnaliśmy precz śmiałków, którzy nieopatrznie zapędzili się do moich drzwi, załatwialiśmy zwięzłe tych, którzy dzwonili, kłamaliśmy inspektorowi Garcii, pożeraliśmy pomarańcze i omlety i wysłuchiwaaliśmy odcinkowej opowieści Feliksa o jego życiu. Po upływie dwudziestu czterech godzin tak się już uwielbialiśmy, że zdążyliśmy Adrianowi powiedzieć o czterdziestu milionach peset, które rzekomo trzymałam w puszcze po cukrze. Po dwóch dniach byliśmy sobie bliscy do tego stopnia, że zdradziliśmy mu tajemnicę nie czterdziestu, a dwustu milionów, ukrytych w szafie z ubraniami. Trzeciego dnia, gdy byliśmy już zupełnie nierozłączni, poznał szczegóły worka z karmą Suki-Foki.

- Wiedziałem - odparł Adrián.

- Skąd wiedziałeś?

- No tak, od pierwszego dnia. Wcale nie spałem, słyszałem, jak szepczecie, jak rozważacie różne kryjówki, jak wyciągacie torbę z pokarmem i w ogóle.

- To dlaczegoś nam nie powiedział, tylko pozwalasz, żebyśmy robili z siebie durniów przez cały czas?

- No bo tak. Chciałem się przekonać, czy mi ufacie. „Kto nie boi się prawdy, ten nie musi się bać kłamstwa”. To aforyzm Thomasa Jeffersona. Poza tym byłem pewien, że ta maskarada nie potrwa długo. „Kłamstwo nie dożywa późnej starości”. To powiedział Sofokles.

Czwartego dnia czułam się, jakbyśmy mieszkali razem od zawsze, jakbyśmy żyli w ramach jakiegoś nawiasu, oczekując czegoś nieokreślonego, a przecież nieuchronnego. Rozdzielaliśmy się tylko na czas snu - każdy spał u siebie. Zamykając za nimi drzwi, przekręcałam w obłędzie wszystkie klucze w zamkach, wywalałam do śmieci łupiny po pomarańczach, odbywałam kolejną sesję wieczornych czułości okazywanych brzuchowi Suki-Foki, kładłam się do łóżka, godzinami czytałam tę samą stronicę powieści, bo niepokój uniemożliwiał mi skupienie, a kiedy świtem o żaluzje mojego okna zaczynały łomotać odgłosy codziennej ptasiej wrzawy i zbiorników na gaz do ogrzewania, przetaczanych z hałasem przez sąsiadów - gasiłam światło i zapadałam się w czeluść strachu. Proszę mnie źle nie zrozumieć: mam na myśli nie przerażenie spowodowane losem Ramona ani napaścią rabunkową, ale prywatny lęk, który wszyscy wlecemy za sobą, dół, który kopiesz wokół siebie w miarę dorastania, strach, którym pocisz się kropelka za kropelką, bliski jak twoja własna skóra, paniczną świadomość, że żyjesz i jesteś skazana na śmierć. Któż chociaż raz nie

zagłębił się nocą w tę czeluść strachu, w półśnie tuż przed zupełną utratą kontaktu ze światem. Sen to próba śmierci, dlatego wzbudza lęk.

Miałam kiedyś narzeczonego, który bał się kłaść do łóżka. Miał w mieszkaniu zgrzebne, ascetyczne łoże, w którym kochaliśmy się raz na jakiś czas, ale do spania zawsze wybierał sofę w salonie. Mościł się tam pośród poduszek, na wpół ubrany, kocem przykrywał sobie nogi, jakby nie chodziło o sen, a o sjęstę, jakby nie istniał podział na noce i dni ani upływ czasu, jakby nie istniał głęboki sen, który usuwa cię z powierzchni ziemi, a jedyne, czego można doświadczyć, to lekkie, przyziemne kiwanie głową, jakieś sytuacje przypadkowe i odwracalne. Trzeba istotnie przyznać, że łóżko to niepokojący mebel, gniazdo koszmarów, ostatnie legowisko czy barłóg zwierzęcia, którym jest każde z nas. Większość życia spędzamy, ocierając się o ten grat, w nim pocimy się, chorujemy, zdrowiejemy, śnimy, poczynamy - i w tym unieruchomionym statku z metalu czy desek wreszcie umieramy. Albowiem jest najbardziej prawdopodobne, że umrzemy w łóżku, kto wie, może nawet we własnym łóżku, przeklętym, opanowanym przez roztocze meblu, który odwiedzamy częściej niż jakiegokolwiek inne miejsce na planecie i w którym na razie przeprowadzamy co noc próbę mrocznego końca. Na samą myśl o tym można przecież nabawić się wstrętu do materacy.

Rzecz w tym, że targana niepokojami w związku z porwaniem i strachem moim powszednim nie mogłam w tym okresie zmrużyć oka. A kiedy w końcu nad ranem ogarniał mnie sen, miał ciężar kamienia. Padałam bez zmysłów. Dlatego gdy rankiem piątego dnia rozdzwonił się telefon, dłuższy czas nie byłam w stanie się przebudzić.

- Już, już! - burczałam bez sensu, opleciona nadal pajęczyną snu i niezdolna precyzyjnie wskazać źródła dźwięku.

Z wolna lądowałam na rodzinnej planecie. W domu było zimno, przez okno zagłędało późne zimowe słońce. Ruszyłam boso do telefonu, który nadal piszczął jak wściekła bestia. Już od jakiegoś czasu nie włączałam sekretarki, na wypadek gdyby dzwoniли porywacze. Ze złością podniosłam słuchawkę:

- Co jest?

- Niech pani uważnie słucha. To jest wiadomość od Dumy Robotniczej. Otrzyma pani wskazówki, jak zapłacić okup. Niech pani słucha uważnie: przekażę je tylko raz, więc lepiej, żeby pani niczego nie zapomniała.

To oni. Wreszcie. Senność odeszła w mgnieniu oka, jej miejsce zajął rodzaj otępienia, przypominający film w zwolnionym tempie. Pomyślałam: jestem sama, przez wszystkie te dni miałam towarzystwo, ale akurat teraz jestem sama, co za pech. Pomyślałam: nie dam rady, nie zdołam ich wysłuchać, nie zrozumieć, zapomnę, wszystko poplączę, Ramón zginie z mojej

winy. Pomyślałam: stopy mi lodowacieją, trzeba było założyć kapcie, jeszcze tego brakuje, żebym się teraz przeziębila. To wszystko przeleciało mi przez czaszkę w chwili, gdy mężczyzna robił króciutką pauzę po słowach „nie zapomniła”. Po czym ciągnął:

- Pójdzie pani do domu towarowego Mad & Spender i kupi nowy model walizki Samsonite, najmniejszą z serii, sztywną i czarną. Sprzedawca przyczepi do jej uchwyty torbę firmową sklepu. Niech jej pani nie wyrzuca. Wróci pani do siebie, włoży pieniądze do samsonite'a, a na wierzchu przyklepi pani przezroczystą taśmą paragon ze sklepu. Tego samego popołudnia wróci pani do Mad & Spender, pójdzie do działu walizek i stanie w kolejce do kasy głównej, jakby chciała pani złożyć reklamację. Postawi pani walizkę przy sobie na podłodze i będzie patrzeć przed siebie. Resztą zajmiemy się my. Ma pani być w tej kolejce punkt siódma. I niech pani nie zawiadamia policji, bo nie zobaczy już pani swojego męża.

Tyle. Tamten odwiesił słuchawkę, a ja zaczęłam się trząść. Jaka ma być ta walizka? Jaki rozmiar? O której mam tam być? Musiałam powtórzyć sobie wiadomość kilka razy, wydobywając jej treść z mechanicznej pamięci słuchowej, żeby w końcu jej znaczenie do mnie dotarło. Kiedy już ją sobie utrwaliłam, zanotowałam wszystko na kartce i popędziłam do Feliksa.

- Mmmm. Nalega, żebyś miała paragon i torbę, bo wtedy nikt nie będzie podejrzewał, że samsonite jest kradziony - snuł przypuszczenia sąsiad. - Czyli zamierzają wyjść z Mad & Spender z walizką w ręku, jakby byli klientami tuż po zakupach. Co za bezczelność, co za tupet. Sporej odwagi wymaga paradowanie w ten sposób po domu towarowym. Zanim dojdą do ulicy, przez dłuższy czas będą na widoku. Nie ma co, trzeba przyznać, że mają jaja.

Przedziwne, powiedział to takim tonem, jakby się upajał skutecznością porywaczy, jakby format przeciwnika warunkował jego własną chwałę. krotce potem okazało się, że to nieprawda. Wkrótce potem okazało się, że mimo czołobitnych przypuszczeń Feliksa porywacze w chwili przejmowania okupu absolutnie nie będą widoczni. Był siódmy stycznia. Dokładnie dzień, w którym zaczynają się sławetne obniżki poświęteczne w Mad & Spender, w związku z czym domy towarowe przypominają Sarajewo w najokrutniejszych chwilach wojny. Brutalne masy klientów wdzierały się zewsząd między wieszaki, buszując pośród towarów niczym dzikie zwierzęta. Błdzi i spoceni sprzedawcy - panie z powyrywaniem guzikami bluzek, panowie z węzłami krawatów gdzieś pod uszami - barykadowali się na próżno za kontuarami. Prawie dwie godziny trwało, nim kupiliśmy tę przeklętą walizkę, a przecież ani razu nie bładziliśmy. Wyszliśmy ze sklepu półprzytomni. Wieczór z pewnością zapowiadał się jeszcze gorzej.

Nie wiem, czy zdołam precyzyjnie opowiedzieć, co się stało tamtego wieczoru. Pamiętam jedynie strzępy, jak w malignie. Albo jak urywki koszmaru. Adrenalina sprawia, że postrzegasz wydarzenia w konwulsyjnych, hipnotycznych halucynacjach, wyraźne, ale wyrwane z kontekstu. To narkotyk potężniejszy od haszyszu.

A tego wieczoru wszyscy byliśmy na ostrym adrenalinowym haju.

Zważywszy na tłumy ludzi, postanowiliśmy przybyć na miejsce z godzinnym wyprzedzeniem. O szóstej przekraczaliśmy drzwi domu towarowego, mozolnie taszcząc walizkę, która w tym momencie była już nafaszerowana pieniędzmi i ciążyła nam jak nieboszczyk. Doszliśmy do ryzykownego wniosku - wynikającego z mojego panicznego strachu przed samotną wyprawą do Mad & Spender - że zakaz powiadamiania policji nie wyklucza, by mógł mi towarzyszyć znajomy. Przy okazji każdego porwania pojawiają się pośrednicy z ramienia rodziny, a skoro ja o tym wiedziałam dzięki dziennikom i filmom, to jeszcze lepiej wiedzieli o tym porywacze. W związku z czym Félix był przy mnie cały czas: ufaliśmy, że wiek będzie dlań okolicznością łagodzącą w oczach bandytów. Natomiast Adrián, co uzgodniliśmy po dłuższej dyskusji, miał dyskretnie iść za nami, utrzymując bezpieczny dystans. I rzeczywiście - zachowywał się w sposób tak dyskretny i zdystansowany, że natychmiast po wejściu do domu towarowego straciłam go z oczu.

Dotarliśmy do działu walizek, znajdującego się na piętrze z rzeczami dla mężczyzn. Wprawdzie strefa ta nie należała do najbardziej obleganych części sklepu, mimo to panował tu harmider nie do opisania. Tłuszcza wyła głucho i groźnie na podobieństwo rozwścieczonego morza. Co i raz czyjś łokieć spychał nas z ustalonej trasy na dwa, trzy metry w prawo lub w lewo. Przedzieraliśmy się przez całe piętro, ciągnąc za sobą upiornie ciężki bagaż, co samo w sobie było czynem heroicznym. Łańcuch ludzki tłoczący się do kasy głównej osiągnęliśmy z Feliksem prawie bez tchu. Byliśmy złani potem i roztrzęsieni.

Staliśmy z pół godziny blisko kasy, kryjąc się niepewnie za kolumną, i czekaliśmy, aż nadejdzie dokładnie pora spotkania. Na skutek napięcia nie byliśmy w stanie zamienić słowa. Nie wiem, co robił Félix - nie patrzyłam. Skupiłam się na słuchaniu własnego oddechu i głuchego łomotania w uszach, a tymczasem sekundy wlokły się w żółtym tempie, kawałkując się na jeszcze drobniejsze fragmenty i czepiając się nawzajem swoich pięt jak paralityczne robale. Przyglądałam się twarzom ludzi: starsza kobieta w skórzanym płaszczu, z czołem pokrytym kropelkami potu, młodzieniec o nieprzyjemnym wejrzeniu i w za dużej kurtce, chudy sprzedawca z ospałą miną. Czy któreś z nich jest porywaczem? Może sprzedawca, w końcu dlaczego nie? W tym zamieszaniu spokojnie mógł przyczepić sobie identyfikator do klapy i udawać członka personelu sklepowego. Albo nawet mógł się zatrudnić specjalnie na -

tę okazję: podczas obniżek wielkie domy towarowe często korzystały z pomocy dorywczych pracowników. Jedno było oczywiste: o n i już tu są. Nabrałam pewności, że właśnie mnie obserwują. Kropla zimnego potu spłynęła mi po karku.

I wprawdzie brzmi to jak kłamstwo, ale wszystko na świecie kiedyś się kończy. Nie tylko chwile szczęścia, miłość, namiętny seks, pieniądze i młodość, ale także - co za ulga! - kłótnie, bóle głowy, bezsenne noce i seanse na fotelu dentystycznym. Podobnie dobiegło kresu koszarne oczekiwanie w dziale walizek i nadeszła właściwa pora. Za dwie minuty siódma ruszyliśmy, za trzydzieści sekund siódma znaleźliśmy się na końcu kolejki do kasy głównej. Postawiłam walizkę obok siebie na podłodze i obydwój z Feliksem zaczęliśmy się gapić w inną stronę z wyrazem olimpijskiej niewinności na twarzach.

Po upływie bardzo długiego czasu nie oparłam się pokusie i, spuściwszy wzrok, zerknęłam na zakazane miejsce: do licha, samsonite ciągle tam stał, jak zresztą się obawiałam, bo wokół nie zanotowałam najlżejszego poruszenia. Spojrzałam na zegarek: cztery po siódmej! Jak to możliwe, żeby dopiero minęły cztery minuty?

- A jak nie przyjdą? - bąknęłam zduszonym głosem.

- Przyjdą. W tej chwili okrążają nas i sprawdzają, czy wszystko w porządku. Uspokój się i zamilknij - odparł Félix.

Zamilkłam, ale szczerze mówiąc, wcale się nie uspokoiłam. Co chwila musieliśmy dreptać krok do przodu, bo cała kolejka powoli się przesuwiała. Była poskręcana i najwidoczniej prowokowała do zachowań nieuczciwych. Co i raz przed nami albo za nami wybuchała wrzawa, grupka postaci wszczyniała ostrą sprzeczkę pod hasłem: „Pan tu nie stał”. Poza tym kolejka ciągnęła się tak bardzo, że wciąż przecinały ją inne osoby, torując sobie drogę w poprzek. A ja z Feliksem w całym tym chaosie kopniakami popychaliśmy walizkę do przodu. Czas jednak mijał bez żadnych wydarzeń. Usilnie starałam się patrzeć prosto przed siebie, ale i tak wzrok uciekał mi na bok z tym samym zdenerwowaniem i lękiem, że przyłapię porywaczy, jak w dzieciństwie, gdy budziłam się w środku nocy przed świętem Trzech Króli i ukradkiem zerkałam w nogi łóżka, by sprawdzić, czy Ich Wysokości już były i zostawiły prezenty¹ (przyłapanie Trzech Króli w chwili, kiedy kładą paczki, mogło mieć także oplakane skutki).

Tak minęło dziesięć minut, potem dwadzieścia, potem pół godziny. O siódmej pięćdziesiąt znajdowaliśmy się już w ostatnim odcinku kolejki, tuż przy długiej ladzie ciągnącej się aż do kasy. Przed nami pozostało z siedem, osiem osób. No i dokładnie w tym momencie, po tak długiej, beznadziejnej beczynności, nagle wypadki potoczyły się jeden za drugim. Po pierwsze, Félix, który stał przede mną, naraz osunął się bezwładnie na podłogę.

Pochyliłam się nad nim razem z kilkorgiem innych kolejkowiczów. My, Hiszpanie, lubimy działać w grupie, kiedy ktoś straci przytomność w miejscu publicznym.

1 W Hiszpanii prezenty przynosi nie święty Mikołaj, ale Trzej Królowie 6 stycznia.

- Félix!

- To zawrót głowy - zawyrokował ktoś.

- No, przecież taki tu gorąc - dodała jakaś kobieta.

- I zamieszanie.

- Ale! Mnie też się w głowie kręci. Nie dalej jak minutkę, dwie temu powiedziałam do córki: „Laurita, jeśli natychmiast stąd nie wyjdziemy, padnę jak długa”.

- No, kota można dostać.

- Zwłaszcza w tym wieku, pani spojrz, to dziadek.

- Pewnie, przecież nawet mnie już zawroty biorą, to co dopiero takiego staruszka, sama pani widzi.

Kłęcząc przy Feliksie, uniosłam mu głowę i zaczęłam wachlować twarz kartą gwarancyjną, którą ktoś mi podsunął. Byłam skonsternowana i zła na samą siebie. Oczywiście, że stracił przytomność, a czego ja się spodziewałam? Wskutek żywotności i energii sąsiada zapomniałam, że ma swoje lata. Oj, i to jak bardzo. Jest za stary, żeby mu fundować taką ścieżkę zdrowia. Félix otworzył oczy i popatrzył na mnie oszołomiony, usiłując odzyskać jakiś porządek rzeczywistości.

- Co się stało?

- Nic. Zemdlałeś.

- Przez to gorąco - odezwał się ktoś.

- I zamieszanie.

- A pewnie.

- Wszystko w porządku? - spytałam go.

- Tak - odrzekł nieco przytomniej.

Przekręcił głowę w prawo i zeszywniał.

- Patrz - szepnął zduszonym głosem.

Podążyłam za jego wzrokiem. Jak wspominałam, staliśmy przy dłuższej ladzie. Z naszej obecnej żabiej perspektywy mogłam stwierdzić, że lada przypomina wydłużony regał z dwiema pustymi półkami bez tylnej ścianki. Dzięki temu można było zobaczyć przeciwną stronę. I właśnie zobaczyliśmy - zobaczyliśmy, jak pojawia się tam, na w pół widoczna zza wieszaków i chwilami zasłonięta przez kogoś z tłumu, zasuszona i jak zwykle tępa twarz inspektora José Garcii. Na ułamek sekundy serce mi stanęło, a przez głowę przebiegły

wszystkie stosowne w danym momencie myśli. No pewnie - powiedziałam w duchu - ale kretynka ze mnie, jakże by policja nie miała mnie teraz kontrolować? Przypuszczalnie nawet telefon mają na podsłuchu. Inspektor ewidentnie nas śledzi, tyle że jeszcze nie wie, żeśmy go odkryli. Obecność Garcii oznaczała ryzyko niepowodzenia całej operacji - na pewno będzie się starał zatrzymać porywaczy, co zwiastuje marny los Ramonowi, nie mówiąc już o tym, że przepada dwieście milionów, nie ma co. I jak ja teraz zapłacę okup?

- Co się dzieje? - spytał Adrián, który pojawił się koło nas ni stąd, ni zowąd, najwidoczniej zaniepokojony wypadkiem Feliksa.

- Odwołujemy operację „Okup”! - wybełkotałam z trudem.

I odwróciłam się, by sięgnąć po walizkę. Jeszcze na pół schylona wyciągnęłam dłoń ku rączce pośród tłumu cudzych kolan. Ale rączka poruszyła mi się w palcach. Była miękka, ciepła i wilgotna. Ze zdumieniem stwierdziłam, że trzymam dłoń na czyjejs dłoni, a moje nieprzytomne oczy na dobrą chwilę skrzyżowały się z innymi oczami na tej samej wysokości, równie zaskoczonymi: czarnymi, męskimi i młodymi. Dostrzegłam tylko to, żadnego dodatkowego znaku szczególnego u ich właściciela nie zdołałam zanotować. Porywacz szarpnął mocno i wyrwał mi samsonite'a, aczkolwiek jego triumf okazał się mocno krótkotrwały: sekundę później między nami przemknęła trąba powietrzna, która wydarła walizkę z jego szponów. Trąba nazywała się Adrian. Czarnooki mężczyzna natychmiast zniknął w lesie nóg równie szybko i cicho, jak kamyk w sadzawce. Oniemiała wyprostowałam się, ściskając nadal w dłoni rachunek za walizkę. Pewnie urwałam go podczas krótkiej szamotaniny. Rozejrzałam się. Wokół nie było ani śladu inspektora Garcii, ani śladu porywacza, ani śladu Adriana.

- Zaczekam na ciebie na parkingu, przy samochodzie - rzuciłam w stronę Feliksa.

Półprzytomna popędziłam przez tłum w stronę schodów ruchomych, a potem ku wyjściu. Dobiegałam już do głównych drzwi, kiedy ujrzałam Adriana. Znajdował się kilka metrów przede mną, przy bramce, a drogę zagroził mu korpulentny typek w cywilu, najwidoczniej ochroniarz Mad & Spender.

- Mogę zobaczyć paragon za tę walizkę? - odezwał się goryl z nieudolną galanterią.

Adrián coś tam wybełkotał, postawił walizę na podłodze, starając się nie dać nikomu poznać, ile ona waży, i zaczął przeszukiwać kieszenie. Dopadłam obu panów jednym susem.

- Nie szukaj, ja go mam.

Podsunęłam tamtemu pod nos zmiętoszony papierek. Zlustrował go uważnie, po czym oddał mi z lekkim skinieniem głowy.

- W porządku, dziękuję bardzo.

Adrián chwycił walizkę z udawaną łatwością i wyszliśmy na zewnątrz. Na dworze ruszyliśmy biegiem na parking, ściskając nasz bagaż i nie odzywając się ani słowem. Nikt nas więcej nie zatrzymywał. Dopadłszy gruchota Feliksa, prawie osunęliśmy się na ziemię. Byliśmy spoceni i zziębnięci.

- Dokąd to pędziłeś, młodzieńcze, kiedy cię dogoniłam? - wyrzekłam po dłuższej chwili, gdy już złapałam dech. Mój głos z pewnością nie zabrzmiał przyjaźnie.

- Jak to dokąd? Staralem się uratować forszę, chyba jasne.

- Co masz na myśli, mówiąc „uratować”? - nie ustępowałam.

- O co ci chodzi? - odparł Adrián, unosząc brwi.

Zabrnęliśmy na podobne pozycje: obydwójce zakwestionowaliśmy nawzajem swoje prawa. Przez chwilę zastanawiałam się nad dalszym ciągiem logicznym sporu, nim rzuciłam kolejne pytanie:

- Dlaczego zabrałeś walizkę?

- Jak to dlaczego? Przecież sama powiedziałaś, że odwołujemy akcję.

- Zgadza się.

- Jeżeli sądzisz, że chcę ci podprowadzić te twoje dwieście milionów, to sobie je wsadź, gdzie chcesz.

- Nie obrażaj się. Przepraszam. Mam zamęt w głowie. Zobaczyłam, że lecisz jak oszalały.

- Uznałem, że najlepiej przypilnować pieniędzy i poczekać tu, przy wozie.

Fakt, całkiem logiczne, że spodziewał się nas tu spotkać. Sami przecież teraz tu staliśmy i czekaliśmy na Feliksa. Zerknęłam na Adriana: był wściekły. Bardzo mu było do twarzy z tą wzburzoną miną i wyrazem urażonej godności. Nie wiem, czy wspominałam o tym wcześniej, ale Adrián jest przystojny. Bardzo atrakcyjny. Popatrzyłam w jego ciemnozielone oczy, teraz jeszcze ciemniejsze na skutek ataku złości, i poczułam w żołądku pustkę, muśnięcie mdłości, leciutki zawrót głowy. To szczególne omdlenie, które nas dopada, gdy zbliżamy się do jakiejś przepaści, do czyichś oczu. Westchnęłam. Drzenie ścisnęło mi gardło.

- Przepraszam - powtórzyłam. - Jestem otumaniona.

Adrián rozchmurzył się, spojrzął na mnie i uśmiechnął się. Mogłam niemal wyczuć zapach jego feromonów w chłodnym styczniowym powietrzu. Dzielącą nas przestrzeń zaledwie kilkunastu centymetrów wypełnił nieopisany żar.

- No dobra. Zresztą nieważne. Patrz, idzie Félix. - Adrián przerwał w końcu ten czarowny moment..

Rzeczywiście. Dziadzio lawirował między samochodami, machając dłonią i uśmiechając się w mroku. Znow byliśmy we trójkę. Adrián był młody, dziwny i bezczelny. Często cytował słynne zdania, prawdopodobnie z powodu braku zaufania do własnych słów. I posiadał olbrzymią wiedzę na temat rzeczy absolutnie błahych. Zbierał różne osobliwe informacje z taką samą pasją, z jaką inni kolekcjonują komiksy albo płyty heavymetalowe.

- Wiedziałaś, że król angielski Karol II nosił perukę, którą na jego rozkaz wykonano z włosów łonowych jego kochanek? - mówił na przykład.

Otóż nie, nie wiedziałam i mam wrażenie, że wspomniana informacja nie wzbogaciła mnie szczególnie. Adrián był uparty i szorstki. Miał kocią twarz, a ciało cokolwiek nie przystające do jego niedużej głowy - krzepkie, o muskularnych udach i ramionach, szerokich barach i zapewne grubych kościach. Zawsze podziwiałam mężczyzn gibkich, o małych dupkach, raczej szczupłych niż silnych, a przecież ten dzieciak w skórze tęgiego chłopca wyraźnie mnie pociągał. A istotnie był zeń dzieciak. W sumie mogłabym być jego matką. Zresztą sam to powiedział z perfidną niewinnością w głosie:

- Masz czterdzieści jeden lat? Zabawne. Moja matka skończyła właśnie czterdzieści dwa.

Ja nie widziałam w tym nic zabawnego. Co najwyżej jakąś niepokojącą niedorzeczność, że oto podoba mi się taki szczeniak. Nie jestem małostkowa. W młodości miewałam narzeczonych starszych i młodszych od siebie - ale Adrián był dwadzieścia lat młodszy. Ja farbuję sobie siwe włosy, stosuję kremy ujędrniające na piersi, mam cellulit na pośladkach, a nocą zamykam się na trzy spusty w łazience, bo żeby umyć zęby, muszę je najpierw wyjąć. Mało nieszczęść? Proszę: plamki na wierzchu dłoni, zwiotczała skóra na ramionach, nieznośne zmarszczki na pysku, obwisłe i żałosne policzki. Próbuję przez to powiedzieć, że psychicznie nie czułam się na siłach flirtować z kimś takim jak Adrián.

Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie. Pewnego razu położyłam mu przypadkowo dłoń na piersi, a może nie całkiem przypadkowo, i pod opuszkami palców, za cieniutką warstwą płócienną koszuli, wyczułam ciepłe, sprężyste ciało i aż mnie dreszcz przeszedł. A kiedy on mnie dotykał przypadkowo, a może nie całkiem przypadkowo, na przykład, gdy przechodząc przez drzwi, ocierał się ramieniem o moje plecy, w punkcie naszego kontaktu iskrzył autentyczny ogień. Mimo to zarówno on, jak i ja zachowywaliśmy się w sposób absolutnie opanowany i sumiennie odgrywaliśmy nasze role. On z radością opowiadał mi na zmianę o swojej matce i o dziewczynach, które mu się podobają, ja zaś udzielałam mu porad albo reprimend, jakby był moim dzieckiem. A przecież nie był, bo ja nie mam dzieci. Tam, gdzie matki mają retrospekcje - widzą ciała dziecięce, wypudrowane pupcie, reminiscencje

słodkiego fikania nóżkami w wanience albo pieluch (dokonały cudu, wyhodowały w sobie mężczyzn, a wciąż potrafią dojrzeć w nich dzieciaki) - tam ja widziałam tylko męskie ciało, niepokojące i mocne ciało samca, to zagadkowe coś, co nas dopełnia.

Na dodatek Adrián był nieprzewidywalny i trochę szalony. Miewał wizje, przeczucia, fantazje. Pewnego ranka, na samym początku naszej znajomości, zszedł do mnie na śniadanie. Siedzieliśmy sobie we trójkę, Félix, on i ja, przy stole kuchennym i przeżuwaliliśmy grzanki, gdy nagle Adrián przemówił:

- Coś wam opowiem. No więc dwóch górali wspina się na alpejski szczyt, kiedy...

- To kawał?

- Nie, żaden kawał. Wchodzą na alpejski szczyt, kiedy nagle śnieg się kończy, a ich oczom ukazuje się blok lodu. No i w tym lodzie są zakute dwa nagie trupy, mężczyzny i kobiety. Zaskoczeni górale rozbijają lód i wydobywają trupy na wierzch. Patrzą raz, drugi i naraz jeden ze wspinaczy woła bardzo podniecony: „To Adam i Ewa! Odkryliśmy pierwszą parę ludzi!”. Dlaczego?.

- Co: dlaczego?

- Dlaczego facio jest pewien, że te trupy to Adam i Ewa?

Wzruszyłam ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? A dlaczego?

- Nie, ja też nie wiem. Czasami śnią mi się takie łamigłówki, zagadki. Potem nie daje mi to spokoju przez całe godziny albo i dni, dopóki nie znajdę odpowiedzi. To z Adamem i Ewą przyśniło mi się dziś w nocy.

Adrián nie był geniuszem, ale miał wyjątkowy wdzięk. Jasne, ładni ludzie często uchodzą za wyjątkowych, podczas gdy brzydacy muszą się nieźle napocić, zanim ujawnią swoje przymioty. Urodzie przypisujemy cnoty zupełnie niezwiązane z fizycznością, jak gdyby człowiek piękny ciałem nieodwołalnie był też piękny duszą. Dlatego okimś przystojnym nie mówimy, że jest przystojny, ale mm rozmaite inne rzeczy: jakiż inteligentny, jaki elegancki, jaki stylowy, jaki pogodny, jaki sympatyczny, jaki dobry. A potem okazuje się, że to seryjny morderca, jak ten koleś z Milwaukee, co poćwiartował ze dwudziestu nastolatków, ale za to miał anielski profil, naiwne niebieskie oczy i usta wprost stworzone, by całować niemowlęta. Ileż kobiet musiało do niego wzdychać, ileż sąsiadek marzyło o jego czułości i nadzwyczajnej delikatności, nieświadomych, że dokładnie w tym momencie ów cherubinek w piwnicy obdziera dzieci ze skóry.

Bałam się, że moje zauroczenie Adrianem to ten sam przypadek. Ze zaślepiła mnie jego uroda, że przedwcześnie mu zaufałam. Nie potrafiłam wyrzucić z pamięci obrazu

chłopaka, który porwał walizkę i pomknął jak wiatr ku wyjściu. Właściwie nie miałam bladego pojęcia, kim był ten cały Adrián. Nie dalej jak tydzień temu dosłownie wyłonił się z niebytu. Równie dobrze mógł być złodziejem albo ćpunem. Albo nawet - przyszło mi do głowy - mógł być kompanem tych z Dumy Robotniczej. Przecież wkroczył w moje życie zaraz po porwaniu Ramona, tak czy nie? Félix przynajmniej był moim sąsiadem od zawsze; nie kontaktowaliśmy się, ale znałam go z widzenia. Adrián natomiast wprowadził się na strych (co za zbieg okoliczności) ledwie miesiąc przed zniknięciem mojego męża. A ugrupowania terrorystyczne właśnie tak działają, dzięki poparciu społecznemu i zakamuflowanym bojownikom w cywilu.

Te myśli doprowadziły mnie do takiej obsesji, że zwierzyłam się z nich Feliksowi po powrocie z naszej nieudanej eskapady do domu towarowego.

- Adrián złodziejem? Niiieee, nie sądzę - odparł sąsiad.

- Gdyby chciał nam ukraść dwieście milionów, dawno już by to zrobił. Przypomnij sobie, że wiedział, gdzie je trzymaliśmy.

- Ale zwróć uwagę, że u mnie nigdy nie był sam - odrzekłam, nie dając po sobie poznać, że dosłyszałam pierwszą osobę liczby mnogiej, za której pomocą Félix mentalnie przywłaszczył sobie pieniądze. - Tu byłoby mu dużo trudniej, musiałyby wydobyć z kryjówki banknoty i przechować je gdzie indziej. Nie wiem, chyba prościej było zwinąć walizkę i w zamieszaniu wylecieć z Mad & Spender.

- Bzdury. Gdyby chciał ukraść walizkę w sklepie, po co miałby czekać, aż porywacz i ty chwycicie rączkę? A jeśli należy, jak twierdzisz, do Dumy Robotniczej, to dlaczego próbował sprzątnąć okup własnemu koledze? Rusz głową: gdyby Adrián chciał zwać z milionami, sto razy mógł je zwinąć wcześniej, w sposób dużo bardziej dyskretny i dogodny. Mógłby nas chociażby odurzyć i uspić. Mógłby dorobić klucz i zakraść się po nocy. Albo nawet wykorzystać moment naszej nieuwagi. W sumie nic prostszego. Nie, jestem zdania, że Adrián wybiegł dziś ze sklepu dlatego, że jest nerwowy. Powiedziałaś, że odwołujemy akcję, a on stracił głowę. Zrobił pierwszą rzecz, jaka przyszła mu na myśl, a zaczął ją robić, zanim skończył myśleć. Adrián to fuks, to nowicjusz. Chociaż całkiem nieźle sobie poradził. Nigdy się już nie dowiemy, czy porywacz zdołałby wymknąć się z walizką, ale najprawdopodobniej inspektor García uniemożliwiłby całą akcję. Czyli że interwencja Adriana była czynem zbawiennym.

Słowa Feliksa uspokoiły mnie w dużej mierze, ale nie do końca. Widziałam przecież, jak patrzyli, kiedy wyciągnęliśmy forszę z torby z karmą, widziałam tę nieposkromioną poządliwość, z którą Adrián i Félix wpatrywali się w ułożone rzędkami pakiety banknotów. A

przejęty Adrián wręcz zawołał:

- Co za widok!

Przyjmijmy, że Adrián był grzecznym chłopcem. Przyjmijmy, że nigdy wcześniej nie zamierzał nikomu niczego ukraść. Ale możemy także przyjąć, że był człowiekiem dosyć słabym. Że nie potrafił przezwyciężyć pokusy i dlatego widok namacalnej góry pieniędzy wprowadził go w takie oszołomienie, że uciekł z walizką. Życie to właśnie ciągle lawirowanie między pokusami, a prawość danego człowieka nie zależy wyłącznie od jego cnót, ale w pewnej mierze również od jego fartu. Od tego, jak, kiedy i gdzie cię kuszą. Jestem głęboko przekonana, że w świecie funkcjonuje mniejszość nieuleczalnych złoczyńców, ludzi bezwzględnych, okrutnych i zuchwałych, tkwiących po uszy w występku, a także porządna mniejszość ludzi szlachetnych i dojrzałych, nie tracących godności nawet w najgorszych momentach. A pomiędzy tymi dwiema skrajnościami rozpościera się cała reszta, żywa masa, istoty o dobrych intencjach i słabej woli, normalne, czyli pełne wątpliwości i zagubione - i niegodziwe, o ile środowisko je wypaczy. I tak to, objijając się między dobrem a złem naszej duszy, wytyczamy (albo może zacieramy) własną drogę.

Dobra, może dwieście milionów w gotówce to pokusa nazbyt gwałtowna, zbyt wprost. Być może młody Adrián nie mógł, nie umiał pohamować się wobec takiego bogactwa. Takie myśli tłukły mi się tamtej nocy po głowie, ale nie spowiadałam się Feliksowi ze swoich lęków, bo w nim też mogła zagościć moralna dwuznaczność, on też mógł dać się ponieść żądzy. Przecież w młodości Félix napadał na banki, był zamachowcem i bandytą. Sam mi to opowiedział ze szczegółami w owych pierwszych dniach stycznia, kiedy czekaliśmy na telefon od porywaczy i wcinaliśmy pomarańcze, a ja słuchałam historii jego życia.

Z Meksyku udaliśmy się do Santiago de Chile - ciągnął Félix swoją opowieść. - Wtedy świat był dużo większy niż teraz. Pokonanie drogi z Meksyku do Chile zabierało całe tygodnie, szczególnie gdy jechało się na lewych papierach. Podróżowaliśmy pociągami, statkami, samochodami. Czasem meldowaliśmy się w luksusowych hotelach, innymi razy spaliliśmy w lichych schroniskach. Dawaliśmy (wybacz liczbę mnogą, ja wtedy byłam szczawiem), no więc dawaliśmy połowę zrabowanych pieniędzy miejscowym organizacjom anarchistycznym, żeby zakładały szkoły, pomagały wdowom i kupowały książki, a towarzysze za oceanem uważali nas za bogów. Przeglądałem się w lustrze i mówiłem do siebie: „Uważaj, Félix, nie uroń ani chwili. Należysz do bandy Durrutiego, jesteś w Ameryce, to najlepsze chwile twojego życia”. Po prawdzie to nie zabierali mnie na akcje. Napadli na Chilijski Klub Jeździecki, potem na kasę kolei państwowych, a ja za każdym razem zostawałem w domu i gotowałem. Robiłem za kuchcika i służącą. Ale bez wątplenia dzieliłem

życie z bandą Durrutiego, mój los złączył się z ich losem, a policja mogła wpaść w każdej chwili i nas ukatrupić. Niebezpieczeństwo stanowiło dla mnie bodziec, najlepszą rozrywkę. Młodszym tak trudno pojąć, co to znaczy umrzeć, że własną śmierć traktują jako element życia, jakby można jej było doświadczyć, a następnie opowiedzieć z podnieceniem przyjaciołom: „Macie pojęcie? Było tak niesamowicie i niebezpiecznie, że nawet mnie zabili!”. Cudowne miesiące.

Jednego dnia, szesnastego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku, w środku zimy, zaplanowali bardzo ważną operację. Mieli zrobić napad na bank Matadero, oddział Banco de Chile. Byłem wściekły, że ciągle mnie zostawiają w domu. Jak gdyby nigdy nic nadstawiłem uszu i udało mi się podsłuchać wszystkie szczegóły akcji. Uznałem, że takiej kapitalnej okazji nie wolno mi przegapić. Wybrałem się do Matadero tramwajem, a na miejscu powalęsałem się koło banku. Wkrótce potem przyjechała taksówka, ogromny hudson, którą uprowadzili, grożąc szoferowi pistoletem i każąc się zawieźć na miejsce. Uciekali się do tej metody już wcześniej, i to wielokrotnie. Víctor został w samochodzie, żeby przypilnować taksówkarza, Jover, Ascaso i Durruti zaś weszli do środka. Nie siedzieli tam długo, szybko usłyszałem wystrzały, krzyki, brzęk tłuczonego szkła. Nie wytrzymałem napięcia i wyskoczyłem z ukrycia, zza drzewa, ale zanim zdołałem dotrzeć do taksówki, wszyscy trzej pojawili się biegiem w drzwiach banku, z bronią w ręku i w chustkach na twarzach. Ulica należała do ruchliwych, ale w tym momencie wszyscy przechodnie zamarli w ciszy i obserwowali scenę, nie śmiąc uczynić najlżejszego ruchu. A najlepsze, że właśnie wtedy zepsuł się samochód, chociaż może to tylko taksówkarz nie mógł z nerwów ruszyć. W każdym razie hudson nie zapalił, nieprawdopodobna scena, Durruti i Ascaso wystawiali głowy i browningi przez okna i wrzeszczeli: „Jazda, jazda, już, już!”, a tu - ani centymetra. W banku tymczasem też podniosły się krzyki w rodzaju „pomocy, ratunku, złodzieje!”. Po chwili w drzwiach stanęli dwaj pracownicy, wzywając głośno policję, ale zobaczywszy, że napastnicy wcale nie uciekli, natychmiast umilkli. Durruti i Jover wysiedli i zaczęli pchać samochód. To był stary wóz, wielki i ciężki jak czołg. Víctor dalej trzymał kierownicę na muszce, a Ascaso obserwował zbiegowisko, które w tym czasie urosło już do rozmiarów pokaźnego tłumu. Całe sąsiedztwo miało niezły ubaw, widząc, jak dwóch zamaskowanych złoczyńców dawało z krzyża, pchając tę landarę. Nie mogłem dłużej wytrzymać i podszedłem, żeby wspomóc ich swoimi wątłymi siłami. „Co ty tu robisz?” - ryknął Buenaventura na mój widok, ale nie zdążyłem mu odpowiedzieć, bo moje pojawienie się niespodziewanie podziałało mobilizująco na gapiów. Trzech czy czterech mężczyzn dołączyło do naszej grupy i wspólnymi siłami dostarczyliśmy hudsonowi odpowiedniej

motywacji. Silnik zaskoczył, Buenaventura chwycił mnie swoim łapskiem za kark i wrzucił do taksówki jak królika. Z daleka dobiegał już dźwięk syren policyjnych. Ale udało nam się zmylić pościg.

Nocą odbyło się zebranie analityczne. Mojego brata Victora obarczono winą za to, że pozwolił szoferowi zgasić motor, a mnie dostała się niezła reprimenda za śledzenie kompanów. Ale w głębi duszy byli tak zadowoleni, że gniew szybko im przeszedł. Trafił im się łup, trzydzieści tysięcy pesos. To był pierwszy napad na bank w historii Chile. „Właściwie - powiedział Durruti - powinniśmy być wdzięczni Feliksowi, że przyjechał tam za nami. Żeby nie on, inni by nas nie popchali. Widzisz, Paco? Ten chłopak przynosi nam szczęście. Od kiedy do nas dołączył, wszystko nam się udaje. To nasza maskotka”.

Od tamtej pory Durruti zaczął mówić na mnie „Fortuna” i zostałem już przy tym przydomku. W dodatku pozwolili mi aktywniej uczestniczyć w życiu grupy. Oczywiście dalej zostawałem w domu na czas napadów, ale zlecali mi różne mniejsze zadania. Na przykład to ja zaniósłem pieniądze żonie taksówkarza - hudson został zidentyfikowany przez policję, a kierowca aresztowany. Policja nie dała wiary, że facet jest niewinny; wsadzili go na ładnych parę miesięcy do więzienia, przy okazji niezgorzej przetrzepali mu skórę i powybijali zęby, usiłując wymusić zeznania. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale przypominam sobie, że jego żona miała na imię Engracia. Kobieta szczuplutka od pasa w górę, z zapadniętą piersią i kruchymi kośćmi, za to od pasa w dół gwałtownie przybierała na ciecie, przez co sprawiała wrażenie centaury. Durruti uznał, że taki młodzik nie zwróci niczyjej uwagi, więc poszedłem do niej jako delegat Wędrowców i zaniósłem dwa tysiące pesos. „Mam przyjaciół, którzy są przyjaciółmi pani męża - powiedziałem jej. - To rekompensata za przykrości”. Nauczyłem się tych słów na pamięć. Ona nic nie mówiła, tylko patrzyła i płakała jak bóbr. „To za przykrości” - powtórzyłem, podsuwając kobiecie pieniądze. Spodziewałem się, że zwariuje ze szczęścia na widok dwóch tysięcy pesos, co było kupą forsy. Sądziłem, że będzie na mnie patrzeć z wdzięcznością, uwielbieniem i zdumieniem. Ale nic z tych rzeczy, w jej oczach oprócz hektolitrów łez mogłem dostrzec jedynie wściekłość i pogardę. „Żaden z przyjaciół mojego męża nie ma tyle szmalu - odezwała się wreszcie ochryłym głosem. - Czyli że przysłał go jakiś wróg”. Nie chciałem dalej słuchać, położyłem banknoty na stoliku i poszedłem. Ale długo nie mogłem się uspokoić, byłem naprawdę wzburzony. Ciągłe mam ją przed oczami, drobnutki, filigranowy tułów osadzony jak ptaszek na obfitych poślądkach. To jedyna mroczna chwila w ciągu tych cudownych miesięcy.

*

Po następnych dwóch, trzech napadach w Chile przenieśliśmy się do Buenos Aires.

Stanęliśmy w schludnym, porządnym schronisku, bo Durruti chciał „wyplnąć na powierzchnię”, co miało oznaczać okres życia uczciwego i legalnego, dla zmylenia naszych prześladowców. W owym czasie policje we wszystkich krajach latynoamerykańskich poszukiwały już grupy bandytów i rewolucjonistów z Hiszpanii. Dlatego w Buenos Aires Ascaso najął się jako kucharz w hotelu, Jover jako stolarz artystyczny, mój brat jako chłopiec na posyłki w sklepie spożywczym, a byk Durruti jako doker. Mnie bezceremonialnie posłali do szkoły i nie pozostało mi nic innego, jak się podporządkować, bo w każdą niedzielę Víctor mnie przepytywał. I tak przez parę miesięcy funkcjonowaliśmy jak normalna rodzina, tyle że bez kobiet, za to z pistoletami zaszytymi w materacach.

Ale któregoś dnia, kiedy Víctor, Durruti, Ascaso i ja wracaliśmy tramwajem z centrum, nagle krew dosłownie zastygła mi w żyłach. Tuż nad głowami siedzących Ascasa i Buenaventury wisiał list gończy z ich fotografiami i nazwiskami. Poprzedniego tygodnia jakaś banda napadła na dwa banki w Buenos Aires, i chociaż tym razem to nie my, i tak nam przypisano przestępstwo, więc byliśmy formalnie ścigani. Wypadliśmy w biegu z tramwaju, pognaliśmy do schroniska, nałożyliśmy najlepsze ubrania, ja - sweterek i spodnie pilnego uczniaka, a oni - drogie stroje rewolwerowców-przebierańców. Tak wyelegantowani, z bronią pod pachami, wykupiliśmy bilety pierwszej klasy na pierwszy statek, jaki odpływał do Urugwaju. Chyba muszę tu wyjaśnić, że przed drugą wojną światową świat wyglądał zupełnie inaczej. Między pierwszą klasą a drugą i trzecią był taki dystans, jak między Słońcem a Księżycem. Ludzie rozchodzili się do hermetycznych kabin, tak oddzielonych od siebie, że w ogóle się nie spotykali. Właśnie tę sztywną strukturę hierarchiczną my, anarchiści, staraliśmy się zburzyć naszymi bombami.

Jednak w owej trudnej sytuacji ostre podziały klasowe były nam na rękę, bo policja nie śmiała legitymować wykwinnych pasażerów pierwszej i sprawdzała papiery tylko w klasach gorszych. Dyskryminacja nie była tak głupia, jak się pozornie może wydawać. W owej epoce, jak mówiłem, światy były od siebie bardzo odseparowane, więc robotnika raczej nie można było pomylić z panem: różnili się wyglądem, strojem, sposobem mówienia i zachowaniem. Rzucano się w oczy, że biedak jest głodny od pokoleń, a bogacz zdrowy i wytworny. Dlatego też policja uważała, że tylko w trzeciej klasie, no, najwyżej w drugiej, mogli ukryć się nieokrzesani, kaprawi bandyci - i rewolucjoniści hiszpańscy.

Tak się jednak składało, że niektórzy przywódcy anarchistów byli bardziej odcytani i wyedukowani od wielu burżujów. Dzięki wyglądowi i obejściu Ascaso mógł uchodzić za obmierzłego fircyka. Mój brat Víctor na skutek dobrego odżywiania się w ostatnich miesiącach zmężniał, nabrał siły, a i ubrania miał też coraz lepsze (z czasem zyskał sobie

przezwisko „Modniś”), co zaś się tyczy Jovera, już wspominałem, że był człowiekiem wstrzemięźliwym i o dobrej prezencji. Problemem pozostawał Durruti. Bo Durruti, chociaż też nosił drogie ubranie, to dalej wyglądał jak burak. Miał potworne włosy, gęste jak u goryla i zmierzwione, a ręce, wsiowe łapska, ogromne i pokryte odciskami albo ich pozostałościami. Durruti miał wejrzenie inteligentne, potrafił zachowywać się w sposób zadziwiająco wrażliwy i subtelny, ale wyglądał topornie jak troll i nie miał pojęcia o ogładzie, stałym elemencie konwencji społecznej, którą pogardzał.

Na przykład nie zgadzał się nosić kapelusza, bo uważał, że to pasuje do paniczyków, i zakładał tylko czapkę. Taki upór mógł nas sporo kosztować w czasach, gdy brak kapelusza był widomym znakiem gorszego gatunku ludzkiego.

Z tego powodu omal nie popadliśmy w poważne tarapaty podczas ucieczki. Podróż trwała ledwie parę godzin, ale wypadła dokładnie w porze obiadowej, więc postanowiliśmy pójść do restauracji jak reszta pasażerów pierwszej klasy, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Ale już przy wejściu Durruti zaczął popełniać gafy: nie powiesił czapki jak się należy na kołku przy drzwiach, a kiedy kelner pobiegł za nim, żeby mu zwrócić uwagę, Buenaventura zmiętosił czapkę i wepchnął do kieszeni - ku osłupieniu towarzystwa. To osłupienie nieuchronnie rosło, gdy nasz przyjaciel objawił swoje maniery gastronomiczne. Musisz wiedzieć, że nie zachowywał się przy stole jak wieprz, ale do królowej Wiktorii też było mu daleko: rozłupywał pomarańcze wielgachnymi palcami, odgryzał kęsy chleba prosto z blatu. Zwracaliśmy na siebie coraz większą uwagę, a Ascasa ogarniało potworne zdenerwowanie: „Zdemaskują nas, wszyscy patrzą. Musimy coś wymyślić. Może powiemy, że jesteśmy artystami?” - zaproponował. Durruti nie zrozumiał: „Artysta? Ja? Co, mam zacząć jakoś dziwnie chodzić?”. Czasami z Durrutiego wyłaził zupełny prymityw. I wtedy przyszedł mi do głowy fantastyczny pomysł. Pozwólcie, że się tym trochę pochełpię: ostatecznie miałem tylko jedenaście lat. Od tamtych dni minęło tyle czasu, że to tak, jakbym mówił nie o sobie, ale o kimś innym. No więc młodzik, którym wówczas byłem, zaryzykował: „A może będziecie udawać graczy w pelotę?”. Tak też powiedzieli, że są mistrzami peloty z Hiszpanii, którzy jadą na turniej. Alibi było tak dobre, prawdopodobne i na miejscu, że kiedy poinformowaliśmy o tym kelnera, a on resztę pasażerów na sali, ujrzeliśmy, że wszyscy wokół mają wyraz ulgi na twarzach, kurtuazyjne uśmiechy wykwitają przy kolejnych stolikach i znów da się oddychać. „Dobra robota, Fortuna” - powiedział Ascaso. To był jedyny raz, kiedy Ascaso mi pogratulował, i jedyny, kiedy zwrócił się do mnie po przyzwisku.

Sytuacja w Ameryce stała się tak groźna, że musieliśmy się rozdzielić. Ascaso i Durruti zostali nie pamiętam już gdzie, natomiast Jover, Víctor i ja wróciliśmy do Meksyku.

Tu rządził silną ręką generał Plutarco Elias Calles. Prawie zupełnie rozproszono oddziały rewolucyjne Zapaty i Pancha Villi, anarchiści zaś byli bardzo osłabieni, także konfliktami wewnętrznymi. W tej zatechłej, przygnębiającej atmosferze wegetowaliśmy w lichej chałupie, właściwie szałasie, który oddali nam do użytku i z którego ledwie pozwalali nam wychodzić, żebyśmy nie zwracali uwagi. Drastyczna zmiana po miesiącach swobody i chwały. Bardzo tęskniłem do Durrutiego i pielęgnowałem ideały anarchistyczne. Nigdy później nie czułem w sobie takiego żaru politycznego, jak wtedy. Chyba że na początku wojny. Naszej wojny.

Tak czy owak, tkwiłem tam jak rozbrykany żrebak, pogrążony w apatii na skutek beczynności i kiepskiej sytuacji. Na dokładkę, jakby jeszcze mi było mało, dowiedziałem się okropnej rzeczy: wdowa z Ticomán nie żyła. Idąc naszym śladem, a może dzięki donosowi, policja odnalazła folwark, na którym wcześniej mieszkaliśmy, i wdowa z wielką czarną brwią została zatrzymana. Zmarła w kazamatach policyjnych kilka dni potem, w niewyjaśnionych okolicznościach - najpewniej od pobicia. Przypomniałem sobie tamtą ostatnią noc na folwarku, matczyne zapach jej miękkiego ciała, szorstką tkaninę koszuli. Nie chciałem płakać, bo przecież bardzo wyrosłem; nie chciałem płakać, bo byłem Wędrowcem, rewolucjonistą z oddziału Durrutiego, aczkolwiek jeszcze nieuzbrojonym. Ale tak mnie paliło w sercu i tak ścisnęło w gardle, że musiałem coś zrobić. Żeby więc nie wybuchnąć płaczem, skonstruowałem bombę.

Użyłem w tym celu puszki po konserwie mięsnej, jak uczył mnie Buenaventura, prochu z rozwalonych nabojów, połamanych śrub, pakuła i kawałka fału. Powstała mała, ale pomysłowa bomba (przynajmniej tak mi się wydawało). Robiłem ją po nocach, kiedy Víctor i Jover nie widzieli.

Wreszcie któregoś ranka opuściłem szałas bardzo wcześnie, zanim reszta się obudziła. Mój wyrób trzymałem w kieszeni spodni, koszulę wypuściłem połami na wierzch. Na przedmieściu złapałem małą ciężarówkę i pojechałem pod komendę policji. Nie wiedziałem, w którym komisariacie zmarła moja wdowa, ale uznałem, że atak na kwaterę główną będzie wystarczającą pomstą. Przy wejściu zrobiłem minę zrozpaczonego niewiniątka i wyjaśniłem, że jestem synem emigranta z Hiszpanii, że mieszkamy w nędznych szopach na skraju miasta i że mój ojciec przepadł cztery dni temu, a ja nie wiem, co robić. Łyknęli śpiewkę jak dzieci, pewnie otumanieni nibyanielskim błękitem moich oczu i jasnymi włosami, i wpuścili mnie do dużego, zagraconego holu, gdzie czekał tłum ludzi.

Mój plan sprowadzał się do tego, że miałem cisnąć bombę i uciec, korzystając z zamieszania. Ale wokół było za dużo ludzi, chłopów, staruszek w żałobie, niespokojnych mężczyzn wciśniętych w za ciasne ubrania, cuchnące stęchłym potem i naftaliną. W sumie

niewinne osoby, m które nie zasługiwały na śmierć, poza tym najpewniej wszczęłyby alarm, widząc, jak manipuluję przy urządzeniu. Musiałem je przecież wyjąć, umieścić w jakimś odpowiednim miejscu, wystarczająco blisko celu, bo materiał wybuchowy miał nieduży zasięg, a w dodatku trzeba było podpalić lont zapalniczką i zapobiec, żeby ktokolwiek zdołał go zgasić, zanim dojdzie do eksplozji. Nieprzewidując i głupio wyobrażałem sobie, że jak już znajdę się w budynku, będę mógł się poruszać wewnątrz swobodnie i gdzie chcę. A tu wcale nie. Terroryzm to niełatwe zajęcie, co właśnie sobie uświadomiłem. Minuty mijały, w każdej chwili groziło mi, że wezwie mnie dyżurny biurokrata, żeby zająć się moją sprawą, a moje kłamstwo narazi na niebezpieczeństwo całą naszą bandę. Zaczynałem oblewać się potem z powodu paniki i strachu. Niesamowite, bo w późniejszych latach przeżyłem wiele momentów rozpaczy i ogromnego przerażenia, ale nigdy nie pocilem się jak w owej chwili. Siedziałem na ławce koło innych osób, z rąk kapało mi jak z rynny, na podłodze utworzyły się natychmiast dwie kałuże. Objąłem kolana, żeby to ukryć, i momentalnie zamoczyły mi się spodnie.

Wtedy przyszła mi do głowy zbawienna myśl: pójdę do ubikacji. Woźny pokazał mi korytarz na końcu holu. Ruszyłem tam na trzęsących się nogach. Korytarzyk kończył się w śmierdzącym, przestronnym i zagraconym pomieszczeniu, z kilkoma latrynami przyklejonymi do ściany, każda ledwie skryta za na wpół rozwalonymi drzwiczkami bez zamków. Mężczyźni wchodzili i wychodzili: interesanci w cywilu, ale także umundurowani policjanci. Wlazłem do jednej kabiny, zamknąłem drzwiczki, przytrzymując je dłonią za dolną krawędź. Po lewej miałem mur, po prawej kolejny ustęp. Pod dzielącym nas brudnym przepierzeniem, które nie sięgało podłogi, mogłem dostrzec dziurę latryny oraz stopy i spuszczone spodnie korzystającego. Przesiedziałem tam jakiś czas, dusząc się od odoru i obserwując zmieniające się za ścianką espadryle i popękane buty, aż wreszcie pojawiły się buty służbowe. Bez wątpienia policjant, chwilę później zobaczyłem opadające na podłogę spodnie munduru. W każdej toalecie w głębi stała mała cuchnąca bańka na zużyty papier. Postanowiłem położyć bombę za nią, żeby nikt nie zauważył. Wstrzymałem oddech, pokonałem drżenie rąk i podpaliłem lont zapalniczką, a tymczasem mój sąsiad sapał i jęczał, zajęty swoimi sprawami. Lont zapłonął i zaczął się palić cicho i nieustannie, jak lonty bomb w dowcipach albo nawet lepiej - jak lonty prawdziwych bomb. Wyciągnąłem ostrożnie rękę i położyłem mój materiał za bańką, w kącie bliższym przepierzenia, dwie piędzi od tyłka mojej ofiary. Nie widziałem nawet jego twarzy, ale byłem tak wkurzony, że na samą myśl o jego śmierci zacierałem w duchu ręce.

Ale poszło źle, oj, bardzo źle. W ułamku sekundy wszystko nawaliło. Pospiesznie

opuściłemabinę, gdy tylko mój prezencik spoczął na swoim miejscu. Poruszałem się zwinnie, ale nie biegłem, żeby nie zapaść w pamięć żadnemu świadkowi. Właśnie zmierzałem do wyjścia, kiedy za moimi plecami rozległy się odgłosy: obróciłem się i ujrzałem, jak z drugiej kabiny wylazi mój policjant, podciągając sobie bezczelnie portki. Gorzej, że na jego miejsce wszedł zaraz inny facet, o wyglądzie wieśniaka, w lichej koszuli, zezowaty i z dziobami po ospie na policzkach. Nawet nie zdążyłem pomyśleć, tylko automatycznie popędziłem z powrotem do mojej wciąż pustej latryny, zatrzasnąłem za sobą drzwi, ukląknę na śliskiej podłodze i wyciągnąłem rękę, żeby podnieść bombę i zgasić lont.

Resztę możecie sobie wyobrazić. Nastąpił wybuch, rozszarpało mi dłoń. Od tamtej pory mam rękę w takim stanie, jak widzicie. Przed gorszymi skutkami uchroniło mnie cienkie przepierzenie. Szczerze mówiąc, niczego nie czułem. Pamiętam suchy trzask, uderzenie w plecy. Początkowo myślałem, że po prostu przewróciłem się, że się pośliznąłem. Przypominam sobie, jak siedziałem na otworze ustępu, oparty ramionami o mur. Patrzyłem na okaleczoną dłoń, ale nic mnie nie bolało. Tuż obok, na niezliczonych pokrwawionych drzazgach, leżał zezulec iwbijał we mnie swój nieruchomy wzrok. Wokół było pełno głosów, okrzyków, kręcili się ludzie. Wzięli mnie pod ramiona i popędziliśmy przez pokoje i korytarze. Może zemdlałem. Pamiętam wyraźnie tylko szpital, ale to było później.

Miałem dużo szczęścia. Ten biedaczyna, którego zabiła moja bomba, miał w spodniach maczetę, taką, jaką nosiło przy sobie wielu chłopów. Ale broń podsunęła policjantom podejrzenie, że to on podłożył bombę, że ukrył się w ubikacji, aby ją uruchomić, ale nie miał dostatecznego doświadczenia i cacko eksplodowało. Aresztowano wtedy dwóch Indian, którzy przyszli tam z nim, szwagra i młodszego brata, zaczęto ich torturować, aż w końcu młody wyznał, że owszem, że w klitce, w której mieszkali, zezowaty nocami konstruował bomby w kuchni. Ja zaś, prawdziwy zabójca, zostałem uznany za jego ofiarę. Zawieźli mnie do szpitala i zaopiekowali się w obawie przed reperkusjami dyplomatycznymi. Dwa tygodnie później w szpitalu pojawił się mój brat: towarzysze wyrobili mu nowe dokumenty, a on sam powiedział, że właśnie przyjechał z Wenezueli.

„Jak mógł ci się przytrafić taki idiotyzm? - szepnął oburzony. - Koniec z przygodami. Kuzynka Jovera, która pracuje w owocarni w Madrycie, zgodziła się tobą zająć. Jak tylko wydobrzejesz, wracasz do Hiszpanii”.

Było to upokarzające, ale nie protestowałem. Załamała mnie śmierć zezowatego: nie spałem po nocach, a kiedy udawało mi się zasnąć, budziłem się z krzykiem. Nie chodziło wyłącznie o udrękę spowodowaną zabójstwem, onieruchomy wzrok mojej ofiary, o jego nieszczęsne, stracone życie, ale także o cierpienie pozostałej dwójki, oich niezasłużone

więzienie, o rozpacz żon i wdowy, o te wszystkie głodujące kobiety w czerni, które biedacy zawsze zostawiają za sobą. Moja odpowiedzialność za ich ból doprowadzała mnie do szału, do tego stopnia, że nie chciałem przestać o nich myśleć. Dlatego kiedy mój brat powiedział, że wracam do domu, w głębi duszy uznałem to za sprawiedliwą karę i za szansę na uspokajające oddalenie.

No i oto jestem na statku w drodze powrotnej, okaleczony, od niedawna dwunastoletni chłopak, co zdążył już mieć jedną śmierć na sumieniu. Wyjazd z Meksyku przyniósł mi ulgę: była to konsekwencja, którą ponosiłem za zły uczynek. Pamiętam, że stałem oparty łokciami o barierkę burty transatlantyku i podekscytowany rozmyślałem o przyszłości. W końcu przecież jestem „Fortuna”, mały szczęściarz, nie? Szczęściu zawdzięczam, że zamiast mnie w powietrze wyleciał tamten zezowaty, szczęście kierowało teraz moje kroki do Hiszpanii, gdzie czekało mnie, jak się spodziewałem, życie niezwykle i pełne przygód. Jak przystało na brutalnego, młodocianego egoistę, postanowiłem zapomnieć o wypadkach meksykańskich. To znaczy oczywiście nie w ogóle, tylko o ich nieprzyjemnej części. Byłem wówczas na tyle głupi, by uważać, że można odwrócić się plecami do trupa, ale chlubić się samym bohaterstwem. Bo w dumę wprawiała mnie świadomość, że umiałem skonstruować bombę, że wniosłem ją do komendy policji i uruchomiłem. A już ze szczególną dumą obnosiłem się ze swoim kalectwem: moja zmasakrowana dłoń była czymś w rodzaju orderu dla nieugiętego i zasłużonego anarchisty. My, ludzie, mamy przedziwny stosunek do utraty: wtedy, we wczesnej młodości ubytek trzech palców traktowałem jako faktyczny zysk, bo oto nabawiłem się blizny, chwalebnej rany i przede wszystkim przeszłości, którą mogłem teraz pielęgnować i opowiadać innym.

Z czasem doszło w moim życiu do dwóch nieuchronnych rzeczy. Po pierwsze, ów niewinny zmarły postanowił wcale nie pójść w zapomnienie i stopniowo stawał się moim osobistym zmarłym. Jego ospowata twarz prześladowa mnie do dziś, gdy tylko przymknę oczy, widzę ją wyraźniej niż w młodzięczych latach. Po drugie, docierało do mnie, czym jest utrata. Zresztą jak się tego nie nauczyć, skoro życie właśnie polega na traceniu. Od tamtej chwili, od czasu, gdy miałem dwanaście lat, zacząłem tracić po kolei wszystko. Wzrok, słuch, bystrość, pamięć. Straciłem też wojnę. I Margaritę, moją ukochaną towarzyszkę wieku dojrzałego. „Srebrzyste Rączki”, która stała się moim upadkiem i moim szaleństwem. I brata. Nie chcę dalej mówić. Po jakimś czasie aż trudno wymienić wszystkie straty. Trudno je znieść. Jako dziecko ufamy, że życie polega na gromadzeniu, że z każdym rokiem będziemy zdobywać, wygrywać, zbierać, kumulować. A tymczasem życie to nieubłagane wyzbywanie się. Wtedy wierzyłem, że moja okaleczona dłoń to początek żniw, a naprawdę stała się,

owszem, początkiem, ale niekończącego się upadku. W swojej głupocie sądziłem, że gdy przypadły trzy moje palce, to coś zyskałem, a nie straciłem.

Czasami zastanawiam się, czy Suka-Foka ma świadomość własnej przemijalności. Czy będzie się bać śmierci, tak jak ja. Ma dwanaście lat, co odpowiada osiemdziesięciu czterem latom. A więc jest w podobnym wieku co Félix Robie, aczkolwiek podejrzewam, że ogólnie znajduje się w gorszym stanie. Jest gruba i niemrawa, chwilami zawodzą ją tylne nogi. Na dodatek jest głucha jak pień, a ponieważ nie ma aparatów dla psów, trzeba się z nią porozumiewać za pomocą gestów. Chodź tu, siad, na miejsce, idź do miski - wszystko to muszę jej zakomunikować ruchami rąk. Szerokimi ruchami, bo do tego wszystkiego jeszcze cierpi na kataraktę. Nie wiem, czy w swoim tępym, ptasim mózdku Suka-Foka wie, że umiera, czy ten fatalizm właściwy jest tylko nam, ludziom, egocentrykom opętanym własnym ja, zaprzątniętym swoimi wspomnieniami i swoją przyszłością.

Tak, wiem, że zwierząt nie dotyczy (jak się zakłada) przywilej i przekleństwo samoświadomości. Ale czasem patrzę na Sukę-Fokę i odnoszę wrażenie, że wie o swoim bliskim końcu, że ciemność już ją osacza. W przyrodzie stare zwierzęta wyczuwają własną bezbronność, zdają sobie sprawę, że będą pokonane przez pierwszego konkurenta, pożarte przez pierwszego tygrysa. Sukę-Fokę omijają w życiu złowrogie tygrysy, ale strach jej nie omija. Naprawdę nie istnieje żywe stworzenie, które nie odczuwałoby strachu - można by rzec, że esencją życia jest właśnie lęk.

Otóż Suka-Foka najwyraźniej lęka się opuszczenia. Lęka się, że nie usłyszy, kto idzie, że nie zwęszy tego, kogo kocha. Lęka się, że straci rozeznanie, że nie zapanuje nad sytuacją. Od kiedy jest taka zniedołężniała i otepiała, znacznie częściej lgnie do mnie, żeby się nie zgubić. Zalega w drzwiach, aby każdy, kto wchodzi, musiał natknąć się na jej ciało. Wzdycha z melancholią, bo pies to jedyne zwierzę poza człowiekiem, które potrafi westchnąć.

I kładzie łeb między przednie łapy, i spogląda na mnie oczami smutnej staruszki. Ona też odczuwa utratę, jak powiedziałby Félix, też jest niepokieszona.

Oczywiście apoteozę utraty odczuwałam ją w owych dniach rozłąki z Ramonem. Bo nie dość, że straciłam męża, to jeszcze zaprzepaściłam możliwość wpłacenia okupu i zakończenia całego koszmaru. Nazajutrz po nieudanej akcji w domu towarowym wpadłam w histerię.

- I co teraz będzie? Zrobią krzywdę Ramonowi? Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? - pytałam Feliksa podczas śniadania.

- No, teraz nie mamy wyboru, trzeba czekać - odpowiedział. - Skontaktują się z nami, jestem przekonany.

- Ale porywacze niczego nie rozumieją! - upierałam się coraz bardziej wzburzona. - Przecież nie znają inspektora! A jeśli go rozpoznali, tym gorzej! Będą podejrzewali, że to myśmy zawiadomili policję!

- Spokojnie, kobieto - odrzekł Félix. - Jestem pewien, że nie widzieli Garcii, przecież inaczej nie ośmieliliby się przejąć walizki.

- Jeszcze gorzej! Pomyślałam, żeśmy ich oszukali, że zwariowaliśmy. Zrozum! - jęknęłam. - Dokładnie w momencie, gdy facet chwyta pieniądze - pach! - pojawia się Adrián i jak opętany wyrywa mu walizkę z ręki.

- Wcale nie pojawiłem się jak opętaniec - obruszył się Adrián. - Sam słyszałem, jak mówiłaś, że trzeba przerwać akcję, no to ją przerwałem.

- Tak, tak, tak. Przepraszam - wycofałam się. - Nie zamierzałam cię krytykować. Po prostu jestem, jestem roztrzęsiona! Ale oczywiście masz rację, może gdybyś nie zabrał walizki, policjant zatrzymałby tamtego typka, a wtedy dopiero mielibyśmy się z pyszna.

- Właśnie - wtrącił Félix. - Najlepiej przyjmować życie takim, jakim jest. Bo sprawy stoją, jak stoją, i zawsze może być gorzej. W sumie mieliśmy kupę szczęścia, że García nie aresztował Adriana. Tego ciągle nie rozumiem.

- Pewnie chce nas przyłapać w chwili przekazywania pieniędzy porywaczom. Po to, żeby przymknąć nas wszystkich - przyszło mi do głowy.

- Możliwe, całkiem możliwe. W każdym razie mieliśmy dużo szczęścia. Niewykluczone, że Adrián działał trochę w popłochu, ale jego reakcja...

- Niewykluczone, że działałem w popłochu, ale działałem - uciął Adrián. - Za to ty, stary spryciarz, weteran i doświadczony zamachowiec i w ogóle, rozciągnąłeś się tam na podłodze jak mumia.

- Dobra, wychodzi na to, że wróciliśmy do punktu wyjścia - przerwałam, chcąc zapobiec wiszącej w powietrzu kłótni. - A właściwie to jest gorzej. Bo teraz wiemy, że policja nas obserwuje. Félix, uważasz, że powinnam zadzwonić do Garcii?

Dziadek zamilkł z godnością i nalał sobie kolejną filiżankę kawy z dzbanka, który trzymał na przesadnie dużej wysokości. Zdałam sobie sprawę, że czasem się tak zachowywał - kiedy kwestionowano jego potencjał fizyczny czy umysłowy, kiedy czuł, że wytykają mu sędziwy wiek, wdawał się w szczeniackie popisy, drobne pokazy sprawności i zręczności. Na przykład próbował pokonać trzy stopnie wejściowe jednym skokiem albo usiłował otworzyć zakręcone na amen słoiki z dżemem. Albo, jak w tej chwili, lał strugę kawy z poziomu stratosfery, by udowodnić, że wciąż zachował pewną rękę. Ale wcale nie zachował. Połową płynu zalał spodeczek i zachlapał gors koszuli.

- Tak, chyba powinniśmy zawiadomić policję - odezwał się, nie zaprzatając sobie głowy rozlaną kawą i używając tej swojej okropnej pierwszej osoby liczby mnogiej. - Udawaj niewiniątko. Zobaczymy, co powie. Od wczoraj nie mieliśmy z nim kontaktu, a wypadałoby mieć go na oku. Poza tym może odkryli coś godnego uwagi. Chociaż wątpię.

- A wiesz, jak się robi pętlę szubienicy? - zapytał mnie nagle Adrián z dużym ożywieniem.

- Nie wiem i nie dam grosza, żeby się dowiedzieć - odparłam, nie zwracając zbytniej uwagi na jego słowa, iponownie popatrzyłam na Feliksa. - Racja. Jak się dobrze zastanowić, to dziwne, że dziś nie zadzwonił.

Od czasu zniknięcia Ramona Garcí wydzwaniał co rano.

- No właśnie. Tym bardziej że podejrzewał coś w związku z przekazaniem okupu. Ja na miejscu Garcii, gdybym dowiedział się o akcji płacenia okupu, dzięki podsłuchowi, kapusiowi czy jakkolwiek, zadzwoniłbym natychmiast, żeby wyciągnąć jakieś informacje - rozważał głośno Félix.

Adrián tymczasem zdjął adidasa, położył go, Świnia jedna, na stole obok śniadania i radośnie zajął się wyciąganiem sznurowadła. Nagle olśniło mnie wyraźne przecucie.

- Adrián - odezwałam się szorstko. - Chyba nie wyciągasz sznurowadła, żeby zrobić węzeł szubieniczny, co?

Adrián przerwał manipulację.

- Nie chcesz zobaczyć?

- Pewno że nie! To już szczyt. To... chore. To kretynstwo.

- No dobra, okej.

Zmarszczył czoło naburmuszony i zaczął z powrotem przewlekać sznurowadło przez dziurki.

- Pępek - powiedział w upojeniu Félix.

- Co?

- Ta zagadka, którą wtedy zadałeś. Co ci się przyśniła. Rozwiązaniem jest pępek. Mężczyzna i kobieta uwięzieni w bryle lodu nie mają pępka, stąd wiadomo, że to Adam i Ewa.

- Wiedziałem - mruknął z pogardą Adrián. - Aleś się pospieszył z rozwiązaniem! Ja od razu odgadłem, pierwszego dnia. To beznadziejna zagadka.

- Może i beznadziejna, ale sam ją zadałeś.

- Być staruszką to potworność, ale większa potworność to być starą, upartą zrzędą - burknął Adrián pod nosem.

- Co tam gadasz? - zagniewał się sąsiad, przyłożywszy sobie dłoń do ucha. Oburzało go, jak nie słyszał, co inni mówią. - Może byś tak mówił wyraźniej, bo ani słowa zrozumieć nie można!

Pogrążyliśmy się w tym sporze, kiedy nagle ktoś zadzwonił do drzwi. W domu porwanego każdy dzwonek oznacza palpacje serca. Wszyscy troje wstaliśmy i w strachu ruszyliśmy ku drzwiom. Zerknęłam przez judasza i ujrzałam błyszczącą szopę włosów rudoblond. Trudno się pomylić, widząc tę fryzurę i ten kolor. Otworzyłam. To była moja matka.

- Ależ, mammo! Co ty tu robisz? - krzyknęłam zbита z tropu. Zaofiarowała się, że przyjedzie do Madrytu, ale to było tuż po porwaniu, a mnie udało się wówczas względnie łatwo wybić jej ten pomysł z głowy. Jak widać, nie do końca ją przekonałam.

- Jak to co, córeczko? Przyjechałam ci pomóc, doradzić, dodać otuchy.

- Boże, mammo, doskonale mi pomagałaś, doradzałaś i dodawałaś otuchy, siedząc na Majorce.

- No co też ty opowiadasz?! Za każdym razem natychmiast odkładałaś słuchawkę! Nie odpowiedziałaś na żadne moje pytanie. Jesteś tak samo oschła i niemila jak twój ojciec, córeczko.

Podziałało jak zakłęcie. Bo ledwie wspomniała Kanibala, kiedy prawem jednego z tych nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności, jakie zdarzają się w życiu, na schodach pojawił się właśnie on, niby zziązana, łysiejąca, korpulentna zjawa. Obydwoje spojrzeli na siebie zaskoczeni, by po krótkiej chwili milczenia powitać się z niechęcią w głosach:

- Cześć, mamusiu.

- Cześć, tatusiu.

Porażające, że ciągle mówili do siebie „mamusiu” i „tatusiu”, zważywszy, że od dziesięciu lat, od kiedy są w separacji, właściwie prawie się nie widują.

- Co tu robisz? - spytała mama, przejmując natychmiast punkt dowodzenia.

- Właśnie, co tu robisz? - wtrąciłam się szybko.

- Jak to, co robię? Wracam z podróży. A ty jesteś moją córką. Co prędzej spiesz tu, żeby ci jakoś pomóc - odparł OjciecKanibal z urazą w głosie. Był niezwykle przekonujący: zraniona godność należała do tych emocji, które najlepiej odgrywał na scenie.

Naturalnie musiałam ich wpuścić, zaparzyć następną kawę i, uciekając się do najbardziej subtelnych wybiegów, przekonać ich, że dobrze by było, gdyby się wynieśli.

- Dziękuję wam obydwójgu z całego serca, że zechcieliście przyjechać, ale jeżeli tu zostanieie, będę się przejmować i martwić o was, a to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję.

- Nie chcemy, żebyś się o nas martwiła, chcemy się tylko tobą zająć.

Zająć się. Właśnie teraz. Po całym okresie dzieciństwa, kiedy mnie zaniedbywali. Nie macie pojęcia, co to znaczy mieć rodziców artystów. Choć może problem zasadzał się nie na tym, że byli artystami, ale że byli sobą. Wiedziałam, że nie przyjechali wcześniej, bo każde z nich chciało spędzić okres świąteczny zgodnie z planem. Mój Ojciec Kanibal był na wakacjach w Rzymie. Moja matka spędzała Trzech Króli z przyjaciółmi. Dlatego teraz zwalili się w tym samym momencie, chcąc mi poświęcić trochę swojego wolnego czasu.

Wreszcie, także dzięki wymownej pomocy Feliksa i Adriana, którzy przysięgli, że będą się mną opiekować bez przerwy, udało mi się ich przekonać, żeby sobie pojechali: mama do mieszkania przyjaciółki, a potem na Majorkę, Kanibal do swojego domu pod Madrytem.

- Ale zadzwoń zaraz, jak tylko będziesz czegoś potrzebować.

- No jasne.

Zgodziłam się zjeść z nimi kolację, oczywiście z każdym innego dnia. Żeby mnie dodatkowo pognębić, zawsze upominali się o mnie osobno. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że dzieci rozwiedzionych rodziców muszą spełniać swoje obowiązki rodzinne w dwójnasób.

W końcu po trzech godzinach zdołałam delikatnie posłać ich schodami w dół. Odeszli, klóćąc się, a ja poczułam, że jestem nieprzytomna.

Jakże bardzo chciałam paść na łóżko, nakryć głowę poduchą i spokojnie wyzionąć ducha albo przynajmniej dłużej pospać, ale Félix i Adrián mi nie pozwolili. Zaczęłam się zastanawiać, jak żyli, zanim mnie poznali, zanim dali się wciągnąć w sprawę porwania. Właśnie zaczęli przygotowywać spaghetti na obiad. Nie wiem, jakim cudem, ale połowę czasu spędzaliśmy ostatnio przy stole kuchennym.

Już mieliśmy zasiąść do posiłku, kiedy znowu ktoś zadzwonił do drzwi. Kolejny nieoczekiwany gość: inspektor García.

- Panie inspektorze, co za niespodzianka! Właśnie miałam przed południem dzwonić do pana, ale przyjechali moi rodzice i...

Wszedł, nie czekając, aż go zaproszę, i nie dając mi skończyć zdania. Zamknęłam drzwi i poszłam za nim. García zlustrował szybko salon i podniósł dwie poduszki z sofy, jakbyśmy trzymali Ramona ukrytego gdzieś pod tapicerką. A może rozglądał się za pieniędzmi? Z ulgą przypominałam sobie, że miliony leżały na powrót bezpieczne w torbie z karmą Suki Foki. Zaczęłam się niecierpliwie.

- Szuka pan czegoś?

Inspektor posłał mi krzywy uśmiech z czeluści swoich warg. Czy ten odrażający typ

jest żonaty? Ciekawe, czy ma jakąś kochającą lub zniechęconą żonę, która czeka na niego w domu? Żonę, która kiedyś była narzeczoną i pragnęła (choć wydaje się to nie do przyjęcia) pokonać ciasny przesmyk utworzony przez nos i podbródek policjanta, żeby wreszcie, z niewyobrażalnie upojnym trudem, odcisnąć pocałunek na tych odległych ustach.

- A dlaczego? - zapytał Garcia.

- Jak to, mam wrażenie, że szpera pan tu pod poduszkami.

- Pytam, dlaczego chciała pani rano do mnie zadzwonić.

- Aha! No, czy ma pan jakieś wieści. Od paru dni nie byliśmy w kontakcie.

Weszliśmy, jakże by inaczej, do kuchni i zasiedliśmy we czwórkę na czterech krzesłach wokół dopiero co nakrytego stołu.

- Szykowaliście państwo obiad - zauważył Garcia bezbarwnym głosem.

- No, tak.

- Spaghetti. Lubię spaghetti - dodał tak samo nijako.

Zapadła chwila ciszy. Zasadniczo niełatwo mi się zdobyć na bezczelność, ale nie potrafiłam znieść myśli, że oto mam jeść, siedząc naprzeciwko tego szpicla. Dlatego odparłam tonem ochrypłym i nieco nienaturalnym:

- My też.

Nowa cisza. Garcia westchnął, z czymś, co mogło uchodzić za głębokie przejęcie, następnie wyłamał palce w stawach, aż strzeliły, i odchrząknął.

- Dobrze. Zapytam tylko raz. Miała pani wiadomości od porywaczy?

- Nie.

- Rozumiem. Ja pytam. Pani zaprzecza. Taka gra. Ja prowadzę dochodzenie. Pani dogaduje się za moimi plecami. Jak wszyscy.

- Wcale się nie dogaduję.

- Niech pani nie udaje głupiej i nie odpowiada na pytanie, którego nie zadałem. Po co niepotrzebnie kłamać? Widać, że nie ma pani doświadczenia jako osoba bliska porwanemu.

- Jasne, że nie. A pan ma doświadczenie jako policjant? To znaczy robi pan coś, szuka, pracuje, czy tylko zagląda mi pod poduszki? - odparłam gniewnie. Garcia miał dar wyprowadzania mnie z równowagi.

- Bardzo zdenerwowana. Jest pani bardzo zdenerwowana, jak wszystkie żony porwanych. No więc, tak, pracujemy. I dowiadujemy się tego i owego. Po pierwsze, wiemy, że żyje.

- A skąd pan to wie?

- Tajemnica służbowa. Po drugie, Duma Robotnicza. Duma Robotnicza to maleńkie

lewackie ugrupowanie polityczne o maoistowskich korzeniach. Utworzyli partyzantkę miejską opartą na założeniach taktycznych peruwiańskiego Świetlistego Szlaku. Podejrzewamy, że to ci sami, co porwali kilka miesięcy temu wysokiego funkcjonariusza władz regionalnych Walencji. Grupa nieliczna, ale bardzo niebezpieczna. I skuteczna. Dotrzymują słowa.

Zadrżałam.

- Czyli?

- Czyli. Ja prowadzę dochodzenie. Pani się dogaduje i płaci. Ja nic o tym nie wiem. Pani da mi znać, jak pan Iruña znajdzie się na wolności. Tak się sprawy mają. Obawiam się, że spaghetti państwu wystygnie.

Dużo bardziej ostygły nam nastroje. Po odejściu inspektora tylko Adrián zdołał pochłonąć z przysłowiowym wilczym apetytem swoją michę posklejanego makaronu. Félix i ja usiłowaliśmy dociec, jaki był powód odwiedzin Garcii.

- Może niczego nie chce. Może wpadł tylko powiedzieć, co wie, i uczciwie doradzić, żebyśmy jednak zapłacili - podsunęłam.

- Nie, nie, nie. To by było za proste. Rzeczywiście pewnie chce, żebyśmy dali okup, ale po to, żeby wystawić nas na wabia. Chyba usiłuje złapać porywaczy w chwili przejmowania pieniędzy i co nieco przy okazji skubnąć. Guzik go obchodzi, co ci fanatycy zamierzają zrobić z twoim mężem.

I w tym momencie - co za złowieszczy dzień! - znowu rozległ się dzwonek u drzwi, jak w zagmatwanym wodewilu, tyle że o ponurej treści. Tym razem przyszedł dozorca. Podobno kiedy byłam poza domem w porze obiadowej, w stróżówce zostawiono dla mnie przesyłkę. Małą paczuszkę, jak ćwierć pudełka na buty. Nadawcą było wydawnictwo Pstroszki, Ślicznej Kokoszki. Rozerwałam szary papier z nadzieją, że wewnątrz znajdę miły znak od wydawcy, czuły drobny upominek. W środku było ładne tekturowe pudełeczko w kwiatki. W pudełeczku masa pogniecionych bibułek. A w bibułkach leżał, skulony w białym szeleszczącym gniazdku, odcięty palec. Mały palec lewej dłoni Ramona.

Rozpoznałam ten palec natychmiast. Nie można przeżyć dziesięciu lat z mężczyzną, nie wiedząc, jak wyglądają jego palce czy włoski wystające mu z uszu, jak pachną jego pachy. Wszystkie te intymne rzeczy, które poznajesz u drugiej osoby i w końcu znasz tak dobrze jak własne. Palec Ramona był długi i ładnie ukształtowany: mój mąż zawsze miał piękne dłonie. Paznokieć był kwadratowy i estetycznie obcięty (nawet w takiej sytuacji - byłam pełna podziwu), a na pierwszym członie palca widniała kępka włosków. Miejsce ucięcia robiło porządne wrażenie, bez strzępków skóry albo ścięgien, bez odłamków kości.

Czysto, jakby mu go obcięto siekierką - a może gwałtowny cios siekiery zmiażdżył lub naruszył więcej ciała? Niewykluczone również, że posłużyli się nożem do wędlin. Rozważałam w myślach te możliwości, po czym poszłam zwymiotować. A potem płakałam całe popołudnie.

Palec Ramona. Biedny paluszek, taki samotny, blady i nieżywy, pozbawiony krwi i uczucia. Biedny Ramón, cierpiący horror, ból i okaleczenie. Z moją głową nie było najlepiej, błyskały w niej setki noży. Palec Ramona. Podawałam temu palcowi dłoń, kiedy był żywy, ruchliwy, nieodłączny od reszty Ramonowego kontynentu. Czułam, jak ten palec rusza się we wnętrzu mojej dłoni, ciepły i spocony latem, chłodny zimą, ale z pewnością nigdy tak bardzo chłodny jak w tej chwili. Ten palec zwykł głaskać mnie po głowie, podsuwał mi gazetę przy śniadaniu, musiał też być kiedyś wewnątrz mnie: przez dziesięć lat pożycia starcza czasu dla każdego palca, nawet jeśli jest to pożycie raczej gasnące. A teraz ów kawałek człowieka stał się organicznym odpadkiem.

- Akt bestialstwa, akt przerażający, niewątpliwie. Ale jednocześnie zapewniam cię, że w takich przypadkach więcej cierpisz z powodu wyobraźni niż przez sam fakt.

- Félix usiłował mnie wyrwać z napadu przerażenia. - Teraz na tysiące sposobów i po tysiąckroć przeżywasz sam moment amputacji, a dla niego on się już dawno skończył. Przypominam ci, że sam straciłem trzy palce i też nie było to traumatyczne przeżycie.

- Ale przecież mówiłeś, że dla ciebie to nie była żadna strata. Nie ma w ogóle porównania. Biedny mój, musiał się nacierpieć...

Ramón stracił palec, ja straciłam Ramona, i to dużo wcześniej, zanim go porwali. Straciłam go w sobie samej, razem z własną młodością, zębami, ambicjami literackimi, zdolnością doświadczania życia, ochotą do zakochania się, moją cielesną kobiecością i tyłoma doniosłymi, podstawowymi sprawami, o których nawet nie chce mi się myśleć. Félix miał rację: żyć to to samo, co tracić. Wszystko się kończy, wszystko popada w ruinę.

Na przykład moi rodzice. Kiedy byli u mnie, zdążyli poruszyć tysiące tematów, jak zwykle konkurując ze sobą, które jest bardziej wygadane. W pewnej chwili zaczęli mi opowiadać dziwną historię, jaką usłyszeli przed laty od zaprzyjaźnionego dentysty. Primadonną w tej arii była moja matka.

- Wszystko to się wydarzyło, kiedy doktor Tobias otworzył nowy gabinet. Któregoś dnia przyszedł do niego starszy pan z żoną i poprosił, żeby zajął się jej zębami - tłumaczyła matka.

- Drogie i długie leczenie - dodał Kanibal.

- A tym facetem był Marrasate, wiesz, Zakłady Wędliniarskie Marrasate, bogaty gość.

- Nadziany - podkreślił ojciec.

- I, rozumiesz, doktor Tobias przygotował mu kosztorys, żeby tamten podpisał, zawsze tak robi, ale Marrasate na to, że jest wystarczająco bogaty, żeby nie podpisywać wstępnych kosztorysów. Cwaniak, co nie? A Tobiasowi głupio było nalegać.

- Gdzie by tam śmiał.

- Więc zrobił jej zęby, skończył robotę i wysłał milionerowi rachunek. A tu mija pół miesiąca i nic, żadnej odpowiedzi. Któregoś popołudnia doktor Tobias zaszedł do domu Marrasatego, który, tak się złożyło, mieszkał niedaleko gabinetu.

- Dosłownie brama obok.

- A tu stróż mu mówi, że ich nie ma, bo w pośpiechu pojechali do Barcelony, pani się bardzo źle poczuła. No, doktor Tobias uspokojony wraca do siebie, do swoich zajęć. Mija może z miesiąc i pewnego dnia pod wieczór dzwonek do drzwi gabinetu, okazuje się, że to kurier, który wręcza pomocnicy przesyłkę.

- Małą paczuszkę.

Kanibal punktował opowieść matki swoimi przypisami, nie przerywając ani nawet nie hamując jej toku, matce zaś te wtręty wyraźnie odpowiadały, bo nie stanowiły zamachu na jej prawo głosu ani pierwszeństwo w rozmowie, wręcz przeciwnie - uzupełniały harmonię, kształtowały wizerunek pary, która przemawia jednogłośnie. Nic lepiej nie ilustruje zażyłości, lat wspólnego życia, jak to nieświadome, automatyczne mówienie w duecie, wzajemny rykoszet myśli i słów. Małeńskie obcowanie zaciera granice istot. Po latach, po wielu latach okazuje się, że wszystko przeżyłaś z drugą osobą, opowiedziałaś jej to nieskończoną ilość razy albo sama wysłuchałaś ponad miarę. Dlatego nie ma takiego słowa, któremu nie odpowiedziałoby echo.

- No więc otwierają paczuszkę... i jak myślisz, co jest w środku? Zęby tej żony, czyli sztuczne mostki. Bo babka umarła i mężulo wybił jej zęby, żeby je odesłać dentyście i nie zapłacić. W dodatku, masz pojęcie, to były stałe mostki, takie zamocowane na trwałe, czyli żeby je wydobyć, musiał je normalnie wybić, wałąc w szczękę nieboszczki.

- Młotkiem.

Moi rodzice żyli razem ponad trzydzieści lat i nie dość, że ciągle mówili do siebie „mamusiu” i „tatusiu”, to - o zgrozo! - zachowali to echo małżeńskie, te zwyczajowo wtrącane, doczepiane słówka. Cała pieczołowicie tworzona konstrukcja związku dwojga ludzi, powstająca mozolnie i powoli jak stalaktyt, wreszcie w którymś momencie się rozpadła. Rodzice rozeszli się ponad dziesięć lat temu. W przeszłość odeszły narzeczeńskie zauroczenie, nuda dojrzałości i beznadzieja ostatnich lat. Wszystko przepadło. Po trzydziestu

latach współżycia teraz pozostał im tylko automatyzm opowieści w duecie.

Czasami, idąc ulicą, zastanawiam się nad katalogiem porażek każdego przechodnia, którego mijam. Kiedy i w jaki sposób wszyscy potracili to, co każdy z nas traci. Na przykład ten mężczyzna w garniturze - bardzo rozpaczał, kiedy stracił owłosienie? Po jakim czasie przestało go szokować własne poranne odbicie w lustrze, kiedy zaakceptował swoją gładką czaszkę? Czy miewa do dziś napady melancholii, gdy widzi swoje stare zdjęcia, kiedy jego głowa dumnie nosiła wszystkie włosy i pełna była wszystkich wspaniałych, młodzieńczych perspektyw? A tamta tęga, stara, rozlazła baba? Jak zdołała oswoić się z faktem, że stała się niewidzialna, że znikła na zawsze z męskiego pola widzenia? A teraz ten autobus: ilu z jego pasażerów utraciło już rodziców? Jak każdy z nich to przeżył, jak opłakał stratę i o niej zapomniał? A wydawanie córki za męża, a zerwanie z kochankiem, a porzucenie pracy, a pójście na emeryturę? Niedawno dostałam ulotkę reklamującą ubezpieczenia na życie. Była tam tabelka skrupulatnie wyszczególniająca straszliwe ubytki i ich wycenę. Całkowita utrata zdolności poruszania prawym ramieniem - trzy miliony peset, lewym - dwa. Usunięcie dolnej szczęki - trzy miliony. Częściowa amputacja stopy ze wszystkimi palcami - cztery miliony. Lista ciągnęła się w nieskończoność z zimną, statystyczną obojętnością, jakby można było zredukować do jednej poziomej rubryczki cały ból, dygot, złamane życie, czyli to, co naprawdę kryje się za tymi katastrofami. Utrata trzech palców dłoni (poza kciukiem i wskazującym)

- dwa i pół miliona. Tyle dostałby Félix. Utrata środkowego, serdecznego albo małego - milion. Tylu mógłby się domagać mój mąż. A przecież towarzystwo ubezpieczeniowe nie umieściło w tabeli pozycji najważniejszych. Na przykład nie wspomniało o utracie dobrej samooceny, choć to przecież dolegliwość bardzo ciężka i bardzo częsta. Nic tam też nie było o zębach wyrwanych z korzeniami na skutek zderzenia z ciężarówką. Moja okaleczona szczęka nie zaznała przywileju wyceny.

Strata, każda strata to aperitif przed śmiercią. Strata nie mieści nam się w głowie, podobnie jak nie mieści się wizja naszego własnego końca. Nikt nie jest przygotowany na to, że coś straci.

- Nie byłam na to przygotowana - powiedziała do mnie kilka lat temu jakaś kobieta w poczekalni u dentysty.

Bo po wypadku i wypisaniu ze szpitala musiałam przez wiele miesięcy chodzić do dentysty, żeby naprawić nienaprawialne: usunąć pozostałe korzenie, zaszyć dziąsła, załatać szczękę. I podczas jednej z rozlicznych wizyt spotkałam w poczekalni ową kobietę. Miała koło trzydziestki i nie była brzydka - ale łysa, kompletnie łysa.

- Nie byłam na to przygotowana - wyjaśniła słabym głosem, pokazując na swoją świecącą czaszkę. - W życiu, czy to w dzieciństwie, czy w młodości, czy nawet potem, nie przyszło mi do głowy, że mogę zostać bez jednego włoska. Ale stało się i to jest nie do zniesienia. Moja pamięć dzieli się na przedtem i potem: przedtem byłam sobą, a potem stałam się jakąś nieznajomą. Posłali mnie do dentysty, żeby stwierdził, czy jest jakikolwiek związek między stanem moich zębów a stanem moich włosów. Ale ja wiem, że to bez sensu, że już jestem nie do odratowania. Zgubiłam więcej niż włosy: zgubiłam samą siebie. I to w połowie życia. Tak jak ludzie gubią się w lesie.

To były słowa tamtej kobiety, a ja odnalazłam się w nich do tego stopnia, że zareagowałam w sposób nieoczekiwany i absurdalny: wyjęłam z ust swoje tymczasowe zęby z żywicy i rzuciłam je w powietrze, pod sufit pomieszczenia, jak kuglarka. I dłuższą chwilę obydwie, łysa i bezzębna, śmiałyśmy się do łez, zjednoczone tą ulotną chwilką.

Wszystko przepada prędzej czy później, aż do utraty ostatecznej. Nawet Suka-Foka straciła wzrok i słuch i nie potrafi biegać: teraz goni koty tylko we śnie. Ramón stracił palec. A ja straciłam Ramona.

- Ale to nieprawda. Życie to nie tylko utrata. Życie to także podróż. Zostawiasz jedne sprawy, znajdujesz inne. „Życie jest cudowne, jeśli się go nie boimy”, jak powiedział Charles Chaplin - rzekł Adrián.

Działo się to w nocy, kilka godzin po otrzymaniu przesyłki z amputowanym palcem mojego męża. Zdażyłam już połknąć valium i leżałam w łóżku, w chińskiej piżamie, Félix w kuchni robił mi napor z rumianku, a Adrián siedział blisko mnie w niewielkim fotelu i opowiadał rozmaite bzdury, żeby mnie rozweselić. Obydwaj byli tacy dobrzy.

- Mówisz tak, bo masz dwadzieścia jeden lat - odrzekłam. - Poczekaj, aż dożyjesz moich lat.

- Ty nie masz „swoich lat”. Teraz w łóżku wyglądasz jak mała dziewczynka. Właściwie to jesteś małą dziewczynką.

Ujął moją dłoń w swoje ręce i poklepał ją niezgrabnie. Ramię przeszył mi gwałtowny prąd, jakbym wetknęła palce w kontakt. On chyba poczuł to samo, bo mnie zaraz puścił. Bardzo ładnie wyglądał z tą kocią twarzą i dołeczkami. Ale ja nie byłam małą dziewczynką.

- Adrián, co ci strzeliło rano do łba, żeby robić pętlę szubieniczną ze sznurowadła?

Adrián poczerwieniał.

- No tak, to głupota. Taka dziecinada. Nie wiem, chciałem ci pokazać, że też umiem robić dziwne rzeczy.

Chciałem zwrócić na siebie twoją uwagę. Patrzysz tylko na Feliksa. Ledwie głębę

otworzy, już jesteś w transie. Te jego opowieści o życiu... Ciekawe, nie powiem, ale... Mnie nigdy o nic nie pytasz. Tylko z nim się naradzasz.

Patrzyłam na niego dłuższą chwilę. Właściwie miał rację.

- Dobra, będę cię częściej pytała o radę. Ale nie bierz sobie tego tak do serca. Przecież to logiczne, że Félix ma więcej do opowiedzenia. To tak naprawdę jedna z niewielu korzyści, jakie daje starość. Félix jest pełen wspomnień i ciekawych słów, a ty...

- A ja?

- Ty masz życie przed sobą, Adrián, co mnie wścieka i budzi moją zawiść. Więc nie narzekaj i korzystaj.

Chyba już pora, żebym powiedziała co nieco o sobie. To znaczy pora, żebym powiedziała o Lucii Romero. Łatwiej mówić mi o niej: trzecia osoba pozwala upchać chaos wspomnień w jakieś ramy narracyjne i nadać egzystencji pozory porządku. Jakbyśmy istnieli w jakimś celu, chociaż powszechnie wiadomo, że życie pełne pobożnych życzeń prowadzi donikąd.

Na początku tej książki Lucia Romero przechodziła bardzo zły okres. Można powiedzieć, że porwanie Ramona było wisienką, która zwieńczyła tort jej rozpacz - nagle poczuła się zagubiona. Życie jest jak podróż, a Lucia właśnie odkryła, że w połowie trasy zaczyna się pustynia. Gdzie się podziało piękno tego świata? Kiedy straciła wiarę w uczucia i w przyszłość? Nagle poczuła, że się starzeje. I nieważne, że z wyglądem fizycznym nie było najgorzej: to po prostu ostatni bastion, ostatnia flanka oporu przed ostatecznym krachem. Poza tym Lucia sama, lepiej niż ktokolwiek, znała doskonale wszystkie niewidoczne luki w linii obrony: obwisłe fragmenty ciała, pierwsze zmarszczki. No i oczywiście oszukańcze zęby. Kiedy grzmotnęła swoimi prawdziwymi zębami o karoserię tamtego samochodu, coś w niej w środku pękło. Coś się na zawsze skończyło.

Ale wiek dawał o sobie znać nie tylko w ciele. Jałowa pustynia pojawiła się w głowie. Już jej się nie śniło po nocach, że jest kimś innym. A ta, którą była, stała się dosyć nudna. Już nie marzyła, że będzie lepiej pisać, lepiej kochać, poznawać ludzi, podróżować po całym świecie i przeżywać przygody. Jej związek z Ramonem bardzo ją znużył, znajomi okazali się konwencjonalni, praca beznadziejna, a Pstroszka koszmarnym gniotem. Z kolei jej rodzice byli już starzy, samotni, znajdowali się na krawędzi zgrzybienia i kompletnego upadku. Niebawem będzie musiała się nimi opiekować. Cały świat stał się niepokojącym miejscem, zbyt brutalnym, zbyt cynicznym i zepsutym. Poza tym bała się. Coraz bardziej. Strachem ontologicznym i pierwotnym: bała się starości i śmierci. Bo nie tego oczekiwała od życia, jak była mała, jak dorastała, jak była młodą kobietą. Rzecz nawet nie w tym, by miała jakieś

konkretne, przejrzyste koncepcje tego, co ją czeka w przyszłości, ale w każdym razie na pewno nie spodziewała się podobnej degrengolady i nędzy, świata równie podlej jakości, który w dodatku skurczył się tak gwałtownie, że aż zaczął uwierać. „Ty masz po prostu kryzys czterdziestki” - tłumaczył Emilio, jej wydawca. „Pewnie menopauza się kłania” - mówił Ramón, kiedy w ogóle zauważał, że coś się z nią dzieje. Menopauza! Jeszcze tego brakowało. Nie, w grę nie wchodziły zmiany hormonalne, wciąż była młoda. Najgorsza okazała się świadomość, że nieubłagane zmierza w tym kierunku. A skoro teraz czuje się tak źle, to co będzie potem, na jałowej równinie przekwitania, kiedy do depresji dojdą jeszcze znane tortury w postaci duszności?

Oczywiście, kryzys czterdziestki. Któregoś dnia Lucia piła kawę w barze niedaleko domu i w którymś momencie zeszła do ubikacji. Mówię: zeszła, bo toalety znajdowały się w suterenie, na samym końcu stromych, wąskich schodków. Po wyjściu stamtąd zderzyła się z jakimś facetem po pięćdziesiątce, który czekał w kolejce do telefonu. Rzeczony bar to popularny tani lokal, odwiedzany przez robotników i miejscowych. Facet zaś był rdzennym, iberyjskim archetypem Nieokrzesanego Kierowcy, jednym z tych, co to noszą testosteron w klapie i bezustannie pozerają wzrokiem każdą babkę na horyzoncie, choćby największego perszerona na planecie Ziemia. A wyobraźcie sobie, że Lucia założyła tego dnia obcisły elastyczny sweterek, a pod spodem nie miała stanika. Do tego czarna spódniczka, raczej krótka i też wąska. Przeszła obok faceta, nie zwracając na niego uwagi, i zaczęła wspinać się po schodkach. Kiedy już zbliżała się do półpiętra, przyszła jej do głowy niepokojąca myśl: Sprawdzę, czy Nieokrzesany Kierowca mi się przygląda. Po czym pewna, niczym rybak nad siecią, że złowi rozpasane, bydlęce spojrzenie tamtego typka, odwróciła się jak gdyby nigdy nic. Owszem, facet ciągle stał na dole. Ale wzrok miał zwrócony w inną stronę, nie obchodziła go Lucia, nogi Lucii, jej opięte trykotem piersi bez stanika. „To koniec, jesteś niewidzialna - pomyślała. - Teraz masz już przejebane na amen”.

Potwierdzają to ankiety: w pewnym wieku znikasz. Wszystkie znane na świecie sondaże i badania statystyczne są uporządkowane według chronologii swoich podmiotów: od 18 do 25 lat, od 26 do 35, od 36 do 44. I zawsze docierasz do bariery, za którą rozpościera się ciemność: „Powyżej 45 lat” - mówią grubiańsko tabele statystyczne, jak gdyby poza tym słupem granicznym znajdowała się ziemia niczyja, Nibylandia, nikczemny wszechświat Niewidzialnych. Dokładnie tam trafiła Lucia: na kraniec skończoności.

Może należałoby powiedzieć kilka słów o przeszłości Lucii Romero. Lucia jest jedynaczką i zawsze czuła się niezbyt kochana. Ojciec Kanibal był uwodzicielem i egoistą, niezłym aktorem scenicznym z niespełnionymi aspiracjami do gwiazdorstwa, który teraz żył

spokojnie z paru kontraktów telewizyjnych. Cudownie się uśmiechał i rozsiewał wokół czar. I tylko czar, bo niczego więcej nie był w stanie poświęcić innym: ani forsy, ani czasu, ani rzetelnej uwagi. Nigdy się nie spierał, nigdy nie podnosił głosu: był pozbawiony namiętności i prawdopodobnie także poglądów, poza tym żywił przekonanie, że zły humor go postarza i szpeci - a bardzo dbał o siebie. Był człowiekiem niestałym, powierzchownym, roztargnionym; jeżeli nie mówił o sobie samym, żaden temat nie zajmował na dłużej jego umysłu.

Cała ta nieuchwytna osobowość groźnie tężała jak stal, gdy w grę wchodziła obrona jego własnych interesów. Zawsze opowiadał, jak to na początku wojny, będąc jeszcze młodym chłopakiem, usiłował przedostać się z Madrytu do obozu nacjonalistów. Był wtedy prawicowcem o falangistowskich ciągotkach, dopiero z czasem stał się antyfrankistą, przynajmniej na zewnątrz. Otóż w środku zimy uciekł z dwoma kolegami i usiłował przedrzeć się na drugą stronę frontu przez ośnieżone szczyty Navacerrada. Wokół noc, padał śnieg, byli wyczerpani oślepiającą zawieją. Wtem załamał im się pod stopami lód i wpadli do szczeliny. Jeden zginął na miejscu, a drugi i Kanibal zostali ranni - no i uwięzieni. Przez kilka godzin wołali pomocy, aż zupełnie ochrypli, ale na próżno, byli w górach, w zupełnie niedostępnym i opustoszałym rejonie. Wokół szalała wojna. Na dodatek panował mróz, który z jednej strony zapobiegł wykrwawieniu na skutek ran, a z drugiej jednak mógł się okazać fatalny. Wszystkie te okoliczności doprowadziły ojca Lucii do tego, że wieczorem pierwszego dnia wyciągnął nóż pasterski i wykroił stek z ramienia zmarłego kolegi. Przez cztery doby żywili się trupem i pili śnieg. Wreszcie, na pól zamarzniętych, znalazł ich patrol republikański. Stojący na czele patrolu sierżant był pełen podziwu dla wytrwałości Kanibala i jego towarzysza. Najpierw ich wyleczyli, a potem wsadzili do więzienia. Sierżant powiedział im, że w sumie mieli szczęście, bo gdyby trafili tam na nich nacjonaści z tym całym faszystowskim galimatiasem religijnoduchowym i tak dalej, to by ich rozstrzelali na miejscu za ludożerstwo. I kiedy ojciec Lucii opowiadał tę historię, zawsze dodawał: „Ten sierżant oczywiście miał rację. Nacjonaści to mieli nie po kolei!”. Bo od tamtej pory czasy się zmieniły i świat teatru składał się głównie z antyfrankistów. A on zazwyczaj podzielał opinie większości.

Lucia Romero nie wiedziała, czy opowieść Ojca-Kanibala była prawdziwa, czy też nie. Będąc już dużą, odkryła bowiem, że jej własna skłonność do wymyślania kłamstw i nadawania im pozorów autentyczności była cechą odziedziczoną po rodzicielu. W chwili odkrycia, powtarzam, była duża, bo wcześniej przez lata ślepo wierzyła Kanibalowi. Uwiedziona przez uwodziciela, patrzyła przez palce na jego ciągle akty arogancji, ucieczki,

na jego nieobecność, brak zainteresowania, systematyczne zapominanie o jej urodzinach, na jego piękne słówka i niebywałe wymówki, na kłamstewka rozgałęzione jak stare drzewo. W związku z tym było możliwe i absolutnie niewykluczone, że ojciec Lucii nigdy żadnego trupa nie pożarł - ale wierzyła w to od dawna, a poza tym ojcowskie ludożerstwo należało w dużej mierze do niezaprzeczalnej rzeczywistości, bo wszyscy jesteśmy tacy, jak inni nas widzą i jak nas piszą. Zresztą Lucia uważała, że kanibalistyczny instynkt zawierał jakąś poetycką prawdę na temat jej rodziciela, trafną metaforę jego stylu bycia. Ją samą, na przykład, ojciec podjadał przez całe lata, a matka znajdowała się już w stanie częściowego przeżucia i nosiła na ciele ślady zębów.

Matka Lucii była kiedyś niezwykle piękną, tchórzliwą histeryczką. Lepsza aktorka niż jej mąż, skutkiem męskocentrycznej edukacji, zacofanego otoczenia i swej naturalnej słabości zrezygnowała z własnych dążeń i zdała się na bardzo przeciętne bytowanie. Nie przyjęła istotnych ofert zawodowych, żeby nie przyćmić męża, zносиła fakt, że Ojciec-Kanibal wypuszczał się to z tą, to z tamtą, a nawet że przepadał na kilka miesięcy z owamtą - tylko dlatego, by uchronić rodzinę przed rozpadem. Rodzinę, która zresztą w końcu stała się jej więzieniem.

- Żadnych dzieci, maleńka - pouczała sześcio - czy siedmioletnią Lucię matka Lucii, obdarowując ją przy tym „Małym chemikiem” i wyrzucając jej lalki do śmieci.

- Nigdy żadnych dzieci, najdroższa. Ja tylko ze względu na ciebie nie odeszłam od twojego ojca, i sama widzisz, na co mi przyszło - powtarzała dużo później, kiedy Lucia skończyła czternaście lat.

Matka Lucii radziła sobie z frustracją licznymi atakami nerwowymi, koncertowymi wrzaskami, paroksyzmami płaczu. A potem życie toczyło się po staremu: znużenie i boczny tor. Aż wreszcie, w wieku siedemdziesięciu paru lat, w niespodziewanym napadzie odwagi czy desperacji spakowała walizki i wyjechała na Majorkę. Kanibal, w owym czasie zakochany w jakiejś dwudziestolatce, dowiedział się o tym dopiero kilka tygodni później, kiedy wrócił przygnębiony, postarzały, odrzucony, z brzuszkiem i siedemdziesiątką na karku - i zastał pusty dom. Było to zerwanie nieodwołalne: matka Lucii nie chciała więcej słyszeć ani o mężu, ani o teatrze. Na Majorce weszła w świat ludzi mody: piła, tańczyła, malowała się, bywała. Od dziesięciu lat zachowywała się jak dorastająca siedemdziesiątka.

Lucia Romero nie chciała upodobnić się do matki. Naturalnie do Ojca-Kanibala również nie, ale to właśnie widmo matki ją prześladowało, los matki ją przytłaczał, ciało matki rozpoznawała z przerażeniem w przymierzalniach, gdy wciskała się w nowe dżinsy czy letnią sukienkę i naraz, przypadkiem, w rtęciowej powłoce lustra dostrzegła - co za koszmar!

- te same spadziste ramiona, te same micheliny w zarodku, które wiek zaczynał wytwarzać na biodrach. A więc ten sam mechanizm starzenia się, może wręcz mechanizm bytu. Jest taka chwila w życiu wszystkich kobiet, kiedy zaczynają przypominać własne matki, ale te stare matki, ich matczyny upadek, jak gdyby rodzicielka, pogrążając się w degrengoladzie, odgrywała się na córce poprzez agresję genetyczną, niemal szatańskie opętanie jej ciała i duszy. Lucię takie przeznaczenie wpędzało w trwogę, nie chciała upodobnić się do matki w żadnym aspekcie, a tym bardziej ze względu na to, że sama, będąc córką bez własnej córki, a jedynie córką po wieczne czasy, nie zdoła napromieniować swoimi genami żadnej następczyni. Nieskończony macierzyński łańcuch zwampiryzowanych i wampiryzyc została w ten sposób przerwany.

-,Tragedią mężczyzn jest to, że nigdy nie są podobni do swoich ojców. Kobiety zaś zawsze upodabniają się do matek, co jest ich tragedią”, jak powiedział Oscar Wilde

1 Adrián nieściśle cytuje fragment dramatu Oscara Wilde’a Kobieta bez znaczenia: Lord Illingworth: Wszystkie kobiety stają się podobne do swoich matek, co jest ich tragedią.

Pani Allonby: Żaden mężczyzna nie upodabnia się do swojej matki, co jest jego tragedią, (przeł. Marian Dobrosielski).

- rzeki któregoś dnia Adrián, podpierając się jednym ze swych licznych, często niepotrzebnych cytatów.

Ten cytat jednakże rozbrzmiewał długo w głowie Lucii: słyhać w nim było jakiś żywy bolesny puls, choć przecież od czasów Wilde’a wiele się zmieniło. Nie, Lucia nie zamierzała być tchórzem, jak jej matka, a przecież od lat nie robiła tego, co chciała robić, od lat żyła nie tak, jak chciała żyć. Bała się zaprzepaścić ambicje zawodowe, jak jej matka, a przecież zdobyła się na pisanie tylko o kokoszkach. Nie chciała rezygnować ze szczęśliwej miłości, jak jej matka, a przecież zniżyła się do płaskiej, beznadziejnej codzienności z Ramonem. W młodości Lucia była znacznie ruchliwsza, znacznie śmielsza, znacznie ambitniejsza. Z czasem koleje życia zapchały jej silniki. Powieść, którą usiłowała napisać, a nie zdołała skończyć. Do tego jeszcze zamieszanie z paroma nieszczęśliwymi miłościami, wreszcie wypadek. W sumie żadna tam katastrofa czy bankructwo życiowe, a jednak Lucia nie stanęła już na nogi. Chyba że problem polega po prostu na jej krótkim oddechu witalnym. O tych właśnie wszystkich sprawach Lucia myślała na początku tej książki - i czuła się fatalnie.

Teraz wypadaloby opowiedzieć coś, co zdarzyło się przed kilkoma laty. Drobny epizod, ale może nam dostarczyć klucza do zrozumienia bohaterki niniejszej historii. Było to na krótko przed poznaniem Ramona, kiedy dobiegał końca jej nieszczęśliwy związek z

pewnym żonatym mężczyzną. Nazywał się Hans, był znanym artystą, modnym malarzem. Miał urokliwe czarne oczy, okolone długimi rzęsami i podkreślone tajemniczymi podkówkami, dłonie silne i kanciaste, ciepłe i suche, którymi miesił ciało Lucii równie władczo, jak Bóg modelujący kształty Ewy. Leżąc plackiem na łóżku, nasza bohaterka pozwalała się rozbierać z cichym pożądaniem. Klęczący

& zaś na kołdrze, ciągle ubrany Hans jedną dłonią, pewną i nieubłaganą, trzymał jej nadgarstki nad jej głową, drugą natomiast przesuwiał po całym bezbronny ciele: po karku, szyi, pod ciepłymi pachami, po sutkach, po pomarszczonych krawędziach brodawek, po pępku, którego Ewa nie posiadała, po krzywiźnie brzucha, po szorstkich pachwinach. Tu się zatrzymywał i otwierał Lucię obydwiema dłońmi, powoli, ale zdecydowanie, wydobywał na światło kobiecy ocean ciemności - a wszystko to w absolutnym obopólnym milczeniu. On lustrował jej kształty z uwagą entomologa czy może artysty, ona zaś dyszała i niemal traciła zmysły, była już tylko swoim ciałem, rozkoszowała się własną bezgraniczną biernością. Dopiero wówczas on. (było to po upływie nieskończoności, może dwóch albo i trzech pokoleń zwykłych śmiertelników) zaczynał się rozbierać: zdejmował koszulę, pasek, wreszcie ściągał spodnie. I gdy w końcu był nagi, twardy i przepiękny, wchodził w nią jednym mocnym pchnięciem.

Nie ulega, mam wrażenie, wątpliwości, że Lucia uwielbiała brutalne maniery rzeczonoego Hansa. Pożądała go całym ciałem, czyli innymi słowy kochała go z całej duszy, bo przecież seks to doświadczenie mentalne i duchowe, oznaka zespolenia z kochankiem, wspólnota dusz osiągnięta drogą genitalną. A jeśli brak tego wymiaru transcendentnego, mamy do czynienia ze złym seksem, seksem rutynowym, atletycznym i bladym, masturbacją we dwoje.

Lucia nigdy nie popadła z Hansem w rutynę seksualną, bo kochanek od niej stronił. Z coraz większym trudem się z nią porozumiewał, ona coraz mniej rozumiała siebie samą. Hans jej nie kochał, wszystko się kończyło, a Lucia czuła wyraźną gorycz finału, traciła resztki godności, wydzwaniała, choć nie należało już dzwonić, błagała, łkała, wypowiadała patetyczne komunały, jakich nigdy nie spodziewała się usłyszeć z własnych ust. Jak ranny otrzymuje ciosy zawsze w najbardziej bolące miejsce, tak chorej z miłości cała rzeczywistość coraz bardziej doskwiera bólem utraty. Serce jej staje na widok samochodu podobnego do tego, którym jeździ on; albo gdy usłyszy w knajpianym telewizorze piosenkę, której kiedyś nocą wspólnie słuchali; albo też gdy poczuje u przypadkowego przechodnia (na przykład odrażającego tłuściocha z włochatym nosem) zapach tej samej wody kolońskiej, jakiej on używał.

I właśnie w takim burzliwym stanie znajdowała się Lucia Romero w chwili, gdy zdarzyło się to, co właśnie chcę wam opowiedzieć. Była Gwiazdka, Lucia siedziała sama w domu. Mogła pójść na wieczerzę do rodziców, wtedy jeszcze mieszkali razem, ale w owym czasie nie była w stanie ich znieść, więc skłamała, mówiąc, że wyjeżdża. Oni zresztą nie przejawili większego zainteresowania, nie okazali żalu.

Zatem siedziała sama i była Wigilia: dwa wyśmienite powody, by z wściekłym masochizmem pograć się w depresji odrzuconej kochanki. Cały dzień tkwiła w domu, spodziewając się cudu w postaci telefonu od Hansa, wieczorem jednak, w porze kolacji (już nie zadzwoni, bo teraz siedzi przy stole wigilijnym z żoną i dziećmi) wyprowadziła na spacer Sukę-Fokę, która wówczas jeszcze nie była Suką-Foką, a kilkumiesięczną Szczeniączką-Misiaczką. Po powrocie zastała na sekretarce wiadomość - oczywiście bynajmniej nie od Hansa - treści następującej:

„No, nie, tu twoja ciotka Victoria. Dzwonię ci powiedzieć, że twój ojciec umiera. Lekarze wątpią, żeby przeżył dzisiejszą noc. Jest przytomny i w kółko tylko pyta o ciebie. Wiem, co sobie myślisz, ale to w końcu twój ojciec. Leży w klinice La Concepción, sala pięćset siedem. Chyba powinnaś tam pojechać. To twój ojciec, który umiera. Miejże odrobinę serca. No nic, co miałam zrobić, to zrobiłam. A teraz ty się rozliczaj z własnym sumieniem”.

Ot, i cała wiadomość. Rzeczywiście dosyć niepokojąca, zwłaszcza że Lucia Romero nie miała żadnej ciotki Victorii. Zadzwoiła więc do rodziców. Odebrał Ojciec Kanibal:

- Lucia! Co się stało, że dzwonicz? Gdzie jesteś?

- W Wiedniu - skłamała. Prędko stwierdziła, że Kanibal cieszy się doskonałym zdrowiem i że ani on, ani matka wcale za nią nie tęsknią: zaprosili na kolację paru znajomych, w głębi słychać było odgłosy przedniej zabawy.

Dokonawszy tej zabobonnej weryfikacji, Lucia przewinęła z powrotem taśmę i odsłuchiwała wiadomość jeszcze parę razy. Wtedy odkryła, że ciotka Victoria nie mówi na początku „No, nie”, ale „Toñi”. Czyli że ona sama nazywa się Toñi. Jest Antonią, która ma dogorywającego ojca w szpitalu.

Co teraz robić? „Rozliczaj się z własnym sumieniem”

- powiedziała ciotka Victoria. A sumienie Lucii wcale nie było spokojne. Mogła zignorować telefon, skasować wiadomość i zapomnieć o fałszywej ciotce. Ale jak tu siedzieć z założonymi rękami, gdy sytuacja jest tak nieodwołalna, tak przejmująca. Trzeba zlokalizować niejaką Victorię, wyjaśnić jej, że Toñi, że Antonia nie odsłuchiwała jeszcze wiadomości. Ale przecież, na Boga, jest Wigilia! Czy naprawdę nie można spędzić Wigilii we własnym domu na umartwianiu się; naprawdę musi ktoś jej zawracać głowę? Nagle zaczęła

się użalać nad sobą. Takie rzeczy muszą spotykać właśnie ją. Ależ to jej życie jest smutne.

Usiłowała dodzwonić się do szpitala, ale w centrali nikt nie odbierał. No jasne, w taki świąteczny wieczór. Zrobiła sobie omlet, skubnęła dwa kęsy, zadzwoniła jeszcze raz - na próżno. Koło północy nie wytrzymała i pojechała tam.

Budynek kliniki był starym zagraconym labiryntem. Przy wejściu nikogo nie zastała, aczkolwiek mały tranzystor na stoliku plujący kolędami sugerował obecność w gmachu jakiegoś strażnika. Lucia wsiadła do pierwszej napotkanej windy i wjechała na piąte piętro. Tam jednak nie było sal chorych, tylko gabinety lekarskie (okulistyka, medycyna nuklearna, litotrypsja), a wszystkie zamknięte na głucho. Lucia łąziła w górę i w dół po schodach, sprawdzała w holach, zajrzała do upiornych poczekalni z potwornymi fotelami z czerwonego skaju. Korytarze były puste i pogrążone w półmroku, który z ledwością rozpraszało słabe światło lamp alarmowych. Co jakiś czas z oddali dobiegał wybuch śmiechu, czasem gdzieś rozlegały się czyjeś drobne kroki, ale nikogo nie dostrzegła. Unosił się zapach lizolu, światełka odbijały się w starych kafelkach ściennych w postaci mętnych pomarańczowych zjaw, przez co korytarze szpitalne nabierały niezwykłego, jakby nieludzkiego charakteru, przypominając zatopione pasaży albo wnętrze statku marsjańskiego. Nagle na schodach pojawiła się roześmiana para - młodzi ludzie z bukietem kwiatów i butelką szampana w kubelku z lodem. Usiłując opanować chichot, pozdrowili Lucię, sprawdzili numery na drzwiach, zastukali krótko do jednych z nich i wpadli do środka, krzycząc w euforii. Była na piętrze oddziału położniczego.

Sala pięćset siedem znajdowała się na onkologii. Tu cisza była gęstsza, atmosfera bardziej duszna i mroczna. Postąpiła z pięć minut pod drzwiami, nie bardzo wiedząc, co robić. To szaleństwo, to czyste szaleństwo, co ona tu - robi?! Nawet nie ma pojęcia, jak się nazywa ten dogorywający facet. Gdyby chociaż napotkała jakąś pielęgniarkę, mogłaby zostawić jej wiadomość, która wyjaśniłaby nieporozumienie. Ostatecznie mogła istotnie napisać kartkę i wsunąć ją pod drzwi. Albo pójść sobie, odwrócić się na pięcie i iść do domu, zapomnieć o wszystkim. Ale nie, skoro dotarła aż do szpitala, nie zawróci - za bardzo zaangażowała się w tę sytuację, już czuła na sobie jej siłę przyciągania. Westchnęła głęboko i delikatnie popchnęła drzwi, które otwarły się bezszelestnie.

Sala była pusta. To znaczy - nie licząc chorego, który zajmował jedno z dwóch łóżek. Ani śladu ciotki Victorii. Lucia na palcach weszła do środka. Jasny kwadrat przyćmionego światła padał z przymocowanej tuż nad podłogą lampki nocnej. Niezajęte łóżko było gładko zasłane nieskazitelnie rozłożoną kapą. Krzesło i stołek, które stanowią niezmiennie wyposażenie pokoi szpitalnych, stały równo pod ścianą, jak gdyby nikt nigdy nie odwiedził

pacjenta. Lucia podeszła cichuteńko, żeby mu się przyjrzeć: leżał w spokoju na plecach, sztywny, maciupki i pomarszczony starowinka koloru rodzynek korynckich, z rurkami w nosie i w rękach. Oczy miał zamknięte, wyglądał, jakby umarł. Lucia pochyliła się jeszcze bardziej. Nie, nie umarł. Podbródek mu drżał, dłonie poruszały się nieznacznie. I słychać było jego oddech, urywany, zmęczony świst. Lucia przypatrywała mu się z odległości ledwie kilkunastu centymetrów, kiedy nagle konający otworzył oczy. Aż się wzdrygnęła. Miała przed sobą dwa matowe, rozgorączkowane guziczki. Pacjent patrzył na nią dłuższą chwilę.

- Toñi - rzekł wreszcie głosem słabym, ale doskonale słyszalnym.

Lucia milczała.

- Antonia - odezwał się znów, tym razem energiczniej.

I uniósł w powietrze drżącą dłoń, oplecioną przewodami.

- Tak - odparła Lucia.

Ujęła rękę starca w swoje dłonie.

Chory zamknął oczy.

- Nie mam honoru - szepnął.

Dwie łzy ześliznęły mu się po zwiędłych policzkach.

Lucia ścisnęła jego wykrzywioną artretyzmem, zniszczoną dłoń i pogładziła ją po wierzchu. Nie chciała nic mówić, żeby się nie zdradzić. A zresztą - co mogłaby powiedzieć? Że ten umierający anonimowy starzec jest jej bliższy niż jej ojciec? Zaraz otworzą się drzwi, wejdzie lekarz albo pielęgniarka - pomyślała z niepokojem. Zaraz otworzą się drzwi, przybędzie ciotka Victoria i spyta mnie, co tu robię, ja - intruz, samozwańcza córka, oszustka. Madryt po drugiej stronie szyby sprawiał wrażenie wyludnionego miasta. Noc była zimna, wilgotna, w mokrym asfalcie odbijały się światła na skrzyżowaniu. Trzymając się tej ręki znad grobu niczym rozbitek, który ściska kawałek deski, Lucia pomyślała, że może życie jest tylko wstępem do odejścia. Podobnie gra w szachy jest tylko wstępem do mata. I dodała w duchu: jak to będzie, gdy przyjdzie mój czas, kto potrzyma mnie za rękę, jaka mżawka spadnie i za jakim oknem, czego zdołam do tego momentu dokonać? Ale pomyślała też: ty umierasz, a ja żyję. I poczuła pierwotną, barbarzyńską ulgę.

Zawinęliśmy palec Ramona w folię aluminiową i włożyliśmy do lodówki. To był pomysł Adriana, może przerażający, ale chyba rozsądny. Co prawda dopóki szczątek przebywał w zamrażalniku, nie mogliśmy wrzucać do napojów kostek lodu, bo odmówiłam stanowczo otwierania tego prowizorycznego grobowca AGD. Wszystko zaczęło się na nowo, czekanie i niecierpliwość, niepewność, strach. Z domu wychodziliśmy tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne: żeby kupić mleko, gazetę, chleb, wyprowadzić Suke-Fokę na spacer

- przy czym zawsze ktoś zostawał na straży przy telefonie. Ale telefon milczał albo, co gorsza, dźwięczał i prowokował gwałtowne dreszcze zbyt zbytnimi, nużącymi pytaniami, na przykład ze strony inspektora Garcii albo mojej matki, albo Kanibala, albo mojej przyjaciółki Glorii, która teraz wydawała mi się nieznośna i równie daleka jak kosmita.

Mój pogląd na wiele spraw niesamowicie zmienił się od czasu, gdy Ramón został porwany, zupełnie jak gdyby moje dotychczasowe życie należało do jakiejś innej kobiety, która wprawdzie nazywa się tak jak ja i jest do mnie podobna, ale której w żaden sposób nie potrafię rozpoznać ja obecna, ja nadwrażliwa, nietypowa, nieco oszołomiona wypadkami ostatnich dni - dni sprawiających wrażenie tygodni, miesięcy, lat, jak gdyby cała moja egzystencja właśnie na tym polegała, na byciu żoną porwanego, na oczekiwaniu telefonu od porywaczy, na przenoszeniu w tę i we w tę dwustu milionów peset cuchnących karmą dla psów. O ile na początku tej próby ognia dziwiło mnie, że Adrián i Félix w ogóle żyli, zanim pojawiłam się ja ze swoim problemem, o tyle teraz z trudem wyobrażałam sobie, jakim cudem sama istniałam, wiedząc to bezbarwne normalne życie przed rozpoczęciem dramatu.

Chłopakowi i starcowi zniknięcie Ramona chyba uporządkowało dzień powszedni, dało im motywację do rannego wstawania, do zmiany miejsca, do tego, by coś zacząć, coś przerwać. Z kolei moje życie wskutek porwania legło w gruzach. Cały dotychczasowy porządek, praca, rozmowy telefoniczne z rodzicami raz na dwa tygodnie, kokoszka Pstroszka, miłe i nudne kolacje ze znajomymi, kłótnie z mężem i z wydawcą, rygorystycznie przestrzegane spacerunki z Suką-Foką, melancholie siódmej wieczorem i łeki drugiej nad ranem, cały ten ład, cały przewidywalny układ, spójny i nieustanny - rozpadł się jak domek z kart.

Z biegiem lat ludzie zmniejszają się od wewnątrz. Z tysiąca dostępnych nam wszystkim możliwych zachowań wybieramy najczęściej jedno, a reszta więdnie i obumiera. Proroczy pisarze o zdzieciniałych rozumkach nazywają to dojrzewaniem, kształtowaniem poglądów, dorastaniem, ale ja bym raczej użyła określenia „gnicie”. Tak właśnie rodzą się żywi umarli; znam ich wielu. Faceci i kobiety po czterdziestce, nawet niezłe sytuowani, czasem wręcz ludzie sukcesu, co to raz na jakiś czas wzdychają: „Kiedyś sport był dla mnie bardzo ważny...” (teraz siedzący tryb życia przekształcił ich w haniebnych tłuszciochów), „w młodości uwielbiałam pisać” (teraz nie dość, że nie napiszą choćby sylaby, ale jedyną książką, jaką przeczytali w ciągu ostatnich pięciu lat, jest instrukcja obsługi magnetowidu) albo „nie uwierzysz, ale kiedyś żyłem z dnia na dzień, robiłem rzeczy nieprzewidywalne, kiedyś całą Europę zjechałem stopem” (i istotnie, trudno w to uwierzyć, bo koleżka żywotnością może teraz konkurować najwyżej z burakiem cukrowym, ruchliwością z pieczarką, a po gazetę pójdzie do kiosku dopiero, gdy wcześniej zamówi ją przez telefon).

Wszyscy oni hodują wewnątrz siebie mumie, wszystkim starość odjęła skrzydła. Kiedy Ramón przepadł, moje skrzydła też były już nieco podcięte i pokryte pajęczyną, zapewne więc odzyskały wigor dzięki całemu dramatowi. Dobra wiadomość jest taka: jeśli przeżyjesz, cierpienie cię oświeci. Zła wiadomość: prawdziwe cierpienie prawie zawsze zabija.

No i znajdowaliśmy się znów jakby na starcie, czyli wyczekiwaliśmy dzwonka telefonu niczym stęsknieni zakochani, kiedy wreszcie, drugiego dnia po zmierzchu, telefon rzeczywiście zadzwonił. Ja odebrałam.

- Lucia.

To był Ramón! Żołądek podszedł mi do gardła, aż zakłuło, aż zabolowało. To śmieszne - nie przyszło mi do głowy, że Ramón mógłby zatelefonować osobiście. Chyba wyobrażałam sobie, że jest chory, upokorzony, że cierpi, że gorączkuje. Ale to był bez wątpienia on. To był on, chociaż mówił przedziwnym głosem, głosem człowieka chorego, upokorzonego, cierpiącego, gorączkującego.

- Och, Ramón, najdroższy! Co oni ci zrobili? Jak się czujesz? - prawie się popłakałam.

- Źle, oj źle się czuję - wymamrotał. - Posłuchaj, Lucia, pozwolili mi gadać z tobą tylko przez minutę, są groźni, są brutalni, gotowi na wszystko, daj im te pieniądze, błagam, rób, co każą.

- Robię, robię, wtedy to nie była moja wina, mieliśmy pieniądze i zrobiliśmy wszystko, jak trzeba, ale jak tam przyjechaliśmy, to się okazało, że jest policja, ja im nic nie wygadałam, przysięgam, pewnie sami mnie śledzili! - bełkotałam w pośpiechu, nawet nie zastanawiając się, czy jesteśmy na podsłuchu.

- Zrób, co ci każą, bo mnie zabiją - jęknął Ramón.

- Teraz wszystko pójdzie dobrze! - przyrzekłam.

Ale już nie usłyszał. Odwiesili słuchawkę.

Dwie godziny później przyszedł goniec z Interflory z przepięknym bukietem niebieskich tulipanów. Właśnie tulipanów, moich ulubionych kwiatów: co za ironia, co za podłość. Drżącymi dłońmi otworzyłam doczepioną kopertę. W środku była wiadomość sporządzona na drukarce laserowej:

Okup należy wręczyć dziś wieczorem o 19.46. na dworcu Atocha. W holu na pierwszym poziomie, na wysokości torów linii A VE i Talgo, znajduje się kiosk ze słodyczami, a obok niego ławka. Ma pani siąść na prawym końcu ławki, a walizkę postawić na ziemi, blisko siebie i prostopadle do ławki. Ma pani patrzeć przed siebie, nie zwracać na nic uwagi i czekać, aż okup zostanie przejęty. To pani ostatnia szansa. Jeśli i tym razem się pani nie uda, nie zobaczy pani męża żywego. Duma Robotnicza.

Jeśli i tym razem mi się nie uda! A więc to przeze mnie, tak jak się obawiałam? Moje sumienie obciąża to, że jestem nijaka, że zawiodłam oczekiwania rodziców, że nie kocham dostatecznie mocno innych, że nie urosłam choć trochę wyższa, że wybiłam sobie zęby o ciężarówkę, że jestem nieszczęśliwa, że inni są nieszczęśliwi i że na świecie panuje głód? A obecnie jeszcze jestem winna porwania Ramona, nieudanego przekazania okupu za pierwszym razem i amputacji małego palca mojego męża? Zaczęłam dygotać z przerażenia.

- Spokojnie! Teraz wszystko się powiedzie - rzekł Félix łagodnie.

Ale ja się dalej trzęsłam.

- Spokojnie, śliczna. Jestem przy tobie - powiedział Adrian.

I objął mnie od tyłu, przywarł piersią do moich pleców (albo raczej żołądkiem: jestem przecież niziutka) i oparł głowę na moim ramieniu. Jak czuły niedźwiedź, jak ciepłe wnętrze płaszcza w środku zimy, jak przytulne schronienie. Był silny, wielki, ciepły, otoczył mnie swymi rękami i zapachem. No i patrzcie, jakie to głupie: nagle przestałam drżeć. W sumie miałam niewielkie zaufanie do tego młodzieńca, nie wierzyłam, by jego obecność mogła mi zapewnić szczególne bezpieczeństwo podczas spotkania z porywaczami czy rozwiązać moje własne obawy. Ale wystarczył delikatny dotyk jego ramion i pięknej kociej twarzy, wystarczyło ciepło jego ciała na moich plecach, wystarczyła ta niewinna przechwałka: „jestem przy tobie”, która w innych ustach zabrzmiałaby śmiesznie - żebym kompletnie zmiękła, żeby ugięły się pode mną kolana, bym przestała się bać i trząść i stała się momentalnie kobietą czy raczej „kobietoidem”, a więc stadium wstecznym, cofnięciem do dawnego archetypu, do jakiegoś kobietozaury, jak gdyby nagle głowa się wyłączyła, a ja byłam już tylko ciałem, trzewiami, czymś w rodzaju meduzy, splachetka galarety i słonej wody, który płynię na oślep tam, dokąd poniosą go morskie prądy.

I tak Adrián kołysał mnie w ramionach, a ja popiskiwałam, ale już trochę spokojniej:

- Na pewno znów się nie uda. Nawet nie rozumiem tej instrukcji!

To prawda: przeczytałam kartkę kilkakrotnie i nie zrozumiałam ani słówka, jakbym wczytywała się w zadanie matematyczne w trakcie egzaminu.

- Nie przejmuj się, to raczej proste - odparł Félix.

- Ważne są dwie rzeczy: trzeba przybyć dostatecznie wcześniej, by nikt nie zajął nam ławki, i dopilnować, żeby policja za nami nie poszła. Już moja w tym głowa.

Było wpół do piątej po południu, więc nie mieliśmy zbyt wiele czasu. Znowu wyładowaliśmy torbę z karmą, znowu wypełniliśmy walizkę, znowu wyszliśmy na dwór, taszcząc ze sobą cholerne pieniądze. Félix istotnie miał plan mający zapobiec śledzeniu.

- Po pierwsze, nie jedziemy moim samochodem. Łatwo go rozpoznać i wypatrzeć na

ulicy. Lepiej wziąć taksówkę.

- Świetnie. Zadzwoń do radiotaxi - zaproponowałam.

- Nie, nie. Niemal na pewno telefon mamy na podsłuchu, mogą podstawić nam samochód z kierowcą szpiclem. Nie, złapiemy taksówkę na ulicy, tak będzie bezpieczniej.

Tak było bezpieczniej, owszem, ale także wolniej i mniej wygodnie, bo przecież dźwigaliśmy dwieście milionów peset. Z dziesięć minut czekaliśmy w bramie, aż Adrián zatrzyma jakiś pojazd, i cały ten czas prześladowało mnie wspomnienie napadu, jakiego dokonano na nas kilka dni przedtem.

- W końcu ktoś nam ukradnie tę forszę - jęknęłam, niezdolna do dalszego zachowywania (jak przystało na bohaterkę) dumnego milczenia.

Félix uśmiechnął się i odchylił połę tweedowej marynarki. Koszmar - miał przy sobie pistolet, czarny jak niedobra myśl i masywny niczym napoleońska armata. W przeciwieństwie do ramion Adriana, które budziły przynajmniej jakieś atawistyczne poczucie bezpieczeństwa, broń Feliksa nie napawała mnie odwagą, raczej przygnębieniem. Dokąd ja się wybieram z szurniętym osiemdziesięciolatkiem, który dźwiga pod pachą muzealny moździerz?

- Ukradną nam pieniądze i pistolet - dodałam ponuro.

W tym momencie nadjechała taksówka z Adrianem w środku.

- Na plac Callao - powiedział Félix do kierowcy.

Plan mojego sąsiada opierał się między innymi na zmyleniu drogi ewentualnym prześladowcom. Na miejscu Félix zapłacił, dorzucając gigantyczny napiwek.

- Proszę posłuchać, musimy odebrać moją żonę, jest bardzo chora i ma kłopoty z poruszaniem się - Félix z przygnębiającą miną bezradnego staruszka tłumaczył taksówkarzowi.

- Czy byłby pan tak łaskaw pojechać teraz do przejazdu pod placem Jacinta Benaventego i zabrać nas spod wjazdu na parking? Będziemy tam za pięć minut. Będę panu niezmiernie wdzięczny i dorzucę tysiąc peset do licznika.

- Załatwione - odparł szofer.

- Wspaniale. Wie pan, plac Benaventego. W tunelu pod placem. Koło parkingu. Za pięć minut.

- Już się robi.

Świetny plan, jakżeby nie. Należało teraz wysiąść na Callao przy pasażu dla pieszych i przejść całą ulicę Preciados: młode mięśnie Adriana mogły zająć się kłopotliwą, ciężką walizką. Nasi ewentualni prześladowcy nie mają wyboru, muszą iść za nami piechotą, więc gdy dotrzemy na drugi koniec pasażu, samochód policyjny będzie za daleko, by zdążyć na czas. My wówczas wejdziemy do przejścia podziemnego, gdzie już będzie na nas czekać

taksówka. Policjant, który przydrepcze tam za nami, bez samochodu w środku tunelu, nie złapie tak łatwo taksówki, straci ładnych parę sekund, by wydostać się na powierzchnię - a my już w tym czasie dawno znikniemy w tłoku ulicznym. Poza tym kilka ulic dalej wysiądziemy z taksówki i złapiemy inną, na wypadek gdyby szpicel spisał numer rejestracyjny.

- Dzięki temu ostatniemu i jakże ważnemu środkowi ostrożności nie ma szans, żeby nas dorwali - dodał Félix z zadowoleniem, gdy wyłożył nam plan ucieczki z zasłoną dymną.

I rzeczywiście, plan wydawał się bardzo dobry, rozsądny, a przy tym nieskomplikowany. Szkoda tylko, że kiedy znaleźliśmy się pośrodku tunelu, nie było tam żadnej taksówki. Pozostawało czekać.

- To dziwne! - krzyknął kompletnie zbity z tropu Félix.

- Faktycznie kapitalny pomysł. Spodziewałem się. Ale z ciebie zawodowiec - narzekał spocony i zziębnięty Adrián, który dopiero co przebiegł pół Madrytu, ciągnąc za sobą dwudziestokilową walizkę.

Odczekaliśmy jeszcze trochę. Samochody mknęły tuż obok nas, aż powietrze drżało, a my nasiąkaliśmy spalinami. Po draniu taksówkarzu ani śladu. Byłam oburzona: nieszczęsna żona Feliksa, schorowana i kaleka, mogła właśnie dusić się na amen w cuchnącym tunelu. A potem pomyślałam: lada chwila zatrzyma się koło nas samochód, otworzą się drzwiczki, a w środku zobaczymy policjantów, którzy zdążyli nas dopaść.

- Nie pojmuję... - mamrotał Félix, najwyraźniej zmartwiony, zdezorientowany, na nowo bardzo postarzały.

- A co tu pojmować? Facio nie przyjedzie - niecierpliwił się Adrián.

Trzeba więc było wrócić na powierzchnię, pokornie, bez taksówki, za to taszcząc samsonite'a. Na placu straciliśmy przynajmniej kolejne pięć minut, nim namierzyli-

150 śmy jakiś wolny pojazd. Wypatrywałam oczy, rozglądając się, ale nie dostrzegłam ani jednego wozu, którego wygląd albo zachowanie wzbudziłyby moje podejrzenia. Uprzednio zresztą też nie widziałam żadnego szpicla pośród pieszych. Jasne, dobry szpicel z definicji jest przecież niewidoczny, więc nie można było mieć jakiegokolwiek pewności. Grunt usuwał się nam spod nóg i nastroje siadły do tego stopnia, że daliśmy sobie spokój z nadprogramowymi bzdurami i nie przesiedliśmy się do kolejnej taksówki. Pojechaliśmy prosto na Atocha. Na miejsce dotarliśmy o szóstej dwadzieścia.

Wcześniej uzgodniliśmy, że na dworzec wejdę sama, żeby nie płoszyć porywaczy. Nie chcieliśmy dopuścić, by tym razem perfekcyjnie opracowany plan wziął w łeb. Adrián i Félix zostali na zewnątrz, koło postoju taksówek, a ja wkroczyłam do głównej hali z ciężkim

bagażem i duszą na ramieniu. Dostrzegłam właściwą ławkę, która, ku mojej wielkiej uldze, była pusta. Miałam przed sobą półtorej godziny czekania, więc dla bezpieczeństwa postawiłam na ławce walizkę i uczepliłam się jej kurczowo. Czas znowu płynął nieznośnie wolno, znowu chciwie wpatrywałam się we wszystkie twarze, usiłując rozpoznać policjantów albo porywaczy. Główny dworzec to miejsce bardzo tłoczne i po kilku minutach dostałam zawrotu głowy, a mijające mnie oblicza zaczęły się zacierać. Powtarzalne, bezsensowne fizjonomie. Zresztą nic już o tej porze nie miało sensu - siedziałam pośrodku nieprzytulnej hali dworca, w zimnym, sztucznym świetle. Zobaczyłam swoje odbicie w szybie sklepu naprzeciwko: ciemną sylwetkę, otuloną w płaszcz, smutną i obcą. Ta dojrzała samotna kobieta na dworcowej ławce to naprawdę ja? Moja bezczynność, wyczekiwanie, zapach zimy, wilgoci i przemoczonego ubrania, odgłos pospiesznych kroków - wszystko wpędzało mnie w depresję. Chwilami mam wrażenie, że życie to stacja przesiadkowa, kolejowa czy może autobusowa, zwyczajny olbrzymi, zatłoczony hol o szarej brudnej podłodze, zaśmieconej po kątach petami i papierkami po gumie do żucia. Siedzisz tam i czekasz, gdy tymczasem zima dobija się do drzwi.

O siódmej czterdzieści postawiłam walizkę obok ławki, zgodnie z otrzymaną instrukcją, a melancholijne delirium, które mnie ogarniało do tej pory, ustąpiło miejsca lękowi. A jeśli teraz przemknie tędy jakiś doliniarz i spokojnie odejdzie z walizką? Przecież dworce słyną z grasujących na nich złodziei! Przecież moja walizka, beztrudnie postawiona na podłodze w pewnej odległości ode mnie, stanowi kuszący łatwy łup! W tym momencie zapowiedziano przyjazd pociągu AVE i po chwili koło mojej ławki przetoczyła się kolejna fala podróżnych. Twarz miałam zwróconą twardo przed siebie, ale moje spojrzenie - nie mogłam tego opanować - wędrowało ukradkiem w stronę walizki. Samsonite był czarną plamą, wokół której, jak wokół jakiejś skały, kłębił się ludzki potok. Teraz albo nigdy - pomyślałam. Właśnie w tym momencie. Ale minuty mijały, a tłum zaczynał rzednąć. Wreszcie ostatni podróżni przemknęli obok mnie i hol znów opustoszał. Zapanowała śmiertelna przerażająca cisza.

- Nic z tego. Czuję przez skórę. Dziś znowu nic z tego - jęknęłam do siebie.

I właśnie wtedy stanęła przede mną jakaś kobieta, ciągnąca za sobą, niczym wózek na zakupy, rozkapryszoną i nabzdyczoną dziewczynkę.

- To pani... To pani? - powtórzyła bez sensu, wskazując w moją stronę oskarżycielskim palcem.

- Co? - Aż podskoczyłam. Niemożliwe, żeby ta baba była moim łącznikiem.

- Tak, to pani! - oświadczyła triumfalnie tamta, klepiąc mnie dłonią po ramieniu. - To

pani pisze te książeczki dla dzieci, prawda?

Nie było to ani miejsce, ani czas na rozpoczęcie spotkania literackiego, powinnam była skłamać, udać, zaprzeczyć, pozbyć się tej kobiety. Ale pierwszy raz w życiu zostałam napadnięta przez fana na mieście i tęsknota za momentem chwały była silniejsza.

- No tak, chyba ma pani rację.

- Jak to miło! Martita, popatrz, ta pani jest autorką tych książeczek, co to ci się tak podobają!

Martita uśmiechnęła się niewinnie. Była pomniejszoną kopią matki, miała taki sam nochal i identycznie pucołowate policzki.

- Jak to miło, Trzej Królowie przynieśli jej w tym roku ostatni tom do kolekcji, żadnego nie przegapiłyśmy, prawda, Martita? Uwielbia Kaczuszkę Kwaczuszkę, ma wszystkie części.

Doznałam gwałtownego uszczerbku na własnej dumie, mniej więcej na wysokości wątroby.

- Pstroszka. Pstroszka, Śliczna Kokoszka.

- Że jak?

- Nie ja jestem autorką Kaczuszki Kwaczuszki, tylko Francisca Odón.

- Ale! Co też pani! Na pewno?

- Ja napisałam Pstroszkę, Śliczną Kokoszkę - powtórzyłam, rozglądając się przy tym nerwowo.

- E, tej to my nie znamy, prawda, Martita? No to szkoda, pani wybaczy, kochanieńka - odrzekła niepewnie kobieta.

I ruszyła pędem przed siebie, pociągając córkę za sobą.

Usiłowałam odzyskać równowagę po tym spotkaniu, kiedy zbliżył się do mnie mały niechlujny chłopiec, sprzedający sztuczne kwiaty. Co za minuta! W życiu nie byłam tak nagabywaną osobą. Przy tym nawale niespodziewanych rozmówców cała operacja doręczenia okupu znowu weźmie w łeb.

- Niczego nie chcę kupić, kawalerze - rzuciłam spiesznie. Niech sobie idzie i nie przeszkadza.

- Ale tam, zaraz, mała. Ja niczego nie sprzedaję. Mam dla ciebie wiadomość. A kwiatek jest w prezencie - odparł z tupetem kajtek, co to ledwie od ziemi odrósł, po czym wcisnął mi w dłoń karteczkę i szkarłatną różę.

Rozłożyłam papier. Wewnątrz widniał tekst wydrukowany drobnymi literami, podobnie jak poprzedni list od Dumy Robotniczej. Przeczytałam:

To było spotkanie kontrolne. W tej chwili, powtarzamy, W TEJ CHWILI niech pani idzie do kina Platerías. Niech pani kupi bilet i wejdzie tam sama, powtarzamy, PANI SAMA. Usiądzie pani w jednym z ostatnich rzędów po prawej stronie, w fotelu przy przejściu, tak żeby jedno miejsce koło pani zostało wolne. Postawi pani walizkę przy nogach i zacznie pani oglądać film. Niech się pani nie' zatrzymuje przy żadnym telefonie. Obserwujemy panią.

Uniosłam głowę w poszukiwaniu chłopca z kwiatami, ale ten zniknął. Czym prędzej opuściłam dworzec i pokazałam kartkę swoim towarzyszom, którzy zdążyli już stracić nadzieję, że w ogóle wyjdę.

- Piszą, że nas śledzą - szepnęłam zatrwożona.

- Może tak, a może nie - odpowiedział Félix. - W każdym razie chodźmy.

Taksówką dotarliśmy pod kino w dziesięć minut. Platerías znajdowało się w jednej z uliczek starego Madrytu, na tyłach Puerta del Sol. Obskurne niewielkie kino z ręcznie wypisanym afiszem: „Dziś potrójny program specjalny: Ostatni baton w Paryżu, Skosztuj tego i Z podwójną śmietanką”. Kark oblał mi się zimnym potem: mam teraz tak nagabywaną osobą. Przy tym nawale niespodziewanych rozmówców cała operacja doręczenia okupu znowu weźmie w łeb.

- Niczego nie chcę kupić, kawalerze - rzuciłam spiesznie. Niech sobie idzie i nie przeszkadza.

- Ale tam, zaraz, mała. Ja niczego nie sprzedaję. Mam dla ciebie wiadomość. A kwiatek jest w prezencie - odparł z tupetem kajtek, co to ledwie od ziemi odrósł, po czym wcisnął mi w dłoń karteczkę i szkarłatną różę.

Rozłożyłam papier. Wewnątrz widniał tekst wydrukowany drobnymi literami, podobnie jak poprzedni list od Dumy Robotniczej. Przeczytałam:

To było spotkanie kontrolne. W tej chwili, powtarzamy, W TEJ CHWILI niech pani idzie do kina Platerías. Niech pani kupi bilet i wejdzie tam sama, powtarzamy, PANI SAMA. Usiądzie pani w jednym z ostatnich rzędów po prawej stronie, w fotelu przy przejściu, tak żeby jedno miejsce koło pani zostało wolne. Postawi pani walizkę przy nogach i zacznie pani oglądać film. Niech się pani nie' zatrzymuje przy żadnym telefonie. Obserwujemy panią.

Uniosłam głowę w poszukiwaniu chłopca z kwiatami, ale ten zniknął. Czym prędzej opuściłam dworzec i pokazałam kartkę swoim towarzyszom, którzy zdążyli już stracić nadzieję, że w ogóle wyjdę.

- Piszą, że nas śledzą - szepnęłam zatrwożona.

- Może tak, a może nie - odpowiedział Félix. - W każdym razie chodźmy.

Taksówką dotarliśmy pod kino w dziesięć minut. Platerías znajdowało się w jednej z

uliczek starego Madrytu, na tyłach Puerta del Sol. Obskurne niewielkie kino z ręcznie wypisanym afiszem: „Dziś potrójny program specjalny: Ostatni baton w Paryżu, Skosztuj tego i Z podwójną śmietanką”. Kark oblał mi się zimnym potem: mam teraz wejść tam i to w dodatku sama. Była ciemna noc, uliczka słabo oświetlona i jeszcze słabiej uczęszczana. Wnętrze przytulnością mogło konkurować z norą grzechotnika.

- No, chyba nie ma innego wyjścia, musisz tam pójść - odezwał się Félix.

- Będziemy tu czekać, nic się nie martw - powiedział Adrian. - A jak zaraz nie wyjdiesz, to ja tam wejdę.

Podeszłam do okienka, żeby kupić bilet. Umierałam ze wstydu, że ktoś mnie zobaczy, ale kasjerka, rudowłosa mumia o kostropatym nosie, uznała moją obecność za coś jak najbardziej naturalnego.

- Proszę, serdecznie. Tylko pospiesz się, bo właśnie się zaczyna Skosztuj tego. Najładniejszy z tych trzech, przewspaniała opowieść.

No i weszłam, z trudem ciągnąc za sobą ciężką walizę po wykładzinie brudnej do obrzydliwości. Minęłam pomietą zaslonę i znalazłam się w gorącym, dusznym mroku, od którego jechało niedomytymi stopami i gaciami. Powoli z ciemności wyłaniały się sylwetki foteli. Salka była mała i niemal pusta. Zgodnie z instrukcją znalazłam miejsce po prawej stronie, w tyle, i opadłam na fotel, a serce wybijało mi w piersi szybkie bolero. Szczęście, że panował mrok, dzięki temu nie widziałam świństwa, które pokrywało siedzenia: oparcie, na którym na chwilę położyłam rękę, było wilgotne i lepkie. Postawiłam walizkę obok siebie, między moimi nogami a sąsiednim fotelem, i czekałam. Dopiero po paru minutach zaczęłam sobie uświadamiać, co mam przed sobą na ekranie: ciało obok ciała, czarne, nieco zarośnięte otwory, zaślinione usta, gigantyczne penisy. No dobrze - pomyślałam z ulgą - film porno dla homoseksualistów. Rozejrzałam się: pozostali widzowie siedzieli parami, bardzo zajęci swoimi sprawami.

Platerías okazało się kinem dla gejów, która to okoliczność dosyć mnie uspokoiła. O ile nie złapię żadnej choroby wenerycznej, o ile nie zajdę w ciążę przez sam fakt siedzenia na jednym z tych przesiąkniętych foteli, o ile wreszcie nie uduszę się w tym fetorze, to może tym razem uda mi się doręczyć okup - pomyślałam z nadzieją. W tym samym momencie, jakby sprowadzony moją myślą, obok mnie usiadł jakiś wysoki gruby facet.

To, że był wysoki i gruby, wywnioskowałam z jego cienia, z przestrzeni, jaką wypełnił w kącie mojego oka, bo nie śmiałam spojrzeć mu prosto w twarz. Wzrok wlepiłam dalej w ekran, na którym potężny Murzyn wbijał swoją dzidę w szczupłego białasa. No, mój sąsiad zaczął obok mnie czymś manipulować, poczułam, że walizka się

poruszyła, trąciła mnie w nogę. Ale co on tam, do diabła, robi? Czy postanowił przeliczyć miliony, nim odejdzie? Nagle ukradkiem dostrzegłam coś, co przepełniło mnie trwogą: mężczyzna trzymał w dłoni pistolet. Chce mnie zabić? Instynktownie obróciłam się i popatrzyłam prosto na niego: miał szeroką, nieciekawą twarz, otworzył lekko usta i wysunął czubek języka. W ręku zaś trzymał pocerniałego, kaszankowatego członka, sztywnego jak drążek wieszaka. To nie był mój łącznik, to nie był terrorysta, ale jedyny biseks w kinie, jedyny być może biseks na całym świecie, który trafił właśnie na mnie, usiadł akurat na miejscu obok mnie i majtał teraz kitą.

Prychnęłam głośno, zerwałam się i wytaszczyłam samsonite'a pomiędzy foteli. I wtedy to się stało: szłam właśnie w głąb sali w poszukiwaniu innego miejsca, gdy ktoś podszedł z tyłu i złapał walizkę.

- To należy do nas - szepnął mi jakiś głos koło ucha.

Poczułam delikatny, zdecydowany uchwyt czyjejś dłoni na swojej, więc puściłam rączkę. Zdołałam zobaczyć męskie plecy w ciemnym ubraniu, które szły przodem w kierunku wyjścia. Stałam parę chwil sparaliżowana pośrodku przejścia, aż jakiś widz zaczął na głos narzekać, że nic nie widzi. Wybiegłam więc i spotkałam Feliksa i Adriana przy wejściu do kina.

- Widzieliście go? Widzieliście? - krzyczałam podniecona.

- Kogo?

- Faceta z walizką.

- Nie, nie. Tędy nikt nie przechodził. Może jest inne wyjście.

Prawdę mówiąc, było mi wszystko jedno, którędy wyszedł. Ważne, że nam się udało. Udało się zapłacić okup! Koniec zabawy w złodziei i policjantów.

Wyczerpani, wróciliśmy do domu bez słowa. Ciekawe - przedtem ani razu nie pomyślałam, co się stanie po dostarczeniu okupu. Całą energię zużyłam na przeprowadzenie operacji zapłaty. Teraz napięcie opadło, a mnie ogarnęło umysłowe odrętwienie. No tak, udało nam się zapłacić wymaganą sumę, więc należało się spodziewać, że Ramona wypuszczą i że wróci do domu. Perspektywę jego uwolnienia odbierałam z ulgą, z ewidentną ulgą. Ale perspektywa jego powrotu napawała mnie żalem, ewidentnym żalem. Teraz, kiedy do mnie wróci, już nie będę czuła dla niego tego ciepła, co jeszcze niedawno. Wyobraziłam go sobie, jak staje w drzwiach ze zranioną dłonią (biedaczek), jak siada w salonie i opowiada o porwaniu raz, drugi, sto pięćdziesiąt tysięcy razy przez kolejne kilka lat, sto pięćdziesiąt tysięcy powtarzających się nudnych opowieści, bo Ramón mówi w sposób rozwlekły, nużący i koszmarny.

Wyobraziłam sobie, jak Ramón opowiada o porwaniu tysięczny raz, pali z tą swoją manierą palenia, obejmując papierosa okaleczoną dłonią (biedaczek), trzymając go prostopadle do warg i zaciągając się, a potem otwierając głośno usta, by wypuścić dym. Jak zamyka i otwiera je z wilgotnym, mlaszczącym odgłosem, zamyka je i otwiera jak chwytająca pokarm brzana. Nie mogłam już znieść myśli o tym dźwięku, o tych rybich ustach. Dziwne, jak narastają domowe niechęci: początkowo u partnera denerwuje cię to, że cię nie słucha, kiedy mówisz, albo że nie jest wystarczająco czuły, albo że ma wyjątkowo podły charakter, ale z czasem, po przebrnięciu Rubikonu kłótni małżeńskich, prawdziwą rozpacz i wściekłość czujesz, ponieważ twój partner siorbie zupę albo ma zwyczaj gwizdać pod prysznicem. W ten sposób drobne, absolutnie niewinne uprzedzonka osobiste stają się zaczynem urazy i nieporozumienia, matką wszelkiej złości i rozczarowania. Dlatego, myśląc o powrocie Ramona, najbardziej bałam się, że zobaczę i usłyszę, jak mlaszcze przy paleniu papierosa, którego trzyma w poharatanej dłoni (biedaczek). Gdy tylko zaczął cmokać, ogarniała mnie taka odraza, że byłabym mu w stanie wrazić w usta męski parasol.

Przyszło mi jednak do głowy niepokojące podejrzenie, że owa nagła wrogość wobec Ramona mogła się zrodzić pod wpływem mącającej moje zmysły obecności Adriana. Wróci Ramón z tym swoim zgrzebnym gadaniem, papierochami i obciętym palcem, biedaczek, a ja wrócę do życia powszedniego. Bez Feliksa i jego niesamowitych opowieści. I bez Adriana. Nie żebym miała jakieś konkretne plany związane z Adrianem, broń Boże. Ale zrodziło się między nami coś w rodzaju czulej i cudownej gry, która przydawała blasku moim dniom i nieco nawet upajała. I zaczynałam zdawać sobie sprawę, jak dużo będzie mnie kosztować separacja z nimi. Jak dużo będzie kosztować separacja z nim.

Tak sobie o tym wszystkim myślałam w kuchni, gdy siedzieliśmy przy kanapkach i winie, kiedy Adrián oświadczył uroczyście:

- Odkryłem coś, co chyba jest bardzo istotne.

Spojrzeliliśmy nań wyczekująco.

- Słuchajcie, dwudziestoosmioletni facet padł rażony gromem w madryckim zoo. A najdziwniejsze jest to, że tamtego dnia nie było nad miastem ani jednej chmurki, nie spadła ani jedna kropelka deszczu, nie było burzy, więc walnął w niego jedyny piorun w całym regionie.

Spojrzeliliśmy nań zdezorientowani.

- Inny chłopak, dwudziestotrzyletni, roztrzaskał się samochodem na drodze do Guadalajary. Wóz wyleciał z szosy pod wpływem bardzo silnego podmuchu wiatru. Ale tego dnia nie wiał wiatr, a już zwłaszcza taki, którego siła wystarczyłaby do przesunięcia

samochodu. Koleś naturalnie zmarł. I jeszcze coś: dwa dni później jeszcze jeden facet, dwudziestopięciolatek, też miał na autostradzie koło Madrytu fatalny wypadek, kiedy kamień przebił mu przednią szybę. Poddali kamień analizie i okazało się, że to był meteoryt! Fragment materii międzygwiazdnej, odłamek asteroidu, kawałek kosmosu! Zderzenie czołowe z meteorytem jest chyba tak nieprawdopodobne, że aż niemożliwe. Ale się zdarzyło. Co sądzicie?

Spojrzeliliśmy nań z lekką irytacją.

- Nie wiem. A co mamy sądzić? - odparłam.

- No, że dziwne, niewiarygodnie dziwne, to chyba jasne!

- A, przepraszam, do czego teraz zmierzasz?

- No, że... Wiem, to zabrmi jak paranoja albo idiotyzm, albo nawet jedno i drugie, ale czy to nie wygląda na spisek przeciwko młodym facetom? Przecież to jest ewidentnie zjawisko paranormalne. Wiecie, że nie wierzę w przypadkowe zbiegi okoliczności.

Spojrzeliliśmy nań zasmuceni. Ale może tylko ja odczuwałam smutek, bo Félix uśmiechnął się kpiąco. Ten nieopierzony młokos, ten chodzący absurd, zdolny pleść z pasją kosmiczne bzdury, nie zaprzestając jedzenia kanapki, był dziś dużo bardziej pociągający, cudowny i upragniony niż Ramón, czyli mój mąż (biedaczek). Gdybym została z Adrianem, gdybym z nim zamieszkała, zapewne któregoś dnia znienawidziłabym go za jednoczesne mówienie i przeżuwanie, jak w tej chwili, kiedy wszystko dookoła zasypywał mieszaniną okruszków i własnej śliny. Ale dziś nawet to obrzydlistwo zdawało mi się takie ujmujące. Nic na świecie nie wydaje bardziej bezwzględnych, niesprawiedliwych i okrutnych wyroków, jak uczucie.

Ale nie wrócił. To znaczy Ramón. Nie wrócił ani tego wieczoru, ani nazajutrz, ani jeszcze następnego dnia. Nie wrócił ani jego pyszczek brzany, ani okaleczona dłoń (biedaczek). Czas mijał mi więc w kompletnej niewiedzy co do jego losu, a wnętrzości zaczęło zżerać poczucie winy. Doszłam do wniosku, że walizkę mógł mi odebrać jakiś ordynarny złodziejaszek. Doszłam też do wniosku, że może porywaczom się odmieniło i postanowili zażądać jeszcze więcej pieniędzy. Ale przede wszystkim doszłam do wniosku, że mój mąż nie wrócił, bo ja nie chciałam, by wrócił, że moja szwankująca miłość stała się magiczną, fatalną przyczyną jego złego losu, że zginął zabity przez pogardę płynącą z mojego serca. Nabawiłam się od tego gorączki, zrobiło mi się niedobrze, na ustach pojawiły mi się zajady. Ale nawet ta pokuta nie sprowadziła z powrotem Ramona.

Natomiast na horyzoncie pojawiła się sędzia - Maria Martina. Nazajutrz niespodziewanie zadzwonił telefon: prośba, żebym po południu tego samego dnia stawiała się

w sądzie. Wizyta o charakterze nieformalnym, obecność absolutnie nieobowiązkowa, ale sprawa dotyczyła zniknięcia mojego męża, więc byłoby wskazane, bym się

..

4i0 stawiała, jak poinformował mnie z administracyjną butą sekretarz.

Przybyłam na miejsce już trochę zalękniona, ale kiedy wprowadzono mnie do gabinetu Marii Martiny, moje poczucie winy osiągnęło rozmiary tak gigantyczne, że bez oporu wzięłabym na siebie odpowiedzialność za napad na pociąg pocztowy do Glasgow. Ku mojemu zdumieniu nie byłam jedyną wezwaną. Na jednym z krzeseł, z miną obojętną i znudzoną, ściągając kolana jak otyłe baby, siedział inspektor José Garcia. Na powitanie lekko skinął mi głową, a dłonią wskazał wolne krzesło. Byliśmy sami. Niewielkie i liche pomieszczenie stanowiło typowy przykład gabinetu w ponurym urzędzie. Na ścianach wisiało mnóstwo lamp; niemal całą przestrzeń zajmowało ogromne chwiejące się biurko. Jedynym akcentem ludzkim była poduszka leżąca na drewnianym krześle pani sędzi - ma się rozumieć, poduszka o jaskrawych kolorach, pękata jak balon, z wściekle żółtego jedwabiu, z wyhaftowaną na wierzchu białą kurą, kokoszką w butach z obcasami i w spódniczce w grochy. Widać już byłam w życiu skazana na ohydne kwoki.

- Dziękuję za przybycie, pani Iruña.

Odwrociłam się. Do pokoju weszła sędzia. Była prawie tak mała jak ja i z pewnością dużo młodsza, może nawet przed trzydziestką. Miała na sobie luźne ubranie w kolorze granatowym, a przed sobą okazały brzuch, obłądnych rozmiarów ciążę, którą sterowała niczym doświadczony sternik luksusowego jachtu manewrujący dziobem swego statku: z pychą, pogardą i ostentacją. Wspięła się z pewnym trudem na szczyt poduszki i odetchnęła: może poduszka gwarantowała jej poczucie wyższości nad rozmówcami, władzy i surowości. Należała do kobiet szybkich i skutecznych. Nie zaszczyciła mnie spojrzeniem i, wyjąwszy suche powitanie, nie uznała za stosowne przedstawić się, podać mi dłoń czy rzucić jakąkolwiek konwencjonalną formułkę. Otworzyła niebieską teczkę i zajęła się lekturą jakichś dokumentów. Następnie podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

- Od jak dawna pani mąż pracuje dla Dumy Robotniczej?

- Co?

- Od jak dawna przekazuje pieniądze Dumie Robotniczej?

- Jak to?

Wiedza dzieli się na taką, której szukasz, i taką, którą znajdujesz. Wiedza poszukiwana ma najczęściej charakter techniczny albo erudycyjny. Z reguły nabywasz ją krok po kroku, mając zawczasu jakie takie domniemanie tego, co napotkasz. Jasne, czasem rzecz

dotyczy wiedzy emocjonalnej, intymnej. Młoda dziewczica może chcieć się dowiedzieć na przykład, co to jest seks. Ale nawet w takich przypadkach wiedza poszukiwana jest przedłużeniem twego własnego życia. Wzbogaca, a nie pozbawia. Dostarcza nowych informacji, wspomnień, przeżyć. Gromadzi.

Tymczasem wiedza znajduwana raczej wykrawa jakąś część twojej osoby. Raptem kradnie ci niewinność. Oto siedzisz spokojnie, ignorantka szczęśliwa z własnej ignorancji, kiedy - trach! - dopada cię nowina, przekłeta wiedza, której nie pożądałaś. Objawienie najczęściej jest takim trudnym do zniesienia blaskiem, gromem rzeczywistości, który spada z jasnego nieba. Bezlitosnym światłem, w którym odkrywasz, że coś, co dotąd uważałaś za autentyczne krajobrazy, jest tak naprawdę tłem dekoracji, a ty żyłaś w teatrze, wierząc, że to prawdziwe życie. A teraz musisz przemeblować przeszłość, zbudować na nowo swoją pamięć i błagać samą siebie o wybaczenie za taką naiwność i tak bezgraniczną ślepotę. Chcesz czy nie, ale po rzetelnym objawieniu nic nie jest już takie samo.

To mnie właśnie spotkało owego dnia w gabinecie sędzi Martiny: dziesięć lat współżycia z Ramonem runęło w gruzach po trzęsieniu ziemi wywołanym kilkoma słowami tej kobiety. Kim naprawdę jest mój mąż, co myśli, co robi... I kim jestem ja sama, że nie wiedziałam o tym wcześniej...

- Według naszej wiedzy Ramón Iruña od kilku lat pozostaje w kontakcie z Dumą Robotniczą. W sejfie jego gabinetu w ministerstwie znaleźliśmy te oto dwa listy.

W gabinecie Ramona, ależ oczywiście! Ze też nie przyszło mi na myśl tam poszukać! Chociaż - czy porywacze zostawiają ślady przed dokonaniem porwania? Chwyciłam kartki, które podawała mi sędzia, i zaczęłam je łączyć i czytać. Białe papiery zadrukowane tak samo jak list dołączony do tulipanów. Pierwsza wiadomość pochodziła sprzed trzech lat i brzmiała tak:

Mówimy po raz ostatni: oczekujemy najbliższej zapłaty dwudziestego siódmego, pięć czeków bankowych wystawionych przez uzgodnione banki. Nie przyjmujemy żadnej kolejnej wymówki. Albo pan współpracuje i wszystko będzie dobrze, albo nie, i wtedy pan umrze. Duma Robotnicza.

Drugą wiadomość napisano zaledwie dwa miesiące temu:

Żądamy dwustu. Nie jesteśmy zbójcami, ale bojownikami osprawiedliwić społeczność. Nie dopuścimy, żeby taki skorumpowany drobnomieszczanin jak ty wzbogacił się na naszej sprawie. Wybieraj: albo dasz nam forszę, albo sami ją weźmiemy. Pojutrze, o dwunastej, w punkcie Z. Twoja nieobecność będzie miała fatalne następstwa. Duma Robotnicza.

- Co możemy wywnioskować z tych listów? - zapytała sędzia.

Uniosłam głowę.

- Nie wiem.

Sędzia głaskała kota, który pojawił się nagle licho wie skąd. Przepraszam, to nie był samiec, tylko samica, pręgowana kocica o brzuchu rozdętym na skutek zaawansowanej ciąży.

- Zastanówmy się. Czy owe „dwieście” z drugiej kartki z czymś się pani kojarzy? - rzekła chłodno Martina.

- Może chodzi tu o dwieście serów z Manczy albo o dwieście śrubek, a może o dwieście par rajstopek dziecięcych?

Wielkie nieba, sędzia lubowała się w sarkazmie. Hemoroidy. Na pewno używa tej potwornej poduszeczki, bo cierpi na hemoroidy, jak większość ciężarnych - pomyślałam z ponurą satysfakcją (a może hemoroidy dolegają raczej położnicom?).

- Mam wrażenie, że chodzi tu o pieniądze, o dwieście milionów peset - odparłam wyniośle.

- Otóż to, dwieście milionów. Czyli dokładnie tyle, ile im pani zapłaciła.

Nie odezwałam się.

- Droga pani, chyba lepiej będzie, jak nam pani wszystko wyzna. Wiemy, że mają państwo sejf w Banco Exterior, wiemy też, że drugiego wyjęła pani z tego sejfu jakiś spory ciężar. I powiem pani coś jeszcze, bo chciałabym wierzyć, że pani o tym nie wie: w ciągu ostatnich czterech lat pani mąż trwonił fundusze ministerialne, fałszując raporty i ściągając pieniądze za grzywny, których oficjalnie nie wymierzał. Mowa tu o wielkich, ogromnych pieniądzach, o kwocie rzędu sześciu miliardów. Trafiały one na konta dwóch anonimowych spółek-widm, Capital SA i Pstroszka SA, skąd następnie wypływały poprzez czeki na okaziciela i skomplikowane operacje finansowe. Obydwie spółki znikły, a ich prezesi, jak się okazało, mieli fałszywe dowody osobiste. Co oznacza, że sześć miliardów wyparowało.

Do gabinetu weszła sekretarka, w związku z czym sędzia urwała. Nie do wiary, ale sekretarka też była w ciąży. Wysoka i mocarna jak dyskobolka, brzuch miała wielki jak globus. Niewielki pokój wprost emanował wstrzymanymi miesiączkami, poziom estrogenu na metr kwadratowy dosłownie zapierał dech. Sędzia podpisała jakieś dokumenty, brzemienna dyskobolka wyszła; nastąpił dalszy ciąg faktografii.

- Podejrzewamy, że Duma Robotnicza skontaktowała się z pani mężem i szantażem zmusiła go do zdefraudowania funduszy ministerstwa. Zapewne grozili nie tylko jemu; wiemy, że także wysokiemu urzędnikowi władz autonomicznych w Walencji. Ten człowiek również zniknął, najprawdopodobniej również porwała go Duma Robotnicza. Podejrzewamy, że chodzi tu o podatek rewolucyjny, z tym że dosyć selektywnie nakładany. Oskubanie

bogaty nie jest łatwym zadaniem. Duma Robotnicza to małe ugrupowanie i pewnie bardziej im się opłaca skoncentrować na dwóch, trzech wysoko postawionych osobach i za ich pośrednictwem doić skarb państwa. Oczywiście taka koncepcja wymaga, by w szeregach terrorystów znajdował się ktoś obdarzony dobrą znajomością spraw administracyjnych i finansowych. Czy zauważyła pani jakąś zmianę w zachowaniu męża w ciągu ostatnich czterech lat? Stał się bardziej nerwowy, niespokojny, obawiał się czegoś?

Czy zauważyłam? Przecież już cała wieczność minęła od czasu, kiedy w ogóle jeszcze patrzyłam na Ramona! Oczywiście był to jeden z tych przykrych aspektów życia małżeńskiego, o których zazwyczaj się milczy.

- Nie. Niczego nie dostrzegłam - odpowiedziałam z niechęcią.

- Rozumiem. W każdym razie podejrzewamy, że pani mąż na pewnym etapie tego procederu zaczął zostawiać sobie jakąś część defraudowanych funduszy. Gromadził mały, prywatny skarbczyk. Z czasem suma ta mogła urosnąć do, powiedzmy, dwustu milionów.

Przerwała i przyglądała mi się przez kilka chwil.

- Zapewne widok tych pieniędzy przechodzących przez jego ręce był silniejszy od niego. Chociaż możliwe też, iż gromadził ten kapitał, żeby w pewnym momencie zniknąć. Żeby uciec. Ciężko jest wytrzymać kilka lat szantażu terrorystów. Podziękowałam sędzi w duchu za tę furtkę dla godności. Podziękowałam z całego serca.

- Problem w tym, że Duma Robotnicza jakoś zwiedziała się o alternatywnym funduszu, który Ramón Iruña sobie zorganizował. Zaczęli mu grozić i żądać, żeby go oddał. Ale najwidoczniej pani mąż wykazał się większym heroizmem w obronie własnych milionów niż pieniędzy publicznych. Przypuszczalnie odmówił, więc go porwali.

Odwołałam podziękowania dla sędzi. W rzeczywistości miałam do czynienia z odrażającą babą.

- Muszę powiedzieć, że ma pani telefon na podsłuchu, i na podstawie pani rozmów, a także dlatego, że jestem pokojowo usposobiona i wierzę w ludzką uczciwość, postanowiłam chwilowo założyć pani całkowitą niewiedzę o tej sprawie. Rozumiem, iż z początku milczała pani, żeby chronić męża, ale teraz lepiej będzie dla pani, jeśli powie mi wszystko. A przy okazji sama pani sobie pomoże. Bo mogłabym panią oskarżyć o współudział w przestępstwach popełnionych przez pana Iruñę. A jest w czym wybierać, zapewniam.

Owszem, powiedziałam wszystko. Okup zapłacony, sędzia wie więcej, niż powinna, w czym więc może zaszkodzić moje zeznanie? Przeciwnie: Ramón ciągle nie wracał, może to ja mogłabym jakoś pomóc w zlokalizowaniu bandytów. Zatem wyłuszczyłam wszystko na temat milionów, opowiedziałam o wydarzeniach w Mad & Spender, o uciętym palcu - a wszystko to

w obecności niewzruszonego jak posąg inspektora Garcii, który przez cały ten czas nie drgnął ani nie wyrzekł choćby słówka. Oczywiście przyszli po palec Ramona, zanalizowali go w laboratorium, porównując włoski naskórne z włosami, które zdjęłam ze szczotki mojego męża. W końcu orzekli to, co i tak wiedziałam: że obydwie próbki należą do tej samej osoby. Ale to było tydzień później - a tymczasem zdarzyło się wiele rzeczy.

Tamtego wieczoru wróciłam do domu i zrelacjonowałam przyjaciółom słowa sędzi. Mówiąc to wszystko na głos, zdałam sobie sprawę, że nie mam szczególnych powodów do chwały. Jakim cudem niczego dotąd nie zauważyłam? Poznałam kiedyś kobietę, która opowiedziała mi swoje życie: miała męża i trzech już dużych synów; według niej rodzina traktowała ją z czułością i serdecznością należną termie w łazience albo lodówce, dwóm sprzętom niezbędnym w domu dla codziennej wygody, ale kiepskim partnerom do rozmów. Ażeby potwierdzić swoje słowa, powiedziała, jak to raz uderzyła się drzwiami szafy ściennej i przez dwa tygodnie miała podbite oko, ale nikt - ani mąż, ani tych trzech oziębłych nygusów - przez cały ten czas nie zająknął się choćby raz o jej sińcu. Wszelako ta obojętność, która w moich uszach brzmiała jak zbrodnia, ów skandaliczny, barbarzyński chłód jakże błado wyglądały przy mojej własnej, bezdennie okrutnej niewrażliwości.

- To nie może być prawda. Nie uwierzę, że tyle lat żyłam z Ramonem i mimo to zupełnie go nie znam. Jak to możliwe, że od tak dawna go terroryzowali, a ja nic o tym nie wiedziałam...? Biedny Ramón.

- Rzeczywiście, no tak, to nie może być prawda...

- Félix zamyślił się. - Ale głównie dlatego, że cała ta historia wygląda dość dziwnie.

- Co masz na myśli? Dla mnie jest bardzo logiczna i racjonalna. To znaczy sprawa podatku rewolucyjnego, dojenia skarbu państwa i tych tam innych rzeczy, o których ona mówiła.

- Ach tak. Czyli że twój mąż przechowuje w swoim sejfie dwa listy od terrorystów. Nie wszystkie, ale właśnie te dwa, dzięki którym można wywnioskować, dlaczego oszukiwał ministerstwo i dlaczego go porwali.

- A co w tym dziwnego? Może tylko te dwa listy dostał! Na pewno porozumiewali się z nim przez telefon, żeby nie zostawiać śladów. Albo osobiście.

- To prawda - wtrącił Adrián, który usiłował podważyć zdanie Felixa, kiedy się tylko dało. - Słyszałem, że na przykład członkowie ETA bardzo często przy wymuszaniu pieniędzy uciekają się do kontaktów osobistych.

- Tak, jasne - przytaknął kpiąco stary. - I zazwyczaj też stawiają datę na liście z groźbami. Stawiają datę, wysyłają kopię do archiwum, skrupulatnie wpisują list do dziennika

korespondencji. Nie widzisz, że to śmiechu warte?

No tak, pewnie, zgoda. Teraz, kiedy Félix o tym wspomniał, sama zdałam sobie sprawę, że fakt umieszczenia daty też wydał mi się w momencie czytania listów nieco podejrzany. Zaskoczył mnie, ale nie przywiązałam do tego większej wagi, bo cała sytuacja zaskoczyła mnie dużo bardziej, a rewelacje przedstawione przez sędziego poraziły.

- Tak, to jest trochę dziwne - potwierdziłam. - Ale w takim razie o co chodzi, twoim zdaniem?

- Może zawiązał się spisek, mający na celu obciążenie Ramona winą za kradzież pieniędzy - ożywił się Adrián. - Może podrobili listy i porwali ci męża, żeby wyszło, że to on jest odpowiedzialny. Dlatego niczego nie spostrzegłaś, bo nic się nie działo, bo to wszystko kłamstwo.

Bardzo mnie kusilo, by uwierzyć w tę pocieszającą wersję wydarzeń, w wersję, która zrzucała winę z Ramona i zrzucała ją także ze mnie. Félix z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Za dużo w tej historii niejasnych punktów. Powinniśmy przetrząsnąć rzeczy twojego męża, może coś znajdziemy.

- Ale co?

- Cokolwiek, byle co, coś, co nam dostarczy jakichś dodatkowych informacji. Przecież mówiłaś, że znalazłaś rachunek za komórkę? Przejrzyjmy wszystkie numery. Może któryś z nich będzie interesujący.

Oczywiście, to był dobry pomysł. Szkoda tylko, że nie sposób było znaleźć ten cholerny rachunek. Patrzyliśmy na biurku mojego męża, w szufladzie w kuchni, gdzie trzymam wszystkie dokumenty domowe, na półkach, koło notesu z telefonami, między książkami, między pokwitowaniami, zlustrowaliśmy nawet podłogę pod szafą, bo może tam upadł. Ani śladu. Całą godzinę zmitrężyliśmy na szukaniu karteczki, którą przecież chyba położyłam na biurku Ramona. I w miarę jak cała operacja ujawniała swoją bezowocność, rodziły się we mnie absurdalne podejrzenia, które zachowałam dla siebie: rachunek mógł zabrać tylko Adrián. Przebywał u mnie cały czas, wchodził i wychodził, kiedy chciał, z łatwością mógł ulotnić się z fakturą. Ostatecznie - pomyślałam po raz kolejny - kompletnie nie znam tego chłopaka. Ostatecznie wskoczył w środek mojego życia niczym jakiś ufolud na latającym spodku. Nie miał przyjaciół, żadnych znajomych, nikt nie mógł zaświadczyć o jego tożsamości ani przeszłości. Do tego jeszcze był taki przekorny, czasem dziecinny, innym razem błyskotliwy i dojrzały. To też mogła być obłudna gra. Podobnie jak jego umizgi. Bo byłam już niemal pewna, że się do mnie umizgał. Czy to normalne, żeby dwudziestojednoletniemu młodzianowi spodobała się czterdziestojednoletnia kobieta? A

może to też jest część maskarady, ciuciubabki?

- No dobrze - rzekł Félix. - Zapomnijmy o tym cholernym rachunku. Może znajdziemy jakąś inną ciekawostkę.

Rozpoczęliśmy systematyczne przeszukiwanie domu, a zwłaszcza stref pozostających pod wpływem mego męża, a więc jego szaf, regałów i walizek. Była to wycieńczająca, bezużyteczna i nieprzyjemna robota. Zapadł zmrok, a my nadal nie trafiliśmy na nic interesującego, natykaliśmy się tylko więcej kurzu niż podczas burzy piaskowej na środku pustyni. Już miałam się poddać, kiedy Félix obwieścił zwycięstwo:

- Patrzcie, co tu mamy!

Był to telefon komórkowy. Musiała to być komórka Ramona, ta, której nigdy nie widziałam na oczy, a z której on wydzwaniał do sekstelefonów. Leżała wcisnięta w skarpetkę w głębi wysokiego buta mego męża. Bardzo nietypowe miejsce do przechowywania telefonu komórkowego, nie da się ukryć. W drugim bucie, w drugiej skarpetce, znaleźliśmy ładowarkę do baterii.

- Ciekawe, że tak go schował! No nie? - wykrzyknął Adrián.

Félix nic nie powiedział, tylko jęknął żałośnie. Od dłuższego czasu grzebał w butach na czworakach i teraz bezskutecznie usiłował się podnieść.

- Proszę, podajcie mi rękę - wysapał wreszcie z trudem.

- Przepraszam, ojej, przepraszam - powiedziałam szybko.

- To sprawa kolana. Potrafiła mnie kiedyś furgonetka i od tego czasu staw mam trochę sztywny - oświadczył z godnością Félix, kiedy go podnieśliśmy. Wolał przekonywać nas i siebie samego, że jego upośledzenie miało przyczyny zewnętrzne i przypadkowe, że nie wynikało z osobistej hańby, jaką jest rosnąca w nas starość.

- Bateria jeszcze działa. Jest słaba, ale nie wyładowała się do końca - powiedział Adrián, włączwszy telefon.

Iw tym momencie Adrián zrobił coś oczywistego, coś, co i mnie przyszło właśnie do głowy, coś, o czym i Félix powinien natychmiast pomyśleć, gdyby nie fakt, że Félix należy do innego świata, do innej epoki, do rzeczywistości bez telefonów komórkowych i bez pamięci elektronicznej: nacisnął klawisz wybierania i na ekranie wyświetlił się automatycznie ostatni numer, pod jaki dzwono z tego aparatu: 913378146. Nie był to żaden sekstelefon, ale numer abonenta w Madrycie.

- Kojarzysz ten numer? - zapytał Félix.

- Nie. Kompletnie.

- No to spróbujmy. Może się uda.

- Co spróbujemy? - spytałam, bojąc się tego, co usłyszę.

- Zadzwońmy. Zobaczymy, co będzie. Ty zadzwoń. Jak odbiorą, powiesz, że telefonujesz w imieniu Ramona. Ze jesteś jego żoną. Przecież to prawda.

Nigdy nie lubiłam gadać przez telefon, nic więc dziwnego, że tym mniejszą miałam ochotę na rozmowę przez komórkę, którą mój porwany mąż ukrywał w czubku buta. Ale mnie też zaintrygował ten numer. Odetchnęłam głęboko, nacisnęłam klawisz drżącą dłonią i przycisnęłam aparat do ucha. Sygnał, drugi, trzeci. Już czułam ulgę, że nikt nie odbierze, kiedy ktoś podniósł słuchawkę.

- Czego?

Męski głos, młody, niemiły.

- Dzie... Dobry wieczór, jestem... Dzwonię w imieniu Ramona.

Zapadła króciutka cisza.

- Pomyłka.

- Ramona Iruñi. Wie pan. Iruña.

Teraz cisza trwała dłużej. Gdy mężczyzna odezwał się znowu, jego głos wyraźnie stężał. Brzmiał ostro i zimno.

- Nie znam żadnego Ramona.

- Chyba jednak pan zna. Ramón mnie prosił, żebym zadzwoniła. Jestem Lucia. Żona Ramona.

- Mówiłem, że to pomyłka. Niech mi pani da spokój - bąknął facet i raptownie odłożył słuchawkę.

No cóż, rozmowa niewiele dała, ale byłam przekonana, że gość kłamał. Że coś ukrywał. Że na pewno znał mojego męża. Właśnie mówiłam przyjaciółkom o moich podejrzeniach, opisywałam ton głosu rozmówcy i jego powtarzające się milczenie, kiedy wtem rozległ się dzwonek komórki. Wszyscy troje aż podskoczyliśmy i popatrzyliśmy po sobie zaskoczeni. Odniosłam wrażenie, że to telefon z zaświatów.

- Odbierz! Odbierz! Bo odłoży słuchawkę - zaczęli się przekrzykiwać Félix i Adrián.

Chwyciłam jak najostrożniej telefon, jakby to był skorpion, i przerażona przyłożyłam do ucha:

- Tak?

- Ramón Iruña?

To ten głos. Ten sam facet, z którym przed momentem rozmawiałam.

- Nie... Nie ma go. Tu Lucia, jego żona. Już... już panu mówiłam, że dzwonię w jego imieniu.

Kolejna krótka pauza.

- Aha. Rozumie pani, musiałem sprawdzić, kto dzwonił - odezwał się w końcu.

- Tak, tak, oczywiście.

- Poza tym mówił mi, że pani nic nie wie.

- Tak, tak, oczywiście. To znaczy, nie wiedziałam. Nie, nie, nie wiedziałam.

- Mówimy o tym samym?

- Tak, tak, oczywiście - odrzekłam, bardziej zagubiona niż Robinson Crusoe.

- Aha. Przepraszam, że pani napędziłem stracha, ale rozumie pani, że nic do pani nie mam.

- Nic. Nic pan do mnie nie ma.

- Jestem zawodowcem, żeby była jasność.

- Ma się rozumieć.

- Aha. No dobra, słucham.

- Ale co? - przeraziłam się.

- Co mam zrobić?

- A, o to chodzi! - przeraziłam się jeszcze bardziej. W głowie miałam rozpaczliwą pustkę.

- Ale uprzedzam, że moja cena uległa podwojeniu. Nie toleruję żadnych niespodzianek.

- Aha - przytaknęłam, sztywna ze zdenerwowania.

Iwtedy przyszła mi do głowy zbawcza myśl: - Wie pan, nie chcę o tym mówić przez komórkę. Bo... bo wiadomo, jak to jest z komórkami, wszyscy podsłuchują. Lepiej się spotkajmy.

- Dobra. Tam gdzie zawsze?

- Aha. To znaczy nie! Nie tam, gdzie zawsze. Lepiej w... w...

Félix podsunął mi kartkę z pospiesznie nabazgraną nazwą.

- W barze Paraíso? - zaproponowałam. - Wie pan, ta kawiarnia koło...

- Aha. Wiem. Znakomicie, jutro o pierwszej po południu w Paraíso. I pani weźmie pieniądze. Bez pieniędzy nici z umowy.

Wyłączyłam się, cała drżąc z podniecenia. Byłam spocona, uszy mi płonęły, ręce się trzęsły, serce podskakiwało w piersi, a przy tym muszę powiedzieć, że wszystkie te objawy podziały na mnie optymistycznie i bojowo. Było to coś podobnego do atawistycznych odruchów łowczych.

Jednak w miarę jak opadało ze mnie podniecenie myśliwego, a gorączka mijała,

pojawiło się kolejne uczucie, które w parę minut opanowało mój umysł: atak czystego przerażenia połączonego z jeszcze większym poczuciem winy z powodu faktu, że w ogóle gdziekolwiek zadzwoniłam.

- Boże! Jak mogłam być tak nieodpowiedzialna, jak mogliście mi na to pozwolić? Umówiłam się z nie wiadomo kim, może z jakimś terrorystą, płatnym zabójcą, a teraz ten zabójca żąda ode mnie forsy nie wiadomo na co, wie, kim jestem, pewnie wie też, gdzie mieszkam, jeżeli jutro nie pojedę do Paraíso, przyjdzie tu po mnie, a jak pojedę, to jeszcze gorzej!

Tak się przelęknłam, bo też naprawdę miałam poważne powody do lęku, że we trójkę postanowiliśmy zawiadomić policję. Zadzwoniłam do inspektora Garcii, który jak tylko dowiedział się, co się stało, czym prędzej przybył do mnie do domu. Pół godziny później już siedział w kuchni, z komórką w dłoni, a jego twarz wyglądającego szpicla była nieco bardziej ożywiona niż zazwyczaj.

- Bardzo ciekawe. Ważny ślad. Dobra robota. Spotkanie. Telefon. Jutro wszyscy pojedziemy - oświadczył w swoim typowym telegraficznym stylu.

- Jak to? Mam jechać do Paraíso?

- Jasne. Jest pani pod ochroną. Nic nie będzie. Dużo policjantów.

- I właśnie tego najbardziej się boję! Że tam będzie pełno policji! A facet zorientuje się, że go wykiwałam, iukreći mi łeb.

- Nie, nie. Zatrzymamy go. Spokojnie.

- A nie możecie podstawić zamiast mnie policjantki?

- zaproponowałam, przypomniawszy sobie jakiś film.

- Nie. On panią zna. Tak mi się zdaje. Musi pani pójść.

Faktycznie, sama wiedziałam aż za dobrze: musiałam pójść. To był jedyny trop, jaki mógł nas zaprowadzić do Ramona, który nie dawał znaku życia. Ramón i jego amputowany palec, biedaczek. Ramón nieznan, Ramón niezauważany przeze mnie, Ramón trochę tajemniczy i podejrzan, ale będący nadal moim mężem, a w tej chwili znajdujący się być może w nadzwyczaj niebezpiecznej sytuacji. Byłam mu to winna.

No i pojechałam. Na czczo, bo zwymiotowałam herbatkę lipową, którą usiłowałam wypić. Paraíso to ta stara kawiarnia przy Gran Vía, w której często spotykają się artyści: malarze, pisarze. Ma duży bar w kształcie litery U i kilka stolików z ciemnego żeliwa i marmuru, przy których stadnie zasiedli policjanci w cywilu. Środki ostrożności godne superprodukcji hollywoodzkiej, tyle że w przeciwieństwie do filmu od tutejszych stróżów porządku tak jechało gliną, że trudno było ich nie poznać. Było oczywiste, przynajmniej dla

mnie, że mimo totalnie cywilnych ubrań - ci trzej mocarni, burakowaci młodzieńcy w kącie, z aparatami w uszach, to nie są przypadkowi goście, podobnie jak wąż przy drzwiach, który bez końca czytał tę samą stronę gazety, nie mówiąc o inspektorze Garcii, opartym o wiekową ladę z brązu i drewna, z miną nie mniej obojętną i niewinną niż sęp przy dogorywającym ciele. Uprzedzono mnie, że o wpół do pierwszej wszyscy będą na miejscu. Przyjechałam za dziesięć pierwsza. Stałam w końcu baru, tym oddalonym od wejścia, itkwiłam tam ze spierzchłymi ustami, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą, wstrzymując oddech za każdym razem, kiedy tylko widziałam, że ktoś popycha z zewnątrz wysokie, wąskie drzwi z matowego szkła. Minęło mnóstwo czasu, zamówiona kawa zdążyła ostygnąć, zanim ją tknęłam, a szczęki rozboleły mnie od zaciskania zębów. Piętnaście po drugiej nastąpił wielki zryw, nagły zamęt, autentyczna akcja policyjna. Jakiś chłopak, który usiłował uciec, został przeszukany, postawiony pod ścianą, postraszony i spisany. Znaleźli przy nim grudkę haszyszu i gram koki podłej jakości, ale najwyraźniej nie był to nasz człowiek. O trzeciej, kiedy faceci z aparatami zamówili u kelnera kanapki z szynką jabugo, inspektor Garcia uznał, że należy odwołać operację.

- Nie wyszło. Zdarza się. Ciężka doła policji. To raczej powołanie niż zawód - powiedział z melancholią. - Może nie przyszedł. Może przyszedł, ale coś zwąchał. Dostanie pani obstawę, na wszelki wypadek.

Tak więc wróciłam do domu w koszmarnej formie: z całym dotychczasowym strachem, z jeszcze większą niepewnością i z dwoma goryłami na karku. Pierwsi wkroczyli do mieszkania, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, a następnie zeszli do bramy.

- Przynajmniej teraz, z tymi dwoma na dole, będziesz bezpieczniejsza. - Adrian starał się dodać mi otuchy.

Ale mnie się wydawało, że jest dokładnie na odwrót: policjanci stali w bramie, ponieważ sytuacja stała się bardziej niestabilna i niebezpieczna. Moje dotychczasowe, nudne i bezprzedmiotowe życie było teraz dla mnie obiektem westchnień. Zawsze byłam okropnym tchórzem: predestynują mnie do tego wyobraźnia i brak wewnętrznej siły. Toteż w ciągu paru godzin po nieudanym spotkaniu w kawiarni zdążyłam rozważyć tysiąc jeden ewentualnych sposobów na zamordowanie mnie: na przykład mój anonimowy rozmówca telefoniczny wdrze się przez okno kuchenne, skoczywszy uprzednio z tarasu; albo zmyli policję i wejdzie spokojnie przez frontowe drzwi; albo schowa się w kotłowni w piwnicy; albo wespnie się od strony patia po rynnie; albo już jest (kto wie) w mieszkaniu Adriana, o ile Adrián (kto wie) ma coś wspólnego z porywaczami.

Na szczęście ten napad paranoi minął szybko i na dodatek gwałtownie. Tego samego

wieczoru zadzwonił inspektor García. Było już koło dwunastej, czyli w złowieszczej godzinie duchów.

- Niech pani przyjedzie na komisariat. Ważna informacja.

Pojechałam, strwożona, w towarzystwie goryli. Inspektor zaprowadził mnie natychmiast do gabinetu, gdzie zalatywało samcem i starym tytoniem, i rozłożył przede mną gazetę na stronach lokalnych.

- To poranny „El País”.

„Mężczyzna zastrzelony przy wejściu do swojego domu, prawdopodobnie ofiara porachunków” - głosił tytuł, a pod spodem widniała niewielka fotografia zabitego: młody facet, brunet o wyglądzie prowincjonalnym, całkiem niebrzydki. I do tego znajoma twarz.

- To... To chyba jeden z tych, co nas napadli - powiedziałam półprzymkniętymi oczami.

- Tak? Ciekawe.

I García pokazał mi inne zdjęcia, portrety z archiwów policyjnych, migawki z momentów zatrzymania. Tak, bez wątplenia: ten facet był jednym z napastników.

- Czyli to on - García potwierdził oczywistość. - Facet z Paraíso. Na którego czekaliśmy. Jego telefon to nasz telefon. Dlatego nie przyszedł.

- Dlaczego?

- Bo już był sztywny.

Przeczytałam uważnie doniesienie prasowe. Zastrzelili go o dziesiątej czterdzieści pięć przed południem. Z samochodu. Niezidentyfikowana ręka z zabójczą precyzją wyłoniła się zza szyby. Metoda niezbyt typowa, ale popularna wśród terrorystów. „Urbano Rejón Olla alias Rusek miał na koncie liczne kradzieże z bronią w ręku, wymuszenia i zamachy”. Urbano Rejón Olla to był ów nieboszczyk, głos w telefonie, mój bandzior. Trup, który splamił mnie swoją krwią. Przez niego poczułam się dziwnie zamieszana w to wszystko i nawet współodpowiedzialna, co jeszcze bardziej pogrzyżyło mnie w odmętach koszmaru.

- Pech. Ktoś go uciszył, żeby nie wygadał.

Wróciłam taksówką, bo García postanowił natychmiast zwolnić moją ochronę. Twierdził, że skoro Urbana już nie ma, nic mi nie grozi. Nie potrafiłam pojąć jego rozumowania.

- Obawiam się, że dał ci ochronę nie po to, żeby cię ubezpieczała, ale żeby cię wystawić i zatrzymać Urbana, gdyby chciał się z tobą skontaktować - powiedział Félix.

- Tak naprawdę to chyba w żadnym momencie nikt ci nie zagrażał.

Kto wie... Ale zabójstwo bandyty dowodziło, że ci ludzie potrafią mordować. Nie tylko porywać, nie tylko obcinać palce, ale i mordować. Biedny Ramón. Chociaż nie, raczej ja

biedna. Bo teraz zrozumiałam sens rozmowy z tamtym przez komórkę. Że mu powiedzieli, że ja nic nie wiem. I że nic do mnie nie ma. Czy Ramón mu zlecił, żeby na mnie napadł? No nie, absurd, jaki to ma sens? Ktoś musiał być podstawiony za mojego męża. To możliwe. Ktoś, kto udawał, że jest kimś innym. To łatwe. To się często zdarza. Iluż to udaje kogoś innego, udaje, że nie jest sobą? Tego ranka Adrián zszedł na śniadanie bardzo późno, prawie o wpół do dwunastej. Mówił, że miał ciężką, niespokojną noc, nie mógł spać, a potem zasnął i zasnął. Dużo wymówek, chyba za dużo. Słów, które miały usprawiedliwić jego nieobecność i stworzyć zasłonę dymną. Słów, które miały zataić ewentualność wyjazdu samochodem, wymierzenia, wystrzału, zabójstwa.

Należałoby zapytać, dlaczego Lucia Romero tak bardzo straciła zaufanie do Adriana. Dlaczego nie podejrzewała Feliksa, który przecież, według własnych zeznań, był niegdyś przestępcą i terrorystą? Albo Jose Garcii, inspektora o posępnym spojrzeniu i nieprzeniknionej twarzy filmowego czarnego charakteru? A jednak uprzedzenia żywiła tylko do chłopaka. Owszem, przeciwko niemu przemawiało kilka przedziwnych zbiegów okoliczności, z których dałoby się sklecić garść podejrzeń. Ale były to argumenty o nikłej sile przebicia i w sumie mało spójne. W żaden sposób nie usprawiedliwiały jej nastawienia.

Przypuszczalnie strach Lucii miał inną przyczynę. Mógł nią być na przykład młody wiek Adriana. Jego urok. I podstawowa sprawa - to, że był mężczyzną. Otóż młody wiek był atrybutem niepokojącym. Zdaniem niektórych młodość jest niewinna, przy czym niewinność należy rozumieć jako coś w rodzaju automatycznej predyspozycji do dobroci. Tymczasem Lucię młodzi ludzie wprawiali w zakłopotanie swoim niedookreśleniem: byli nie tyle niewinni, ile niewyraźni, jak istoty niedokończone, które nie zdradzają jeszcze swej wielkości czy małości, skłonności do partnerstwa albo do tyranii. Nie chodzi o to, że w głębi duszy nie byli jeszcze tym, kim mieli się później stać: przyziemnymi egoistami, zbawcami ludzkości albo seryjnymi mordercami. Byli wszystkim tym naraz, i nie tylko, ale dotąd nie dokonali żadnego czynu, który by sankcjonował ich rolę w powszechnej świadomości. Hitler był kiedyś młodzieńcem i Kuba Rozpruwacz był młodzieńcem, a Stalin musiał w młodości rozdzielać czarujące gruzińskie uśmiechy. Każdy młody człowiek był swoją własną kryjówką, zakamuflowaną tożsamością, tworzoną z wiekiem aż do chwili osiągnięcia punktu kulminacyjnego wszelkiego bytu, czyli starości. Dlatego Félix nie napawał Lucii strachem: dziadek zdołał już udowodnić, kim jest, zakończył swoją metamorfozę. Adrián zaś wciąż był zagadką. Nie wiadomo, jakie zdrady, jakie niegodziwości, jakie podłości mogły się w nim ukrywać.

Ale jeszcze bardziej obawiała się Lucia Adrianowej męskości. Nie ma na świecie

kobiety, która nie znalazłaby albo nie przeczuwała krzywdy zadawanej przez samca, bólu, jaki potrafi zadać, choroby, jaką przynosi miłość. Lucia nie miała tu na myśli łez wywołanych czyjąś oziębłością, rozczarowaniem, tym, że nie kocha cię tak, jak byś pragnęła, że w końcu zostawia cię dla innej kobiety. To są tylko zwykłe cierpienia serca, aczkolwiek ranią głęboko jak nóż wbity po rękojęść. Nie, tak naprawdę Lucia strasznie bała się męskości jako takiej, bała się czegoś perwersyjnie nienazwanego, co stanowi o płci przeciwnej, bała się ciemnego lustra. Tego, że mężczyzna potrafi ją zniszczyć.

Wszyscy nosimy w sobie swoje własne piekło, nasz wyłączny wariant zagłady, osobisty szkic naszej klęski. W którym momencie, dlaczego i w jaki sposób bezdomny staje się bezdomnym, nieudacznik przegranym, a alkoholik człowiekiem z marginesu? Przecież wszyscy mieli kiedyś ojców i matki, może nawet byli bardzo kochani. Niewątpliwie wszyscy kiedyś wierzyli w szczęście, w przyszłość, byli małymi psotnikami i młodzieńcami o uśmiechach czarujących jak uśmiech Stalina. Ale pewnego dnia coś pękło i zwyciężył chaos.

Zagłada osobista to prawdziwa zaraza: lęgnie się w naszym wnętrzu niczym choroba tropikalna, podstępnie i ukradkiem, i czeka - lata, może nawet dziesięciolecia - aż osłabnie nasza czujność i pękną linie obrony. Wówczas rusza machina zniszczenia. Otóż Lucia spostrzegła, że miłość nierzadko bywa koniem trojańskim, który przynosi zwycięstwo temu wrogowi wewnętrznemu. Tego właśnie przede wszystkim bała się Lucia: że mężczyzna przyniesie jej zagładę, że zburzy równowagę. Był to lęk przed facetem tyranem i kobietą, która daje się styranizować. Która ofiaruje mu wszystko, łącznie z rozumem, a całą tę pożałowania godną degrengoladę nazwie miłością. Która uzależni swoje życie od cierpienia. Z powodu owej ciemnej strefy rozpościerającej się pomiędzy obydwoma płciami Lucia bała się mężczyzn. I może dlatego podejrzewała Adriana: był niebezpieczny, ponieważ był atrakcyjny.

Wiele lat temu, jeszcze zanim w jej życiu pojawił się Ramón, w szalonej epoce promiskuityzmu, przydarzyło się Lucii coś niebywałego. Na jej automatycznej sekretarce ktoś pozostawiał obraźliwe wiadomości: „Świnia, kurwa, wywłoką”. Głos kobiety, młodej kobiety, wyrzucał z siebie obelgi tak pospolite, tak mało pomysłowe, że aż naiwne w swej napastliwej oczywistości. Czasami telefon dzwonił, kiedy Lucia była w domu, a gdy podnosiła słuchawkę, nic nie było słychać, a ściślej mówiąc, słychać było owo pełne napięcia wyczekujące milczenie, przesiąknięte wstrzymanym oddechem, nieodmiennie towarzyszące cudzej obecności na drugim końcu kabla. Historia trwała już ze trzy lub cztery tygodnie, Lucia traktowała ją jako mało istotną uciążliwość - ani głos, ani treść komunikatów nie dawały powodów do niepokoju. Może to była jakaś głupia nastolatka, może niegroźna

wariatka, a może znudzona telefonistka, która jest jednocześnie nastolatką, głupią dziewczyną i trochę wariatką. Wyjąwszy chwile odsłuchiwanie wiadomości, Lucia nie była w stanie przypomnieć sobie nawet głosu anonimowej kobiety.

Któregoś wieczoru wracała z kolacji na mieście. Właśnie otwierała drzwi klatki schodowej, gdy usłyszała, że ktoś dzwoni. Wbiegła do mieszkania, rzuciła się w stronę aparatu z drzeniem, jakie zazwyczaj wywołują późne telefony, a jak podejrzewam, miała też nadzieję, że to Hans. Ale nie. Odezwał się kobiecy głos.

- Lucia?

- Tak.

- Tu Regina.

- A, Regina - powiedziała Lucia z udawaną poufałością, jednocześnie gorączkowo szukając w pamięci. Imię nie należało do najpopularniejszych, a mimo to nie kojarzyła go z nikim. - Regina... Jaka Regina?

- Jasne, udawaj głupią... Udawaj roztargnioną... Nie przypuszczałam, że posuniesz się do tego, by udawać, że się nie znamy.

Najbardziej zdumiała Lucię nie treść słów, ale wściekłość i gorycz, z jakimi zostały wypowiedziane.

- Co to znaczy? Przepraszam, ale absolutnie nie mam pojęcia, kim jesteś.

- Jestem żoną Constantina - syknęła tamta.

Nowe poszukiwanie w pamięci. Constantino: najmniejszego echa na synapsach. A już tym bardziej w zestawie Regina i Constantino, jak z dynastii habsburskiej. Gdyby ich poznała, na pewno by nie zapomniała, nie takie imiona.

- Jak wyżej: nie kojarzę żadnego Constantina i nie potrafię cię nigdzie umiejscowić.

- Jego też się wypierasz?! Co za cynizm! Jesteś gorsza niż... niż... jesteś potworem.

Żaden rozsądny człowiek, odebrawszy podobny telefon owpół do pierwszej w nocy, nie będzie siedział ze słuchawką przy uchu i wysłuchiwał, jak jakaś wariatka go obraża. I nawet Lucia, którą trudno określić mianem rozsądnego człowieka, już miała dość bezsensownej agresji kobiety i zamierzała skończyć rozmowę, kiedy tamta dorzuciła:

- Na to, żeby uwieść mi męża, chełpić się nim i paradować z nim po całym Madrycie, to masz odwagę, ale przede mną się nie przyznasz? Jesteś tchórzem.

Uwiodła jej męża? Kolejne frenetyczne poszukiwania po zakamarkach pamięci: Constantino, albo może Constante, ewentualnie Tino - znała kogoś takiego? Spała z nim i na przykład o nim zapomniała? Przed Lucią otwarła się otchłań: czy można się z kimś związać i potem tego nie pamiętać? Czy można wieść równoległe codzienne życie w amnezji, podobne do

nocnego życia lunatyków? Pokój, wyziębiony i nadal ciemny, bo wchodząc w pośpiechu, zapaliła tylko światło w przedpokoju, zaczął się teraz pod jej spojrzeniem przemieniać w niesamowite miejsce, w którym nie sposób było rozpoznać znajome meble, wszystkie powierzchnie doznały lekkiego, lecz niezaprzeczalnego skrzywienia, a powietrze stawało się coraz bardziej ciężkie i duszne.

- Co takiego? - Lucii aż zaschło w ustach.

- I jeszcze dajesz mu pierścienie w prezencie, żeby je zakładał i mnie dobijał.

Onie, co to, to na pewno nie. Nie przypominała sobie, żeby jakimkolwiek mężczyźnie sprezentowała pierścień. To nie w jej stylu. Fu, co za brak gustu! Nie mieściło jej się to w głowie. Przecież to na pewno nie o nią chodzi! Powietrze na powrót stało się lekkie, a pokój odzyskał realne kształty.

- Ale z kim ty chcesz rozmawiać? - spytała, nieco już uspokojona.

Pierwszy raz w głosie nieznajomej można było wyczuć ton niepewności.

- No, z... Przecież z Lucią Romero.

- Z Lucią, tą brunetką, maleńką, co wygląda na dwudziestkę? - upewniała się Lucia, każdym słowem odtwarzając własną tożsamość wobec niepokojącej perspektywy konfrontacji z całym zalewem różnych Lucii Romero, które lada chwila mogły się rozmnożyć i zacząć rozdawać pierścienie żonatym facetom.

- Tak, tak, jasne! Z tą autorką książek dla dzieci!

- odrzekła tamta zniecierpliwiona.

Lucia westchnęła. No tak, to ona. Ale to nie była ona.

- To rzeczywiście ja. Ale to nie ja. Zapewniam cię, zaklinam, przysięgam, nie znam żadnego Constantina.

W determinacji Reginy pojawiły się pierwsze rysy. Wymieniła dowody głosem rozniewanym, ale można było odnieść wrażenie, że recytuje je, żeby samą siebie utwierdzić w przekonaniu:

- Jak to nie, skoro słyszałam, jak rozmawia z tobą przez telefon, skoro czytałam twoje listy, skoro widziałam pierścień?!

Ta znów z tym pierścieniem.

- Słyszałaś mój głos, kiedy rzekomo rozmawiał ze mną? Czyli tak naprawdę nic nie słyszałaś? Listy można bardzo łatwo sfabrykować. A pierścień pewnie sam kupił.

- Fakt, raz, jak chwyciłam słuchawkę, już odłożyłaś...

- wybąkała Regina w zamyśleniu. - Ale to niemożliwe. Niemożliwe, że to wszystko kłamstwo, nie wierzę. Poza tym on wszystko o tobie wie, zna twój dom, twój adres i telefon,

mogę ci opisać salon, w którym teraz jesteś! Masz okrągły stół z indyjskim obrusem, stary pleciony fotel bujany i czerwoną sofę.

Każdy rozsądny człowiek, odebrawszy o wpół do pierwszej w nocy telefon od anonimowej kobiety, która ma do opowiedzenia tak nienormalną historię, dawno już by miał dość i niezwłocznie odłożyłby słuchawkę. Ale Lucia być może ma trochę nierówno pod sufitem, poza tym z pewnością posiada okrągły stół z indyjskim obrusem i drewniany fotel na biegunach. Sofa co prawda jest ciemnoniebieska, jednak w zwodniczym półmroku nagle zaczęła zmieniać kolor na krwistoczerwony. Lucia ostatnim wysiłkiem woli postanowiła się opanować.

- Tak, niejaki Constantino zna tu parę szczegółów, co mnie niepokoi i chciałabym wiedzieć, jak do tego doszło. Ale powtarzam, nie wiem, kto to jest, nic nas nie łączy, a ja nikomu nie podarowałam pierścienia.

Sprawa pierścienia okazała się przyczółkiem rzeczywistości, faktem uspokajającym i niezaprzeczalnym.

- A jeżeli mi nie wierzysz, jestem gotowa w tej chwili spotkać się z tym Constantinem i sprawdzić, czy będzie podtrzymywał swoją wersję. Słuchaj, mnie jest wszystko jedno, ale robię to ze względu na ciebie, bo musisz się przekonać, że ten facet robi cię w konia.

Każdy rozsądny człowiek itd.; ale Lucia zamiast itd., czyli zamiast odwieść słuchawkę, poczuła, jak przepełnia ją przemożna potrzeba wyjaśnienia sytuacji. To dla tej dziewczyny, dla tej nieszczęsnej ofiary, dla tej Reginy, z poczucia solidarności ze skrzywdzoną kobietą - myślała Lucia, usiłując tamtą namówić na szybkie spotkanie. Jednak tak naprawdę robiła to zaniepokojona istnieniem jakiejś innej, wymagowanej Lucii Romero. Musiała z nią skończyć, zabić ją, uwolnić się definitywnie od tamtego alternatywnego życia. Wystarczająco duży bałagan w życie Lucii wnosily postacie zaludniające jej wnętrze, żeby jeszcze miała użerać się z jakimiś dublerami na powierzchni.

Ostatecznie zdołała przekonać zbitą z tropu i wystraszoną Reginę, która zdążyła już wpaść w histerię, że może dobrze byłoby się spotkać.

- Ale on nie będzie chciał przyjść, głowę dam.

- To mu nie mów, że ze mną gadałaś. Zaprowadź go do jakiegoś baru, który lubi, ja też tam przyjdę.

Wybrała nędzny lokalik przy ulicy Victoria, bo państwo cesarstwo Habsburgowie mieszkali gdzieś w pobliżu. Regina miała pójść po męża, który pracował w kuchni jednej z okolicznych restauracji i wychodził koło wpół do drugiej w nocy (wcześniej był roznosicielem pizzy i, wedle relacji dziewczyny, rzekomo tak właśnie poznał Lucię - któregoś

dnia Lucia wystąpiła w telewizji, a Constantino powiedział: „znam tę babkę, to moja klientka, zaniósłem jej parę razy pizzę, to kokietka, leci na mnie”), a następnie miała go jakoś zaciągnąć do baru.

Kiedy Lucia dotarła do umówionej spelunki, nikogo nie zastała. Była za dwadzieścia druga, a nabzdyczony kelner odmówił przyjęcia zamówienia:

- Zamykamy.

Musiała wyjść i zaczekać przy drzwiach. Diabli wzięli cały efekt zaskoczenia. Był luty, panował chłód, a wąskie uliczki zionęły pustką. Walące się, obdrapane i brudne domy w posępnym świetle latarni wydawały się jeszcze nędzniejsze i bardziej ponure. Opryskliwy kelner zamknął z trzaskiem zasuwę i zniknął. Lucia czekała dalej, ale jej niepokój wzrastał. Wcale jej się nie podobało, że sterczy tam sama po nocy, w centrum starego Madrytu. Już chciała sobie pójść, kiedy ujrzała, jak w jej stronę biegnie jakaś dziewczyna.

To naprawdę była dziewczyna: na oko nie miała więcej jak dwadzieścia lat.

- Cześć... Jestem Regina... - wydyszała.

Była autentycznie ładna, prawdziwa piękność, pomimo źle utlenionych włosów, tandetnych obcisłych spodni i straszliwej dżinsowej kurtki na sztucznym misiurku, ze złotymi ćwiekami na karczku. Miała niezwykle zielone oczy, delikatną i żywą twarz, perfekcyjnie wykrojone usta. No i była wysoka, dużo wyższa od Lucii, duża dziewczyna o wspaniałej figurze.

- Nie dałam rady go przyciągnąć. Chyba się połapał. Pognał w stronę domu. Jak się pospieszymy, to go dorwiemy.

I faktycznie tak się pospieszyły, że Lucia nie zdążyła się nawet zastanowić, co robi. Regina wyrwała do przodu, a Lucia za nią, zaułkami miejskiego labiryntu, mknąc pośród źle zaparkowanych samochodów, przemierzając kolejne uliczki, coraz ciemniejsze i coraz ciaśniejsze, uliczki czarne, wilgotne i połyskujące od mżawki, wyludnione chodniki miasta-widma, aż wreszcie Regina zagłębiła się w zniszczony pasaż handlowy, który nawet za dnia musiał wyglądać podle, teraz zaś, gdy sklepiki były pozamykane (liche butiki z odzieżą, zakurzone pasmanterie, zagracone punkty ze sprzętem ortopedycznym), a wokół panowała ciemność - mógł uchodzić za scenę horroru. Gdzie ona mnie ciągnie, czego naprawdę ode mnie chce ta kobieta, dlaczego mnie w to wrobiła - pomyślała Lucia z nagłym przestraszeniem, spiesząc paskudną uliczką, w ogłuszającym echu własnych kroków i z gmatwaniną krwawych obrazów w głowie. Ale nie, już mijały pasaż, już wychodziły po drugiej stronie, z powrotem na ulicę, w noc, w deszcz, w blade światło latarni. Przejście okazało się skrótem, bo parę metrów dalej przeciwnym chodnikiem pędziła w mroku jakaś

schylona ciemna sylwetka.

- To on - jęknęła dziewczyna. - To Constantino.

Pognała za mężczyzną dzikimi susami walkirii, a Lucia bez tchu podążyła za nią. Tamta dopadła go u szczytu wzniesienia; widać było dwie pochylone głowy, które szepczą coś niezrozumiale. Zmęczone serce nagle skoczyło jej w piersi. Oto koniec pościgu, rozwiązanie zagadki, czarodziejskie zwierciadło. Zebrała siły, przyspieszyła kroku i pokonała ostatnie metry wzgórza. Stali do niej plecami, nieopodal latarni, dlatego jego twarz, gdy się odwrócił, była dobrze widoczna. Też młody, miał najwyżej ze dwadzieścia pięć lat. Drobny, niziutki, może parę centymetrów wyższy od Lucii. Brzydki, z wystającymi zębami, twarzą gryzonia i paroma włosami na krzyż, przylizanymi, jasnymi i na tyle rzadkimi, że już prześwitywały poprzez nie placki przedwczesnej łysiny. Ale najbardziej uwagę przykuwały jego oczy za grubymi okularami astygmatyka, przerażone oczy, które przez szkła wydawały się jeszcze większe i bardziej wylupiaście, oczy jak dwie zalęknione ryby, miotające się w tym optycznym akwarium.

- Przepraszam... przepraszam - bełkotał gryzoń, nieomal odchodząc od zmysłów.

Nie znam go - pomyślała z triumfem Lucia; naprawdę go nie znała, nie istniała druga Lucia Romero, była tylko jedna Lucia Romero i była nią ona sama. I pomyślała jeszcze - a więc to tak. Potwornie brzydki facet i przepiękna kobieta. Zakompleksiony facet, który dręczy ukochaną, żeby ją przy sobie zatrzymać. I kobieta masochistka, która kocha tego, co ją krzywdzi. Lucia rozpoznawała tę głębinę, tę rozgrzaną lawę. Wszystkie piekła stają się do siebie podobne. Lucia podejrzewała, że w którymś życiu mogłaby być Reginą albo Constantinem, albo kobietą ofiarowującą pierścionki. Krzywda to strefa mroku, strefa nieokreślona, gdzie dowolna rola może przypaść każdemu.

- Nie... Nie przejmuj się - odparła Lucia człowieczkowi o rybich, wybrzuszonych oczkach. - Nieważne, wybaczam, dla mnie to głupstwo. Zajmij się sobą, zastanów się, dlaczego to robisz, bo to nie za bardzo normalne.

Nie, to nie było normalne. A może właśnie najnormalniejsze w świecie, typowe dla wspólnego nam wszystkim obłądu: Constantino wymyślił sobie fałszywe życie, Regina anonimowo nagrywa obelgi pod adresem rzekomej rywalki, a Lucia ze wszystkich sił goni za złudnymi chimerymi przedświt. A wszystko to - cierpienie, niepokój, haniebne zniewolenie, nędza dni i nocy - wszystko to z winy miłości, bo tak się zazwyczaj określa ową patologię, owo niszczące pragnienie drugiej osoby, ową ludożerczą furję, bo kanibalami są ci, co kochając, pożerają. Straszne jest, kiedy horror wkracza w pogodną codzienność, ale jeszcze straszniejsze, gdy miłość upadła. Przez tę czarną dziurę wpełza nasza zagłada, rycząc i zionąc

ogniem jak smok.

I teraz, niecałą dobę po zamordowaniu przestępcy, Lucia wspominała historię Reginy i Constantina i bała się, że z Adrianem może wpaść w podobne bagno. Jej stosunki z chłopakiem były coraz bardziej mętne i niebezpieczne. Coraz mniej mu ufała, ale była to niechęć irracjonalna, mimowolna. Poprzedniego dnia Adrian zszedł na śniadanie późno, ale czy to od razu czyni zeń zabójcę? Czy Lucia naprawdę wierzy, że Adrián mógł być w zмовie z terrorystami? Nie, po prawdzie to Lucia w głębi duszy wcale w to nie wierzyła. Skąd więc tyle podejrzeń, skąd ta rosnąca agresja wobec niego? Głupia, niekontrolowana agresja, na skutek której zachowywała się jak mała dziewczynka. Choćby tego samego wieczoru, kiedy po kolacji Félix i Adrián zaczęli się kłócić jak zwykle.

- A pewnie że tak, wierzę, że istnieje coś poza tym. Nie Bóg, znaczy się taki starożytny bóg, ale coś jest, nie wiem... Na przykład uważam, że reinkarnacja to całkiem niegłupia idea - mówił rozgorączkowany Adrián.

- Jasne, reinkarnacja. Otóż mnie się to w głowie nie mieści. Ze ponoć mogłem być prostytutką w szesnastym wieku. Absurd! - odburknął Félix.

- Przecież nie w tym rzecz. Ty wszystko' bagatelizujesz, wszystko ośmieszasz.

- Może i tak. Ale ty nie dość, że wierzysz w reinkarnację, to jesteś gotów uwierzyć w cokolwiek. Jesteś totalnym naiwniakiem. Bystry z ciebie chłopak, ale czasami robią na tobie wrażenie sztuczki z arsenału jarmarcznego iluzjonisty. Naprawdę, bez obrazy, czasem upierasz się przy tak nieracjonalnych idiotyzmach, że mowę mi odbiera. Te twoje teorie o zbiegach okoliczności, o piorunach z jasnego nieba i dziwnych przypadkach śmierci - powiedział Félix.

- Kapitalnie, uwielbiam to, bardzo wygodnie tak gadać: „bez obrazy, bez obrazy”, a następnie obrzucić przeciwnika błotem. Poza tym nie nazywaj mnie byстрыm chłopakiem, bo flaki się we mnie przewracają. A co do tamtej sprawy, to wcale nie twierdzę, że mam odpowiedź na te zgony, nawet nie mówię, że mamy tu w stu procentach do czynienia ze zjawiskami paranormalnymi. Powiedziałem tylko, że to bardzo dziwne przypadki, a nie ja jeden nie dowierzam przypadkom, wiesz? Na przykład Arthur Koestler, bardzo interesujący intelektualista, napisał książkę, w której mówi, że przypadki to są...

- Ba! Ten komunista Koestler. Każdy komunista to inteligent, że boki zrywać.

- Przepraszam bardzo, o przepraszam, przypadkiem opuścił partię i napisał parę książek oskarżających stalinizm, więc sam widzisz, jak bardzo się mylisz - Adrian popisał się erudycją, szczęśliwy, że tak łatwo mu to poszło.

- Wszystko jedno, wiem, że opuścił. Ale już sam fakt wcześniejszej przynależności do

partii pokazuje, jak miał poukładane w głowie. Anarchizm zawsze uczył myślenia, uczył, jak czytać, jak wyrabiać sobie własną opinię, jak być człowiekiem wolnym pod względem intelektualnym i moralnym. A komunizm zawsze był sektą. Garnęły się do niej słabe umysły, które szukały oparcia w dogmatach wiary i w pewnikach.

- Nie zamierzam teraz wdawać się w dyskusję na temat komunizmu czy kwadratury koła. Rozmawialiśmy o mnóstwie rzeczy, których nie znamy. Słuchaj, ta książka Koestlera, W objęciach ropuchy, mówi o wiedeńskim biologu z lat dwudziestych, Paulu Kammererze, który twierdził, że nie istnieją zbiegi okoliczności, że są one ilustracją jeszcze nie odkrytego prawa wszechświata, prawa fizycznego podobnego do prawa ciężenia, on je nazywał prawem serii. W świetle tego prawa rzeczy, żywioły, kształty i fakty organizują się, według podobieństwa, w homogeniczne serie. Bo zdaniem Kammerera wszechświatem rządzi ślepa dążność do harmonii i jedności.

- Zaraz mi tu wyjedziesz jeszcze z Bogiem.

-

- A co ty na to, że teorię Kammerera wielu sławnych ludzi uznało za interesującą? Chociażby Einstein, Jung. Pewnie, żeby to pojąć, trzeba mieć otwarty umysł, a ty wprawdzie wynosisz pod niebiosa elastyczność, ale dla mnie jesteś dogmatykiem.

- Ja? Dogmatyk? No, teraz toś mnie naprawdę obraził. Ja dogmatyk, ja, który całe życie walczyłem przeciwko totalitaryzmowi intelektualnemu i politycznemu! A czy ty w ogóle masz pojęcie, czym jest anarchizm? Posłuchaj, powiem ci, w czym tkwi problem. Problem tkwi w tym, że wasze pokolenie nie ma jaj, żeby zobaczyć prawdziwą naturę świata, świata bez Boga, bez rajów i bez zaświatów. Nie ma żadnego świata poza tym jednym, niełatwo to przelknąć, bo gorzko smakuje, trzeba być naprawdę kimś, żeby pokonać strach, ja ci to mówię, ja, który mam osiemdziesiąt lat i stoję już nad grobem. Widziałem, jak prawie wszyscy moi znajomi z wiekiem coraz bardziej wierzyli w cuda, w młodości zatwardziali ateusze, a na starość porobili się świętojeblowi. Bo niewiara napędza pietra, możesz być pewien. Ale wy, dzisiejsza młodzież, jesteście takimi cykorami, takimi rozdygotanymi wymoczkami, że nawet za młodu nie umiecie stawić czoła próżni, i tak sobie żyjecie, jesteście gotowi uwierzyć choćby w bajeczki, choćby i w Rycerzy Jedi, byleby tylko móc w coś wierzyć. Nasze pokolenie umiało przynajmniej dać sobie radę z tym obłądnym życiem bez podpierania się jakąkolwiek wiarą.

W rzeczywistości Lucia nie zgadzała się ze starym, w rzeczywistości uważała, że za czasów młodości Feliksa świat był pełen wiary, może nie tyle w Boga, ale wiary bardzo religijnej w swej naturze, wiary w ostateczne zwycięstwo proletariatu, w przyszłą rewolucję

maszyn, w nowy porządek narodowosocjalistyczny. Sam Félix był przecież człowiekiem wierzącym, apostołem dobrej nowiny, prorokiem wolnej, anarchistycznej ludzkości. W rzeczywistości to ona, Lucia - ona i jej pokolenie czterdziestolatków - znalazła się na prawdziwej ziemi niczyjej, w świecie pozbawionym wiary i transcendencji, w marnym, małym społeczeństwie, gdzie wszystko zdawało się nie mieć sensu. Jakże Félix ma pojęcie o życiu na pustkowiu i bez dachu nad głową? Tak właśnie powinna była odpowiedzieć staremu sąsiadowi, ale to oznaczałoby poparcie i pomoc dla Adriana, a tego wieczoru Lucia nie była skłonna użyć chłopakowi choćby skraweczka życzliwości. Wręcz przeciwnie, pragnęła zadać mu ból, odegrać się za jeszcze nie otrzymane rany, za przyszłe blizny. Dlatego rzekła:

- Zgadzam się z tobą, Félix.

I posłała sąsiadowi uroczy uśmiech, który tak naprawdę przeznaczony był tylko dla Adriana.

Chłopak nachmurzył czoło.

- Dobra” skoro oboje jesteście przeciwko mnie, nie mam ochoty prowadzić dalej tej bezsensownej dyskusji - powiedział. Wstał i wyniósł się z kuchni.

Lucia momentalnie za nim zatęskniła. Ej, co się ze mną dzieje - pomyślała zaniepokojona - dlaczego tak się zachowuję? W tamtej chwili Lucia wiedziała na własny temat dużo mniej, niż obecnie wiem o niej ja, wszystkie zaś powyższe kwestie związane ze strachem przed mężczyzną, z niebezpieczeństwem, z cierpieniem Lucia zaczynała jakoś tam przeczuwać, ale nie zdawała sobie z nich jasno sprawy. Dlatego zatęskniła za Adrianem i była wściekła na siebie, że jej go brak. Postanowiła więc zreperować lampę w salonie, która była zepsuta od paru miesięcy. Tak, zreperuje lampę i w ten sposób naprawi choćby dziesięciomilionową część tego pieprzonego świata. Przyszykowała drabinkę, śrubokręty, kombinerki. Chodziło o lampę halogenową, ciężki wyrób ze szkła i metalu. Można ją było podnosić lub opuszczać dzięki systemowi bloczków, ale jeden z przewodów wypadł z szyny i lampa podjechała pod sam sufit, gdzie wisiała przekrzywiona i unieruchomiona. Przykro było na nią patrzeć, tak jak przykro patrzeć na nierówno powieszony obraz.

Lucia rozstawiła drabinkę i weszła na nią. Dom był stary, sufit wysoki, musiała więc się wspiąć na ostatni, piąty stopień, żeby dosięgnąć lampy, a i tak jeszcze trzeba było wspiąć się na palce i wyciągnąć ręce na całą długość. Pozycja niewygodna i raczej chwiejna. Niski wzrost to jednak koszmar!

- Bo spadniesz. Może ja - zaproponował Félix.

Mowy nie ma - pomyślała Lucia. Jeszcze tego tylko brakuje, żeby dziadzio wlaźł na drabinkę i rozwalił sobie łeb. Mowy nie ma.

- Nie, nie. Świetnie sobie radzę.

Cóż, nie tak świetnie. Przewód zaklinował się pod jedną z krawędzi i nie sposób go było wydobyć, zwłaszcza że ledwo go dosięgała. Postanowiła zdjąć lampę i spokojnie naprawić usterkę na dole. Zaczęła pracownicy odkręcać wsporniki.

- Bo spadniesz. Mówiłem przecież, że ja to zrobię.

Był to Adrián, który nagle znalazł się koło niej. Rzeczywiście, Adrián wspominał, że naprawi lampę. No i po diabła Lucia się do tego zabiera? Przecież chłopakowi przyszłoby to z łatwością. Zwłaszcza że był dużo wyższy.

- Spokojna głowa - odparła Lucia lodowatym tonem.

- Sama sobie poradzę.

Była wściekła. Chwyła szklaną półkulę i silnie szarpnęła, wyjmując ją z metalowej obejm. Kardynalny błąd, bo - jak się w tym momencie przekonała - szkło okazało się potwornie ciężkie, za ciężkie, aby była w stanie je utrzymać i nie zachwiać się, stojąc na czubkach palców na piątym stopniu drabinki.

- Spadniesz przecież! - powtórzył Félix.

Było to nie tyle ostrzeżenie, ile okrzyk opisowy, bo Lucia istotnie właśnie zaczynała spadać z lampą w objęciach.

Ale nie poczuła uderzenia, ponieważ Adrián, ze zwinnością porównywalną jedynie z jego siłą (a obydwie te cechy spotyka się tylko u bohaterów powieści romantycznych), wskoczył na drabinkę i podtrzymał Lucię osuwającą się wraz z lampą. Opatulona gniazdem jego ramion, wciśnięta plecami w jego pierś, łechtana w ucho jego oddechem. Nagle nabrała rozkosznej ochoty, by zemdleć. Mogę stracić przytomność - powiedziała w duchu pod wpływem chwili, nawet nie pomyślała, po prostu usłyszała w głowie te słowa. - Mogę stracić przytomność w jego objęciach, pozwolić, by mnie podniósł, i stać się jego drugą skórą, przylgnąć do niego na amen. Jakby odgadując myśli Lucii, Adrián uniósł ją do góry i postawił na podłodze, po czym wyjął jej z rąk szkło, odłożył je na sofę i przyjrzał się jej.

- O mało co... Ależ ty jesteś uparta - powiedział.

I uśmiechnął się uroczo, może nawet z czułością.

Miłość to wynalazek Zachodu, wynalazek niedawny, najdalej z epoki romantyzmu - pomyślała Lucia. W Indiach, w Chinach, w Etiopii mężczyźni i kobiety od stuleci żyli bez miłości, zawierali małżeństwa w wyniku układów, co gwarantowało pewnie większe szczęście i większą stałość związków niż w przypadku małżeństw opartych na uczuciu. W tamtych społecznościach drżenia serca nie miały choćby tyciego znaczenia.

- Daj mi spokój - burknęła Lucia, zionąc gniewem.

Adrián zmarszczył czoło z urazą.

- Dobra, już mnie nie ma.

Może to kwestia niewiary, braku wzorca, bezsensu, którym wspominał Félix. W tym rozdygotanym życiu terazniejszym, w chaosie naszych dni, miłość mogła przybrać postać oślepiającego światła, na podobieństwo błyski rybaka, do której płyną ryby nieświadome tego, że wabi je cud zabójczy. Miłość jako przepisany lek. Miłość jako otchłań i jako niebezpieczeństwo. Ta niezwykła miłość, dla której można się zatracić.

Jeśli ja, dwunastoletni chłopak, pozbawiony paru kosteczek, włosków i paznokci, w cokolwiek wierzyłem po powrocie do Hiszpanii, to w absolutną wiarygodność mojego przydomku - powiedział któregoś dnia Felix Robie, podejmując przerwany wątek. - Byłem Fortuną, ponieważ fortuna naprawdę mi sprzyjała, miałem wrażenie, że zdobędę świat dzięki swej szczęśliwej gwiazdce. Z tamtych czasów pamiętam właśnie tyle, głód życia iufność. No i czas, czas tak powoli płynący, tak przepastny, godziny, które wydawały się dniami, minuty, które wydawały się godzinami. Ileż czasu trwa dzieciństwo! A wtedy najmniej tego czasu potrzebujesz. Czyste marnotrawstwo.

Przyjechałem do Madrytu w marcu tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku. Odebrałem go jako brzydkie, szare miasto, miasto Północy, chociaż leżało bardziej na południe niż moja rodzinna Barcelona. Dyktatura Primo de Rivery osiągnęła apogeum, towarzysze znajdowali się w bardzo ciężkiej sytuacji. W więzieniach roiło się od anarchistów, a trzeba wam wiedzieć, że ówczesne więzienia były brudne i zrujnowane, panowały w nich warunki poniżej ludzkiej godności. I ludzie umierali tam z głodu i chłodu.

Paquita, kuzynka Jovera, która zaofiarowała się mną zajęę, była kobietą w nieokreślonym wieku, bardzo brzydką i bardzo tęgą. Prowadziła niewielki zieloniak na bazarze na placu Carmen, w samym centrum Madrytu, i jakoś radziła sobie sama, a musiała tym zarobić na utrzymanie czworga dzieci, z których najstarsze miało dopiero siedem lat. Przez cały dzień trzymała je pod kluczem w swoim nędznym mieszkanku, jednopokojowej klitce z piecykiem do ogrzewania i gotowania. O ich ojcu nic nie wiedziałem: może umarł, może zwiął, może był uwięzionym anarchistą, a może wręcz było kilku takich, co przyczynili się do przyjścia licznego potomstwa na świat. Dzieci bowiem, choć wszystkie w dość podobnym wieku, bardzo różniły się fizycznie: jedno ciemnowłose, drugie rude, trzecie miało za długi nos. Nigdy nie ośmieliłem się o nic pytać Paquity: strach mnie oblatywał, bo zawsze była w złym humorze, oschła, szorstka, a milczała jak głaz. Pracowała całymi dniami do upadłego i podejrzewam, że w ogóle nie miała specjalnych powodów do radości. Swoimi wielkimi jak bochny chleba dłońmi potrafiła rozłupać na pół jabłko; nigdy więcej w życiu nie

widziałem, by ktoś to robił. Owo przepoławianie jabłek na pokaz było jej jedyną słabością, jedyną rozkoszą, na jaką mogła sobie pozwolić. Raz po raz prosili ją o taki występ chłopcy z sąsiedztwa albo klienci, a czasami też i ktoś obcy, zwabiony opowieściami o nadzwyczajnej mocy kramarki. Zawsze kazała się prosić, potrząsając gniewnie głową: „Paradne! Paradne! Nie mam teraz czasu! Nie mam teraz czasu!”.

W końcu brała jednak jabłko do ręki, ze dwa, trzy razy obracała je w grubych palcach, żeby znaleźć najwłaściwszy chwyt, by następnie, ciach, jednym na pozór łatwiutkim ruchem podzielić je na dwie równe połówki. I wtedy w kąciku jej ust pojawiał się drobny ulotny ślad zadowolenia, uśmiechała się lekko, nieśmiało. Na bazarze wołano na nią „Samsonka”. To była dobra kobieta. Spora część tak ciężko zarabianych przez nią pieniędzy przepadała w rękach towarzyszy anarchistów.

„Faceci, cha, cha... Wszyscy tacy sami. Ganiają za babami albo za mrzonkami, ale pracować, to nie” - burczała niekiedy.

Albo:

„Mogliby dać sobie spokój z tymi anarchistycznymi głupotami i b z d u j d a m i (czyli bujdami) i wziąć się do roboty, jak ludzie”.

Ale mimo narzekań zawsze ofiarowywała dla sprawy, ile tylko mogła, była szczodra tak, jak potrafią być jedynie ludzie ubodzy. Paquita należała do kobiet, które na przestrzeni dziejów zajmowały się sprawami życia codziennego, podczas gdy mężczyźni walczyli, odkrywali kontynenty, wynajdywali proch i trygonometrię. Gdyby nie one, gdyby nie ich troska o rzeczy tak przyziemne i nieznaczące jak wyżywienie, macierzyństwo i rzeczywistość, ludzkość wymarłaby tysiące lat temu.

Ja spałem w kiosku z warzywami, co uznałem za wyróżnienie, bo świadczyło to, że Paquita uważała mnie za dorosłego, a w każdym razie za wystarczająco dorosłego, bym nie mógł spać z nią w jednym pokoju. Poza tym traktowała mnie na równi ze swoimi dziećmi, z tymi samymi humorami i niezdarną czułością, a nawet, kiedy mogła, wypłacała mi dołę pomocnika.

Mimo to, po tylu popisach i chwale przeżytej u boku Durrutiego, kiepsko się dostosowywałem do życia rzemieślników z placu Carmen. Upokarzało mnie, że muszę nosić kombinezon roboczy, bolała mnie, powodowana warunkami konspiracji, konieczność przemilczenia mojej niedawnej, wspaniałej przeszłości. Na placu Carmen byłem jeszcze jednym pomocnikiem pośród legionu brudnych, wygłodniałych pomocników. Gdyby wiedzieli, że przyjechałem z Ameryki, że podkładałem tam bomby, że z Durrutim napadałem na banki! Gdyby wiedzieli, że mam na koncie trupa! - wzdychałem po nocach sfrustrowany,

przewracając się na sienniku. Dni spędzałem na bijatykach z chłopakami. Krzyczeli na mnie „Bezręki”, a ja nie mogłem się z tym pogodzić. Tłukłem się chyba z każdym, chociaż mój kikut wciąż jeszcze był zaczerwieniony i wrażliwy i ledwie mogłem się nim posługiwać. Ale chyba całkiem nieźle mi szło, bo w końcu zdołałem wbić im w głowy mój prawdziwy przydomek i znów byłem znany jako „Fortuna”.

Traktowałem ten ciężki okres jako karę za błędy, jako zapłatę za zadany ból i za mojego trupa, który nieustannie dręczył moje sumienie. A jednak frustracja i - nuda wciąż były nie do zniesienia. Víctor zakazał mi mieszania się w politykę pod jego nieobecność, a Durruti wymógł na mnie obietnicę, że będę się uczył. Stosowałem się do obydwu reguł, ale popadałem w czarną rozpacz. Brakowało mi wyczynów, przygód i chwały.

Pewnego ranka, a było to w listopadzie, w listopadzie dwudziestego szóstego roku, zdarzyło się coś niezwykłego. Byłem w sklepiku, kiedy ujrzałem niewytłumaczalne poruszenie, jakie stopniowo ogarniało sprzedawców i kupujących. Wyglądało to jak fala, jak wichur, który kładzie zboże na polu. Wreszcie słowa dotarły i do mojego kiosku:

„Byk! Byk!”.

Chodziło o byka, którego prowadzono do rzeźni: uciekł z transportu i popędził ulicą Gran Vía, rozdrażniony i przerażony wielkim miastem. Ludzie gdzieś gnali, większość pozamykała się w swoich domach, reszta, w tym wszyscy chłopcy z bazaru, pomknęła w przeciwnym kierunku, ku widowisku i niebezpieczeństwu. Grupa mężczyzn kłębiła się na rogu Fuencarral i pokrzykiwała z ożywieniem:

„To Fortuna! Tam jest Fortuna!”.

Jako typowy egocentryczny młodzieniaszek przez dobrą chwilę byłem przekonany, że mają na myśli mnie. Ale nie. Kogoś innego. Był jeszcze ktoś inny.

Przezwisekiem „Fortuna” mienił się trzydziestopięcioletni matador Diego Mazquiarán, który jakiś czas temu ożenił się z pewną piękną i mieszkał nieopodal, przy ulicy Valverde. Ów Mazquiarán był już weteranem korridy, najlepsze lata miał dawno za sobą, a teraz żyło mu się coraz marniej, jego nazwisko zajmowało coraz dalsze miejsca na afiszach. No, a tego ranka wybrał się w kierunku parku Retiro na spacer, kiedy napotkał zbłąkanego byka. Zdjął płaszcz i zrobił wokół zwierzęcia kilka zwodów, żeby byk przestał pędzić i wzbudzać na ulicy panikę. W tym momencie taksówkarze, na dobrą sprawę jedyni w owym czasie użytkownicy samochodów w Madrycie, wpadli nagle na zbawienny pomysł, by zablokować aleję wozami, tworząc w ten sposób rodzaj zaimprovizowanej areny na Gran Vía, naprzeciwko dawnej kawiarni Pidoux, między ulicami Fuencarral i Peligros. Trzeba to było widzieć: czarne byczysko, miotające się i prychające pomiędzy eleganckimi

kamienicami, błyszczące taksówki, piękne damy wychylone z okien, na dole gapie z pootwieranymi gębami. Świat był wówczas dużo prostszy, dużo bardziej niewinny i łatwiej nas było wprowadzić w zachwyt. Kelner z Pidoux poszedł do domu Mazquiarana po szpadę i w końcu „Fortuna”, chroniąc się własnym płaszczem, zabił byka. Wydarzenie odbiło się echem w całym kraju, „Fortuna” otrzymał order za dobroczynność, stał się na nowo modnym matadorem i przez parę sezonów znów podpisywał lukratywne kontrakty, a jego imię jeszcze raz okryło się chwałą. A mnie замуrowało: odkryłem coś, co było legalne, a równie ekscytujące, jak napady na banki, a na dodatek jedyne ludzkie życie, jakie ryzykowałeś, to twoje własne - dla mnie sprawa podstawowa, przecież wciąż czułem na sobie szklane spojrzenie mojego trupa. Nie koniec na tym, ów toreador nazywał się tak jak ja. Tak, przypadek! Na mnie też zbiegi okoliczności robią wrażenie, ale nie widzę powodu, żeby dla ich wyjaśnienia tworzyć jakieś fantastyczne teorie. Poza tym miałem dopiero dwanaście lat. Przeczuwałem, że to wszystko, ucieczka byka, przypadkowy spacer Mazquiarana, blokada taksówek i pewna szpada - zdarzyło się specjalnie dla mnie. Że incydent został pomyślany na moją cześć.

W Barcelonie nie miałem żadnego kontaktu ze światkiem korridy, bo go tam właściwie nie było. Ale w Madrycie walka byków znajdowała się w centrum zainteresowania publicznego. Zacząłem uczęszczać na zajęcia dla amatorów, ćwiczyłem na sucho z fartuchem, przechadzałem się pod arenami podczas korridy i kumplowałem się z adeptami. W ten sposób minęło parę bardzo długich lat. Wrócił Víctor, ale nadal pozostawał w podziemiu. Widywaliśmy się po kryjomu i tylko od czasu do czasu. Powiedział mi, że Ascaso i Durruti siedzą we Francji, bo są za bardzo znani, żeby przyjechać do kraju. Obydwaj mają francuskie narzeczone, a właściwie żony, bo żyją z nimi na całego i z powagą, z jaką anarchiści odnosili się do spraw prywatnych. Mój brat nie bardzo rozumiał, co mi nagle strzeliło do głowy z bykami.

„Jesteś szurnięty, Félix, jesteś normalnie szurnięty”

- mówił, jak zwykle unikając wymawiania przydomku „Fortuna”.

Odnosił wrażenie, że moja pasja do korridy to jakaś fanaberia, że to głupstwo. Że oddalam się od rewolucyjnej działalności i od związku, który dla niego był najważniejszy. Victorowi marzyło się, żebym poszedł w ślady jego inaszego ojca. Z większym rozsądkiem i większą świadomością niż podczas incydentu z bombą w Meksyku, ale za to z pełnym poświęceniem dla sprawy. Kiedy Durruti dowiedział się o moim powołaniu i rozczarowaniu mojego brata, wysłał z Francji wiadomość. Nie miał nic przeciwko pod warunkiem, że będę się uczył. „Daj mu spokój, to jeszcze dzieciak - pisał do Victora. - Niech przez parę lat

postudiuje teksty anarchistyczne i niech się rozerwie przy korridzie”. Tak więc Víctor dał mi spokój. Słowa Durrutiego były dla nas prawem.

Uzyskawszy wszelkie konieczne zezwolenia, w wieku piętnastu lat sam stałem się adeptem i na dawną modłę zacząłem zapuszczać warkoczyk na karku, chociaż peruki były coraz popularniejsze. Ale nie dla mnie: zaplatałem sobie własne włosy na karku i usztywniałem je specjalną szpilką, żeby wystawały spod beretu albo kapelusza. Bo kupiłem sobie pilśniowy kapelusz, uznając, że toreador musi być toreadorem przez cały czas; toreadorem jest się okrągłą dołą, rano i wieczorem. Nabyłem też sprzęt do zabijania, muletę, kapę i używany strój z trzeciej czy czwartej ręki, srebrnoniebieski, który Paquita musiała mi dopasować (ale oczywiście marudząc bez przerwy), bo był za duży. Kiedy skończyłem szesnaście lat, pojechałem do Barcelony na spotkanie z bratem i z Durrutim, który właśnie wrócił z wygnania. „Chcę się na serio poświęcić korridzie - powiedziałem w wielkich nerwach. - Mam już ugadane dwie walki, za miesiąc”. Pamiętam tę scenę bardzo wyraźnie; siedzieliśmy w barze przy Paralelo: Ascaso, Buenaventura, Víctor. Ascaso uśmiechnął się z drwiącą pogardą: „Ten wasz maleńki Félix Roble nigdy nie przestanie mnie zdumiewać. W wieku jedenastu lat podkładał bomby i był arcyanarchistą, ale teraz nagle pozapominał wszystko i jest arcytoreadorem. Ty po prostu chcesz, żeby podziwiała cię kobiety. Ty po prostu chcesz być bogatym burżujem i paniczykiem”. Zobaczyłem, jak Víctor blednie. Chyba miał na mój temat podobne zdanie co Ascaso, ale nie mógł znieść, kiedy publicznie szkalowano dobre imię jego rodziny. Mój brat, targany takimi sprzecznymi emocjami, zaciskał szczęki i oblewał się potem. Poczulem się jak śmieć, gorzej niż śmieć, jak funta kłaków niewart, bo w słowach Ascasa, który wiedział, jak celnie dopieć, kryło się ziarno prawdy. Według niego powodowały mną nieczyste motywy zdrajcy i nędznika. Spuściłem przygnębiony głowę. Durruti klepnął mnie po przyjacielsku w kark i zmusił, bym spojrzał mu w oczy. „Zostaw te oferty i chodź ze mną, Fortuna. Przejdziemy się”.

Spacerowaliśmy ulicami, ramię w ramię. Durruti opowiadał mi o swoich problemach materialnych, o trudnościach ze znalezieniem pracy po powrocie. „Czyli że chcesz zostać toreadorem” - powiedział wreszcie. „Tak” - odparłem. „Czemu nie, świetnie. Każdy powinien robić to, co najbardziej lubi. Ja najbardziej lubię swoją pracę. Jestem dobrym mechanikiem, dobrym metalurgiem”. Chwilę szliśmy w milczeniu. „Anarchizm to nie religia - odezwał się Durruti. - Ani obowiązek, który ktoś ci narzuca, jakbyś był w wojsku. Nie. Anarchizm siedzi w człowieku w środku, to potrzeba serca i rozumu. A dla sprawy można pracować w różny sposób”. Nowe milczenie. „Jak tam ręka?”. Zaskoczyło mnie to pytanie. Cztery lata minęły, jak straciłem palce. Czyli, w mojej ówczesnej skali, prawie całe życie. „W porządku” -

odrzekłem. „A tamto?” - spytał. „Co?”. „Wspomnienie tego faceta. Twojego trupa”. Nigdy przedtem o tym nie rozmawialiśmy. Precyzja tego sformułowania była porażająca: mojego trupa, tak, dokładnie tak to odczuwałem. Kiwnąłem głową z niechęcią, wzruszyłem ramionami, coś tam burknąłem, a wszystko to jednocześnie. I miałem nadzieję, że ten zestaw dźwięków i ruchów wystarczy Durrutiemu za odpowiedź, bo sam nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Szliśmy dalej. Pomyślałem o całym czekającym mnie życiu, pięknym, fascynującym, ale zarazem niepokojącym i mrocznym.

Io tym, jak łatwo zabić, a być może także umrzeć. „Boję się” - wymamrotałem, nie mając za bardzo pojęcia, czego się lękam. Ale Buenaventura oczywiście wiedział. „Ja się boję tak samo jak ty - odrzekł. - Strach i odwaga chodzą w parze. Gzasami nie wiem, gdzie się jedno kończy, a zaczyna drugie”. Kiedy wróciliśmy do baru przy Paralelo, powiedział do pozostałych: „Uważam, że związkowi może się przydać, jeśli Fortuna zajmie się korridą i będzie się wydawał czysty. Będziemy go mogli wykorzystać w trudnych momentach”. I zamówił butelkę wina, żeby wypić za moje sukcesy. Jak zwykle, nie było więcej rozmowy na ten temat. Cztery tygodnie później pierwszy raz wyszedłem na arenę. Jako przydomku zawodowego postanowiłem używać zdrobnienia Fortunita, żeby nie myłono mnie z Mazquiaranem.

Nawet sobie nie wyobrażacie, jak wyglądał w tamtych czasach świat tauromachii. Choć może lepiej powiedzieć, że nie wyobrażacie sobie, jak wtedy w ogóle wyglądał świat, bo walka byków odzwierciedlała jedynie brutalną rzeczywistość zewnętrzną. Środowisko toreadorów miało charakter okrutny i epicki zarazem. Nie było penicyliny, więc rany od ciosów rogami kończyły się nieuchronnie gangreną. Żeby przeciwdziałać infekcji, nie można było zszywać ran, więc rekonwalescencja oznaczała niekończącą się torturę. Przez trzy, cztery miesiące trzeba było wypalać ranę dzień w dzień, dzień w dzień przez otwór wyjmować i wkładać całe metry gazy nasączonej eterem. Co roku umierało średnio dziesięciu toreadorów, a w tamtych czasach było ich mniej niż dziś, ten zawód należał do najcięższych i najtrudniejszych. Rzeczywistość składała się ze słońca, zawrotu głowy, krwi i bebeczów. Koniom pikadorów każdego wieczoru byki rozpruwały brzuchy. Łapami wpychano im wnętrzności do środka, zaszywano na żywcą na dziedzińcu drużyny toreadora i wystawiano ponownie na arenę. Kiedy za dyktatury Primo de Rivery wprowadzono plas trony dla koni, żeby zakończyć wreszcie to bezsensowne mordowanie, filozof Ortega y Gasset napisał przerażający artykuł, w którym ubolewał, że wskutek takich ochronnych zabiegów przepadła cała sztuka tauromachii i że jego noga na widowni areny już nie postanie. A Ortega był intelektualistą, i to niezłym. Mówiłem wam, że obyczaje w tamtych czasach były zdziżące.

No i cała ta zdziwała agresja wybuchła potem podczas wojny domowej.

Poza tym nic nie wiedzieliśmy. To znaczy my, adepci. Nie było telewizji i transmisji z korrid, nie mieliśmy pieniędzy, żeby kupić sobie bilety na walkę. Wychodziliśmy na arenę, nie oglądając wcześniej nikogo w akcji, omamieni mrzonkami o wielkiej sławie, powodowani głodem i analfabetyzmem. Walki z bykiem uczyliśmy się, występując w małych miejscowościach, na arenach wytyczonych wiejskimi wozami, bez pikadorów i lekarzy. Każdy nowicjusz, każdy matador zgodnie ze statutem musiał przyprowadzić ze sobą drużynę złożoną z trzech toreadorów. Ale po wsiach zarabiano się bardzo mało, więc pechowy matador albo nowicjusz mieli ze sobą zazwyczaj tylko jednego toreadora z prawdziwego zdarzenia, zawodowego pomocnika, któremu płacili, oraz dwóch b o l - k ó w, czyli adeptów pragnących nauczyć się tauromachii. Tym zwracali tylko koszty.

I właśnie ja, w wieku szesnastu lat, stałem się takim b o l k i e m. Przyssałem się do jednego starego pomocnika o przezwisku „Kędziorek”, wspaniałego mężczyzny, dobrego człowieka i dobrego toreadora. On mnie wkręcał na korridy, które sam organizował. We wrześniu pierwszego roku mojego toreadorstwa, czyli tysiąc dziewięćset trzydziestego, a byłem wtedy bolkiem o kilkumiesięcznym stażu, pojechaliśmy na taką zaimprovizowaną walkę do wiochy o nazwie Bustarviejo. W naszej drużynie był jeszcze Teofilo Hidalgo, dwudziestosiedmioletni nowicjusz, który wyglądał na starca. Wyszedł na nas byk co się zowie. Byki wiejskie były groźne, takie bestie bez klasy, bez rasy, sześciolatki ważące dwadzieścia pięć arrobas¹, czyli ze trzysta kilo, zwinne i silne jak czorty. Ten z Bustarviejo należał do fest byków. Ryzyko było wielkie, spotęgowane brakiem pikadorów, którzy w razie czego by pomogli. Pamiętam, jak „Kędziorek” instruował Teofila zza parawanu: „Leciutko! Leciutko!”. Ale ów chłopak, który wyglądał na starca, nie walczył dostatecznie lekko. Byk go zdjął i zadał mu cztery potężne ciosy rogami. Rozszarpał mu płuco, wyrwał narządy płciowe. Każdy z tych ciosów mógł być śmiertelny, a facet dostał cztery. Został na piasku, jak popsuta lalka. Pamiętam widok oślepiającego słońca, słońce zawsze oślepia, kiedy byk zdejmuje toreadora, choćby niebo było zachmurzone. Pamiętam powidok w moich zmrużonych, zażawionych oczach, zapach krwi, wycie tłumu. We wsi był festyn, wszyscy chodzili pijani. Pijani i odurzeni teatrem śmierci. Teofila wyniesiono do szkoły, która posłużyła za tymczasową przychodnię. Tam leżał na nieheblowanej katedrze, jak przejechany kot. Na arenie „Kędziorek” powiedział: „Tego byka trzeba zabić”. Taki jest rytuał, tak ma być, zwierzę nie może zwyciężyć człowieka, nie może ujsć z życiem z areny w niesławie mordercy. No więc „Kędziorek” chwycił szpadę. Mnie pochwyliły kobiety - wychylały się ze swoich miejsc na wozach, łapały mnie za szyję, za ramiona, za głowę: „Nie wychodź,

chłopcze, nie wychodź!”. Byłem jeszcze dzieckiem i to budziło w nich współczucie. Bały się, że i ja, jak Teofilo, legnę wybebeszony. Ale orkiestra już zaczęła grać - po zwycięstwie „Kędziorka” nad tym bykiem mieli na nas wypuścić jeszcze jednego, a rejterada oznaczała nawet więzienie. Życie w tamtej epoce nie było grosza warte i nawet tragiczna, brutalna śmierć Teofila na oczach ludzi choćby na moment nie zdołała ucywilizować ludowego festynu. Królowały pot, brud i tani alkohol. Kiedy wróciliśmy do Madrytu, Paquita spaliła moje srebrno-niebieskie ubranie w piecyku, po czym posadziła mnie na krześle i jednym ruchem obcięła mi warkoczek. Nie zaprotestowałem: nie było sensu sprzeciwiać się potężnym dłoniom Samsonki. Ale dwa tygodnie potem znowu walczyłem u boku „Kędziorka”, w pożyczonym stroju, który musiałem sobie przewiązać w pasie sznurkiem.

1 Arroba - miara stosowana po wsiach hiszpańskich, najczęściej do ważenia oliwy, równa około 11,5 kg.

Byk rozerwał „Kędziorkowi” tętnicę udową. Było to w trzydziestym pierwszym, w Torrelaguna. I umarł miesiąc po wypadku. Zadając mu cios, byk wbił róg w drewnianą ścianę wozu. „Kędziorek” miał wtedy pięćdziesiąt trzy lata i już nie był zbyt zwinny. Dlatego musiał brać udział w takich podrzędnych korridach. Wcześniej, za swoich dobrych czasów, należał do bardzo poszukiwa-

210 nych toreadorów i wychodził na arenę z największymi mistrzami. Tamtego dnia w Torrelaguna za parawanem zebrało się mnóstwo luda, a wcale nie wolno było tam włączyć, i dlatego „Kędziorek” nie miał się gdzie schronić, kiedy przyszła pora. Lekarz obecny w tłumie podwiązał mu arterię. A ja widziałem, że „Kędziorek” umiera. Zrozpaczony wróciłem do Madrytu szukać karetki. Ale wówczas na całe miasto przypadały tylko trzy ambulanse, i odmówiono wysiania wozu. Wobec tego zebrałem wszystkie swoje pieniądze, zastawiłem strój i kapę i dzięki Paquicie, która dołożyła resztę, wziąłem taksówkę z szoferem, takiego wielkiego Citroëna „kaczkę”, do środka włożyłem materac i w ten sposób przewiozłem „Kędziorka”. Gangrena zdążyła się już wdać w nogę i w Madrycie trzeba mu ją było amputować. „A tego byka pozostawiono przy życiu!” - powtarzał z obsesyjnym żalem, bo byk, który przybił go do wozu, został odesłany do stada. Wytrzymał, biedak, ile mógł, ale po dwudziestu dniach umarł. „W takim wieku...” - wzdychał lekarz, jakby miał do czynienia ze starcem. A on miał tylko pięćdziesiąt trzy lata! Spójrzcie na mnie, mam osiemdziesiąt i gniję od środka tak samo, jak zgniła noga „Kędziorka”.

Później zostałem fuksem i wędrowałem po miasteczkach, usiłując zrobić wielką karierę. Jako zawodowego pomocnika brałem ze sobą pewnego poczciwca nazwiskiem Primitivo Ruiz. Ten Primitivo po zdjęciu przez byka dłuższy czas nosił w odbytnicy rurkę i w

spodnie musiał wkładać sobie gałganki, ale że potrzebował forsy, więc pracował dalej. Któregoś razu, kiedy przyszedłem po niego przed wyjazdem do jakiejś wsi, zobaczyłem, że jest siny, roztrzęsiony i rozgorączkowany. „Nie pojedę, patrz, co się ze mną porobiło”. Byłem przerażony. „Primitivo, jestem sam. Mam tylko dwóch bolków”. A Primitivo, który był zawodowcem i wiedział, co czeka samotnego toreadora w towarzystwie dwóch bolków na cholernej arenie w jakiejś cholernej dziurze, naciągnął gacie, ubrał się i pojechał. Honor przede wszystkim.

Oczywiście rzecz nie kończyła się na okrucieństwie. Nie kończyła się na bólu, na konieczności zarobienia pieniędzy i wywleczonych flakach. Były też emocje związane ze sztuką walki, upojenie ryzykiem, ulotny blask chwały. Toreadorem, jak wam mówiłem, było się dwadzieścia cztery godziny na dobę. Być toreadorem znaczyło mieć szyk, być aroganckim, korzystać z życia, póki się żyło. Być natomiast toreadorem młodym i do tego blondynem, jak ja, znaczyło podbić serca niewiast. Pamiętam, jak w trzydziestym czwartym zadedykowałem jednego byka pewnemu możnemu panu, którego znałem z widzenia, przybyłemu w towarzystwie bardzo efektownych matron. Kiedy poszedłem odebrać mój beret, pani siedząca z prawej strony oddała mi go z liścikiem: Uprawnia do wyboru kobiety na jedną noc. Ową damą była Adela „Pączuszek”, sławna burdelmama. Ależ się wtedy żyło! Dochrapałem się nawet pewnego sukcesu, a w Madrycie walczyłem u boku Pascuala Montero „Paniczyka”, bardzo wówczas modnego nowicjusza.

Dla kogoś tak młodego jak ja tauromachia okazała się całkiem niezłym pomysłem na życie. A zwłaszcza między korridami, kiedy człowiek nie musiał igrać ze śmiercią na arenie. Rankiem trenowało się przez parę godzin, jak sportowcy. W porze aperitifów szło się na „Falochron”, tak nazywano górny odcinek ulicy Sevilla. Tam złązili się aktorzy i toreadorzy. Aktorzy po jednej stronie, przy kawiarni „Inglés”, a toreadorzy po drugiej, na rogu Alcalá. Rozdzieleni paroma metrami chodnika, przypatrywaliśmy się sobie nawzajem, ale nasze grupy nigdy się nie mieszały.

Stanowiliśmy dwie odrębne rasy próżniacze, które rywalizowały ze sobą pod względem postawy, urody i cwaniactwa. Byliśmy uparci, bez grosza przy duszy, ale zadawaliśmy szyku na całego. Pamiętam taki złośliwy dowcip, który przez parę dni krążył po „Falochronie”: pośrodku między naszymi grupami spotyka się dwóch toreadorów i dwóch aktorów. Aktorzy pytają: „A tamci nowi to kto?”. „To też toreadorzy” - pada odpowiedź. Aktorzy drwią: „Toreadorzy! Tu każdy ma gębę pełną korridy, ale gdyby nagle pojawił się byk, to by dopiero był popłoch!”. „A właśnie że nic by się nie stało, bo zanim by zwierzątko dobiegło do toreadorów, aktorzy dawno by je zjedli”- odpowiadają nasi. Tam, na

„Falochronie”, poznałem twojego ojca, był troszkę ode mnie młodszy. On mnie sobie nie przypomina, ale ja jego twarz zapamiętałem, bo później widywałem go w teatrach.

Za to po południu chodziło się na spotkania, a wieczorem, po zmroku, zaczynało się świętowanie. I to jakie! Pstrokaty tłum Cyganów, artystów i toreadorów, złodziei i schludnych paniczyków, pisarzy i niepiśmiennych pikadorów, byłych kurew, które wyrosły na prawdziwe damy, i postrzelonych, aż nazbyt urodziwych panienek, z których miały wyrosnąć kurwy. Ludzie z brązu, jak mawiał ValleInclan. Noce bez końca, wieczne noce młodości, które z mojej obecnej perspektywy, wierzcie mi, zlewają się w jedną długą noc.

Żyło się na krawędzi, pod wieloma względami nędznie i trochę na marginesie, ale ocierałeś się o arystokrację z tytułu krwi i o nową arystokrację pieniądza. Żyło się bez ograniczeń, poza konwencjami, co bardzo pasowało do mojej ideologii. Tymczasem, rzecz zgoła niesłychana, większość toreadorów politycznie opowiadała się za prawicą. Ja udawałem republikanina i kłóciłem się z nimi, ale bardzo się pilnowałem, by się nie zdradzić z moimi prawdziwymi przekonaniem: swoje anarchistyczne poglądy starannie ukrywałem. Ostrożność całkiem uzasadniona: anarchiści okazali się zwierzyną łowną także za czasów republiki, doszło wręcz do tego, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku Durruti i Ascaso zostali na kilka miesięcy deportowani do Afryki Wschodniej. Kiedy nie byli na zesłaniu i kiedy nie siedzieli w więzieniu, potajemnie spotykałem się z nimi i moim bratem Victorem, w owym czasie już przewodniczącym związku. Wykorzystywali mnie w skrajnych przypadkach: żeby roznieść rozkazy na piśmie, których z powodu inwigilacji policyjnej nikt inny nie mógł dostarczyć, albo żeby wyprowadzić z Madrytu, w przebraniu bolka, jakiegoś poszukiwanego towarzysza. Ależ musiał mieć pietra taki zahartowany w boju działacz, kiedy trzeba było wyjść na arenę i rznąć zawodowca!

Pewnego dnia, pamiętam, brat nakłonił mnie, żebym pojawił się na jakiejś licytacji: „Będzie zabawnie. Idź i się przypatrz”. Rząd republikański bezprawnie skonfiskował maszyny pisma anarchistycznego „Solidaridad Obrera” i właśnie tego popołudnia wystawiał je na sprzedaż. Poszedłem z nieprzymuszonej woli, pełen ciekawości, a kiedy pojawiłem się na sali, rozpoznałem w tłumie ze dwudziestu towarzyszy ze związku. Zaczęła się licytacja, pod młotek poszło parę jakichś mniejszych przedmiotów, aż pojawiły się maszyny drukarskie. Kiedy tylko otwarto przetarg, Durruti podniósł dłoń i powiedział: „Dwadzieścia peset”. Śmieszna suma, czysta kpina. Jakiś łysy kupiec, siedzący parę rzędów dalej, zaproponował tysiąc. Chwilę później w ucho wciskała mu się lufa browninga; kupiec pojął aluzję i wycofał ofertę. Nikt nie wyrzekł ani słowa. I wtedy Ascaso z jawną bezczelnością rzucił kolejną sumę: „Cztery duros M”. Takie to były czasy. Włóczęgi z pistoletami, podskórny puls

przygotowań do wojny.

Bywały też bardziej uroczyste chwile. Szczególnie dobrze przypominam sobie wizytę u Buenaventury Durrutiego, prawie pod sam koniec, na wiosnę trzydziestego szóstego roku. Wracałem do Madrytu z walki gdzieś na południu Francji, po drodze wpadłem do Barcelony, by odwiedzić mojego dawnego idola. Durruti miał zły okres, od lat figurował na czarnej liście i nigdzie nie mógł dostać pracy, a związek był za biedny, żeby wspomagać finansowo swoich przywódców. Mieszkał w ohydnej klitce razem ze swoją panią, Emilienne, która przyjechała za nim z Francji, i z Colette, ich córeczką, chyba miała wtedy ze cztery czy pięć lat. Emilienne pracowała dorywczo jako portierka w kinie, więc wegetowali dzięki jej lichym zarobkom. Poszedłem do niego w towarzystwie Germinala, mojego dalekiego kuzyna z Barcelony, również anarchisty. Zastaliśmy Durrutiego przepasanego fartuszkami, akurat smażył placki i szykował kolację dla dziecka i żony, która jeszcze była w pracy. Germinal wybuchnął śmiechem: „E, chłopie, to babska robota”. Rzeczywiście Buenaventura wyglądał zabawnie w kobiecym fartuchu, który na jego byczym tułowiu prezentował się bardzo niepozornie, i z tą głową goryla, która wieńczyła całość nad falbankami. Ale Durruti wyprężył się, czoło mu spochmurniało, a w oczach zaiskrzyły błyski. Już nie wyglądał zabawnie, ale dziko i groźnie. Germinal cofnął się parę kroków, a i ja, choć kochałem ciągle Durrutiego miłością synowską, aż skuliłem się na krześle. „Zapamiętaj to sobie - huknął Buenaventura, celując palcem w wystraszonego Germinala. - Kiedy moja kobieta idzie pracować, ja sprzątam, ścielę łóżka i gotuję. Poza tym kąpię i ubieram małą. Jeżeli sądzisz, że anarchista powinien siedzieć w knajpie albo kawiarni, podczas gdy żona pracuje, to znaczy, że niczego nie zrozumiałeś”.

1 Duro - drobna moneta hiszpańska równa 5 pesetom. Zatem propozycja Ascasa powtarzała ofertę Durrutiego.

Nie, niczego jeszcze nie rozumieliśmy. Nie wyobrażaliśmy sobie, co nas czeka, chociaż weszliśmy nerwowo w powietrze jak psy, które wietrzą zbliżające się polowanie. Nie wiedzieliśmy, że wkrótce wszystko się skończy. Żegnajcie marzenia anarchistyczne, żegnajcie na zawsze, przyjaciele, byki, młodość, wesołe życie. Bliski nam świat zmierzał do kresu.

Ale wtedy jeszcze kompletnie nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Byliśmy jak niewiniątka, to znaczy byliśmy ignorantami, we łbach roilo nam się od typowych pragnień młodych ludzi, od głupot, o których zapominasz dopiero w obliczu katastrofy. Ja byłem zadowolony z postępów w tauromachii i zamierzałem stanąć wreszcie do walki jako jeden z dwóch równorzędnych matadorów. Poza tym pierwszy raz miałem narzeczoną na serio. Ale

przede wszystkim byłem szczęśliwy, że po długim czasie znowu spotykam się z Durrutim. Buenaventura też chyba cieszył się z wizyty. Po obsztorcowaniu Germinala twarz mu na nowo złagodniała. Zszedł do gospody kupić wino i pożyczyć kilka jajek od sąsiadki, przygotował kapitalną tortillę z ziemniakami, a kiedy wróciła Emilienne, zrobiliśmy sobie ucztę z tortilli, kiełbasek, sera ipà amb tomaca \ Durruti miał trochę w czubie, humor mu dopisywał. „Patrzcie no, mały Félix, jak nam wyrósł - powiedział. - Siedzi tu sobie, zawołany toreador. Po mojemu w porządku, ale żebyś nie zapomniał, że walka jest najważniejsza. Walka, solidarność i wolność. Jesteś to winien ojcu i bratu. A nawet, w dupę, jesteś to winien mnie. Ale nade wszystko jesteś to winien wszystkim biednym, wszystkim nieborakom. Félix Robie »Fortunka«, modny toreador. Zawsze miałeś, gnoju, farta. Twoje zdrowie, Fortuna. Cieszę się, żeś przyszedł. Na pewno przyniesiesz mi szczęście, a bardzo tego potrzebuję”.

1 Pi amb tomaca - (po katalońsku) chleb z pomidorami.

Wtedy ostatni raz widziałem Durrutiego. Niecały miesiąc potem wybuchła wojna.

Nawet na wielkie zmartwienie znajdzie się skuteczne lekarstwo. Jako że dni mijały, a od Ramona nie dochodziły żadne wieści, Félix opracował plan awaryjny:

- Musimy jak najprędzej pojechać do Holandii.

Adrián i ja zdębieliśmy. Bredzi - pomyślałam z niepokojem.

- Mógłbym pojechać sam, ale chyba byłoby lepiej, żebyś mi towarzyszyła. A młody też może się z nami wybrać, jeśli ma ochotę.

- O, stary, dzięki - odparł Adrián zgryźliwie.

- Ale dlaczego do Holandii? Po co? - zapytałam.

- Bo to światowe centrum nielegalnego handlu diamentami. W każdym razie było za czasów mojej działalności politycznej. A z pewnością nadal zajmuje w tym interesie ważne miejsce. Takie podziemne imperium niełatwo zniszczyć.

- Dalej nie kapuję. Co mamy wspólnego z diamentami?

- Daj mi powiedzieć. Obydwoje jesteście zbyt narwani, zbyt młodzi. Musicie wiedzieć, że gros krążącej po świecie brudnej forsy jest inwestowane w diamenty, czy to w celu prania pieniędzy, czy po prostu dlatego, że łatwiej w tej postaci przewozić wysokie kwoty. Mowa tu o prawdziwych brudnych pieniądzach, o poważnych ilościach, które krążą bardzo niebezpiecznymi szlakami. Na przykład o pieniądzach z handlu narkotykami i bronią, ale również o pieniądzach politycznych. Mafie włoskie kupują ministrów i sędziów za pomocą diamentów, ETA i IRA wykorzystują diamenty w swoich machinacjach, Kaddafi diamentami opłaca ugrupowania terrorystyczne w krajach, w których zamierza zachwiać porządkiem wewnętrznym. Kiedy byłem rewolwerowcem, nauczyłem się, że w świecie

istnieje wiele światów, a spośród nich największy, najtrwalszy i najsolidniejszy to podziemny świat międzynarodowej przestępczości. Wielcy zbrodniarze tworzą najważniejszą międzynarodówkę na naszej planecie, rządzącą się bardzo ściśle przestrzeganymi regułami, z kolegią administracją i ugruntowaną hierarchią. Na dodatek działają we wszystkich krajach świata. To właśnie jest prawdziwy internacjonalizm, a nie te mrzonki bolszewickie czy anarchistyczne. Znam jednego faceta w Amsterdamie, to znaczy znałem, bo może już nie żyje, który był liczącą się postacią w świecie handlarzy diamentami. Możemy się tam wybrać i spróbować z nim pogadać, a jak nie z nim, to z jego spadkobiercami, bo to zwykle są interesy rodzinne. Grupa handlarzy holenderskich zajmuje wysoką pozycję w hierarchii światowej przestępczości. Może wiedzą coś na temat Dumy Robotniczej, a nawet jeśli nie, to wskażą nam, do kogo mamy się zwrócić w Hiszpanii, żeby się czegoś więcej podowiadzać. Bo wszystko zależy od tego, żeby wiedzieć, kogo pytać, jak w ministerstwach. Zapytasz właściwą osobę, otrzymasz odpowiedź. Uważam, że trzeba spróbować, nic nie mamy do stracenia. Jedźmy do Holandii i odszukajmy mojego dawnego kolegę.

Gdy tak słuchaliśmy wyjaśnień Feliksa, cała sprawa wydawała się dość egzotyczna, ale i łatwa do załatwienia, zupełnie jakby chodziło o to, by pójść do punktu informacyjnego w Amsterdamie, złożyć petycję i zostać zaprowadzonym do gabinetu właściwego urzędnika, który jak najprzejmiej poinformuje o wszystkim.

- Świetnie, czemu nie? - zgodziłam się. - Jedźmy do Holandii. Krew mnie zalewa, że siedzimy tu tak beczynnienie.

Chociaż Félix upierał się, że pokryje koszty podróży z własnej kieszeni (Adrián nie miał ani grosza i dał się zaprosić z tupetem typowym dla młodych, którzy wykorzystują materialnie dorosłych), udało mi się go przekonać, żebyśmy przeznaczili na to nadwyżkę pieniędzy z sejfu: wyjęliśmy stamtąd dwieście jeden milionów, a Dumie Robotniczej przekazaliśmy tylko dwieście.

- To nie są moje pieniądze, to nie są czyste pieniądze, nie chcę ich, nie potrzebuję. Trudno wydać je lepiej niż po to, żeby odnaleźć jakiś trop.

Podjąwszy decyzję, zaczęliśmy starannie przygotowywać się do podróży. Trochę czasu mnie kosztowało, zanim przekonałam Feliksa, by nie zabierał ze sobą swojego Pistoletu-Garłacza. Musiałam klarować mu, że nie oszukamy bramek ani tuneli z promieniami rentgenowskimi na lotniskach, że znajdą broń i będziemy mieć kłopoty, bo Félix nie posiada na nią pozwolenia. Sąsiad marszczył naburmuszony swoje siwe krzaczaste brwi: moje słowa wcale go nie przekonywały. Widząc, z jakim niezrozumieniem podchodzi do sprawy bezpieczeństwa, domyśliłam się, że nie latał od wielu, bardzo wielu lat.

- Bo moja żona Margarita bała się samolotów, a ja już byłem na emeryturze, więc... - tłumaczył się, lekko zarumieniony.

Co za przedziwna postać z tego Feliksa Robie: z jednej strony czytany kosmopolita i znawca najciemniejszych stron życia, z drugiej, zasiedziały emerytowany dziadunio, który nawet nie wie, że nie sposób przemknąć przez lotnisko z armatą. Chociaż na dobrą sprawę - pomyślałam natychmiast - wszyscy stanowiliśmy dość szczególny, absurdalny tercet. Félix, niedostosowany do życia z powodu podeszłego wieku, ale nie poddający się starości i odgrywający chwata z bronią; Adrián, niedostosowany do życia z powodu młodego wieku, chłopak bez zawodu ni dochodów, bez przeszłości ani dającej się przewidzieć przyszłości; i ja, Lucía Romero, najgorsza z całej trójki, w wieku akurat do bycia kimś i gdzieś, tyle że w rzeczywistości byłam zawieszona w próżni i nie wiedziałam sama, kim jestem, ucieleśnienie sprzeczności i niezdecydowania, czterdziestka, co mdleje ze strachu. A u naszych stóp Suka-Foka, sapiąc, wydawała odgłosy identyczne z odgłosami silnika spalinowego o zanieczyszczonych świecach. Spała sobie przeszczęśliwa i całkowicie pewna, że będziemy się nią zajmować, że jesteśmy wszechmogącymi bóstwami, które mogą ją karmić, drapać i wyprowadzać przez całą psią wieczność. Nie dostrzegała, że de facto stanowimy grupkę marnych, bezradnych istot ludzkich. Za oknami pozostali mieszkańcy Ziemi byli zajęci sobą: spieszyli pracownicy w tę i we w tę, jakby mieli wystarczające powody, by tak krążyć, przestrzegali harmonogramów, sadzili drzewa, podawali kaszkę dzieciom, kupowali w niedzielę ciastka, w sierpniu wyjeżdżali na wakacje z przyczepą kempingową. Załatwiali różne sprawy. Żyli.

My przynajmniej zamierzaliśmy zrobić coś więcej: jechaliśmy do Amsterdamu w poszukiwaniu prawdy. Bo gra toczyła się już nie o Ramona, a w każdym razie nie tylko o Ramona. Stało się to dla mnie oczywiste już na lotnisku, gdzie z pewnym dreszczykiem powróciło wspomnienie zaginięcia mojego męża, i było oczywiste, kiedy udawałam, że śpię, a Adrián i Félix się kłócili, oraz w taksówce, w drodze do taniego i obskurnego hoteliku w pobliżu ulic z dziwkami na wystawach. Teraz moimi krokami powodowało pragnienie wypatroszenia prawdy, o ile ona w ogóle istnieje i posiada wnętrzości. Owszem, chciałam odzyskać Ramona, przyjść mu z pomocą, zakładając, że potrzebuje pomocy. Ale pragnęłam też dowiedzieć się, czymże mój mąż zasłużył sobie na swój los, co go łączyło z Dumą Robotniczą, jaki naprawdę był ten Ramón, z którym przeżyłam z górą dziesięć lat, jakim cudem dałam się tak omamić. I kim była do cholery ta Lucía Romero, co dotąd żyła w nieświadomości.

Rano pierwszego dnia naszego pobytu w Amsterdamie było ciemno (dlaczego zawsze

się mówi „jak w dupie u Murzyna”? Biedni Murzyni, o błyszczących oczach i jasnych dłoniach), ciemno jak w kiblu w przejściu podziemnym. Było niemożliwie zimno, a policzki smagał ohydny deszcz ze śniegiem. Amsterdam, tak zwykle piękny, pod ołowianym niebem ukazywał nam swoje poważne i ponure oblicze. Ulice były puste, kanały czarne i wzburzone, a za każdym rogiem można się było spodziewać morderstwa. Wyszliśmy z hotelu pełni najgorszych przeczuc. Przynajmniej ja to tak odczuwałam, bo Félix demonstrował spore ożywienie i gadatliwość. Może to z nerwów.

Tweede Onno Ligetvoetstraat znajdowała się dwie minuty drogi od Rokinu, głównej arterii handlu diamentami. Alei kupców legalnych, posiadających znane i szanowane sklepy. Tyle że niektórzy z nich, pod osłoną powszechnej renomy holenderskich złotników, na zapleczu dokonywali innych transakcji. Tajnych i gigantycznych.

Przy Tweede Onno Ligetvoetstraat mieścił się ceniony zakład jubilerski Van Hoog, mały, ale wystawny sklepik z drewnianą rzeźbioną fasadą i szyldem „Founded in 1754” wrytym w drewnie i inkrustowanym złotem. Nim odważyliśmy się wejść, postaliśmy chwilę bezczynnie przed niewielką witryną, przyglądając się wyłożonym diamentom, szmaragdom, berylom, rubinom, a także prześlicznym starym klejnotom, spoczywającym elegancko na czerwonym aksamicie. Nigdzie nie było widać straszliwych łańcuszków ze złota, przeznaczonych dla turystów, z miniaturami wiatraków czy sabotów, łańcuszków, od jakich roiło się w innych sklepikach. Van Hoog był zakładem wykwinnym, z klasą i w dobrym guście.

W końcu weszliśmy i stanęliśmy przy ladzie, z głupkowatymi, wystraszonymi minami.

- Can I help you?

Z tą propozycją zwrócił się do nas mniej więcej czterdziestoletni książę. Mówię: książę, bo miał na sobie garnitur w kolorze perłowszarym, najwytworniejszy, jaki w życiu widziałam, dwurzędowy i z niebywalej tkaniny, dopasowaną niebieską koszulę, jedwabny krawat w żółte wzory. A nad tym wszystkim widniała twarz angielskiego księcia małżonka, o szarych przenikliwych oczach, orlim nosie i arcyszlachetnym podbródku, który skłaniał się ku nam z niezwykłą uprzejmością. Ci prawdziwi arystokraci są tak wielkoduszni.

- May I speak with Mr van Hoog, please } - odparł Félix, z poprawną składnią i upiornym akcentem. „Czy mogę rozmawiać z panem van Hoogem?”. Coś takiego: nie wiedziałam, że dziadek zna języki.

- Ja jestem van Hoog. Pan sobie życzy? - powiedział książę nienaganną angielszczyzną.

- Nie, przepraszam, nie z panem. Chodzi mi o starego pana van Hooga, człowieka w moim wieku. Jesteśmy dawnymi znajomymi, chociaż od wielu lat go nie widziałem. Mam nadzieję, że jeszcze żyje - wyjaśnił Félix.

- Zapewne ma pan na myśli mojego ojca. Wycofał się z interesu. Już tu nie przychodzi. Czym mogę panu służyć? - odrzekł spokojnie tamten.

Félix popatrzył na mnie z lekkim przygnębieniem. No, skoro tak się sprawy miały, należało zaryzykować. Zobaczyłam, że szykuje się do skoku, i czujnie wstrzymałam oddech.

- No więc, rzecz w tym... Trochę trudno tę sprawę wyłuszczyć... - zaczął Félix niepewnym głosem. - Nazywam się Fortuna i... Należeliśmy z bratem do hiszpańskiej partyzantki anarchistycznej. Byliśmy rewolwerowcami anarchizmu, wie pan? I przed laty przyjeżdżaliśmy tu kupować od pańskiego ojca czarnorynkowe diamenty.

Wprawdzie byliśmy w sklepie sami, ale Félix ściszył głos.

- Obawiam się, że zaszła jakaś pomyłka, szanowny panie. Nigdy nie działaliśmy na czarnym rynku - odpowiedział książe i ani jeden muskuł nie drgnął mu na twarzy.

- Wybaczy pan, że będę nalegał, ale z pańskim ojcem zawarliśmy co najmniej cztery czy pięć transakcji. Do mnie właśnie należał kontakt z tym sklepem, osobiście umawiałem się z panem van Hoogem.

- A ja powtarzam panu, że to pomyłka.

- Proszę posłuchać, chcę tylko przez chwilę porozmawiać z pańskim ojcem. Dlaczego nie skontaktuje mnie pan z panem van Hoogem? Jeżeli nie, będę musiał niestety poszukać go inaczej. Popytam po sąsiadach na tej ulicy. Opowiem im swoją historię. Rozpytam się o niego.

W miarę nalegań Feliksa cały plan podróży do Holandii i w szczególności wizyty w zakładzie jubilerskim Van Hoog zaczynał przeradzać się w moich oczach w jakiś obłąd. Nawet jeżeli Feliksowi nie pomieszały się wspomnienia (pamięć starych ludzi przypomina dziurawą skarpetkę) i jeżeli znajdujemy się we właściwym miejscu, kto nam kazał pleść podobne brednie książecemu synowi, który najpewniej nie miał pojęcia o młodzieńczych wyczynach ojca? Jasne, sprawa mogła przybrać jeszcze gorszy obrót. Mogło nawet się okazać, że to wytworne wnętrze jest centrum ogólnoświatowej mafii. Jeśli tak, to przyłączenie tu i bełkotanie zuchwalstw, które Félix właśnie wygadywał, mogło się okazać najbardziej nieodpowiednią i niezdrową rzeczą, jaką da się w życiu zaplanować. Chciałam przełknąć ślinę, ale kompletnie zaschło mi w ustach.

- Cóż... – pseudo-książe przez chwilę błędził szarymi oczami w oddali. - To chyba nie jest najwłaściwsze miejsce na podobne dyskusje. Jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu,

może przejdziemy się na piętro?

Nie, nie mieliśmy, ma się rozumieć, aczkolwiek w głębi duszy byłam przekonana, że dadzą nam popalić, jak tylko znajdziemy się na zapleczu. Ale nie, pomyliłam się. Ze sklepu przeszliśmy do maleńkiego pokoiku z szafkami na dokumenty i skórzanymi fotelami, a stamtąd, po trzeszczących schodach z drewna, którymi ksiązę małżonek udał się pierwszy (przeprosił, mówiąc, że chce nam wskazać drogę), dostaliśmy się na piętro, najpierw do ciemnego korytarzyka, następnie do jakiegoś pokoju. I dopiero tu spuścili nam łomot.

Ścisłej mówiąc, spuścili go Adrianowi. Jak tylko znaleźliśmy się wewnątrz, rzuciło się na nas dwóch goryli w garniturach od Armaniego. W mgnieniu oka wykręcili Feliksowi i chłopakowi ręce na plecach. Ksiązę tymczasem chwycił mnie za gardło. Co za upokorzenie: trzymał mnie prawie w powietrzu, jak królika, ledwie muskałam stopami podłogę. Zbliżył się do Feliksa, niosąc mnie jedną ręką.

- Kim jesteście i czego chcecie? - odezwał się spokojnie, stawiając rutynowe pytania.

- Powiedziałem prawdę! - krzyknął Félix. - Nie szukam kłopotów, potrzebuję drobnej pomocy. Niech pan zapyta pana van Hooga o „Fortunę” i Victora „Modnisia”, anarchistów hiszpańskich.

Tamtego chyba to nie przekonało. Jego prawa pięść się uniosła i przez chwilę myślałam, że zaraz wyląduje na twarzy Feliksa. Ale ksiązę, jako osoba wykwinna, uznał widocznie, że bicie staruszka jest w nie najlepszym tonie, zatem obrócił się nieco i rąbnął w twarz Adriana. Był to cios nader szlachetny w swej wymowie, zważywszy, że nie poprzedził go szeroki zamach, że mój ciężar w lewej dłoni właściciela sklepu nie pozwalał na zachowanie prawidłowej równowagi całego ciała, poza tym cios nie wynikał z nienawiści czy wściekłości: ksiązę małżonek zachowywał nadal pełną kulturę i spokój. Spodziewałam się wręcz, że zaraz przeprosi Adriana za to, że poplamił mu koszulę krwią kapiącą chłopakowi z rozbitej wargi.

Sprawy mogły potoczyć się dla nas jeszcze mniej przyjemnie, gdyby nie jakiś głos, energicznie wypowiadający kilka słów po holendersku. Może były to słowa, którymi Mojżesz kazał rozstąpić się wodom Morza Czerwonego, bo oto goryle momentalnie uwolnili Feliksa i Adriana, ksiązę zaś puścił moje gardło i cofnął się parę kroków. Spieszył powitać jakiegoś starca, który wchodził właśnie do pokoju, wsparty na balkoniku z metalowych rurek. Bardzo ładny staruszek, spowity we flanelowy szlafrok w wesołą kratkę, w kraciastych pantoflach i wełnianej, długiej szlafmicy rodem z bajek dla dzieci - czerwonej i zakończonej pomponem. Spod szlafmicy wymykały się siwe, potargane włoski, wieńczące różową, puciołowatą twarz o niebieskich oczach i pocziwym wyrazie. Wyglądał jak święty Mikołaj przed pójściem

spać.

- Ty mówisz, ty anarchista? - zapytał staruch łamaną hiszpańszczyzną. - Ty brat z dwóch bratów partyzantów? Zobaczymy.

Z trudem przysunął balkonik bliżej, aż stanął tuż przy Feliksie. Dłuższą chwilę przyglądał mu się z uwagą.

- Tak... Pamiętam... Ty „Szczęściarz”?

- „Fortuna”, jestem „Fortuna”, proszę pana.

- Otóż to, „Fortuna”. A brat jest Victoria.

- Víctor. Víctor „Modniś”.

- Otóż to.

Van Hoog znów zaczął mierzyć Feliksa wzrokiem od stóp do głów.

- Mmmmm... Ty w porządku, w dużym porządku, a ja kulawy! Stary, śmieć. Ile ty lat?

- Osiemdziesiąt, proszę pana.

- Ja siedemdziesiąt dziewięć! Ty kutas.

Ale uśmiechał się, może zachwycony spotkaniem znajomego z młodości. Albo na przykład nudził się na emeryturze.

Uśmiech świętego Mikołaja dokonał cudu. Syn zamienił z ojcem kilka zdań po holendersku, po czym skłonił się nam nieznacznie i zszedł do sklepu. Ochroniarze w garniturach od Armaniego nagle stali się uprzejmymi kelnerami i podali nam kawę i ciastka, stawiając delikatne filiżanki z angielskiej porcelany na mahoniowym stoliku. Przynieśli nawet woreczek z lodem, żeby Adrián mógł go sobie przyłożyć do opuchniętej wargi.

Siedzieliśmy tam całe przedpołudnie, popijaliśmy kawę i chrupaliśmy ciasteczka. Stary van Hoog zajadał tylko wisienki ze środka promienistych jak małe słońca herbatniczków. Pożerał wisienkę za wisienką, a resztę wrzucał do kosza. Kiedy ten rodzaj ciasteczek się kończył, Kelnerzy-Goryle zaraz donosili więcej.

Wyjaśniliśmy mu szczegółowo naszą historię i chyba był zadowolony. Kiwał głową i pomrukiwał przytakująco, słuchając opowieści Feliksa i moich komentarzy - a kiedy skończyliśmy mówić, sam zabrał głos. Opowiedział nam o swoich wyczynach podczas drugiej wojny światowej. Jak to działał w ruchu oporu przeciwko hitlerowcom, jak dopomógł Żydom w ucieczce. O swoich narzeczonych, przyjaciółach, pierwszych interesach. A wszystko to tym szkaradnym językiem, murzyńskim hiszpańskim. Koło południa naszą trójkę zaczęła ogarniać rozpacz. Nic nie powiedział w naszej sprawie, a rozmowa zaczynała się dłużyć. W pewnej chwili stary van Hoog zamknął oczy, a podbródek opadł mu na pierś.

- A teraz facio weźmie i nam tu zaśnie - wymamrotał Adrian, wzburzony, i słusznie,

rosnącą opuchlizną na gębie.

- Nie zaśnie, myślę - ożywił się jubiler, otwierając oczy i prostując się na krześle.

Podniósł rękę i poprosił o coś jednego z goryli. Zbir-Ochmistrz natychmiast wyszedł z pomieszczenia i wrócił zaraz z misterną szkatułką z chińskiej laki. Van Hoog wyjął arkusz pięknego papieru, kremowego, z nieregularnymi zgrubieniami. Odkręcił nasadkę opasłego pióra Mont Blanc i napisał drżącą ręką:

They only want to talk. They are my friends. („Chcą tylko porozmawiać. To moi przyjaciele”).

Podpisał pełnym imieniem i nazwiskiem, po czym przystawił na dole zielony stempel wyobrażający niską wieżę o ściętych murach, przypominającą bardzo figurę szachową.

- Otóż to. Rozmawiać z...

Znów zaczął potrząsać dłonią w powietrzu. Jeden z goryli zbliżył się, wysłuchał poleceń szefa i wyszedł. Czekaliśmy w milczeniu. Po trzech minutach drab wrócił z kartką, którą wręczył van Hoogowi.

- Rozmawiać z Manuelem Blanco, otóż to - powiedział stary, czytając z kartki. - Telefon Madryt, tu papier. Mały nasz człowiek. Mały! Pomoże. Tu mój dokument. Mój stempel. Mój podpis. Też pomoże. Dużo przyjacieli Madryt. Jedne przyjaciele duże. Oni wiedzą, tak. To wszystko. Do widzenia. Następny raz ja i ty spotkamy, „Fortuna”, oba trochę nieżywi. Otóż to.

I zaśmiał się serdecznie z własnego dowcipu. Teraz był naprawdę podobny do świętego Mikołaja. Potem powiedział coś do ochroniarza, który zaraz wziął go na ręce, tak jak się bierze lalkę. Drugi goryl podniósł metalowy balkonik i cała grupa znikła w małych drzwiach w kącie pokoju. A my zostaliśmy we trójkę z dwoma dokumentami, które dał nam starzec, z resztką kawy i koszem pełnym nadgryzionych herbatniczków. Opuściliśmy więc lokal (gabinecik na dole miał osobne wyjście wprost na ulicę, dzięki czemu nie trzeba było przechodzić przez sklep) i, wreszcie na zewnątrz, odetchnęliśmy.

- Udało się.

Niewiarygodne, ale się nam udało. Euforia aż bulgotała we mnie, zupełnie jak w czasie wielkiej libacji. Dostaliśmy się do grubej ryby, uzyskaliśmy kontakt w Madrycie, byliśmy nawet w posiadaniu listu żelaznego, a wszystko to bez uszczerbku na ciele! Przynajmniej bez zbytniego uszczerbku.

- Adrián, biedaczku. Jak ci? - odezwałam się, przypomniawszy sobie cios i zorientowawszy się, że chłopak coś milczy.

- Dobrze. Nic mi nie jest - odparł.

Ale kiedy podeszłam, stwierdziłam, że się trzęsie.

- Co z tobą?

Dotknęłam jego policzka: parzył jak kociołek na ogniu.

- Masz gorączkę. I to chyba wysoką.

- Już rano źle się czułem.

Rzeczywiście, mówił przecież. Mówił, że mu niedobrze, chociaż ogarnięta podnieceniem nie zwróciłam na to uwagi. Teraz szedł chwiejnym krokiem, a jego nieobecne oczy nienaturalnie błyszczały. Pojechaliśmy do hotelu taksówką, wdrapaliśmy się drugie piętro po brudnych schodach i we trójkę weszliśmy do ciemnego i długiego pokoju Adriana, z dziewiczo pościelonym wąskim łóżeczkiem, rozchwierutaną szafą i oknem wychodzącym na mroczne podwórko.

- Kładź się natychmiast do łóżka - powiedziałam niepotrzebnie, bo Adrián już zdejmował adidasy. - Możemy ci jakoś pomóc?

- Nie, nie - odparł tępo i niemrawo, ściągając sweter przez głowę.

Tępa tak naprawdę byłam ja, bo nie wiedziałam, czy iść, czy zostać. Pomyślałam: to nic takiego, że dwudziestoletni chłopak zostanie w samej bieliźnie. Gdyby Adrián mi się nie podobał, nie byłoby w ogóle problemu, że rozbiera się przy mnie. Rzecz w tym, że mi się podobał. Spojrzałam niepewnie na Feliksa.

- Chyba nas nie potrzebuje.

Adrián zdążył już zdjąć dzinsy i został w samych slipkach, a sekundę później znajdował się w pościeli. Błyskawica jasnego, mocnego ciała, potężna, cudowna pierś już ukształtowanego mężczyzny.

Ale w łóżku, gdy widać mu było tylko tę twarzyczkę smutnego kota, przypominał małe dziecko.

- Nie idźcie - poprosił.

Mały, maleńki. I chyba strasznie było mu źle, że aż prosił nas o pozostanie. Adrián przecież nigdy o nic nie prosi. Na tym polegał jeden z jego problemów.

- Ty z nim zostań. Ja poszukam lekarza - rzeki Félix.

Faktycznie, zaraz poszedł, a po jakimś czasie wrócił z lekarzem, który stwierdził u Adriana zapalenie migdałków, czyli anginę, wściekłą, silną anginę jak u dzieciaków. Ale to się stało potem. Na razie Félix dopiero co sobie poszedł, a ja usiadłam w rogu łóżka. Adrián płonął, prawie widziałam unoszący się zeń dym i drżące wokół jego głowy powietrze, jak nad piaskiem rozpalonej słońcem pustyni. Policzki mu poczerwieniały, oczy błyszczały, a górna warga wciąż była wspaniale opuchnięta po uderzeniu. Był śliczny aż do bólu,

niewyobrażalnie pociągający. Tak strasznie chciałam pogłaskać go po twarzy. Przesunąć palcem po delikatnej, gorącej krawędzi jego uszu. Po jego szyi. Po wyschniętych wargach. Ale nie mogłam tego zrobić. Jeszcze sobie pomyśli, że robię to z matczynej miłości, bo jest chory. Ze wcale nie z żądz, wyuzdania, szaleństwa, niepohamowanego głodu na widok jego ciała.

- Lucia.

- Tak?

- Ta wieża, wieża z listu, wieża ze stempla.

- Co?

- Nie, nic. To przypadek, dziś znowu miałem jeden z tych snów. Tych zagadkowych. Jest wieża. Kamienna wieża z wieloma, wieloma piętrami, z bardzo wieloma oknami, bardzo wysoka wieża. Ale rozwalona, na wpół ruina. I człowiek. Na szczycie tej wieży stoi smutny człowiek. Wychyla się do przodu, wreszcie rzuca się. Ale lecąc w powietrzu ku śmierci nagle słyszy jakiś dźwięk. Wtedy, z wyrazem najwyższej rozpacz na twarzy, krzyczy: „Nieeeeeeee!”.

- „Nie”?

- „Nieeeeeeee!”

- I co dalej?

- Już nic. Obudziłem się. I ciągle nie wiem, dlaczego on krzyczy, nie umiem tego wyjaśnić. Chyba mam gorączkę.

I Adrián zamknął oczy, wyczerpany opowiadaniem mi zagadki. Ale jedna z jego rąk podpełzła po pościeli niczym ślepy rak i odnalazła mnie. I ten suchy, rozpalony rak wsunął się między moje dłonie, jakby w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Żeby nie spaść z wieży. A ja siedziałam cicho, bardzo cichutko. Pomyślałam, że może dzięki temu Adrián nie zorientuje się, że cała drzę.

Hooga poznałem pod sam koniec mojej kariery rewolwerowca. To było już po wojnie, ale zanim zajmimy się okresem powojennym, muszę wspomnieć tu o wojnie, choć to może gorzka opowieść - powiedział Félix. Robie. - Kiedy wojna wybuchła, miałem dwadzieścia dwa lata, narzeczoną z prawdziwego zdarzenia, Doritę, Dorotę, i obowiązek do spełnienia. Obowiązek polityczny, społeczny, anarchistyczny. Jak mówił Durruti, byłem to winien memu ojcu, ale przede wszystkim byłem to winien matce, która umarła z nędzy, a także sobie samemu. Swojemu własnemu poczuciu sprawiedliwości. Marzeniom i uniesieniom mojego dzieciństwa.

Chociaż cały kraj spodziewał się wojny, ja wolałem nie zwracać uwagi na

przygotowania, na coraz wyraźniejsze oznaki konfliktu. Dlatego kiedy wreszcie wybuchła, poczułem się winny. Dręczył mnie mój brak zaangażowania w sprawę. Poprzednie skrupuły, owe drobne niepokoje, jakie towarzyszyły mi stale od czasu śmierci mojego zabitego, wywołały we mnie gwałtowną, egoistyczną potrzebę wypisania się z najcięższej roboty w podziemiu. Postanowiłem wówczas oddać się własnym przyjemnościom, swoim pasjom, walczyć z bykami, zalecać się do kobiet, żyć. Zachowałem się bezczelnie, jak plugawy pasożyt, chyba nawet gorzej niż burżuje, przeciwko którym niby miałem walczyć (wywłaszczyć burżuazję, odrzucić państwo - tak należało wyzwolić klasę robotniczą), ponieważ ja wiedziałem. Dlatego właśnie bunt Franco wywołał u mnie poważny kryzys świadomości. Powróciły żar anarchistyczny, poczucie solidarności i nadzieja zwycięstwa. Przyszła chwila prawdy. Rewolucja albo śmierć. Raj był w zasięgu ręki.

Owego dnia osiemnastego lipca miałem walczyć na arenie w Calatayud. Sprzęt, strój paradny i kapę zostawiłem w zajeździe i wraz z kilkoma towarzyszami z FAI1 udałem się czym prędzej do Barcelony. Chciałem oddać się pod rozkazy Buenaventury, oddać mu swoje życie we władanie, niech robi z nim, co chce. Rewolucja i wojna (my, anarchiści, wytyczyliśmy sobie te dwa cele) były jak oko cyklonu: wsysały wszystko, nic oprócz nich się nie liczyło. To znaczy nic o charakterze osobistym. Ani, powiedzmy, zamiłowanie do byków, ani miłość Dority. Ją powstanie dopadło w Madrycie. Później przez wiele lat jej nie widziałem. To była porządna dziewczyna: pierwsza kobieta, jaka zdołała mnie rozczulić, pierwsza, jaką chciałem okrywać, gdy spała koło mnie. Sądziłem, że to jest miłość, uznałem, że już do niej dorosłem, że j u ż do mnie przyszła. Młodzi, kiedy zakochują się pierwszy raz, wierzą, że ta właśnie miłość była ich celem, ostatecznym portem. Tymczasem to dopiero linia startowa ku rozmaitym perypetiom miłosnym, ku temu wielkiemu biegowi z przeszkodami. Spotkałem raz Doritę, kiedy wróciłem do Madrytu, już w latach sześćdziesiątych, na stacji metra. Od razu ją poznałem, chociaż utyla, a twarz jej przyjemnościom, swoim pasjom, walczyć z bykami, zalecać się do kobiet, żyć. Zachowałem się bezczelnie, jak plugawy pasożyt, chyba nawet gorzej niż burżuje, przeciwko którym niby miałem walczyć (wywłaszczyć burżuazję, odrzucić państwo - tak należało wyzwolić klasę robotniczą), ponieważ ja wiedziałem. Dlatego właśnie bunt Franco wywołał u mnie poważny kryzys świadomości. Powróciły żar anarchistyczny, poczucie solidarności i nadzieja zwycięstwa. Przyszła chwila prawdy. Rewolucja albo śmierć. Raj był w zasięgu ręki.

1 FAI (Federación Anarquista Ibérica) - Iberyjska Federacja Anarchistyczna.

Owego dnia osiemnastego lipca miałem walczyć na arenie w Calatayud. Sprzęt, strój paradny i kapę zostawiłem w zajeździe i wraz z kilkoma towarzyszami z FAI1 udałem się

czym prędeż do Barcelony. Chciałem oddać się pod rozkazy Buenaventury, oddać mu swoje życie we władanie, niech robi z nim, co chce. Rewolucja i wojna (my, anarchiści, wytyczyliśmy sobie te dwa cele) były jak oko cyklonu: wsysały wszystko, nic oprócz nich się nie liczyło. To znaczy nic o charakterze osobistym. Ani, powiedzmy, zamięłowanie do byków, ani miłość Dority. Ją powstanie dopadło w Madrycie. Później przez wiele lat jej nie widziałem. To była porządna dziewczyna: pierwsza kobieta, jaka zdołała mnie rozczulić, pierwsza, jaką chciałem okrywać, gdy spała koło mnie. Sądziłem, że to jest miłość, uznałem, że j u ż do niej dorosłem, że j u ż do mnie przysłała. Młodzi, kiedy zakochują się pierwszy raz, wierzą, że ta właśnie miłość była ich celem, ostatecznym portem. Tymczasem to dopiero linia startowa ku rozmaitym perypetiom miłosnym, ku temu wielkiemu biegowi z przeszkodami. Spotkałem raz Doritę, kiedy wróciłem do Madrytu, już w latach sześćdziesiątych, na stacji metra. Od razu ją poznałem, chociaż utyla, a twarz jej przywiedła i nieco posmutniała. „Ty się nic nie zmieniasz” - powiedzieliśmy sobie nawzajem. Okłamaliśmy się nawzajem. Doricie towarzyszyło dwóch przyszczatych i brudnych młodzieńców. „To dwaj młodzi” - wyjaśniła. „Ile masz?”. „Czworo” - odpowiedziała Dorita, rumieniąc się, jakby ze wstydu. Przyjrzałem się chłopakom: brzydcy, z wielkimi nohami. Gdyby byli moi - pomyślałem z kretyńską dumą - byłiby ładniejsi.

1 FAI (Federación Anarquista Ibérica) - Iberyjska Federacja Anarchistyczna.

Ale mówiliśmy o wojnie. Dotarłem do Barcelony dwudziestego lipca i od razu dowiedziałem się o śmierci Ascasa. Zginął parę godzin wcześniej, podczas ataku na Stocznie Królewskie ¹. Bohater, szaleniec, odważny człowiek, samobójca - mówili o nim ludzie. Poszedł sam, bez osłony, żeby zlikwidować Strzelca wyposażonego w karabin maszynowy. Uzbrojony zaledwie w pistolet. Znając Ascasa, pomyślałem, że przede wszystkim był człowiekiem dumnym. Ze musiał odczuwać strach, podchodząc do gniazda wroga, strach tak wielki, że zwalczyć go mógł jedynie pokazem śmiałości. Zgubiła go pycha, zbyt wielka miara, jaką sam do siebie przykładał. My, toreadorzy, doskonale wiemy, co to znaczy żyć ze strachem. Im bardziej się boisz i im bardziej wytrwale to przezwyciężasz, tym bardziej ryzykujesz. Biedny Ascaso. Widziałem go martwego, ułożonego na stole w siedzibie FAI. Miał na sobie lekkie ubranie w kolorze brązowym, eleganckie, modne i w sam raz dla paniczyka, tyle że teraz dosyć pomięte i poplamione krwią. I espadryle robotnicze. Zginął stylowo i jak przystało na szaleńca. Dokładnie tak, jak żył.

1 W zabytkowych Stoczniach Królewskich w Barcelonie znajdował się punkt oporu sił frankistowskich.

Przypuszczałem, że spotkam Durrutiego na czuwaniu przy zmarłym, ale tak się nie

stało. W owych pierwszych dniach Buenaventura wyrósł na jakiegoś boga, był wielki, wszechobecny, wszechmocny i nieosiągalny, przynajmniej dla mnie. Walczył, nie tracąc ani chwili na sen czy na opłakiwanie swego brata Ascasa, byle tylko zdławić opór zbuntowanych nacjonalistów, wynegocjował z Companysem¹ władzę wojskową i polityczną, a potem w mgnieniu oka zorganizował kolumnę „Durruti”, która cztery dni później poszła na opanowaną przez nacjonalistów Saragossę. I przez te cztery dni, nim wyruszył, obydwaj z Buenaventurą szukaliśmy się nawzajem, kiedy tylko czas pozwalał, ale nadaremnie. W końcu Durruti wysłał do mnie przez jakiegoś CNTystę wiadomość, że mam za wszelką cenę doprowadzić do Bilbao ciężarówkę z bronią dla towarzyszy baskijskich. Strzelby podczas wojny stanowiły poważny problem: my, anarchiści, odczuwaliśmy niedostatek broni, nie mieliśmy amunicji, porzewiałe sztucery wybuchały nam prosto w oczy. W trakcie przygotowań do wyjazdu miałem jeszcze okazję zobaczyć wymarsz kolumny „Durruti”. Był piękny letni wieczór, a ulice Barcelony dosłownie pękały w szwach - każdy chciał pożegnać gwardzistów. Nie wyglądało to jak defilada wojskowa czy groźny pochód - żadnych rozkazów, żadnych równych szeregów. Raczej była to świąteczna procesja, trzy tysiące młodych ludzi w różnokolorowych strojach, trzy tysiące chłopaków, którzy śpiewali, całowali dziewczyny, chwyтали goździki rzucające z okien. I chociaż mieli granaty przytroczone do lederwerków, nie powiedzielibyście, że ci chłopcy idą na wojnę i śmierć. I faktycznie wcale tak nie było. Owego chwalebego letniego wieczoru dwudziestego czwartego lipca kolumna „Durruti” szła po przyszłość, po triumf Rewolucji, po historyczne szczęście.

1 Lluís Companys - przywódca lewicowego rządu autonomicznego Katalonii w czasach republiki.

Tak, po szczęście. Mam na myśli mit powszechnej szczęśliwości, tak głęboko zakorzeniony w ludzkich duszach, wiarę, że można stworzyć raj na ziemi, czyli będący w zasięgu wzroku dobrobyt, gdzie żadne dziecko nie umrze z głodu. Dzisiaj już nie mamy nadziei na taką wspaniałą ewentualność. To znaczy my na Zachodzie. Dumni obywatele tak zwanego Pierwszego Świata. Nie wierzymy w szczęście, bo taka wiara nie jest nam potrzebna. Tylko żyjące w głodzie i nędzy narody muszą wierzyć w możliwość nastania raj na ziemi. Jak inaczej mogłyby znieść tyle cierpień? Bojownicy z kolumny „Durruti” szli właśnie po to szczęście, dobrobyt obiecany i wreszcie realny. Dobrobyt, który od tysięcy należał się ubogim i wydziedziczonym, który wywalczyli i wycierpieli w codziennym trudzie.

Jestem starym idiotą. Dlatego teraz zwilgotniały mi oczy. To się nam często zdarza po osiemdziesiątce: łkamy z powodu byle głupstwa jak zakatarzone pieski salonowe. Zgoda, przyznaję, poddałem się emocjom. Sądziłem, że ból dawno minął, a to wciąż boli.

Wspomnienie tamtego poświęcenia, tamtego entuzjazmu. Tamtej anonimowej stanowczości tyłu kobiet i mężczyzn. I sprawiedliwości historycznej: bo bez wątplenia szczęście się nam należało. Ale niebawem rozpoczął się horror i utonęliśmy w morzu krwi. A horror ten trwał dobre kilka dekad. Każda wojna jest okropna, ale wojna domowa jest na dodatek perwersją. Sami widzieliście na przykładzie Jugosławii. Nie inaczej było w Hiszpanii. Gwałt i okrucieństwo nie do wytrzymania. Po stronie republikańskiej kontrolę nad ekscesami utrudniało rozczłonkowanie władzy i chaos wywołany walkami wewnętrznymi. Po stronie nacjonalistów bestialstw dopuszczały się wojska regularne za przyzwoleniem zwierzchnictwa. Dla mnie oznacza to pewną różnicę, ale nie sądzę, żeby podobne niuanse etyczne specjalnie obchodziły kogoś, komu powoli obcinają uszy, by w końcu zabić go strzałem w głowę. Z wiekiem nauczyłem się, że śmierć jest śmiercią niezależnie od okoliczności.

Mój sen skończył się bardzo prędko. Byłem w Bilbao, dokąd zdołałem dotrzeć z transportem broni, kiedy w styczniu trzydziestego siódmego roku bombowce niemieckie zrównały miasto z ziemią. Ludzie i tak dogorywali z głodu wskutek oblężenia, a teraz na dodatek poszaleli z gniewu i trwogi. Rozzuchwalone tłumy wyległy na ulice, gotowe atakować więzienia, gdzie trzymano skazanych z powodów politycznych. Rząd wysłał wtedy batalion sił UGT1 do obrony więzień, ale gwardziści zarazili się powszechną żądzą krwi i przyłączyli do cizby. W zakładzie Laronga batalion UGT zamordował dziewięćdziesięciu czterech osadzonych, w klasztorze Anioła Stróża dziewięćdziesięciu sześciu. Zaszlachtowali ich jak zwierzęta. Uczestniczyłem w końcowej fazie ataku na klasztor, przerażony, usiłując bezskutecznie powstrzymać paru CNTystów, których rozpoznałem pośród motłochu. Dosłyszałem, że później wybierali się na klasztor karmelitanek, również przekształcony w tymczasowy areszt dla więźniów politycznych, więc pobiegłem tam z ostrzeżeniem. W budynku trafiłem na sześciu baskijskich strażników, wystraszonych pogłoskami o rzezi i gotujących się do obrony. Postanowiliśmy wypuścić ludzi z cel i wespół wnieśliśmy na schodach wielką barykadę z mebli. Zdążyliśmy w ostatniej chwili, bo zwolennicy samosądu już nadchodzili. Mieliśmy do dyspozycji tylko siedem sztuk broni palnej, strażnicy mieli po jednej i ja jedną, a przeciwko nam szedł świetnie uzbrojony batalion i dzika horda wyposażona w bardziej urozmaicony sprzęt do zabijania. Pomyślałem, że oto nadszedł mój czas, i przekląłem siebie w duchu: jak to się stało, że się wpakowałem w taką zawieruchę? Baskijscy strażnicy nie mieli wyjścia, na tym w sumie polegało ich zadanie, byli moralnie zobowiązani do obrony więźniów. Ale skąd ja w tej całej masakrze? Kto mi kazał ruszać na wiatraki i nadstawiać karku za garstkę faszystów? Chociaż właściwie nie robiłem tego dla nich. Robiłem to dla n a s. I wtedy zdarzyło się coś niesamowitego. Jeden z więźniów, tęgi łeb

i złota rączka, wpadł na genialny pomysł, by pomajstrować przy przestarzałym i zdezelowanym rozrządzie prądu, i udało mu się włączyć jednocześnie wszystkie światła w klasztorze. Tłum, wciąż ogarnięty histerią, był pewien, że to znów Niemcy bombardują, i dał drapak. W taki to cwany sposób ocaliliśmy życie. Trzeba przyznać, że rząd republikański, wyraźnie zakłopotany okrutnymi wydarzeniami, kazał aresztować wielu gwardzistów, a sześciu członków sił UGT zostało skazanych na śmierć i zgładzonych. Poza tym uchylono wojenną cenzurę gazet, żeby można było opublikować wiadomość o masakrze. Wstyd publiczny miał posłużyć jako dodatkowa kara. Mnie jednak ten potworny spektakl poraził i załamał. Chyba wówczas zaczęła słabnąć moja wiara w historyczne szczęście. Pamiętam, jak pomyślałem, że przegraliśmy już rewolucję, a jeszcze przegramy i wojnę. A nawet jak zwyciężymy, to tak, jakbyśmy przegrali.

1 UGT (Union General de Trabajadores) - Powszechny Związek Pracowniczy, lewicowa organizacja robotnicza.

Niecały miesiąc wcześniej zginął Durruti. On i jego kolumna dostali rozkaz obrony frontu madryckiego; oblężenie ze strony sił nacjonalistów pogrążyło miasto w sytuacji krytycznej. Podejrzewam, że go tam posłali, by się go pozbyć: był przywódcą niewygodnym, zbyt czystym, zbyt uczciwym, zbyt zaangażowanym w rewolucję. Dlatego wyznaczyli mu zadanie niewykonalne, bez dostatecznego wyposażenia, nie dając odpocząć jego ludziom. Jeden z członków kolumny „Durruti”, który przeżył, dał mi parę miesięcy później list napisany do mnie przez Buenaventurę i nigdy nie wysłany. Prosty list, dokładnie taki, jak jego nadawca. Mówił w nim o twardogłowych politykach, o kłopotach z zaopatrzeniem, o tym, że płakał z wściekłości na froncie pod Bujaraloz, bo zostali bez amunicji i musieli bronić się za pomocą granatów ręcznych. „Wojna to draństwo - pisał. - Burzy nie tylko domy, ale i najwyższe ideały”. I kończył słowami: „Uważaj na siebie, Fortunita, potrzebuję cię”.

Towarzysz, który dostarczył list, powtórzył mi też słowa, jakie Durruti skierował do swoich bojowników, informując ich, że idą walczyć w obronie stolicy: „Sytuacja w Madrycie jest przerażająca, właściwie rozpaczliwa. Idźmy więc, dajmy się zabić, nie pozostaje nam nic innego, jak zginąć w Madrycie”. Cóż, to słowa zbyt trafne historycznie, żeby mogły być prawdziwe. Może nie brzmiały dokładnie tak, może dopowiedziały się później, jako element pośmiertnej legendy. Ale pasują do niego. Pasują do tego przekłętogo, upartego dzikusa. W każdym razie dali się zabić. W ciągu tygodnia między trzynastym a dziewiętnastym listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku zginęło sześćdziesiąt procent bojowników kolumny „Durruti”, która ledwie cztery miesiące wcześniej wymaszerowała dumnie i buńczucznie z Barcelony. A dwudziestego pierwszego listopada zginął Buenaventura. Jego

śmierci towarzyszyły przedziwne okoliczności. Powiadano, że go zamordowali komuniści, a może sami anarchiści, kiedy zaczął im wyrzucać, że dezerterują z frontu. Jasne, wszystko jest możliwe, ale po latach i po rozmowach ze świadkami wydarzenia skłaniam się ku wersji bardziej żalosalnej i idiotycznej. Durruti jechał na front wraz z trzema towarzyszami, kiedy wysiadał z samochodu, przypadkowo wystrzelił jego karabin. Absurdalny, niechwalebny, głupi zbieg okoliczności. Źle jest utracić charyzmatycznego przywódcę na załamującym się froncie, ale jeszcze gorzej jest utracić go przez jego własną tępotę, jak jakiegoś głupka. Dlatego ludzie kłamali i mówili, że dosięgła go nieprzyjacielska kula. Żeby nakłonić zrozpaczonych bojowników do zemsty.

Powoli i nieubłaganie przegrywaliśmy i traciliśmy wszystko po kolei. Walki. Miasta. Ludzi. Zmarła Paquita „Samsonka”. Podobno na tyfus. A tak naprawdę z niedożywienia, z potwornego głodu, który wykańczał ją przez trzy lata oblężenia Madrytu. Odejmowała sobie jedzenie od ust, żeby wykarmić dzieci; opowiadano mi, że w ostatnich miesiącach z Paquity została tylko skóra i kości, chodzący szkielet, o wciąż wielkich, ale przezroczystych już dłoniach.

Na przekór mojemu przydomkowi nie za bardzo wierzę w istnienie pomyslnego losu. Za to wiem na pewno, że istnieje nieszczęście. Nieszczęście przypomina świat bez słońca i gwiazd, świat równoległy do naszego. I któregoś dnia, może przez nieuwagę, przez przypadek, przez głupotę - ześlizgujesz się niechcący w świat cieni. Początkowo raczej nie zauważasz różnicy, początkowo nie orientujesz się, że pomyliłaś rzeczywistości. Coś się psuje, coś nie wychodzi, pojawia się ból. Tyle że wszyscy potrafimy znieść w życiu nawet sporą dawkę bólu. Początkowo wierzymy, że go pokonamy, że jakoś to będzie.

Że najgorsze już mamy za sobą, bo przecież nie może być nic gorszego niż to, co przeżyliśmy. A nieprawda, bo właśnie że może. Nie wolno kusić nieszczęścia, bo to katsadyta. I to, co zrazu wyglądało na chwilowe twarde lądowanie, okazuje się niepowstrzymaną jazdą po równi pochyłej. Coraz dalej od tego, czym byliśmy. Coraz głębiej w mrok. Nieszczęście to miejsce, z którego niewielu potrafi wrócić.

Ja wkroczyłem w nieszczęście pamiętnego osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku i od tamtej pory wszystko obraca się na gorsze. Odnosiłem wrażenie, że świat powoli gaśnie: najpierw wojna, potem klęska republiki, bezładna ucieczka, francuskie obozy koncentracyjne, wygnanie, wybuch drugiej wojny światowej. My się nie poddaliśmy. Nie pogodziliśmy się z porażką. Myśleliśmy, że kiedy zwyciężymy Hitlera, Franco też zniknie z powierzchni planety. Nasza przeszłość była pełna kacyków i tyranów, a ferwor rewolucyjny przeżył ich wszystkich, przybierał na sile, na energii, z każdym dniem,

który przybliżał nas ku wojnie. Trzeba się było znów nastawić na biedowanie. Na walkę w podziemiu, na partyzantkę. Na kolejne poświęcenia.

Poświęcaliśmy się więc. Anarchiści, socjaliści, nawet komuniści. We Francji walczyliśmy z hitlerowcami, organizowaliśmy napady na eskortowane przez Niemców konwoje pocztowe, żeby zdobyć fundusze. W Hiszpanii przenikaliśmy w szeregi oddziałów partyzanckich, próbowaliśmy odbudować w podziemiu organizacje polityczne i związkowe. Było to niezwykle życie, na krawędzi rozpacz i siły. Samobójcze, zdziczałe bohaterstwo, bezsensowna rzeź. Do partyzantów, umierających w górach z głodu i wycieńczenia, strzelano jak do kaczek. A jeszcze gorsze były represje w stosunku do społeczeństwa. Na przykład w Pozo Funeres oskarżono dwudziestu dwóch robotników z UGT o współpracę z partyzantką i strącono ich w przepaść. Niektórzy zmarli natychmiast, ale inni leżeli tam, na skale, połamani i zakrwawieni. Tych zlikwidowano później, za pomocą dynamitu. Naturalnie nikt nie wystawił rachunku za te morderstwa, chociaż dopuszczono się ich w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku, w kraju, gdzie walki zakończono dziewięć lat wcześniej. Ja dowiedziałem się o tym okrucieństwie, bo w owym czasie jeździłem po Hiszpanii z nielegalnymi misjami i poznałem wdowy po dwóch straconych. I nie był to jedyny akt bestialstwa. Nastąpiła czarna epoka cichego terroru powojennego.

1 18 lipca 1936 - data wybuchu hiszpańskiej wojny domowej.

Najbardziej prześladowano nas, anarchistów. Wlepiano nam dwukrotnie wyższe kary więzienia, dwukrotnie więcej wydawano na nas wyroków śmierci. Towarzysze w głębi kraju całymi setkami szli za kraty. Tylko między czterdziestym a czterdziestym siódmym rokiem wpadło siedemnaście prezydiów CNT - rozbijali je co pięć miesięcy. Tortury stosowano na tak wielką skalę, że kiedy przekraczałem nielegalnie granicę Hiszpanii, aż się dziwiłem, nie słysząc żadnego jęku. Tortury były wtedy naszym najgorszym koszmarem. Śniły ci się dniem i nocą, ludzie przygotowywali się na nie wewnętrznie, zastanawiali się, czy byliby je w stanie znieść. Bo widząc tempo kolejnych porażek, wiedziało się, że któregoś dnia przyjdzie kat z wyrokiem. Ja miałem szczęście, nigdy mnie nie dopadli. Może to jedyny uśmiech fortuny w tych moich wędrówkach przez krainę nieszczęścia. A może nieszczęście przeznaczyło mnie od początku na tortury innego rodzaju.

Nasza baza operacyjna znajdowała się we Francji na terenie nieokupowanym. Stamtąd często przedostawałem się do Hiszpanii z dostawami broni, materiałów wybuchowych czy pieniędzy zdobytych na Niemcach. Przeżywałem okres wielkiej goryczy: z każdą podróżą spotykałem coraz to nowych towarzyszy, którzy relacjonowali mi straszliwy los swoich poprzedników: zabitych, torturowanych, więzionych. A kiedy się zegnaliśmy, czyniliśmy to z

cichą, rozpaczliwą pewnością, że już się nigdy więcej nie ujrzemy. Tylko z jednym działaczem z kraju zdołałem się skontaktować kilkakrotnie. Nazywał się Fabio Moreno i był jednym z najważniejszych przywódców federacji katalońskiej. Sympatyczny facet, choć trochę nużący, bo miał ideologiczne klapki na oczach i był absolutnie nieelastyczny w swojej wierze. Taki, u którego co drugie słowo to płomienny manifest anarchizmu. Jednak widok Fabia - ciągle żywego, całego i wolnego - był mi taką pociechą, że jego nieznośny entuzjazm nawet mnie wzruszał. Bardzo lubiłem Fabia Moreno.

Ale ta jego zdolność przetrwania wreszcie go zdradziła. Utrzymał się na powierzchni od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, a wokół towarzysze padali jak muchy. Lecz koło czterdziestego siódmego już nikt nie wierzył w jego partyzancki spryt. Po prostu n i e sposób było mieć takie szczęście. Zastawiliśmy na niego pułapkę: przekazaliśmy mu informację, której treść, poza nami, znał tylko on. Monsieur Roger Laurent przekroczył granicę tego i tego dnia o tej i tej godzinie, wioząc dokumenty niezwykle ważne dla partyzantów oraz broń w podwójnym dniu walizki. Monsieur Roger Laurent istotnie przekroczył granicę tego dnia i o tej godzinie, tyle że zupełnie czysty. Był francuskim towarzyszem, ale bez haków w kartotece i z autentycznym paszportem. Zatrzymali go na czterdzieści osiem godzin, rozbebeszyli walizkę w poszukiwaniu drugiego dna, ale ostatecznie musieli zwrócić mu wolność. Fabio Moreno został zdemaskowany, nie było już wątpliwości, że jest konfidentem policji.

Dwunastego lipca tego samego czterdziestego siódmego roku przekroczyliśmy granicę od strony Francji we trzech - Toño Parado, Jesús Ortiz i ja. Mieliśmy załatwić tę sprawę. Zadanie napawało mnie wstrętem, ale to ja znałem Morena, to ja byłem jego kontaktem, więc na mój widok nie zwietrzył niebezpieczeństwa.

Namierzyliśmy Fabia w Barcelonie przy stołach bilardowych na placu Buen Suceso. „Spodziewałem się ciebie dopiero za jakieś parę miesięcy” - powiedział, spoglądając ze zdumieniem na Toña i Jesusa. „Mamy kłopoty - odparłem. - Poważne kłopoty w Madrycie. Potrzebna nam twoja pomoc logistyczna”. Wtedy się uśmiechnął. I to był jego pierwszy błąd: jak mógł się uśmiechać, skoro dowiedział się o kłopotach organizacji? W innych okolicznościach na jego twarzy pojawiłby się gigantyczny rumieniec, ale teraz uśmiechnął się i rzekł: „Dobra, dobra. Zrobimy, co się da. Zobaczymy. Najlepiej pójdę po chłopaków”. „Zgoda. Pójdziemy razem” - odezwałem się, również uśmiechnięty. Opuściliśmy bilard we czwórkę i szliśmy powoli, bardzo powoli. Była jedenasta w nocy. Skręciliśmy w zupełnie pustą ulicę Montealegre, zwalniając coraz bardziej, niczym piłki, które tracą prędkość. Rozmowa, bardzo konwencjonalna - co tam słyhać, a co tu, jak poszło na granicy - też gasła.

Pistolet parzył mnie za pazuchą. W owej chwili nie czułem własnego ciała, tylko to gorąco, to brzemię, ten ciężar. Wszyscy czterej, jak na rozkaz, zatrzymaliśmy się na środku ulicy - bez żadnego powodu, po prostu na skutek kompletnego wytracenia pędu. Moreno odwrócił się do nas. Popatrzył na mnie. Oczy wyszły mu z orbit. „Każdemu według jego potrzeb, od każdego według jego zdolności” - wymamrotał ni stąd, ni zowąd bez sensu. O mało nie wybuchnąłem śmiechem: była to jedna z formułek z katechizmu anarchistycznego. Tak, byłbym się roześmiał, gdybym nie miał aż nadto powodów do płaczu. Ale rewolwerowcy anarchizmu nie płaczą, kaci nie płaczą, przecież wyglądałoby to groteskowo. Moreno trząśł się przede mną, a ja dzierżyłem pistolet w dłoni. Nie wiem, jakim cudem wydostał się zza pazuchy, ale go trzymałem. Przyjrzałem się Morenowi. Sympatycznemu Morenowi. Nieuchwytnemu. Naciśnij spust - pomyślałem. - To zdrajca. Konfident. Nędznik. Przez niego na wielu dobrych towarzyszy spadła śmierć i tortury. Zabij go. Skończ z nim, byle szybko. Moreno wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczyma. Wcale się tak bardzo nie różniły od oczu mojego trupa. Tamtego Indianina ze wsi, którego wykończyłem wiele lat wcześniej. Rozbolał mnie kikut. Palily mnie wspomnienia. I wówczas po głowie zaczęły mi się tłuc cztery mocne słowa. Od czasu do czasu się to zdarza, chociaż rzadko. Zdarza się, że jedno zdanie, jedna idea zajmuje bez wyjątku całą głowę, wyrzucając stamtąd resztę. Płomienne, bezlitosne słowa. „Zginął niewinny. Winny przeżyje”. To właśnie owe cztery bezwzględne słowa, które mnie dopadły. Nawet ich nie pomyślałem. Byłem im tylko posłuszny. Nie mogłem zrobić nic innego. „Zginął niewinny. Winny przeżyje”. Uniosłem rękę nad głowę i nacisnąłem spust. Kula znikła w czeluściach nocy. Po chwili osłupienia moi towarzysze skierowali na mnie pełne niedowierzania oczy. Fabio skorzystał z okazji, pchnął mocno Jesusa Ortiza, który stał najbliżej niego, i sięgnął po swoją broń. Strzelił, ale nie trafił. Tono i Jesus odpowiedzieli, Moreno padł martwy.

Byłem rewolwerowcem, byłem na wojnie, podejrzewam więc, że zabijałem. Wrzucałem granaty do okopów, strzelałem do sylwetek ludzi. Ale nigdy nie wykonałem na nikim wyroku, nigdy nie miałem okazji sprawdzić się jako zabójca, nigdy nie widziałem oczu swojej przyszłej ofiary. Znam tylko szkliste spojrzenie mojego chłopca, dlatego zakwalifikowałem go jako swojego trupa. Mam wprawdzie i innych nieboszczyków w pamięci, związanych z tragedią, która stała się moim udziałem całkiem niedawno, ale do tego etapu cierpień jeszcześmy nie dotarli.

Odraza, jaką odczuwałem wobec bezpośredniej przemocy, bywała już przyczyną rozbieżności między mną a moimi towarzyszami. Ale teraz, po historii z Morenem, sytuacja uległa nieodwracalnemu pogorszeniu. Doszło do straszliwego spotkania z moim bratem

Victorem, należącym do najważniejszych przywódców na emigracji. Był wściekły, bo czuł się osobiście upokorzony. Robie, członek jego rodu, zachował się jak tchórz, prawie jak zdrajca. Splamił imię naszego ojca. Tak mówił Víctor. Nie pojmował, że musiałem raz na zawsze zamknąć we wspomnieniach szkliste oczy mojego trupa. Chociaż po prawdzie to nawet nie próbowałem mu tego tłumaczyć. Już od dawna się nie rozumieliśmy.

Takie życie, wielkie cierpienie, ślepe oddanie tysięcy bojowników, całych pokoleń anarchistów - nie miały dla mnie przyszłości. Druga wojna się skończyła, Hitler został pokonany, a Franco nie. Teraz napadaliśmy na francuskie konwoje pocztowe i w oczach naszych sąsiadów przeistaczaliśmy się w zwykłych przestępców. Ja chwilami odnosiłem podobne wrażenie. Zadawałem sobie pytanie, czy na pewno kierujemy się w walce strategią i nadzieją na lepszą przyszłość, czy może po prostu nie potrafimy już żyć inaczej. Mój brat Víctor, który został anarchistą, gdy miał pięć lat, a rewolwerowcem, kiedy skończył osiemnaście - jak mógł sobie ułożyć życie po czterdziestce? Jak miał wytrzymać sam ze sobą bez gwałtu dookoła, bez deprawującego przywództwa organizacji partyzanckiej, bez rozgrzeszającego balsamu dziecięcych marzeń? A tu z każdym dniem nasza działalność stopniowo traciła sens. Z każdym dniem byliśmy coraz bardziej zuchwali. Coraz bardziej podzieleni. Coraz bardziej skłóceni. I z każdym dniem było nas coraz mniej: zbyt wielu ginęło, szło do więzień, dopuszczało się zdrady. Wydały się różne ciemne sprawy. Diamenty od van Hooga, które nigdy nie dotarły do celu. Rewolwerowcy, którzy zaczęli działać na własny rachunek i odeszli ze związku. CNTyści, którzy dawali się zabić, byleby nie musieć uznać naszej porażki. Bo tylko takim słowem należy to określić: porażka. Bo znowu przegrywaliśmy wojnę. I to tym razem na amen.

Z uwagi na chorobę Adriana musieliśmy spędzić jeszcze parę dni w Amsterdamie, zesłałam więc do recepcji zapytać, czy w tym obskurnym hotelu nie ma jakichś porządniejszych pokoi. Dowiedziałam się, że owszem, jest kilka apartamentów na ostatnim piętrze, ale po dwukrotnie wyższej cenie. Zarezerwowałam je natychmiast - ostatecznie brudne pieniądze są po to, żeby płacić nimi za dobre pokoje hotelowe, a nie nędzne klitki. Owinąwszy Adriana kocem i pokonawszy twardy opór Feliksa, zdołałam przeprowadzić nas wszystkich na górę. Nowe pokoje były niczego sobie. W suficie widniały mansardowe okienka, wszystkie okna wychodziły na ulicę i w ogóle było więcej miejsca. W jednym z pokoi znajdował się nawet kominek, a obok koszyk z podpałką i drewnem opałowym. Tam umieściliśmy chłopaka. Przecież - mówiłam sobie w duchu - zmieniliśmy pokoje tylko ze względu na Adriana. Przykro było patrzeć, jak cierpi w gorączce w tamtym ciemnym i przygnębiającym pomieszczeniu. I to mnie przez chwilę zastanowiło: aż strach bierze, jaka

jestem troskliwa. Ta i inne oznaki uczynności i oddania z mojej strony, ciągłej uwagi i skrywanej czułości napełniły mnie obawą, że Adrián nieuchronnie zawładnął moim sercem. Pierwsza faza miłości właśnie na tym polega: na wynajdywaniu przyzwoitych apartamentów nawet w okropnym hotelu, na zawieszaniu (uprzednio zakupionych) zasłonek w pokoju ukochanego, gdzie okna radośnie pozostawały gołe od lat, na szukaniu po całym mieście unikatowego atramentu w kolorze wiśniowym, którego on najchętniej używa do swojego pióra. A więc - na osiągnięciu rzeczy niemożliwych, wymyślaniu możliwych i byciu kimś, kim normalnie się nie jest. Bo pierwszą fazę miłości przeżywasz nie ty, ale twój sobowtór, ta obca osoba, w którą się przeistoczyłaś.

Owego wieczoru w Amsterdamie, kiedy u Adriana stwierdzono zapalenie migdałków, znajdowałam się już na pograniczu szaleństwa, prawie w paszczy mojego zakochanego ja, nie byłam sobą do tego stopnia, że mimo wrodzonej nieśmiałości i emocjonalnego tchórzostwa, a nawet mimo paraliżującego strachu przed odmową i pewnością, że dwadzieścia lat różnicy wieku to dystans nie do pokonania - zaczynałam nabierać niezachwianego, niepokojącego przekonania, że w końcu pójdę z nim do łóżka, a w każdym razie spróbuję. Zupełnie jak pijak, co idzie szeroką, równo wybrukowaną aleją, która ma tylko jedną dziurę na samym środku. Pijak przygląda się wyrwie z oddali i wie, że bez najmniejszego trudu mógłby ją ominąć, ale coś, jakaś nieubłagana siła kieruje jego kroki dokładnie ku niej. Będąc coraz bliżej, pijak mówi do siebie: „Dobra, spokojnie, jeszcze mogę zwyczajnie przeskoczyć tę dziurę”. Ale coś albo ktoś ukryty w jego wnętrzu odpowiada: „Wpadniesz, głąbie. Wpadniesz do jedyne go otworu, jaki znajduje się na tej ulicy”. I rzeczywiście - pijak podchodzi do tej przeklętej dziury i wpada. W Amsterdamie ogarnęła mnie właśnie ta ostatnia faza totalnego upojenia i poddania się losowi.

Byłam zatem troskliwa, czuła i opiekuńcza jak matka dla syna. Bo mogłabym być jego matką. Ale nie byłam. Przez dwa dni Adrián spalał się w gorączce, a trzeciego wstał w zdumiewająco dobrej formie i pełen energii: antybiotyki zaczęły działać. Przyszłam do niego w porze śniadania. Siedział na łóżku w białej koszulce z krótkimi rękawami, tacę trzymał na kolanach. Był nadal blady, oczy miał podkrążone, ale pochłaniał jedzenie z żarłocznością tygrysa.

- Wyglądasz dużo lepiej.

- Czuję się dużo lepiej.

Na dworze zaczął padać grad. Grudki lodu biły o szyby, jakby to była owacja na cześć powracającego do zdrowia Adriana. Przez okno przedostawało się do wnętrza niezwykle światło, opalizujące i niezemskie. Zimne, słabe światło, które rozlewało się po podłodze niby

limfa Pani Zimy. Adrián kończył śniadanie, ja tymczasem napaliłam w kominku - był to idealny dzień na trzeszczący ogień, na to, by skulić się w objęciach bijącego od płomieni ciepła, gdy na zewnątrz tak nieprzyjemnie.

- A Félix? - spytał chłopak.

- Poszedł do Rijksmuseum.

Felixa od paru dni ogarnęła nieoczekiwana, nagła gorączka turystyczna. W czasie, gdy ja zajmowałam się chorym, on odwiedzał muzea i łąził nad kanałami, wyposażony w przewodnik Michelina. Może i on dostrzegł tę dziurę w chodniku. Może poczuł się zbędny. Félix był daleko, chłostany bezlitosnym gradem, ścigany dzikim wyciem wichru. Ukłuło mnie poczucie winy - ale natychmiast przeszło. Odstawiłam tackę i usiadłam w nogach łóżka. Adrián patrzył na mnie i uśmiechał się opuchniętymi lekko ustami. Uśmiechał się z pewnym wysiłkiem, słabo, uśmiechem człowieka, który dopiero wraca do zdrowia, uśmiechem prosto z przepeconego łóżka, uśmiechem cielesnej bliskości. Uśmiechał się, jakbyśmy byli kochankami. Którymi nie byliśmy.

Żebyście lepiej pojęli mój lęk przed Adrianem, żebyście zrozumieli, czemu różnica dwudziestu lat wydawała mi się tak ogromna, coś wam opowiem - jako przykład, jako dowód.

Należę do pokolenia, które miało ciążotki hipisowskie, w swoim czasie szczyliłam się tym, że żyję chwilą, że potrafię odbyć miesięczną podróż z jednym swetrem i jedną zmianą ubrania w plecaku. Teraz, gdy wybieram się w podróż, choćby chodziło tylko o wyjazd na weekend, torby mam tak wypchane, że suwaki ledwie się domykają. I nie myślę tu wcale o ubraniach czy fanaberiach, o jakichś bezużytecznych drobiazgach. Absolutnie, zdecydowanie nie. Wożę rzeczy niezbędne. Muszę mieć pojemnik na szkła kontaktowe z dwoma różnymi płynami czyszczącymi i tabletkami do rozpuszczenia protein. Oprócz tego okulary na zmianę, ze szklami korekcyjnymi dla krótkowidzów, i okulary słoneczne bez korekcji (szkła kontaktowe powodują u mnie światłowstręt), i wreszcie okulary ze szklami korekcyjnymi dla daleko widzów, bo wzrok mam na dodatek zmęczony. To wszystko, co dotyczy drobnego fragmentu mojej istoty, jakim są oczy.

Poza tym wożę fiołki z płynem, który wcieram w głowę, bo zaczynają mi kłakami wypadać włosy. I drugi płyn, który trzeba rozprowadzić na nogach, między brwiami i nad górną wargą, dzięki czemu można powstrzymać odrost włosków - bo coraz bardziej zarastam nie tam, gdzie trzeba (kiedyś się pomyliłam, zastosowałam środek na porost pod nosem, środek włosobójczy zaś na czołwie i przez tydzień nie mogłam wyjść z domu). W ten sposób chyba zamknęliśmy rozdział poświęcony uwłosieniu.

Bardzo dramatycznie przedstawia się departament skóry. Po pierwsze twarz: mleczko

oczyszczające, emulsja przeciwzmarszczkowa pod oczy, krem odżywczy na noc, krem nawilżający na dzień, co tydzień maseczka regenerująca. Ciało: pianka ujędrniająca na piersi, krem antycellulitowy na pośladki, specjalny odmładzający żel do rąk.

A usta! To już prawdziwy koszmar. W ustach mam teraz uzębienie wymienne, umocowane w odpowiednim uchwycie. Dalej: nić dentystyczna do dolnych zębów, wciąż moich własnych. Litrowa butelka antyseptycznego płynu do ust. Maść do pielęgnacji ran, jakie może spowodować proteza. Papierowe chusteczki do wycierania łez (ciągle płaczę co noc, kiedy wyjmuję sztuczną szczękę do oczyszczenia).

Na zakończenie trzeba wspomnieć o dziale czysto medycznym. Pastyłki cysteinowe na włosy. Witamina C na wszystko. Almax na nieżyt żołądka. AlkaSeltzer na przepicie (już nie ta głowa, co kiedyś). Aspiryna na wszystko. Nolotil i środki przeciwzapalne na usta, bo górna szczęka wcale nie doszła do siebie po wypadku. Pigułki nasenne. Tonopan z kofeiną na pobudzenie. Chyba na tym wreszcie koniec.

Mogło być gorzej. Mogłam na przykład dodatkowo wozić jeszcze krem przeciw grzybicy stóp albo maść na hemoroidy. Ale nie, tych rzeczy nie potrzebuję. Chwilowo.

Wszystkie te flakony, flakoniki, buteleczki, tubki, futeraliki, pudełeczka, karafki, słoiczki, fiolki, pojemniczki i puszcзки bezczelnie panoszyły się teraz w mojej łazience w amsterdamskim hotelu i przypominały o mojej cielesnej degeneracji, o zbliżającej się cielesnej śmierci. Tak to przynajmniej wówczas odbierałam. Jak obraz z glinianym dzbanem na pierwszym planie i martwym, sztywnym na amen królikiem, wiszącym na ścianie za uszy. Wszystkie te flakony, flakoniki, buteleczki, tubki, futeraliki, pudełeczka, karafki, słoiczki, fiolki, pojemniczki i puszcзки przedstawiały moje własne życie. Starość oznacza stopniowy rozpad, a przedmioty, tanie erzace podmiotu, którym byłaś, coraz wyraźniej wypierają twoją popękaną i zrujnowaną egzystencję. A teraz powiem wam najgorsze: to nie jest tylko problem ciała. Krem przeciw zmarszczkom zastępuje dawną świeżość policzków, podobnie jakaś banalna, zużyta myśl zastępuje młodzieńczą ciekawość, egocentryczna rutyna - drżącą, nieśmiałą pieśczętę, nowy samochód - dawną chęć życia. Z wiekiem wypełniamy się pospolitymi miejscami i rzeczami, żeby zakryć próżnię, jaka się w nas otwiera. W Amsterdamie z niechęcią wpatrywałam się w cały ten arsenał w łazience i myślałam, że ze swoim bagażem lat absolutnie nie pasuję do Adriana, w którego puściutkiej łazience znajdowały się tylko elektryczna maszynkado golenia, dezodorant, szczoteczka do zębów i pasta, przypominające dzielnych odkrywców w białym, polarnym świetle porcelany.

Bałam się Adriana tak samo, jak pijak zmierzający prosto ku dziurze boi się, że czaszka pęknie mu przy uderzeniu. Ale upadku nie dało się już uniknąć. Ogień trzaskał na

kominku, a my byliśmy sami w całym wszechświecie, dzieliło nas - czy też łączyło - tylko łóżko. Popatrzyłam na niego. Popatrzył na mnie. Tyle romantycznych scen właśnie od tego się zaczyna. W powieściach, w filmach, ale także w zwyczajnym życiu. Tyle jest drzwi, właśnie drzwi, za którymi posyłano owe wyczekujące spojrzenia, udręczone niepewnością i miłosnym dygotem. Drzwi hotelowych pokoi, mieszkań, twojego domu, samochodów. Drzwi otwieranych na pożegnanie, które trwa minutę i dwie, i dziesięć. I nieodmiennie te spojrzenia: błagalne, pełne oddania, spowite rozkoszną niewiedzą, czy w końcu się pocałujecie, czy też nie. Łakome, czułe spojrzenia. Tak pewnie spogląda gołąb na gołębicę, gdy odprawia przed nią zalotne tańce, tak pewnie patrzą na siebie krowy i byki, żyrafy, skolopendry. Elementarne, pierwotne spojrzenia, równie stare jak nieuchronność śmierci.

Otóż ja patrzyłam na niego, on na mnie, ale czas mijał i nic się nie działo. Pierwsza faza miłości przypomina partię szachów: trzeba ruszyć pionkiem i zaryzykować, że zbiją ci jakąś bierkę. Ale który ruch jest najważniejszy? Myśli tłukły mi się wściekle po głowie, rozpalając serce. I wtedy przypomniałam sobie Lawrence'a Durrella. W Kwartecie Aleksandryjskim czyjaś matka uwodziła przyjaciela swojego syna. Ledwie pamiętałam tę powieść, ale ona była matką, ma się rozumieć, o n zaś był przyjacielem jej s y n a. To jedyny w miarę odpowiedni przykład z literatury, jaki przyszedł mi na myśl. No i ona mówiła mu tak: „Czekaj, masz okruszynę na wardze”¹. Pochylała się ku niemu i bynajmniej nie matczynym ruchem przesuwiała koniuszkiem języka po jego ustach. A traf chciał, że Adrián miał na podbródku okruszek grzanki.

- Pozwól, że ci zdejmę... - zaczęłam, pochylając się ku Adrianowi z wyciągniętą ręką, ręką, której zamierałam użyć jako przygotowania do właściwego ataku. Miałam ją położyć na policzku chłopaka, by lepiej wycelować własnymi ustami.

- Chodź bliżej... - zawołał Adrián w tym samym momencie, prostując się gwałtownie na łóżku i nadziewając swoje prawe oko na palec wskazujący mojej wyciągniętej dłoni.

1 L Durrell, Kwartet Aleksandryjski, Mountolive, przeł. Maria Skibniewska.

No dobrze, przynajmniej byliśmy teraz bliżej siebie. Chłopak zaczął syczeć z bólu, trzeć oko, a ja przysunęłam się, pełna strachu i troski, i poklepałam go energicznie po ramieniu.

- Boli cię? Bardzo cię boli? Strasznie?

Adrián podniósł na mnie zaczerwienione i załzawione oko. Nie wyglądało raczej na to, by miał je stracić.

- Nic się nie stało. Chyba lepiej pójdę się umyć.

Wyciągnął rękę, żeby wziąć z krzesła starą koszulę flanelową, ale jej nie włożył. To

znaczy nie ubrał się w nią. Usiadł tylko na brzegu łóżka, obwiązał sobie koszulę wokół pasa i tak opuścił bezpieczne schronienie pościeli. Pojęłam, że oprócz białej koszulki nic na sobie nie miał. Zerwałam się i stałam obok łóżka bez ruchu, bez słowa, bez głowy. Adrián przeszedł obok mnie w kierunku łazienki, przytrzymując koszulę na pępku. Nie, chwileczkę, wcale nie przeszedł. Kiedy zrównał się ze mną, stanął. Odwrócił się i przygarnął mnie wolną ręką. Zanurzyłam się w jego miękką pierś jak w stóg siana. Zanurzyłam się w jego suche, ciepłe usta, w objęcia zapachu jego potu, w zwierzęce rozedrganie, w gorączkę, w pożądanie. Odsunęliśmy się na sekundę, by spojrzeć na siebie po pierwszym pocałunku, po pierwszym nasyceniu, po pierwszym ataku. Flanelowa koszula leżała na podłodze, a króciutka biała koszulka ledwie skrywała Adrianowi biodra. Adrián ofiarowywał mi się z uśmiechem i zaufaniem, ręce opuścił swobodnie ku swoim silnym, nagim, pięknie ukształtowanym udom. Młody, piękny i mój aż do bólu.

To nieprawda, że my, kobiety, gnijemy po czterdziestce. To nieprawda, że spadamy w studnię niewidzialności.

Przeciwnie: dojrzała kobieta, nawet bardzo dojrzała, jest na swój sposób atrakcyjna, ma swoje momenty chwały. Przywykliśmy uważać, że starsi panowie potrafią zauroczyć młode dziewczęta. Świat pełen jest szczęśliwych par tego rodzaju. Zapominamy, że równie wielka jest siła oddziaływania, jaką mają starsze kobiety wobec młodzieńców. Jest to faktycznie tak częste zjawisko, że przypuszczalnie mamy tu do czynienia z naturalnym etapem dojrzewania emocjonalnego. W którejś chwili większości chłopaków i dziewczyn podobają się starsze panie i starsi panowie. Może to echo kompleksu Edypa, jak powiedzieliby freudyści, albo pradawna skłonność ucznia do mistrza. U niektórych tak zwanych ludów prymitywnych właśnie najstarsi członkowie plemienia, kobiety i mężczyźni, dokonują seksualnej inicjacji młodych. Nie wiem, jakim cudem latają samoloty, dlaczego zapala się światło, kiedy naciskam włącznik, do czego służy ziewanie ani jak to się dzieje, że pamiętam własne imię, dlatego nie podejmuję się zrozumieć czegoś tak skomplikowanego i niejasnego jak miłość, czegoś tak nieczytelnego jak pożądanie. Nie wiem, jak się to wszystko odbywa. Ale się odbywa.

Pomimo społecznych zakazów i przesądów na przestrzeni dziejów nieskończona liczba starszych kobiet utrzymywała zażyłe stosunki z młodymi mężczyznami: natura przenika konwencje i hipokryzję na podobieństwo wody, która przedostaje się przez szpary źle uszczelnionej tamy. Wystarczy pochylić się nad życiorysami sławnych kobiet i zaraz pojawiają się tego typu historie. W sześćdziesięcioletniej George Sand kochali się trzydziestoletni mężczyźni. Agatha Christie w wieku czterdziestu lat poślubiła

dwudziestopięcioletniego młodzieńca. Simone de Beauvoir miała romanse z chłopakami. Eleanor Roosevelt, pierwsza dama Ameryki, przez całe życie kochała z wzajemnością mężczyznę młodszego od siebie o dwanaście lat. Listę można ciągnąć w nieskończoność: pani Curie, George Eliot, Edith Piaf, Alma Mahler. Zrozumcie, to nie są przypadki wyjątkowe, to nie jeden ze skutków sławy wspomnianych kobiet, raczej odwrotnie: to dzięki ich sławie mogliśmy te historie poznać, dzięki niej mogły się wydostać z mroków zakłamania. Przecież nawet tak szary, konwencjonalny i nudny człowiek jak brytyjski premier John Major miał w młodości żarliwy romans z dojrzałą panią! Nie trzeba z lupą przyglądać się życiu codziennemu, by stwierdzić, że żyjemy w strefie zakazanej. To, co powszechnie uznaje się za normalne, wcale nie jest tak popularne, bywa co najwyżej normą, obligatoryjną konwencją. W głębi zaś naszej prywatności wszyscy umykamy od reguł, wszyscy jesteśmy po trosze odszczepieńcami.

Zrozumiałam to wszystko w ramionach Adriana: było to nagle i olśniewające objawienie. Zrozumiałam, że on nie zauważa mojego cellulitu, moich zębów z żywicy, że podobają mu się moje kurze łapki przy powiekach i że w dupie ma, czy skóra na przedramionach trochę już mi obwisa. Zrozumiałam, że bezlitosne spojrzenie, którym my, kobiety, ćwiartujemy się nawzajem, obnażamy i pogardliwie taksujemy, jest spojrzeniem czysto kobiecym, naszą wewnętrzną sprawą, szaloną potrzebą, od której same się uzależniłyśmy. I że prawdziwe pożądanie i męska aprobatą ma swoje źródło gdzie indziej: w ciepłe ciała, w chłodzie śliny, w mrocznym pomieszaniu potu z potem, w tajemnym zapachu skóry, w totalnym znużeniu zdobytego ciała.

Po przejściu przez ramiona Adriana rozejrzałam się wreszcie i dostrzegłam, że inni młodzieńcy też mi się przyglądają. Wiecie już, że jestem niziutka, dosłownie drobiażdżek. Poza tym nie narzekam ani na sylwetkę, ani na twarz i w sumie uważam, że nie jest ze mną tak źle. Ale nigdy nie przyciągałam wzroku, nigdy nie zostawiałam za sobą śladu męskiej tęsknoty. A teraz przeciwnie, miałam wrażenie, że gapią się za mną, jak nigdy dotąd. Młodzieńcy w autobusach, chłopak w piekarni, młodzian w małym samochodzie, który stanął przed przejściem dla pieszych i przepuścił mnie z uśmiechem, studenci w kawiarni na rogu. Było to radosne, niecodzienne odkrycie, niespodziany podarunek od życia. I nie chodzi o to, żebym zamierzała od tej chwili deprawować nieletnich - po prostu dzięki niewinnej kokieterii i temu, że moja obecność wyzwalała błyski w cudzych oczach, poczułam, że żyję, że jestem piękna i godna podziwu. Jakże zmarnowane są kobiety w moim wieku, które potulnie uschły ze smutku i rozpaczy, nie widząc, jak inni na nie patrzą, nie zdając sobie sprawy z wrażenia, jakie robią na młodych mężczyznach, nie potrafiąc w naturalny sposób wykorzystać własnych

atutów.

Jeśli niebo istnieje, to musi być zamrożoną chwilą miłosnego obcowania. Mam tu na myśli seks z miłości, namiętne spotkanie z drugą istotą. Gdyby seks należał wyłącznie do sfery ciała, nikt nie byłby nam potrzebny: a któż lepiej by zaspokoił nasze potrzeby niż nasza własna dłoń, któż zna nas lepiej i bardziej kocha niż te pięć zwinnych palców? Skoro onanizm nam nie wystarcza, to tylko dlatego, że seks jest czymś zupełnie innym. Jest wyjściem poza siebie. Jest zatrzymaniem czasu. Seks jest czynem nadludzkim: jedyną okazją, kiedy możemy pokonać śmierć. Stopieni w jedno z drugim człowiekiem i ze Wszystkim, przez moment jesteśmy wieczni i nieskończeni, jesteśmy pyłem gwiazdnym i kończyną raka, rozżarzoną lawą i kryształkiem cukru. Jeśli niebo istnieje, może być tylko czymś takim.

Niebo pojawiło się w Amsterdamie pewnego dżdżystego popołudnia. Ogień trząsał na kominku, znacznie mniej gorący niż mocna pierś Adriana. Niż jego zapach, jego delikatne, wyprężone ciało, jego gładziutki brzuch, kędzierzawe łono, nieco wilgotne pachwiny.

- Pamiętasz zagadkę o wieży? - spytał Adrián. Leżałam uchem na jego piersi, i jego głos dudnił wewnątrz głucho jak w podwodnej jaskini.

- Chyba tak.

- Tę o facecie, co skacze ze zrujnowanej wieży i w trakcie lotu krzyczy „Nieeeeeee!”...

- Tak.

- Już znam rozwiązanie: to jest koniec świata. Świat się skończył, może przez wojnę jądrową czy wszystko jedno przez co. Dlatego ta wieża jest w fatalnym stanie. I ten facet to ostatni człowiek na ziemi. Dlatego popełnia samobójstwo. Ale kiedy już leci w dół...

-...słyszysz dzwonek telefonu.

- Właśnie. Czyli że nie jest sam. Nie musiał popełniać samobójstwa.

- To znaczy, że ten, co dzwoni, okazał się pierdołą.

- Ale z ciebie świnka.

Kiedy kochankowie po raz pierwszy leżą razem w łóżku i jedno mówi drugiemu: „Ale z ciebie świnka”, zazwyczaj towarzyszy temu jakieś drobne szturchnięcie, a to przytulenie, a to pogłaskanie, ściśnięcie takich czy innych wypukłości. Dotyk podnieca, a podniecenie drażni i nagle wybucha bolesny głód drugiego ciała, coraz silniejszy, nienasycony. Tak było i owego popołudnia w Amsterdamie, kiedy rozmyślałam o samobójcy z wieży. Biedaczyna, zupełnie sam. Dworowałam sobie z niego, ale go rozumiałam.

Doskonale go pojmowałam, bo teraz Adrián i ja też byliśmy jedynymi żywymi istotami na ziemi. Ostatnimi, którzy przeżyli apokalipsę. I wtedy, spleceni ramionami i

nogami, wtopieni w siebie, rozbitkowie ciała na morzu czasu, owego popołudnia w Amsterdamie Adrián i ja raz jeszcze na chwilę sięgnęliśmy po wieczność.

Kiedy już po powrocie do Madrytu zatelefonowałam do niejakiego Manuela Blanco (na wszelki wypadek z automatu) i powiedziałam, że dzwonię z polecenia van Hooga, na drugim końcu linii zapadło niezręczne milczenie. Teraz, gdy już znam gościa, przypuszczam, że przez ten czas kłaniał się służalczo na dźwięk nazwiska starucha, ale wtedy nic nie wiedziałam i przez chwilę bałam się, że tamten odwiesił słuchawkę.

- Halo? Halo?

- Tak, jestem - odezwał się mężczyzna ochryłym głosem. - Mówi pani, że dzwoni pani z polecenia, taa, pana van Hooga...

- Tak, mam list od niego.

- List od van Hooga? - Blanco prawie pisnął. - Do mnie?

- No, nie do pana... To liścik... polecający, z referencjami...

Mówiąc to, poczułam się jak kretynka. Prawdopodobnie rozmawiam z mafiosem czy kimś w tym guście, z człowiekiem, który ma nas skontaktować z przestępczym półświatkiem, a jednak w najlepsze gadam o liścikach polecających, jakbym się starała o pracę w firmie wędliniarskiej. Zarazem włączę z buciorami, a jakże, ale skąd mam wiedzieć, jakie normy obowiązują w środowisku gangsterskim?

- To znaczy, pan van Hoog przekazuje, że jesteśmy pana... Pana przyjaciółmi.

Tamten westchnął.

- A czym mogę państwu służyć?

- Chcieliśmy tylko chwilę z panem porozmawiać. Co pan sądzi o kawce dziś po południu w Paraiso?

Sądził jak najlepiej, więc punkt wpół do piątej spotkaliśmy się w kawiarni, przy barze. Od pierwszego wejrzenia byłam przekonana, że Manuel Blanco nie jest mafiosem w dokładnym znaczeniu tego słowa, co najwyżej kimś w tym guście. Był nieduży, nie rzucał się w oczy, na pewno przed trzydziestką, miał przylizane włosy i twarz królika. Nosił ubranie dobrej jakości, które kompletnie do niego nie pasowało, garnitur doradcydelegata, na oko odziedziczony po kimś tęższym, bo rękawy zakrywały mu połowę dłoni, a spodnie fałdowały się na wypucowanych mokasynach. Odniosłam wrażenie, jakby był w przebraniu, jakby był biedakiem, który wypożyczył elegancki strój, bo wybiera się na pogrzeb bogatego krewnego. Powitał nas imitacją uśmiechu światowca, po czym zaczął błędzić wzrokiem po własnych policzkach. Najwyraźniej chciał nas potraktować z góry, z wyniosłym szykiem, ale że był niziutki, musiał odchylić głowę przesadnie do tyłu.

Usiedliśmy na zniszczonej aksamitnej kanapie w kącie wystarczająco odległym i odosobnionym, żeby nikt nie mógł nas podsłuchać, i objaśniliśmy facetowi sytuację. Widziałam, jak w miarę naszej relacji na jego twarzy pojawia się wyraźne odprężenie, pewność siebie, wręcz szczęście. Chyba z dużym zadowoleniem przyjął do wiadomości, że jest potrzebny jako ekspert. A może po prostu z zadowoleniem przyjął fakt, że w ogóle jest potrzebny.

- Dobrze. Dobrze - rzekł wreszcie z próżnym wyrazem twarzy. - Zdaje się, że trafiliście na właściwego człowieka. Mogę mówić do was na ty, prawda? Na właściwego człowieka. Taa. Mam, taa, dobre kontakty. Nawet w najwyższych kręgach. Taka praca. Jestem kilerem, wiecie? Ostatnio robiłem różne inne rzeczy, ale tak naprawdę z zawodu jestem kilerem.

- Czyli zabójcą? - spytałam z totalnym niedowierzaniem. Nawet gdyby mi tu przysięgał na własną matkę, nie mogłam sobie wyobrazić, by potrafił stawić czoło musze.

- Nie takim prawdziwym zabójcą, co ma zakrwawiony sztylet i tak dalej, naturalnie, że nie. Killer to po angielsku zabójca, ale to nie to samo. Jestem kilerem ekonomicznym. Jak widzę, nie znacie tego określenia. - Chępliwy uśmiech, uniesiony podbródek. - W świecie wielkiej finansjery i międzynarodowego biznesu, gdzie się obracam, taa, kiler to specjalista od rekonwersji gospodarczej. Trzeba unowocześnić jakąś firmę, zapewnić jej rentowność w rekordowym czasie, wywalić na bruk połowę zatrudnionych? Wtedy na scenę wkracza kiler. Na przykład ponadnarodowa spółka norweska Nilsen-Olsen. Pamiętacie plan rekonwersji zakładu Nilsen-Olsen, który zamknął wszystkie swoje oczyszczalnie w Hiszpanii? To moje dzieło.

- A nie załatwił tego niejaki Sarda? - wtrąciłam, przypomniawszy sobie ogromną zadymę w związku z zamknięciem oczyszczalni i zdjęcia manifestantów wieszających kukłę z nazwiskiem Sarda wyszytym na piersi.

- Tak, zgoda, taa, Sarda, zgoda. Ale ja byłem jednym z jego pomocników. Taa, właściwie możemy powiedzieć, że byłem jego prawą ręką. Praca z nim to prawdziwa przyjemność. To znakomity kiler. Można się przy nim wiele nauczyć. Pamiętam pierwsze zebranie z załogą głównego zakładu, który znajdował się w Kadyksie, na statku, miał co najmniej tysiąc pracowników. Przyjeżdża Sarda i mówi im, że świat się zmienił i ciągle zmienia w zawrotnym tempie. Ze pod koniec stulecia i tysiąclecia nie ma co żywić nadziei, że będzie jak dawniej. Ten Sarda to ma gadkę. Powiedział im, że dawna wiedza już jest do niczego. Ze przeszłość w przedsiębiorstwie to absurd i że lojalność wobec firmy to również idiotyzm i przesąd. Ze teraz liczą się tylko osiągnięcie celów gospodarczych i potrzeby zakładu,

to jest jedyna rzeczywistość, bo w dzisiejszym świecie nieokrzesej konkurencji albo osiągasz cel, albo nie istniejesz, po prostu. I teraz co wolą: żeby dalej istniał zakład Nilsen-Olsen, rentowny i uzdrowiony, zatrudniający trzysta osób, czy żeby nic nie istniało? Dlatego trzeba wyrzucić dużo ludzi. Starych, niezdolnych przystosować się do nowych czasów. A także próżniaków, których było niemało. A potem jeszcze zbędną część reszty, ani starych, ani próżniaków. Tak świat wygląda. Świat nie jest już polem bitwy między bogatymi a biednymi. Teraz problem polega nie na tym, czy da się zarobić więcej lub mniej pieniędzy i czy przedsiębiorstwo może liczyć na jakieś takie zyski, ale czy da się przeżyć. Świat nagle stał się bardzo mały i zabrakło miejsca dla wszystkich. Nie tylko dla pracowników, ale i dla przedsiębiorstw. Decyzje nie zapadają przy stole negocjacyjnym, przy którym zasiadali pracodawcy i związkowcy. Porządek w naszym przytułku ustalają teraz rzeczywistość technologiczna i nieubłagany rynek. Tak im mówił Sarda, tak właśnie tamtego dnia tłumaczył pracownikom spółki Nilsen-Olsen. A na koniec swojego wystąpienia powiedział: „A teraz pozwólcie, że coś wam doradzę - uśmiechnijcie się. Uśmiech to zdrowie, w pracy pomaga, od razu się człowiek lepiej czuje. Weźcie to sobie do serca i uśmiechnijcie się, proszę”. Byłem wtedy bardzo młody i, muszę przyznać, bałem się, że nam skręca karki. Nas było tylko trzech, a naprzeciwko tysiąc parę osób. Ale nie. Nic nie powiedzieli. Stali w ciszy i skupieniu. To był przełom. Teraz widzicie, co znaczy dobry kiler. Teraz widzicie, jak mocno uderza prawda, gdy ją ubrać we właściwe słowa.

- Jaka prawda? - Tępotą tego koleżki wprawiła mnie w oburzenie. Wyobraziłam sobie milczącą trwożę, z jaką pracownicy musieli słuchać bzdur, które plótł Sarda.

- Ostatecznie Nilsen-Olsen zamknął wszystkie swoje zakłady w Hiszpanii. Nie było mowy o trzystu miejscach pracy w uzdrowionym przedsiębiorstwie, nic z tych rzeczy. Sarda ich po prostu sterroryzował i oszukał, żeby później się ich pozbyć bez problemu.

- No, tak, zgoda, taa, kiler musi umieć... taa, przystroić odpowiednio prawdę w odpowiednim momencie. To kwestia taktyki i strategii. Weźmy przykładowo robotę, którą wykonywałem potem. Popatrz, idziesz do partnerów jakiejś dużej firmy. W moim przypadku Nilsen-Olsen. I na przykład trafiasz do fabryki zaworów do klap hermetycznych, te zawory to ich jedyna produkcja i całą produkcję odbiera Nilsen-Olsen. Tłumaczysz im, że przyjeżdżasz z polecenia ponadnarodowego przedsiębiorstwa norweskiego, że zrobisz im studium opłacalności zakładu całkowicie gratis, w prezencie od firmy Nilsen-Olsen dla jej dostawcy. Wszyscy są zachwyceni, otwierają przed tobą drzwi, dają ci książki, odpowiadają na wszystkie pytania. Po dwóch, trzech tygodniach znasz już fabryczkę na wylot, jej błędy organizacyjne, jej koszt, jej poziom marnotrawstwa. Wtedy idziesz do dyrektora i mówisz: „Płaciliśmy ci po

trzy tysiące peset od zaworu. Od tej chwili będziemy płacić tysiąc pięćset”. Dyrektor sinieje: „Ale jak to? Dlaczego?”. To jest właśnie moment chwały kiltera, kiedy dochodzi do głosu jego siła, siła jego wiedzy. „Bo fabryka jest fatalnie zarządzana. Masz tu papiery, studium, plan rentowności. Wywal połowę zatrudnionych, ustaw wszystko, jak się należy, a zawory będą cię kosztować połowę mniej”. To mówiąc, wychodzisz. Jeśli dyrektor ma duszę zwycięzcy, dokonuje rekonwersji. Jeśli to mięczak, to jej nie dokonuje albo robi ją źle i wiatr historii zmiata go w otchłań piekła niekompetentnych przemysłowców. Takie jest życie, maleńka.

Powiedziawszy to, uniósł brew z miną małego twardziela i rzucił w moją stronę spojrzenie uwodzicielskie i namiętne jak ukłucie komara.

- To ciekawe. Ale powiedz mi, skoro robiłeś tak ważne rzeczy, jak udupienie fabryki zaworów, to dlaczego nie pracujesz dalej jako kiler?

Jego królicza twarz nieco się skurczyła.

- No... Taa... Nic nie trwa wiecznie.

- Ale to ty załatwiłeś fabrykę zaworów?

- Ja, taa... To znaczy, prawie. Sarda oddelegował tam swojego pomocnika, a ja byłem pomocnikiem tego pomocnika. Właściwie można powiedzieć, że byłem jego prawą ręką. Taa...

- A teraz jesteś bezrobotny.

- No, nie... teraz... Teraz pracuję dla wielkiej finansjery i dla ważnych ludzi, jak ci z Holandii. Sarda polecił mnie tym... I wtedy ja... No, kiedy trzeba przetransportować jakieś pieniądze bez śladu, moja w tym głowa.

- Zdaje się, że nasz przyjaciel jest kurierem. Prostym przewoźnikiem. Takim, co to przewozi brudne pieniądze stąd tam - wtrącił się Félix.

Manuel Blanco z odrazą zacisnął usta.

- No, zgoda, taa, też to robię, oprócz wielu innych rzeczy.

- Rzeczy, które, prawdę mówiąc, mało nas obchodzą - uciął Félix. - Przyszliśmy tu, żeby się czegoś dowiedzieć o Dumie Robotniczej i o porwaniu Ramona Iruñi. Van Hoog uznał, że możesz nam pomóc. Dostarczysz nam jakichś informacji czy nie?

Facet zaczerwienił się gwałtownie od koszmarnego podbródka po samą brylantynę.

- Tak, proszę pana. Chyba tak - oświadczył tonem urażonej godności.

- Wspaniale. Czekamy.

Zapadła kilkusekundowa cisza. Manuel Blanco wypił swoją kawę, poprawił węzeł krawata, odchrząknął dwukrotnie. Kiedy znów się odezwał, powrócił mu dawny głos twardziela i światowca.

- Mój fach... taa... kurierski pozwala mi kontaktować się z wszystkimi nieoficjalnymi środowiskami. To znaczy, kurier przekracza granice, a ja się znam na wszystkich istniejących granicach. Nie mówię tu o granicach poziomych, międzypaństwowych, pełnych nudy, paszportów, stempli i wiz, ale o granicach pionowych, które przebiegają nawet w tym miejscu.

Tu wykreślił dłonią w powietrzu kilka linii równoległych.

- Nie wiem, kim są ci z Dumy Robotniczej, ale wiem, że znajdują się za którąś z tych granic. Kwestia tylko, taa, jak ich odnaleźć. Otóż tak jak w przypadku granic poziomych istnieją pewne ugrupowania, na przykład mamy kraje Unii Europejskiej albo kraje arabskie, przy granicach pionowych też mamy do czynienia z pewnym układem. Podział podstawowy, chociaż potem są podgrupy, to podział na organizacje Dienne i Nocne. Nocne zwracają większą uwagę. To te, które zwykli ludzie nazywają mafiami. Zajmują się najczęściej sektorem rozrywki i usług, a więc chociażby narkotykami, prostytutką, hazardem, handlem kobietami, nielegalną siecią rozpowszechniania pornografii, kręgami pederastów, no, te sprawy. Są tam stali dostawcy, rozmaite oddziały, szlaki międzynarodowej wymiany. Wszystko świetnie zorganizowane. Na dzień dzisiejszy dwie najważniejsze światowe korporacje w sektorze Nocnym to chińskie triady i japońska yakuza, które dogadały się co do podziału całej planety. Ale już pojawia się nowa mafia rosyjska, która dosłownie w oczach nabiera siły i skuteczności. Jeśli chodzi o Włochów, biedacy są strasznie staroświeccy. Kolumbijczycy są potężni, ale bardzo przydałaby im się rekonwersja. Może powinni, taa, poszukać jakiegoś dobrego kilerka.

Zapatrzył się w dal, jakby rozważał pyszną ewentualność, że mafia kolumbijska zatrudni go, by poprawić swój bilans ekonomiczny. To idiota - pomyślałam niemal z podziwem dla jego niebywałej głupoty.

- Dalej mamy organizacje Dienne, które razem stanowią największą siłę. W skład sektora Dziennego wchodzi wszystkie ugrupowania polityczne: terroryści, partyzantka miejska, ruchy wyzwolenicze, IRA, ETA, Międzynarodówka Neonazistowska. Oraz całe szambo administracyjne: terroryzm państwowy, najtajniejsze wydziały tajnych służb. Należą tu też magowie finansjery, zdolni wykonać dowolną ewolucję z pieniędzmi: wyprać, wymazać. A jeszcze wyżej mafie rządowe czarnego rynku: łapówki, korupcja na wielką skalę, defraudacja dóbr publicznych. A na koniec trzeba wspomnieć o najwyższym szczeblu tej potężnej drabiny, o handlarzach bronią, czyli wielkich przywódcach sektora Dziennego, obdarzanych wielkim szacunkiem także przez sektor Nocny. To są właśnie królowie świata, wybitni mężowie zasiadający na czele międzynarodowych fundacji dobroczynnych, którym z

czasem stawia się pomniki. Zwróciliście uwagę, że ledwie dochodzi do drobnej sprzeczki między dwoma plemionami w zapadłym zakątku ziemi, a już nazajutrz obie strony są uzbrojone po zęby? Z tego żyją królowie naszej planety.

- Ale gdzie w tym bałaganie znajduje się Duma Robotnicza? - spytałam.

- No, taa, jeszcze nie wiem. Ale dowiemy się. To świetnie zorganizowane środowisko. Tu nikt kroku nie robi, żeby jego szefowie o tym nie wiedzieli. Nie wiem, czy Duma Robotnicza to jakaś mafia nocna, jakieś proste mydłki, które chcą uchodzić za ugrupowanie polityczne, czy też należą do świata dziennego. Pierwsze, co zrobię, to się wywiem. Popytam. Pogadam z pewnymi ludźmi. Nazwisko van Hooga otwiera wiele drzwi - Mielicie szczęście, że zechciał wam pomóc.

Westchnął, pewnie z zawiści, że mamy takie kontakty. Potem wstał i ponownie przybrał wielkopański wyraz twarzy, by się pożegnać, aczkolwiek te jego pretensje przyćmił nieco fakt, że gdy podawał nam dłoń, to palce ledwo wystawały mu z rękawów, i że stopami bezlitośnie deptał długie, przybrudzone nogawki.

- Dam wam znać. Pozdrówcie ode mnie pana van Hooga i powiedzcie, że Manuel Blanco, taa, zawsze chętnie jest na jego usługi.

- Powiemy mu - skłamałam bez zmrużenia oka: po co mam mu mówić, że już nigdy w życiu nie zobaczymy pana Holendra? Po prostu ukryłam prawdę, jak uczyniłby to kiler.

Po spotkaniu z Manuelem Blanco czułam się nieco zbита z tropu. Facet był takim dziwakiem i robił tak mizerne wrażenie, że trudno było uwierzyć, by mógł nas skontaktować z półświatkiem. Czyli, wedle jego własnych słów, z drugą stroną pionowej granicy.

- I co sądzicie? - spytałam przyjaciół, gdy Blanco wyszedł z kawiarni.

- Wariat, żalony gość - odpowiedział Adrian.

- Ale pamiętajcie, że zamiar na niego dał nam van Hoog. Więc chociaż to nieprawdopodobne, jednak jakoś tam jest powiązany z mafiami - odezwał się cichym głosem Félix. - To przynieś-podaj-pozamiataj, g n i d a, jak nazywaliśmy takich typków, niepewnych koleśków, co wałęsają się gdzieś po obrzeżach, przenoszą wiadomości, podsłuchują to tu, to tam, otwierają drzwi wielkim tego świata i dużo się uśmiechają. Jestem pewien, że da nam znać.

Wróciliśmy zatem do domu i znów wypadło nam czekać, choć tym razem czas oczekiwania osłodziły mi ramiona Adriana, ciepły brzuch Adriana, ślina Adriana w moich ustach. Tak minęły dwa dni, które w mojej świadomości były jedną długą nocą, aż wreszcie któregoś ranka, koło dziewiątej, ktoś przywarł jak głupi do dzwonka u drzwi i ani myślał oderwać palca.

- Idę! Idę! - krzyknęłam, wyczołgując się spod ciała Adriana, na poły zdenerwowana uporem tamtej osoby, na poły wystraszona, bo nawet mój związek z chłopakiem nie zdołał stłumić nieustannego lęku, jaki odczuwałam od chwili porwania Ramona. Narzuciłam na siebie szlafrok i zerknęłam przez wizjer: to był Félix. Otworzyłam pospiesznie.

- Co się dzieje?

Félix, blady i drżący, stał oparty o futrynę. Wokół oczu miał ogromne placki koloru malwy.

- Nie martw się, to nic takiego dziwnego, to całkiem naturalne - dyszał. - Po prostu umieram.

I przewrócił się na mnie.

Powinłam się była spodziewać. Powinłam się była domyślić przyczyn choroby Feliksa, powodów, dla których nagle się rozsypał. Ale w owym czasie unosiłam się na fali czystego egocentryzmu, do jakiej sprowadza się początek każdego romansu, bo blask miłości cię oślepia, a szczęście ogłupia, bo wszystko jest tak ekscytujące i upojne, bo jesteś zdolna czuć tylko własną skórę i wpatrywać się w tego drugiego. Dlatego kiedy Félix padł mi w ramiona, wolałam pomyśleć najprostsza rzecz na świecie: że jest stary, a starym przytrafiają się takie rzeczy. Ze pewnego dnia ich stan się pogarsza i w najgorszym razie umierają.

Kiedy zawieźliśmy go do szpitala, wciąż był nieprzytomny i też paliła go gorączka, jak ledwie przed tygodniem Adriana. Ale w przeciwieństwie do chłopaka, którego choroba pachniała szkolną anginą, świeżym chlebem i deszczowym niedzielnym popołudniem, gorączka Feliksa przywoływała na myśl podniecone szepty pielęgniarek, wychudłe ciała, niekończące się korytarze z zimnymi przeciągami. Jak od razu powiedzieli nam lekarze, Félix miał zapalenie płuc, co budziło niepokój w związku z jego wiekiem i stanem jego dróg oddechowych.

Natychmiast zaczęli mu podawać antybiotyki, ale organizm nie zareagował. W rozpalonym półmroku sali, gdzie ogrzewanie nastawiono na maksimum, najpierw pozbyłam się płaszcza, potem żakietu, następnie podwinęłam rękawy koszuli - i godzinami patrzyłam, jak śpi. Niepokoił mnie żar i bliskość śmierci. Wcześniej Félix w swoich luźnych tweedowych marynarkach zachowywał znakomitą postawę, ale teraz, gdy leżał obleczonej w szpitalną koszulę, widać było, jaki jest kościsty, jaką ma poniszczoną skórę, jaki to mały, stary gargulec, bielszy od pościeli, nieprawdopodobnie delikatny i kruchy. Oczami wyobraźni zobaczyłam go spacerującego samotnie po Amsterdamie jeszcze tydzień temu, wśród podbiegunowych wichrów, ze szronem na brwiach i przemarzniętymi stopami. I co tu się dziwić, że nabawił się zapalenia płuc. To jeszcze jeden punkt, który należałoby dopisać do

długiej listy moich przewin, obok zatonięcia „Titanica” i wymarcia dinozaurów. Ależ istoty ludzkie są kruche: oto leży Félix, co ma za sobą takie długie życie i takie wspomnienia, a tu lada chwila może zniknąć, rozwiać się jak obłoczek dymu. Nie wiem, czemu przypomniał mi się Compay Segundo, wiekowy artysta kubański, śpiewający piosenki zaczerpnięte z repertuaru dawnych kabaretów, melodie zarazem zmysłowe i oszczędne, gorące sonyl w sam raz na tropikalne noce. Compay był mniej więcej w tym samym wieku co Félix, i pewnie tak samo jak Félix był kiedyś młody i nienasycony. „Jestem zakochany, Clarabello, życie moje, nie zapomnę cię, skarbie, po dni moich kres; dlatego, gdy patrzę na ciebie i widzę, żeś jest piękna, nie wierzę, bym kiedykolwiek umrzeć miał” - śpiewa dziś Compay z wyżyn swoich osiemdziesięciu paru lat i zawsze, kiedy go słyszę, wyobrażam sobie, że zżera go nostalgia za sobą samym, za tym Compayem, którym był niegdyś, Compayem o mocarnej piersi, uwodzicielskich oczach i głodem kobiet wypisanym wciąż na ustach. U mężczyzn przepełnionych witalnością, jak Compay czy Félix, melancholia wywołana upływającym czasem wydawała się jeszcze bardziej bolesna i wzruszająca. W każdym razie mnie to wzrusza. Byłam zaskoczona, jak mocno przejęłam się losem Feliksa Robie: znałam go dopiero półtora miesiąca, a już stał się częścią mojego życia. Wiele godzin spędziłam w tym dusznym, nagrzanym pokoju szpitalnym, czuwając przy chorym i pogrążając się w mrocznym przecuciu, że zbliża się punkt końcowy, że coś się kończy.

1 Son - kubański rodzaj tańca i pieśni o źródłach afrykańskich, typowy dla regionu Santiago de Cuba.

Trzeciego dnia, gdy lekarze postanowili wypróbować na Feliksie kolejny, czwarty już antybiotyk, Adrián i ja wpadliśmy na chwilę do domu, żeby się przebrać - co, nawiasem mówiąc, ostatecznie zrobiliśmy w łóżku, i to z wielkim entuzjazmem. Kiedy zadzwonił telefon, prawie spaliśmy. Wzdrygnęłam się i zerknęłam na budzik. Siódma wieczorem.

- Halo?

- Li Ciao. Czeka w El Cielo Feliz. Za pół godziny. Przynieś list od przyjaciela z Holandii.

Powiedział Manuel Blanco, bo był to bez wątpienia on. I szybko odłożył słuchawkę.

- Co za idiotyzm! Czy on nie zdaje sobie sprawy, że mamy telefon na podsłuchu? - fuknęłam. - I na dodatek za pół godziny. Co to za El Cielo Feliz?

- Chińska restauracja, a co? - zainteresował się Adrián.

No pewnie: wystarczyło sprawdzić w książce telefonicznej, żeby poznać jej adres. Pasaż Cuesta del Río 11. m.

Ubraliśmy się w nieprawdopodobnym tempie, na szczęście złapaliśmy taksówkę zaraz

po wyjściu na ulicę, ale ani taksówkarz, ani my nie mieliśmy pojęcia, gdzie jest ta ulica, i zgubiliśmy się. Dotarliśmy do restauracji z prawie godzinnym opóźnieniem. Zapadła noc, pasaż Cuesta del Rio wyglądał teraz dosyć podle: po obydwu stronach na całej długości ciągnęły się niemal wyłącznie mury opustoszałych fabryk, pozamykane warsztaty mechaniczne i place zawałone śmieciami. Pośród tej czerni migotały czerwone lampki chińskiej restauracyjki. Było ich tyle co na odpuście. Stanęliśmy wystraszeni przed wejściem, a taksówka tymczasem odjechała. Bardzo mi było brak Feliksa. Niby to tylko staruszek, ale jego spokój dodawał mi zawsze otuchy. Odetchnęliśmy głęboko i nacisnęliśmy plastikową klamkę w kształcie wijącego się smoka. Lokal był mały, kwadratowy, stało tu siedem stolików nakrytych do posiłku, czekając na gości. Papierowe lampiony, ściany dość brudne. Zapach gotowanej ryby.

- Dobry wieczór? - zaryzykowałam. - Jest tu kto?

Zza jakichś drzwi wyszła dziewczyna. Oczywiście Chinka. Bardzo młoda, rozczochrana, sympatyczna.

- Dobry wieczór. Restauracja jeszcze nieczynna. Po pół godziny.

- Nie przyszliśmy na kolację. Jesteśmy umówieni z... Z panem Li Ciao.

Chinka przestała być sympatyczna.

- Chwila.

Znikła za drzwiami na zapleczu, a mnie przyszło do głowy, że powinniśmy uciec w te pędy. Ale nie zdążyliśmy. Dziewczyna wystawiła głowę:

- Proszę wejść.

Więc weszliśmy. Do brudnej kuchni, pełnej dymiących garów, przy których krzątało się dwóch facetów. Potem do ciemnego korytarza, wreszcie do saloniku. Chinka zamknęła za nami drzwi.

- Usiądźcie, proszę.

Zrobiliśmy, jak nam kazano. Li Ciao był raczej gruby, miał tłustą, gładką i płaską twarz, przypominającą dojrzałą śliwkę. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, ubrany był na modłę zachodnią: szara marynarka i czarna koszula bez krawata, zapięta starannie pod samą grdyką. Siedział przy podgrzewanym stoliku, a przed sobą miał tackę z laki, na której stały porcelanowe filiżaneczki i czajniczek.

- Może herbaty?

Skinęliśmy z Adrianem głowami chyba dlatego, że chcieliśmy trzymać coś w dłoniach. Pokoik był niewielki, niemal całą przestrzeń zajmowały stolik i kilka tanich krzesełek. Za plecami Li Ciao znajdowała się wąska gablotka, a w niej jadesitowa rzeźba

wyobrażająca starego rybaka i otwarta paczka płatków Kellogga. Jediną niepokojącą rzeczą było światło: papierowy lampionik zalewał pomieszczenie różowym kolorem, gęstym, słodkim jak rozpuszczony karmelek, odurzającym. Miałam wrażenie, że jestem wewnątrz bąbelka, w pysku ryby, pomiędzy błonami. Duszna atmosfera.

Ostrożnie nalał herbaty i postawił filiżanki przed nami. Oczywiście nie podał cukru, więc herbata była nie tylko wrząca, ale i upiornie gorzka. Odstawiłam filiżankę na blat i uśmiechnęłam się grzecznie do Li Ciao sparzonymi ustami. Byłam kiedyś w Chinach i wiem, że kurtuazyjne ceremonie muszą potrwać czas jakiś.

- A więc są państwo przyjaciółmi mojego przyjaciela van Hooga.

Mówił po hiszpańsku doskonale. Przytaknęłam skinieniem głowy, uznałam, że gest będzie elegantszy niż mówienie „tak” pełnym głosem. Wyciągnęłam list i podałam mu przez stół.

- Mamy tu jego zaświadczenie.

Li Ciao wziął kartkę i zagłębił się w lekturze na czas niewyobrażalnie długi, zważywszy, że treść listu zamykała się w jednej linijce tekstu. Następnie podniósł głowę i też skinął. Naśladowałam go, uśmiechając się jak najmilej i stwierdziłam przy tym, że Adrián czynił to samo. Siedzieliśmy tak we troje w kandyzowanej atmosferze w domku dla lalek, uśmiechaliśmy się idiotycznie i kiwaliśmy głowami w górę i w dół jak pieskimaskotki w samochodach. Zmitrężyliśmy na to kolejne dwie minuty.

- Pisz tu w liście mój przyjaciel van Hoog, że państwo tylko chcą pomówić - rzekł w końcu Li Ciao. - Ale tak naprawdę to państwo chcą tylko słuchać. Państwo chcą, żebym to ja mówił.

Zamknął oczy i zamilkł jak Budda. Albo jak śpiący człowiek. Wokół oczu miał całe mnóstwo drobniutkich zmarszczek. Nie mógł mieć czterdziestu lat, ale znacznie więcej. Pięćdziesiąt, może i z sześćdziesiąt.

- Państwo chcą wiedzieć, a to, czyli poszukiwanie wiedzy, jest bardzo szlachetną pobudką. Ale ja nie chcę mówić, bo także dyskrecja jest wielce chwalebłą cnotą. „Milczenie to przyjaciel, który nigdy cię nie zdradzi”, jak powiada...

- Konfucjusz - przerwał Adrián.

Spojrzeliliśmy na niego obydwój z pewnym zaskoczeniem.

- Jak powiada wielki Kungfucy, którego państwo istotnie zwiecie Konfucjuszem - ciągnął gospodarz z niezmaconym spokojem. - Raduje mnie, że nasz młody przyjaciel posiada tak rozległą wiedzę na temat naszych klasyków, czego raczej, niestety, trudno się spodziewać po dzisiejszej chińskiej młodzieży. Gratuluję. Jednakże żaden z naszych

młodzieńców, nawet tych niewykształconych, nie śmiałyby się wtrącać, kiedy mówi starszy i szanowany człowiek, a już zwłaszcza, gdy owo wtrącenie miało być tylko przechwałką, ponieważ jego odzywka nie wniosła do rozmowy niczego, czego wcześniej nie wiedziałby jego rozmówca, było to zatem czczą fanfaronadą elokwencji. Mimo to, mając na uwadze, że jest to człowiek młody i obywatel Zachodu, czyli podwójnie upośledzony, nie weźmiemy sobie do serca tej jawnej manifestacji braku kultury. Prawdę mówiąc, wasz unижony sługa zupełnie zapomniał już o całym incydencie.

Nie tyle zobaczyłam, ile raczej wyczułam, jak Adrian gwałtownie się czerwieni: wydzielał falę gorąca i wydawał głuchy, urywany odgłos, niczym mały motorek tuż przed zgaśnięciem.

- Przepraszam - wybełkotał.

- Jeszcze herbaty? - zagadnął Li Ciao z wykwinną uprzejmością.

Adrian i ja pospiesznie skinęliśmy głowami. Nalał nam. Zauważyłam, że posługiwał się tylko lewą dłonią. Prawą, od początku naszej rozmowy, ukrywał gdzieś głęboko pod stołem. Pomyślałam, że może jest jednoręki. A może chowa tam pistolet. Natomiast jego lewa dłoń była sucha, pokryta plamami i zmarszczkami, o knykciach zdeformowanych przez artretyzm. Siedemdziesiąt. Li Ciao miał co najmniej siedemdziesiąt lat. Kto wie, może i osiemdziesiąt. Była to dłoń starucha.

- Jestem dobrym przyjacielem moich przyjaciół, a państwo są przyjaciółmi mojego przyjaciela - kontynuował Li Ciao, gdy zakończył już powolne ceregiele z filiżankami.

- Chciałbym państwu pomóc. Ale tu pojawia się konflikt, ponieważ nasze cele są rozbieżne. Słuchać i milczeć. Wiedzieć i być cicho. Cóż, życie jest właśnie takie, nieprawdaż? Życiem nazywamy złożoną równowagę, która rodzi się ze zderzenia przeciwieństw. Naturalnym atrybutem rzeczywistości jest paradoks. Rzeczy definiuje się poprzez to, czym są, ale także poprzez to, czym nie są. Bez tego drugiego aspektu, bez tej drugiej strony nic by nie istniało. Światła nie zrozumiemy bez ciemności, męskości bez żeńskości, jin bez jang. Dobra bez Zła.

Opuścił podbródek na pierś i znowu zamknął oczy. Minęła nieskończenie długa minuta. Félix pewnie by wiedział, co robić w tak dziwnej i niezręcznej sytuacji, może by umiał znaleźć to jedno właściwe słowo, które wyrwałoby Chińczyka z jego stuporu, a on powiedziałby nam coś konkretnego. Ale w tym momencie Félix leżał w szpitalu chory, może nawet umierający. Życie bez śmierci.

- Moi bracia i ja wiemy, że Zło stanowi element Dobra, a Dobro stanowi element Zła. Cnotliwy człowiek to rozumie i przyczynia się do budowania powszechnej harmonii, do

godzenia sprzeczności. Moi bracia i ja od tysiącleci jesteśmy drobnymi okruchami w wielkim kręgu życia. Zarządzamy Złem i dzięki nam istnieje Dobro. To wysoce moralna i trudna praca. Powiem to inaczej, żeby i państwo potrafili to pojąć swoim niewielkim zachodnim rozumem. Dam państwu przykład: Hiszpania w roku dziewięćdziesiątym drugim. Wystawa Światowa, Igrzyska Olimpijskie. Nie zdziwiło państwa, że podczas tych imprez nie było żadnych problemów z terrorystami? Zarówno EXPO w Sewilli, jak i igrzyska w Barcelonie to gigantyczne wydarzenia, nie dało się ich skontrolować w sposób idealny. Przy dzisiejszej technice każdy może zostawić bombę w torbie papierowej. Zabezpieczenie podobnych imprez jest rzeczą absolutnie niewykonalną. A mimo to do niczego nie doszło. Nie ciekawiło państwa nigdy, dlaczego?

Musiałam przyznać, że nie, nigdy mnie to nie zaciekało.

- Bo tam, gdzie istnieje tradycja i organizacja, panuje porządek. W kraju państwa działa ETA, potężna organizacja świata podziemnego. Rząd musiał jedynie dyskretnie zapłacić ETA cenę rozejmu, żeby zagwarantować spokój na te parę miesięcy. Ze swojej strony ETA zadbała, żeby żaden incydent nie naruszył umowy. To się nazywa ład. To się nazywa harmonia. Chińskie dzielnice wielkich miast Zachodu są wolne od przestępczości. Pani i ja, jej uniżony sługa, możemy się przespacerować po nowojorskim Chinatown o każdej porze nocy i włos nam z głowy nie spadnie. Bo moi bracia i ja nad tym czuwamy. To się nazywa ład. To się nazywa harmonia. Jednakże...

Li Ciao przerwał swój wywód i westchnął bezgłośnie. Jego dojrzałe, miękkie, żółte policzki lekko zadrżały.

- Jednakże chaos się rozprzestrzenia, nieład nas pochłania. I nie chodzi tu o ów nieład kosmiczny, z którego rodzi się ład, ale o pomieszanie, o niekompletność, o brak miejsca i treści. Zanika tradycja, ginie pamięć. Osacza nas Niebyt.

Mówiąc to, Li Ciao wyciągnął prawą rękę spod stołu, z otchłani, i oparł ją na blacie. Musiałam zdobyć się na gigantyczny wysiłek, żeby nie krzyknąć z przerażenia. Ręka okazała się spalonym kikutom, zaciśniętym wokół siebie szponem, zagojonym, stopionym szczątkiem, który na oko został upieczony na wolnym ogniu.

- Są państwo przyjaciółmi mojego przyjaciela, a ja jestem dobrym przyjacielem moich przyjaciół, dlatego coś państwu jednak powiem. Dwa drobiazgi. Dwa szczegółiki. Po pierwsze: Duma Robotnicza to jedno z imion z krainy nieładu. Po drugie: niech pani uważa, z kim pani rozmawia. Bo jedna osoba w pani otoczeniu jest w zмовie.

- Kto?

Li Ciao uśmiechnął się i zignorował moje pytanie.

- Nalałbym państwu jeszcze herbaty, ale wystygła. Poczęstować kogoś zimną herbatą to niewybaczalny brak uprzejmości. Ale niestety, czas gna niezauważenie. Mam nadzieję, że będą państwo mogli wybaczyć swojemu uniżonemu słudze to zaniedbanie.

- To my prosimy o wybaczenie - rzekłam natychmiast, pojmując aluzję. - Chyba zajęliśmy panu zbyt wiele czasu. Dziękujemy, że zechciał pan nas przyjąć.

Gdy to mówiłam, nie mogłam powstrzymać wzroku przed ześlizgnięciem się jeszcze raz ku poranionej dłoni, ku tej straszliwej mieszance obnażonych ścięgien i zmaltpowanego mięsa. Li Ciao przechwycił moje spojrzenie. Poczzerwieniałam.

- Zauważam, że stan mojej dłoni przykuł pani uwagę. To też jedna z konsekwencji nieładu.

Uniósł kikut: palce, a raczej to, co z nich zostało, sprawiało wrażenie jednej wielkiej płataniny.

- Wiem jednak, że ból może stanowić element powszechnej harmonii. Podobnie jak gwałt. I jak zemsta.

Po czym z wysiłkiem otworzył zaciśnięte, straszliwe szpony: wewnątrz tego, co niegdyś było dłonią, spoczywał mały flakonik z przezroczystego szkła, wypełniony płynem przypominającym wodę, w której, niczym rybeńka w miniakwarium, pływało ludzkie oko. Miękkie, okrągłe, nieobecne.

Opuściłam El Cielo Feliz, z trudem opanowując mdłości. Jak huragan przemknęłam przez ciągle pustą restaurację, jednym pchnięciem otworzyłam drzwi i wypadłam na ulicę, łapczywie wciągając zimne powietrze. Oparłam się omur jakiejś fabryki, powoli odzyskałam normalny oddech. Obok mnie stał Adrián i gadał jak najęty. Tak się czasem objawiało u niego zdenerwowanie.

- Kurwa, co za koleś, co za horror! Jak mi przygadał z tym Konfucjuszem, myślałam przez moment, że zaraz mi poderżnie gardło, no i z tym okiem, co je tak ukrywał, obrzydlistwo, a ta ręka, potworność, no i jeszcze to koszmarnie, różowe światło, no i...

- Jak się stąd wydostaniemy? - przerwałam mu.

Bo w miarę jak wracały mi zmysły, docierała do mnie nasza sytuacja. Adrián rozejrzył się: daleka ulica dalekiej dzielnicy, zapomniana, wyludniona, przerażająca. Wokoło żywej duszy, żadnego, psiakrew, samochodu. W żadnym oknie się nie paliło, bo nie było żadnego okna. Na całej ulicy jedynymi źródłami światła były liche latarnie i tania dekoracja chińskiej restauracji.

- Może wrócimy do El Cielo Feliz i zamówimy taksówkę przez telefon? - podsunął Adrián.

- Wrócić tam? Mowy nie ma.

- No to musimy iść piechotą.

Ruszyliśmy więc ku jednemu końcowi ulicy, choć nie mieliśmy pojęcia, z której strony wjechaliśmy w tę potworną dzielnicę, bo taksówka kluczyła z tysiąc razy.

- Spokojnie, Lucia! Przecież ty prawie biegniesz! Taka mała, a ja tu ledwo nadążam - powiedział Adrián z uśmiechem, przypalając papierosa, jakby chciał przydać odrobiny normalności tej nienaturalnej, posępnej nocy.

- Boję się. Nie podoba mi się tu. Marzę o tym, żeby znaleźć się w jakimś cywilizowanym miejscu.

- Znam świetny patent na bezpieczne przechodzenie przez niebezpieczne miejsca. Kiedy idę jakąś nieprzyjemną okolicą, wyobrażam sobie po prostu, że to ja jestem mordercą. A skoro to ja jestem napastnikiem, nie mogę być napadniętym. Sprawdza się na sto procent.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem. Nigdy nie zdołam zrozumieć mężczyzn. Za naszymi plecami jakiś samochód włączył światła i silnik. Poczułam leciutką ulgę - a więc oprócz nas jest tu ktoś jeszcze. Jak podejrzewałam, problem polegał na tym, że mężczyźni nie potrafią zmierzyć się z własnym strachem, że wołą dostrzec w sobie morderców, nim dostrzegą tam tchórzy. Samochód, który ruszył za nami, jeszcze nas nie minął. Drobnym jak ziarnko grochu niepokój usadowił mi się w żołądku. Zerknęłam za siebie przez ramię. Samochód jechał za nami, niemal na naszej wysokości, dotrzymując tempa naszym krokom. Ziarnko grochu momentalnie zmieniło się w kamień przygniatający mi piersi. Ledwie oddychałam.

- Adrián... - szepnęłam.

- Zauważyłem.

Przed nami rozpościerała się czarna i długa ulica, pozbawiona bram, w których można by się schronić, bez żadnej kryjówki, bez żadnej szansy, by umknąć prześladowcom.

- Co robimy? - spytałam.

- Idziemy dalej. Szybko, ale nie biegiem. Udawaj, że ich nie widzisz.

Nasze buty klekotały po popękanych płytach chodnika: jeden sus Adriana, dwa moje kroczyki. A za plecami pomruk śledzącego nas wozu. Kącikiem oka zobaczyłam jego maskę. Blask świateł mnie oślepił, ale za przednią szybą dojrzałam chyba co najmniej dwie sylwetki.

- Spokojnie, przed nami są jacyś ludzie.

- Co?

- Ludzie są przed nami - powtórzył Adrián.

Istotnie, pod żółtawą latarnią kilka metrów dalej stało dwóch czy trzech facetów. Przyspieszyliśmy nieco. Bolało mnie w boku, ostre klucie utrudniało mi oddychanie. Było ich trzech, teraz widziałam wyraźnie, trzech młodych mężczyzn o bardzo pospolitym wyglądzie, dwóch w dżinsach, jeden w garniturze. Samochód nadal sunął bardzo blisko nas, tuż przy krawężniku.

- Adrian...

Nie podobało mi się to wszystko, absolutnie mi się nie podobało. Trzej mężczyźni patrzyli na nas bez słowa, wpatrywali się w nas uważnie i powoli ustawiali w tyralierę w poprzek chodnika. Obok stał zaparkowany drugi wóz, pojazd wielki i drogi.

- Adrian!

Zagrodzili nam drogę. Poczułam się jak hodowana z troską owieczka, która sama włązi do rzeźni. Zwolniliśmy kroku, by w końcu się zatrzymać. Z tyłu drzwiczki samochodu otworzyły się i zamknęły. Ktoś wysiadł. Ale my nie patrzyliśmy za siebie, w każdym razie ja. Całą moją uwagę przykuwali trzej faceci z przodu. Dwaj w dżinsach znajdowali się po bokach, w dłoniach trzymali połyskujące, czarne pistolety, którymi mierzyli prosto w nas. Ten w środku był rudy, wysoki i umięśniony, o wyglądzie szarmanckiego picusia z telewizji. To jeden z tych facetów tak zapatrzonych w siebie, co to własną urodą starają się zelżyć innych. Poczułam, jak ktoś przytyka mi zimny metal do ucha. Chyba lufę jakiejś broni, bo Adrianowi przystawiono do gardła ciężki pistolet.

- Co za niespodzianka - odezwał się rudy piskliwie.

- Kogo my tu mamy: biedną, niepokieszoną wdowę.

- Ki... kim panowie są? - spytałam tak słabym i drżącym głosem, że nie byłam pewna, czy mnie usłyszą.

Ale do Pana Ładnego coś tam dotarło.

- Za dużo pytasz, kochanie, na tym polega twój problem. Kto trzyma gębę na kłódkę, ma spokojne życie.

Dał znak ręką i znów usłyszałam, jak z tyłu otwierają się drzwi samochodu. Chwilę później w polu mojego widzenia pojawił się nowy człowiek, ciągnąc coś za sobą na łańcuchu. Rozpoznałam ten jęk, jeszcze zanim zobaczyłam: to była Suka-Foka. Chciała się do mnie zbliżyć, ale tamten trzymał ją za obrożę i nie puścił ani na krok.

- Co ona tu robi? - wybelkotałam.

- Sama widzisz, jesteś niepoprawna: nic, tylko pytasz - powiedział rudy.

Schylił się i zaczął głaskać Suke-Fokę.

- To nieładnie tak łązić tu i tam, pytać w kółko i dręczyć tyłu ludzi. Oj, nieładnie,

nieładnie.

Widząc, że sprawa się przedłuża, Suka-Foka westchnęła i postanowiła się położyć, w nadziei, że my, przedziwni ludzie, zechcemy wreszcie skończyć z tą zupełnie dla niej niezrozumiałą sytuacją. Rudzielec przykucnął obok niej.

- Ale piękna suczka.

Wcale nie była piękna. Gruba, potargana, stara, leżała rozwalona na ziemi. Serce mi się ścisnęło.

- Mam przyjaciół, bardzo ważnych przyjaciół, którzy nie lubią wścibskich - oświadczył Pan Ładny.

I wyjął z kieszeni nóż. Sprężynowiec, ze spiczastym, ostrym, wąskim ostrzem.

- Przyjaciele powiedzieli mi: idź i ostrzeż tę babkę, że kto chodzi i pyta, szkodzi własnemu zdrowiu.

Zaczął jeździć końcem noża po sierści Suki-Foki. Nie naciskał, wyglądało to, jakby ją głaskał. Metalowy czubek prześlizgiwał się po jej pachwinach, po grzbiecie, po gardle.

- Idź i ostrzeż tę babkę, że kto chodzi i za dużo pyta, może bardziej zaszkodzić własnemu zdrowiu niż ćpun czy samobójca skaczący z dziesiątego piętra.

Ostrze wędrowało leniwie po brzuchu Suki-Foki.

- Wścibstwo może skończyć się wielkim bólem, kalectwem, raną...

Nóż przesunął się po przednich łapach i zaczął wspinać wzdłuż szyi ku głowie. Suka-Foka polizała dłoń rudzielca i zaczęła mu się przyglądać swoimi ledwie widzącymi, spokojnymi ślepiami. Oko - pomyślałam przerażona. Jak to oko u Li Ciao. Wyjmie zwierzakowi oko, a ja tego nie będę w stanie zdzierżyć. W tym momencie zbir przycisnął prawą ręką głowę suki do ziemi. Był mańkutem. Musiałam chyba wykonać jakiś ruch, nie pamiętam, bo poczułam, jak mi wykręcają ramiona, a lufa broni wbija się jeszcze mocniej w policzek.

- Wielką przykrością, zapewniam cię.

Wszystko stało się błyskawicznie - Pan Ładny znał się na rzeczy. Szybkim ruchem uniósł dłoń i odciął jedno ucho Suki-Foki, która wpadła w skowyt, jakby ją zarzynano, i zaczęła potrząsać głową, brocząc krwią. Wtedy ją puścili; biedaczka podeszła do mnie, szukając schronienia. Obydwoje z Adrianem pochyliłiśmy się, żeby ją przytulić i uspokoić. Byliśmy swobodni, tamci pochowali pistolety i wielkim pędem ruszyli ku swoim - ogromnym samochodom. Ostatni wycofał się rudzielec.

- Teraz już wiesz, kochanie, masz nie pytać. Masz przestać złościć moich przyjaciół.

Jedne za drugimi trzasnęły drzwiczki, po czym oba pojazdy z rykiem silników ruszyły

pustą ulicą. Suka-Foka pojękiwała i trącała głową moje kolana: rana musiała ją strasznie boleć, ale mogło się skończyć dużo gorzej. Nogi tak mi się trzęsły, że ledwie szłam. Dopiero po prawie dwudziestu minutach zdołaliśmy dotrzeć do jakiegoś automatu i zadzwonić po taksówkę.

Najpierw pojechaliśmy na ostry dyżur weterynaryjny, potem zatelefonowaliśmy do inspektora Garcii, który natychmiast się z nami spotkał. Brzydki i głupi, ale uczynny. Moim przerażeniem należy tłumaczyć fakt, że kiedy się zjawił, byłam gotowa go ucałować.

- Najgorsze, że musieli wejść do mieszkania, żeby porwać sukę. A nie widzę, żeby ktoś wyważył drzwi - powiedziałam, zdawszy mu uprzednio relację z koszmarnego spotkania tej nocy.

García sumiennie i z powagą zbadał wszystkie okna i zamki.

- Wszystko w porządku. Nic nie wyważone. Robota zawodowców. Ale niech się pani nie martwi. Nie wróć. Chwilowo. To ostrzeżenie. Co pani robiła w pasażu Cuesta del Río?

Aha, nie powiedziałam mu całej prawdy. Nie opowiedziałam mu o van Hoogu, o Manuelu Blanco ani o Li Ciao. Teraz poczułam chętkę, żeby przyznać się do wszystkiego. Zeby otworzyć serce przed panem inspektorem i zrezygnować z dalszych poszukiwań. Przestać pytać, jak radził rudzielec, przestać się bać. Ale nie, nie byłam w stanie, bo Li Ciao też napawał mnie strachem. Byłam przekonana, że Chińczyka wcale by nie ucieszyło, gdybym gadała na jego temat z policją. Za daleko zabrnęliśmy. Podziemie powinno pozostać podziemiem.

- Poszliśmy do... Do jednego warsztatu mechanicznego, żeby... Dowiedzieliśmy się, że jest na sprzedaż używany motocykl w niezłym stanie i Adrián chciał go kupić.

- W jakim warsztacie?

- Nie... Nie znaleźliśmy go. Zgubiliśmy drogę. Warsztat Sancheza, tak. Aleśmy go nie znaleźli. Dlatego tyle łaziliśmy. A potem zrobiło się ciemno i nie było jak złapać taksówki.

García skrzywił twarz w grymasie melancholijnego niesmaku.

- Jestem zawodowcem. Pani kłamie. Ja nic. Pani myśli, że mnie pani nabrała. Ja nic. Pani myśli, że jestem kretynek. A ja nic. Ale jak pani będzie dalej tam węszyć, spotka panią coś brzydkiego. Niech pani siedzi cicho. Po co bawić się w detektywów. Niech pani pozwoli pracować nam, profesjonalistom.

García miał rację. Tak, pierwszy raz pomyślałam, że García ma rację. Wszystko to było szaleństwem, głupotą. Dałam się porwać urojeniom Feliksa, jego ramoladom, bo wiadomo, że ramole ulegają ramoladom, podobnie jak dzieci ulegają dziecinadom. A teraz Félix leży w szpitalu w ciężkim, bardzo ciężkim stanie, ja zaś mam stracha i absolutnie nie

zamierzam zadawać dalej jakichkolwiek pytań. Tak, koniec zabawy w detektywów, jak mówi inspektor. Skoro policja nie potrafi zwrócić mi Ramona, głupotą jest sądzić, że sama mogłabym osiągnąć lepsze efekty.

Nad ranem, kiedy policjant już sobie poszedł, kiedy wszyscy, Suki-Foki nie wyłączając, wzięliśmy środki na uspokojenie, kiedy już oddałam się rozpaczliwemu seksowi i coś tam zjadłam mimo braku apetytu, poszłam do szpitala odwiedzić Feliksa. Nocą w szpitalach rządzą niewyraźne błyski i cienie, głuche pogłosy wielkich, mrocznych pomieszczeń. Minęłam słabo rozjaśnione korytarze i na palcach weszłam do sali. Félix drzemał, w nikłym świetle nocnej lampki wydawał się spokojny. Dziadzio w łóżku szpitalnym o świcie. Jak ów nieznany mi staruszek podczas tamtej Gwiazdki. Ale tym razem staruszek należał do mnie, a ja byłam sobą.

Usiadłam przy nim. Są w życiu chwile, kiedy wszystko jest śmiercią. Kiedy codzienność rozpada się na strzępy, a koszmar przeistacza w nieuniknione przeznaczenie. Rudzi sadyści wykluwający oczy, zgwałcone i uduszone dziewczynki, chłopcy torturujący i mordujący niemowlęta, żebracy żywcem spaleni przez neonazistów. Są chwile, kiedy okrucieństwo jest już tak wszechobecne, że sama się dziwisz, jakim cudem przetrwałaś bez szwanku aż do owej chwili. Jak o tym pomyśleć, to koszmar jest czymś nie do pomyślenia. Nie mieści się w głowie i wpadasz w obłąd.

- Lucia.

Wzdrygnęłam się i z trudem powróciłam do rzeczywistości. Wracalam z daleka, z bardzo daleka, z otchłani.

- Lucia, co ci jest?

To był Félix. Obudził się i teraz patrzył na mnie. Miał piękną, subtelną, inteligentną twarz.

- Nic. To znaczy, tak. Poczułam niepokój. Ale to nic takiego. Już mi przechodzi. Jak się masz?

- Co mówisz? - z wysiłkiem przyłożył dłoń do ucha.

- Jak się masz? - powtórzyłam, starannie wymawiając słowa.

- Dobrze. Chyba nie mam gorączki.

Dotknęłam jego czoła. Raczej chłodne.

- Drżysz - zauważył Félix.

- Nie najlepiej się czuję - odparłam, powstrzymując łzy.

Félix poklepał mnie po wierzchu dłoni.

- Lucia, skarbie, nie chce mi się spać. Chcesz, żebyśmy opowiedział ci kolejną historię?

Po egzekucji zdrajcy Morena wszystko zaczęło się rozsypywać - powiedział Félix Roble. - Przesadzałem z piciem, zresztą nie tylko ja. Prawdziwi anarchiści, pośród których dorastałem, zachowywali wstrzemięźliwość graniczącą z obłądem: nawet kawę uważali za niebezpieczny narkotyk. Ale teraz niektórzy z nas zaczęli popijać, inni odkryli w sobie szczególne upodobanie do broni i do zdobytych dzięki niej pieniędzy. Dyskusjom nie było końca: każdy z nas miał inną koncepcję dalszej strategii. Zacząłem oddalać się od grupy i od mojego brata. Nie robiłem tego umyślnie czy nawet świadomie, ale nic mnie dostatecznie mocno przy nich nie trzymało, dryfowałem. Czułem się pusty. Byłem jak zgnieciona kartka na wietrze.

Właśnie wtedy, w owej posępnej i mętnej epoce, poznałem „Srebrzyste Rączki”. Nigdy nie zapomnę daty: było to siódmego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. W następstwie sprawy Morena organizacja w Barcelonie poniosła poważne straty. Víctor uznał wówczas, że należy wskrzesić Solidarnych. Pomysł polegał na tym, żeby powołać do życia oddział partyzantki miejskiej całkowicie niezależnej od podziemnego związku. Działacze grupy rekrutowaliby się spośród ludzi z zewnątrz, czystych dla policji i takich, o których miejscowi CNTyści nie mieliby pojęcia.

„Dzięki temu, jeśli wpadnie kierownictwo związku, co w obecnej sytuacji jest bardzo prawdopodobne, nikt nie wyda Solidarnych” - oświadczył Víctor.

„Dobra, znowu montujemy w Hiszpanii grupę rewolwerowców, i co dalej? Co osiągniemy według ciebie?” - skontrolowałem. Ostatnio ciągle mu się sprzeciwiałem.

„Jak to, co osiągniemy? Chyba skłamałby, kto by twierdził, że jesteś synem swojego ojca. Walka, w dupę, to będzie nasze osiągnięcie. Walka przeciwko oligarchom ifaszystom. Jak zwykle, braciszku. Jak zwykle”.

Víctor miał słuszność, ale jednocześnie nie miał racji. Bój prowadził donikąd, ale właściwie tylko on nam pozostał. W końcu poddałem się jego woli, prawie jak zwykle.

Ja pierwszy miałem udać się do Hiszpanii, jako forpoczta, żeby zorganizować infrastrukturę. Prawdę mówiąc, byłem wdzięczny za tę misję: dzięki niej narzuciłem sobie dyscyplinę i mogłem wyrwać się z apatii. Poza tym zawsze mogłem zginąć na posterunku. Rzecz nie w tym, jakobym wtedy miał zamiar umierać, jeszcze nie, to przyszło z czasem. Tyle że w owej epoce życie bez wątplenia straciło dla mnie wszelki blask i sens. A wystawianie się na niebezpieczeństwo przywracało egzystencji odrobinę znaczenia: teraz trzeba było przeżyć do następnego dnia.

Po przejściu przez zieloną granicę przybyłem więc do Barcelony pod koniec kwietnia czterdziestego dziewiątego roku. Miałem przy sobie fantastyczne lewe papiery, które tak

naprawdę były prawdziwe. Należały do narzeczonego pewnej CNTystki, chłopaka, który zabił się, spadłszy z dachu. Sierota, bez rodziny, towarzyszący nie zabrakło przytomności umysłu, żeby pochować go w tajemnicy - dlatego dokumenty były dalej w porządku. Teraz owym chłopakiem byłem ja: nazywałem się Miguel Pelaez, z zawodu murarz, i miałem trzydzieści lat. W rzeczywistości skończyłem już trzydzieści pięć i nie potrafiłem posługiwać się kielnią, zatrzymałem się więc w pensjonacie przy Ramblas i nająłem w porcie jako doker. Oddawałem trzydzieści procent zarobków majstrowi, który mnie zatrudnił, a i tak miałem szczęście. Zgodnie z moimi dokumentami, to znaczy zgodnie z dokumentami Miguela, figurowałem jako „obojętny”. Po wojnie domowej wszyscy Hiszpanie zostali poklasyfikowani pod względem ideologicznym na „sprzyjających władzy”, „niesprzyjających” i „obojętnych”. Jak się domyślasz, „niesprzyjający” mieli pieskie życie: albo siedzieli w więzieniu, albo padali ofiarami czystek, ich majątek najczęściej ulegał konfiskacie, nie mogli znaleźć pracy. „Obojętnym” wiodło się lepiej, ale i tak nie mogli zostać nauczycielami czy profesorami, nie wolno im było pracować na stanowiskach urzędniczych ani korzystać z oficjalnej pomocy społecznej. I wcale nie było im łatwo znaleźć dobrą robotę. Dlatego byłem całkiem zadowolony, że mogę tyrać jako doker, pomimo obowiązku oddawania części pensji brygadziście.

W maju tamtego roku wiosna przyszła dosłownie w ciągu jednego dnia. Mieszkałem w pensjonacie przy Ramblas, zameldowany jako Miguel Pelaez, a oprócz tego pod fałszywym nazwiskiem wynająłem nędzną klitkę w dzielnicy fabrycznej, żeby mieć jakieś centrum operacyjne. Właśnie zdałem sobie sprawę, że powiedziałem ci o wynajęciu tej klitki pod fałszywym nazwiskiem, jakbym rzeczywiście nazywał się Pelaez. Tyle lat prowadziłem podwójne życie w podziemiu, że czasami z trudem orientuję się, jaka jest moja prawdziwa tożsamość. W owym czasie byłem Feliksem Robie we własnych wspomnieniach z dzieciństwa, „Fortuną” dla towarzyszy spiskowców, Arturo Perezem dla rzeźnika, który odnajął mi ten lokal na przedmieściu, i Miguelem Pelaezem dla wszystkich, z którymi na co dzień stykałem się w Barcelonie. A przede wszystkim dla „Srebrzystych Rączek”; dlatego jeszcze dziś odnoszę wrażenie, że to była moja autentyczna tożsamość. Bo pod tym nazwiskiem zostałem pokochany.

Ale wspominałem ci, że owej wiosny ciepło nadeszło z dnia na dzień. Była niedziela po południu, nie miałem nic do roboty. Wyszedłem z pensjonatu i ruszyłem na spacer po Ramblas. Głęboki błękit nieba przypominał emalię, powietrze pachniało kwiatami, latem i kurzem, kurzem wzniecanym przez tłumy przechadzające się w niedzielne popołudnie. Pierwsze dni wiosennego ciepła są nadzwyczajne: upajają cię, krew ci od nich buzuje tak

samo, jak buzują soki krzewów. Czujesz się jak nowy, młody, nawet dziś, na progu śmierci, miewam takie sensacje, nawet dziś miewam wrażenie, że z palców puszcza mi się listki. Szedłem więc ulicą oszołomiony tą ekspansją życia i wspominałem inne czasy, swoją młodość, kiedy wołano na mnie „Fortunita”, kiedy szedłem po Ramblas w towarzystwie moich kompanów, ludzi ze spiżu, idąc czy wracając z korridy, popatrując na dziewczęta i czując, że nogi mam zwinne i mocne, plecy proste i wolne od trosk, a całe moje ciało, ciało młodzieńca, łaknie rozkoszy, owo ciało, co płynie wzdłuż Ramblas zuchwałym krokiem toreadora, by imponować kobietom.

Wszystko to dawno minęło, ów świat przepadł na wieki, nawet na Ramblas było inaczej: teraz aleja była częścią upokorzonego, podbitego miasta. Ale wiosna wyglądała tak samo, a ciepło i niebo przyprawiły o zawrót głowy. Czyli za wszystko winę ponosi pogoda. Gdyby dzień nie był tak piękny, zachowałbym się czujniej, bardziej bym się kontrolował. Wiosna jednak odebrała mi rozum.

Traf chciał, że nogi same zaprowadziły mnie na plac Cataluña akurat w momencie, kiedy rozgrywała się tam drobna scena: jakiś mężczyzna strasznie dokuczał kobiecie. Sytuacja sama w sobie nie była wyjątkowa, w uliczkach przyległych do Ramblas alfonsi w białe dzień bili prostytutki, a w dzielnicach robotniczych niejedna kobieta witała ranek z podbitym okiem. Oczywiście w żadnym wypadku nie dotyczyło to anarchistek. No, prawie w żadnym. W naszym środowisku kobieta zajmowała miejsce szczególne.

Ale mimo że sytuacja wcale nie była dziwna, to osoby dramatu owszem. Zwłaszcza ona. Prawdziwa dama, nie wiem, jak ci to objaśnić. Miała na sobie wiśniowy kostium z wąską spódnicą i żakietem do figury. Do tego dopasowany kolorystycznie okrągły kapelusik z czarną woalką opuszczoną na twarz. W owym czasie nikt się nie ubierał w sposób tak elegancki, tak wymyślny, tak wyrafinowany. Nikt nie nosił po południu kapelusików z woalką. Wyglądała na aktorkę prosto z Hollywood. Wiem, że to banalne, ale naprawdę coś takiego przyszło mi na myśl. W ponurej, nędznej rzeczywistości hiszpańskiej lat czterdziestych tamta kobieta sprawiała wrażenie, jakby spadła z odległej planety. Tak też odbieraliśmy całą estetykę Hollywood - jako coś z Marsa. W sumie była kobietą niezmierną - jeśli chodzi o prezencję, o sposób bycia, o czerwone, pełne usta widoczne spod woalki, o gniewne błyski oczu miotane zza delikatnej siateczki materii.

Co do niego, to ze zdumieniem stwierdziłem, że go rozpoznaję. Był to młody aktor, dość wówczas popularny. Właśnie dosłownie wychodził z siebie: chwycił ją za ramiona i potrząsał nerwowo, krzycząc przy tym ochryple: „Nie możesz mi tego zrobić, nie możesz mi tego zrobić!”. Ona starała się go uspokoić, trzymając za nadgarstki, ale zaczynała już opadać

z sił. Głowa kiwała jej się jak serce oszalałego dzwonu, stopy traciły oparcie. Wtedy wkroczyłem. Nie wiem dlaczego. Nie powinienem był tego w ogóle robić. Postąpiłem wbrew wszelkim regułom. Bojownik podziemia pełniący misję nie może bawić się w błędnego rycerza. Ale chyba za mocno pachniało latem, ostrożność diabli wzięli.

Zbliżyłem się i położyłem aktorowi dłoń na ramieniu. Powiedziałem: „Człowieku, co robisz, uspokój się”, czy coś w tym rodzaju. Nie chciałem się z nim bić, o ile nie byłoby to konieczne. Ale tamten nawet nie zorientował się, że stoję obok, tak był wzburzony. Musiałem więc go walnąć i siłą odciągnąć od kobiety. Gapił się na mnie z gębą otwartą ze zdumienia, przypominał wściekłego psa, oderwanego od drugiego. „Spokojnie, po co się tak unosić, już w porządku, na pewno można to jakoś inaczej załatwić”. Ale on trwał w swoim zaślepieniu. Wycelował we mnie palec i powiedział: „Ty... ty jesteś jej kochankiem. Ja wiedziałem. Wiedziałem. Zabiję cię”. Gadał jak obłąkany. No i w końcu pobiliśmy się. Poszło łatwo, rzucił się na mnie jak ślepy byk, nie patrząc, w co wali. Chyba nie miał pojęcia o bijatyce. A ja wprost przeciwnie, byłem nieźle wyćwiczony. Wiedziałem, że walki wygrywa się pierwszym ciosem i że trzeba się starać samemu go zadać, robiąc przy tym maksymalną krzywdę przeciwnikowi, bo w najgorszym razie nie będzie następnej okazji. I że należy atakować bez furii, z zimną krwią, a zarazem bez zmiłowania. Dokładnie tak postąpiłem i aktor po drugim uderzeniu wylądował na chodniku. Ja miałem stłuczone knykcie.

Kobieta pochyliła się nad powalonym. Wskutek szamotaniny spadł jej kapelusik. Była opanowana i bardzo piękna. „Damianie, możesz tu przyjść, proszę?” - rzekła po chwili do kogoś za moimi plecami. Spojrzałem za siebie: wokół nas zebrali się gapie. Kiedy napastowano kobietę, nikt się nie zatrzymał, ale dwóch grzmocących się facetów zgromadziło spore grono. Zbliżył się Damián, starszy człowiek, którego później udało mi się poznać bliżej, woźny z teatru Barcelona znajdującego się przy placu Cataluña. „Proszę, Damianie, zaprowadź go do domu. I dopilnuj, żeby doszedł do siebie” - powiedziała kobieta, wtykając mu banknot w kieszeń. A Damián dopilnował, z pomocą paru technicznych z teatru.

„Dziękuję” - zwróciła się do mnie, podając mi dłoń i ściskając moje obolałe knykcie, jakby była graczem w pelotę. Aż jęknąłem. „Nazywam się Amalia Gayo. Może mnie pan zna. Jestem artystką. Pracuję w teatrze” - ciągnęła, wskazując ruchem podbródka gmach Barcelony. W tamtych czasach kobiety miały cieniutkie, wyskubane i pomalowane brwi, ale brwi Amalii były naturalne, bardzo czarne, dosyć szerokie i cudownie wyrysowane na szerokim czole, jak grube smugi chińskiego atramentu. Już choćby z tego powodu przykuwała uwagę, z tego powodu miała nietypowy, nieco dziki wygląd. Ondulowane włosy opadały rozpuszczone na ramiona, a szare oczy kontrastowały ze smagłą cerą.

„Muszę iść” - dodała. „Świetnie” - odrzekłem. Wybuchła śmiechem. Jak mi później powiedziała, zaintrygowała ją moja obojętność, bo przywykła do tego, że mężczyźni lgną do niej jak muchy do miodu. „To porządny chłopak, ale sam pan widzi, że trochę ma nie po kolei w głowie” - wyjaśniła zachowanie aktora. „To mija” - odparłem. „Jeszcze raz dziękuję - powtórzyła, podała mi znowu dłoń i tym razem przytrzymała ją dłużej, dodając kokieterycznie: - Mówię absolutnie szczerze, a muszę wyznać, że nieczęsto zdarza mi się dziękować mężczyznom”. „Nie miała pani chyba szczęścia do mężczyzn” - zauważyłem. Zaśmiała się ponownie: „Wprost przeciwnie, miałam aż nadto” - rzekła i oddaliła się, z wdziękiem stukając powabnie obcasami. Śledziłem ją wzrokiem. Po paru metrach odwróciła się. „Chciałby pan mnie zobaczyć?” - spytała. „Z przyjemnością zaprosiłbym panią na kawę” - odparłem. „Ale w teatrze! - zaśmiała się złośliwie, zadowolona, że dałem się nabrać. - Czy chce pan przyjść na spektakl? Zaczyna się za pół godziny”. Pewnie, że chciałem. Taka prosta rzecz: wystarczy powiedzieć „tak”, zamiast „nie”, by wywołać katastrofę i zmienić swoje życie nieodwołalnie.

Może nazwisko Amalii Gayo coś ci mówi... Znana ją też jako „Srebrzyste Rączki”. Sławna przez ładne parę sezonów, skutecznie konkurowała z Conchą Piquer. Śpiewała równie pięknie jak Piquer, a oprócz tego cudownie tańczyła. Ale jej popisowym numerem była gra na gitarze hiszpańskiej - rzecz nietypowa, bo nie było wtedy gitarzystek. Dlatego nazywano ją „Srebrzyste Rączki”. Mówiła, że jest córką Francuza i hiszpańskiej Cyganki i że nazwisko Gayo nosi po pierwszym mężu. Może to prawda, może nie, bo była kobietą zagadkową, skrytą. Nigdy nie poznałem drugiej takiej osoby, wszystko, co robiła, czym była, nabierało niezwyklej intensywności. Kiedy się śmiała, kiedy występowała, kiedy się gniewała, kiedy kochała, robiła to z taką determinacją i taką siłą, jakby to ona wynalazła śmiech, sztukę, złość, miłość. Były takie cudowne noce, kiedy czułem, że mnie kocha jak nikt przedtem: istny raj, kraina obfitości. A nazajutrz wymykała się z rąk, znów przeistaczała się w istotę nieuchwytną, tajemniczą. Przypominała płomień, parzyła i nie dawała się usidlić.

Doprowadzała mężczyzn do obłędu. Mnie też doprowadziła.

Począwszy od tamtej majowej niedzieli nastąpiło kilka miesięcy ekstazy i męczeństwa. Nastąpiło nieszczęście. Każdy mężczyzna na tej planecie poznał albo przeczuł krzywdę, jaką potrafi wyrządzić kobieta, ból, który umie zadać, przekleństwo, jakie niesie ze sobą miłość. Wcale nie mam tu na myśli braku miłości, sytuacji, w której ona kocha cię mniej, zostawia cię albo zdradza z innym. To tylko zwykłe cierpienia serca, choć ranią głęboko jak cios nożem. Nie, ja mówię tu o prawdziwym niebezpieczeństwie, jakie sieje kobieta, o samej esencji: o tym nienazwanym, co określa drugą płęć, o ciemnym, przewrotnym zwierciadle, w którym się odbijamy. Kobieta, każda kobieta, potrafi wydobyć na światło dzienne całe szaleństwo i całe

zniszczenie, które nosiłeś w sobie uśpione. Bo wszyscy przechowujemy wewnątrz własne piekło, naszą własną wersję zatracenia, osobisty plan katastrofy. No i Amalia wywołała we mnie wściekłe burze.

Nigdy przedtem nie czułem czegoś podobnego do kobiety. Mój związek z Doritą, narzeczoną, którą wojna mi odebrała, a którą, jak sądziłem, kochałem z głębi serca, teraz wydawał mi się powierzchowny, niemal dziecinny, niczym braterska czułość. Nie zamierzam się tu przechwalać, ale miałem powodzenie u kobiet, z wieloma łączyły mnie stosunki intymne. Ale wszystkie przegrywały z moimi priorytetami: anarchizmem i korridą. Amalia natomiast zawładnęła mną całkowicie. Była niczym słońce, samą obecnością rozpałała i topiła wszystko wokół. I wszystko znikało, nawet moja własna tożsamość. Chociaż teraz myślę, że Amalia dlatego tak mną ovladnęła, ponieważ całe moje dotychczasowe życie zaczynało się rozpadać. Bo skończyła się korrida, bo faszyści nas pokonali, bo anarchiści się wykruszyli. Przy niej, przy Amalii, kiedy się kochaliśmy jak para desperatów, czułem, że żyję i jestem tak odporny, jakby pamięć nagle wymazała wszystkie klęski z przeszłości. Taka miłość jest jak opium. Oferuje ci raj, ale cię zabija.

Początkowo rozkosz była silniejsza niż ból. Wkrótce jednak ból zaczął przerastać rozkosz, a na koniec - i to było najgorsze - ból stał się rozkoszą, a może jedno tak się upodobniło do drugiego. Amalia dalej spotykała się z aktorem, który ją wtedy tarosił, a mnie dopadała dzika zazdrość. Zacząłem ją śledzić, szpiegowałem ją, kryjąc się po śmierdzących bramach, wszczynałem karczemne awantury, jęczałem, płakałem, upokarzałem się, sam ją tarosiłem, błagałem o wybaczenie, śniłem, że ją zabijam. Za szybko opowiadam? Uwierz, nie jestem w stanie mówić o tym inaczej, wspomnienie tych kilku miesięcy to jedna mętna plama, to jeden długi zły sen. Porzuciłem pracę w porcie, zaniedbałem zupełnie robotę w podziemiu, nie opłaciłem pensjonatu i któregoś dnia wystawiono rzeczy na ulicę. Ale ona zabrała mnie do siebie i dała pieniądze na życie. Zawsze była hojna. Jak czuły, opiekuńczy kat.

Pewnego wieczoru, kiedy wychodziłem z domu „Srebrzystych Rączek”, żeby odebrać ją po spektaklu, natknąłem się na mojego brata. Nie wiem, jak mnie namierzył, ale czekał w bramie. Miał wściekłą minę, był zły i zawzięty. „Chyba musimy pogadać” - powiedział i chwycił mnie za ramię tak mocno, że aż zabołało. Potulnie z nim poszedłem. Nie byłem już sobą, jakbym prawie nie istniał. Później Víctor wyjaśniał mi, że przyszedł mnie zabić. Wtedy o tym nie wiedziałem, ale skutek mojej opieszałości w płaceniu za mieszkanie właściciel wtargnął do środka i znalazł ulotki i broń. Ja przepadłem bez śladu, co w połączeniu z moim zachowaniem podczas afery z Morenem wzbudziło podejrzenia, że zdradziłem. Dlatego

Víctor po mnie przyszedł, ale kiedy złapał mnie w bramie domu Amalii i poczuł, jak jestem rozgorączkowany, kiedy zobaczył, jak schudłem i zmizerniałem - zrozumiał, że jestem w fatalnym stanie. I ostatni raz stał się na powrót starszym bratem, ofiarnym i szlachetnym obrońcą. Zabrał mnie ze sobą, nie pozwolił mi nawet wziąć rzeczy z mieszkania. Zamieszkaliśmy w jakimś pensjonacie, tam się mną zajął i wysłuchał z należytą uwagą. Biedny Víctor, od lat nie byliśmy sobie tak bliscy. Od czasów dzieciństwa, od śmierci matki, od Meksyku.

W ciągu dwóch, może trzech tygodni wyleczyłem się z cierpień fizycznych, zapewne bronchitu wywołanego przez samo pragnienie śmierci, jakiego wówczas doświadczałem. Ale ból moralny nie ustąpił. Udawałem przed bratem, wmawiałem mu, że zapomniałem o „Srebrzystych Rączkach”, ale to była nieprawda. Jej brak palił mi wewnątrz jak ogień. Na nowo zaangażowałem się w działalność podziemną, przykładnie zabrałem się do odbudowania struktur Solidarnych, częściowo chcąc zmyć moją winę wobec towarzyszy, częściowo zaś usiłując poprzez walkę zagłuszyć w sobie obsesyjnie powracające wspomnienie tej kobiety. Pożądanie jednak nie zniknęło, kłuło i dręczyło coraz bardziej.

Tymczasem sytuacja polityczna stopniowo się pogarszała. Podczas poprzednich paru tygodni w Barcelonie doszło do kilku eksplozji. Były to bomby domowej roboty, dzieło jakiegoś amatora. CNTyści, zaalarmowani eskalacją aktów terrorystycznych, z którymi sami nie mieli nic wspólnego, a które tak czy inaczej ich obciążały, posłali do Francji dramatyczne prośby o wyjaśnienie: wiedzą, że w Barcelonie działa jakaś grupka, która zamierza odtworzyć Solidarnych, i chcą się upewnić, czy to my jesteśmy odpowiedzialni za wybuchy. Zwierzchnicy z Francji skontaktowali się z nami i przekazali wiadomość o zaniepokojeniu naszych towarzyszy. Ale my też nie podłożyliśmy tych bomb, więc stawało się wysoce prawdopodobne, że to numer wykrecony przez hiszpańską policję, mający skompromitować anarchistów. Postanowiliśmy wobec tego porzucić izolację i spotkać się z José Sabaterem, znanym przywódcą CNT, żeby wypracować wspólną strategię. W końcu ustalono, że zebranie odbędzie się w mieszkaniu wynajmowanym przez związek. Był listopad czterdziestego dziewiątego roku. Serce mi się kraje, gdy o tym opowiadam.

Spotkanie wyznaczono na siódmą wieczorem, rano zaś Víctor polecił mi odbyć zwyczajową rundkę. W życiu bojowników podziemia funkcjonuje pewien podstawowy mechanizm bezpieczeństwa, który polega na okresowym sprawdzaniu, czy u każdego z towarzyszy wszystko w porządku, czy nikt nie wpadł. Jak podejrzewam, późniejsi działacze antyfrankistowscy dokonywali tych kontroli, telefonując o określonych porach i z ustaloną liczbą dzwonek. Ale w czterdziestym dziewiątym roku telefonów było jeszcze mało,

dlatego na obchody udawano się osobiście. Umawiano serię spotkań, trzeba było pójść i zameldować, że wszystko gra, że organizacja pozostaje wciąż nietknięta i nie jest inwigilowana - co było sprawą największej wagi, zwłaszcza tuż przed ważnymi zebraniem.

Miałem się skontaktować z trzema towarzyszami. Z dwoma pierwszymi nie było w ogóle problemu: spotkaliśmy się na rogach ulic o określonych godzinach. Szedłem właśnie na trzecie spotkanie, kiedy dopadła mnie przeszłość. Oczywiście miałem pecha - musiałem pojechać autobusem, którego przystanek był akurat na placu Cataluña. Jasne, mogłem obejść to miejsce lukiem, mogłem przejść się do następnego przystanku, żeby ominąć plac, jak to czyniłem w ciągu ostatnich tygodni. Ale nie zrobiłem tak. Usprawiedliwiłem się tym, że mi się spieszy. Że już dużo czasu upłynęło. Że nie mogę uciekać przed samym sobą. Każdy potrafi wynaleźć setki tłumaczeń dla usprawiedliwienia własnych błędów i słabości. Początkowo chyba chciałem tylko jeszcze raz ujrzeć śliczną twarz „Srebrzystych Rączek” spoglądającą z afisza na froncie teatru, jej nieudolnie namalowane oblicze w monstrualnej skali, mierzące trzy metry od podbródka po czoło. I przeczytać jej imię wypisane wielkimi literami. Kiedy rozpaczliwa miłość przystępuje do ataku, kiedy trudno znieść smutek i tęsknotę, oglądanie lub wymawianie imienia ukochanej przywraca odrobinę spokoju. To samo dzieje się z alkoholem, gdy na gwałt potrzebuje kielicha, a nie ma nic do picia - chciwie pieści wówczas pustą butelkę, żeby choć tak ulżyć cierpieniom.

No i wkroczyłem na chwiejnych nogach na plac Cataluña, a wtedy zdarzyło się najgorsze, co mogło mnie spotkać: twarzy Amalii Gayo już tam nie było. Afisze teatralne zostały zmienione, teraz zapowiadały jakąś komedię. Podeszedłem do kasy, żeby się dowiedzieć: rewii, w której „Srebrzyste Rączki” grała główną rolę, nie ma już w repertuarze. Tak, Amalia Gayo już tu nie pracuje. Nie, nie mają pojęcia, gdzie przebywa.

Poczułem, jak świat mi się zaciera. Mam na myśli czysto fizyczne wrażenie, proste postrzeganie nicości. Przestałem słyszeć odgłosy ulicy, poczułem, że płynę pośród szarej masy bezkształtnych brył. Amalii nie ma. Znikła. Nigdy jej nie zobaczę. Utraciłem ją na zawsze.

Dla narkomana, a tego typu miłość jest jak narkotyk, słowa „na zawsze” nie mają wymiaru czasowego, to znaczy nie rozpościera się przed tobą pozioma płaszczyzna będąca ciągiem dni, miesięcy i lat, te słowa dają efekt natychmiastowy o charakterze pionowym, jakby pod stopami otworzyła się otchłań. I żeby ją czymś zapęłnić, robisz, co się da. Żeby złagodzić nieznośny ból upadku. Ja udałem się do domu Amalii. Nie wiem, jak to zrobiłem, nie przypominam sobie drogi, jaką trzeba było pokonać z teatru do jej domu. Widzę tylko siebie, jak stoję przed pomalowanymi na brązowo drzwiami i wściekle naciskam na dzwonek,

przekonany, że to na próżno, że już jej nie ma. Ale wtedy mi otworzono. Ona. Włosy miała potargane, twarz pobladła, oczy podkrążone z sinymi otoczkami. Stała boso, w jedwabnym chińskim szlafroku. Pamiętam, że dłuższą chwilę spoglądaliśmy na siebie bez słowa, a potem ona rozwiązała kimono. Jestem z innego pokolenia, nie lubię opowiadać o tych intymnych sprawach, wach. Ale mogę cię zapewnić, że w jej ramionach znów wyparłem się swego imienia. Nie poszedłem na trzecie spotkanie, jak również na zebranie CNTystów tego samego wieczoru. Prawdę mówiąc, nie tyle zapomniałem, ile raczej złożyłem ofiarę, mój prywatny dar dla Amalii, dar z mojego życia, mojej godności, mojego rozumu. Miłość tego typu wymaga ofiar.

Nazajutrz rano, w nieubląganym świetle dnia, gdy ciało ogarnęło znużenie, a pragnienie zostało już zaspokojone, z wolna poczęło dławić mnie ogromne poczucie winy. Wiedziałem, że Víctor na pewno się niepokoi, że martwią się, czy policja mnie nie zatrzymała, że moja nieobecność prawdopodobnie zmusiła ich do odwołania zebrania. Tak się zawstydzilem swoim zachowaniem, że postanowiłem podjąć nieodwołalne kroki.

Z wysiłkiem i bólem zdecydowałem, że pójdę do pensjonatu i stawię czoło gniewowi brata. Wyłgałem się jakoś Amalii, która wciąż uważała mnie za Miguela Pelaeza, nie mając pojęcia o mojej działalności w podziemiu, i udałem się w stronę pensjonatu. Miałem zamiar wytłumaczyć się przed Victorem, zrezygnować na zawsze z walki i powrócić do „Srebrzystych Rączek”. Żeby darzyć ją miłością i nienawiścią, żeby żyć i umrzeć. Nie wiedziałem, co mnie czeka w przyszłości u boku Amalii, ale wiedziałem, że żyć bez niej nie mogę.

Na swoje nieszczęście zawsze już będę pamiętał tamten ranek i tamtą scenę. Kiedy wszedłem w bramę domu, w którym na czwartym piętrze wynajmowaliśmy mieszkanie, siostrzenica dozorczy myła właśnie schody. Jak tylko mnie zobaczyła, zerwała się ze śmiechem i prędko wytarła swoje czerwone i popękane dłonie w fartuch. „Mościewy, kuzyn Raimundo, a miałeś przyjechać w następną niedzielę!” - powiedziała z grubsza coś takiego, zarzuciła mi ręce na szyję i ucałowała w obydwie policzki. „Ale ty dobrze wyglądasz! A co u cioci Domitili?” - ciągnęła. „W porządku” - odrzekłem czujnie. „Wujo jest w winiarni. Chcesz, zaprowadzę cię” - powiedziała dziewczyna, wzięła mnie pod ramię i wyprowadziła z bramy. Była to mocarna i brzydka baba, miała ze dwadzieścia pięć lat. Przeszliśmy przez ulicę i dotarliśmy do rogu, rozmawiając z ożywieniem o jakichś nedorzecznych sprawach. Dopiero za budynkiem dziewczyna się zatrzymała. „Nie wiem, kim jesteście, i nie chcę wiedzieć - odezwała się, nagle poważniejąc - ale policja czeka na ciebie na górze”. „Policja? - zaniepokoiłem się. - A mój brat?”. „To ty nic nie wiesz?” - odparła. Wyciągnęła ze stanika

wycinek z gazety i wcisnęła mi w dłoń. „Nie wracaj tu. A jak cię złapią, tośmy się nie widzieli” - rzekła, ruszając biegiem z powrotem. „Dlaczego to robisz?” - spytałem. Wzruszyła ramionami: „Mój ojciec należał do Partii. Ale go zabili”. Teraz widzisz, jak świat się toczy: ja, anarchista i syn anarchisty, zawdzięczam życie komuniście.

No, pewnie możesz sobie wyobrazić, co było w wycinku. Że doszło do strzelaniny między policjantami a dwudziestoma „przestępcami”, jak reżim nas zawsze określał. Że zginął jeden policjant i sześciu rewolwerowców, wśród nich José Sabater, przywódca CNTystów, a także mój brat.

Z czasem dotarło do mnie, co zaszło. Jeden z towarzyszy został aresztowany i na torturach wyznał, gdzie ma się odbyć zebranie. Nieszczęśnik nazywał się Germinal, był to chłopak, który towarzyszył mi podczas kolacji z Durrutim przed wojną. Właśnie jego miałem sprawdzić przy okazji trzeciego spotkania, na które się nie stawilem. Gdybym tam poszedł, zorientowałbym się, że go brakuje, i zaalarmowałbym pozostałych. Ale tego nie uczyniłem, oni poszli na zebranie, niczego nie podejrzewając, i wpadli w zasadzkę.

Dwie myśli prześladują mnie szczególnie. Po pierwsze: dlaczego mój brat nie zwietrzył katastrofy, kiedy nie wróciłem? Dlaczego sam nie odwołał zebrania z Sabaterem, skoro nie dopełniłem obowiązku? Przychodzi mi na myśl jedna odpowiedź: że Víctor przeczuł prawdę, to znaczy, że wróciłem do Amalii, i że chciał mnie kryć, dać mi jeszcze jedną szansę, miał nadzieję, że na zebranie mimo wszystko wrócę. Bo musisz wiedzieć, że w ciągu ostatnich paru tygodni znów byliśmy sobie bardzo bliscy.

Jego braterska wielkoduszność, owo spóźnione zaufanie do mnie napelnia mnie jeszcze większym bólem, gdy wyobrażam sobie, co nastąpiło w tamtym mieszkaniu. Najgorzej to mieć pewność, że kiedy policja wkroczyła do akcji, na miejscu brakowało jedynie nas dwóch: Germinala i mnie. Ktoś ich zdradził, ktoś ich wydał, a mógł to być tylko jeden z nas, a może obydwaj. Jestem ateistą i uważam, że po tym życiu nie czeka nas już następne. To znaczy, że Víctor umarł na zawsze, zginął, mając mnie za zdrajcę. Nie ma jak tego naprawić, nie ma sposobu, żeby to wyprostować. Ta myśl nie dawała mi spać przez wiele lat. Jeszcze dzisiaj miewam nocne koszmary.

I tak po prawdzie to byłem zdrajcą. Winę za tamtą masakrę ponoszę ja, a nie biedak Germinal, który załamał się na mękach. Kiedy ci, co przeżyli strzelaninę, zetknęli się z Germinalem w więzieniu, doszli do absolutnego przekonania, że jestem konfidentem policji: przecież ciągle mnie nie było. Nie zrobiłem niczego, żeby wyprowadzić ich z błędu. Chciałem, żeby mnie znieawidzili. Chciałem, żeby uznali mnie za coś gorszego od szczura. Chciałem się upokorzyć, ukarać, wyrządzić sobie samemu taką krzywdę, żeby móc

zapomnieć o bólu.

Piekiło istnieje. Trafiłem tam. Piekiłem są te wszystkie lata, które spędziłem, wałęsając się po świecie, by uciec przed wspomnieniami. To nieopisana samotność, otepienie, agonia. Naturalnie nie poszedłem więcej do Amalii, nie zniósłbym jej obecności. Prosto z Barcelony udałem się w kierunku granicy, pieszo przekroczyłem Pireneje. Miałem przy sobie papiery Miguela Pelaeza, które przez niebywałą zbieg okoliczności wciąż pozostawały czyste, bo mieszkanie było wynajęte na mojego brata, a towarzysze znali mnie jako „Fortunę”. W Paryżu zdobyłem paszport i popłynąłem do Ameryki Łacińskiej. Błąkałem się tam jak nieprzytomny. Niewiele pamiętam, bo prawie cały czas chodziłem pijany. Początkowo pracowałem jako zbir i ochroniarz dla takich samych oligarchów i kacyków jak ci, przeciwko którym trzydzieści lat wcześniej walczyłem u boku Durrutiego. Ale wkrótce tak się zeszmaciłem, że nawet oni nie chcieli mnie już zatrudniać. Gardzili mną wzgardzeni kacykowie. Trzydzieści lat wcześniej, jako młodzik, czułem się pośród nich jak księżę. Księżę Czcigodnego Królestwa Ubogich, forpoczta zbliżającej się nieuchronnie Rewolucji.

I wreszcie, dziwna rzecz, pewnego dnia piekiło się skończyło. Zdarzyło się to w Meksyku i miało dość ciekawy przebieg. Noc spędziłem w przytułku prowadzonym przez jakieś mniszki, rano umyłem się cały przy fontannie na dziedzińcu. Potem usiadłem na zewnątrz na kamiennej ławce i zastanawiałem się, gdzie tu zdobyć pieniądze na alkohol. Chyba już piętnaście godzin, jak nie piłem. I wtedy siadł koło mnie jakiś starszy pan. Ledwie otworzył usta, poznałem, skąd pochodzi: był „galancikiem”, czyli Hiszpanem, a do Meksyku przyjechał spotkać się z córką mniszki. On też mnie poznał po akcencie i zaczął wypytywać: „Od dawna jestem w tym kraju? Czy przebywam tu ze względów politycznych? I zaraz zapewnił, że mogę z nim rozmawiać otwarcie, bo wprawdzie ma córkę w zakonie i nigdy nie działał w żadnym ugrupowaniu, ale zawsze uważał się za republikanina i liberała.

Najdziwniejsze, że paplanina tego gościa wcale mi nie przeszkadzała. Przeciwnie. Siedziałem, grzejąc się na ławeczce w promieniach słońca, wymyty, włosy jeszcze miałem mokre, a ten pan traktował mnie z całym szacunkiem, byłem trzeźwy i wcale z tego powodu nie chciało mi się wyc, jak po tylekroć dotąd. Wówczas zapytał mnie, czym się zajmuję. Zacisnąłem dłonie, żeby nie widział, jak mi się trzęsą, i odrzekłem: „Jestem toreadorem”. „Toreadorem! - rozpromienił się tamten Hiszpan. - Jestem wielbicielem korridy. Może pana kiedyś widziałem?” „Nie wiem. Byłem. Jestem Félix Robie, Fortunita” - odpowiedziałem. Tak, widział mnie, pamiętał mnie! Zaczęliśmy rozprawiać o bykach, o znakomitych manewrach, o moich własnych dokonaniach. „Dlaczego pan nie wraca do Hiszpanii?

- spytał mnie w końcu. - Nie ma co czekać, aż Franco odejdzie, zdaje się, że

generalissimus jeszcze troszkę porządzi. Poza tym sytuacja się zmienia, wielu emigrantów wraca”. Słuchałem jego słów, a w myślach powtarzałem: „Jestem Félix Robie, jestem Fortunita, jestem Félix Robie”. Jak gdyby mnie pochowali żywcem na czas nieokreślony, a teraz właśnie wystawiam głowę. Jak gdybym wyszedł z mroku w światło. I wreszcie zdałem sobie sprawę z daty: był listopad tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku, od śmierci mojego brata minęło dziesięć lat. Dziesięć lat piekła - pomyślałem - to wystarczy.

Od tamtej pory nie wypilem ani kropli alkoholu. Znalazłem pracę, zarobiłem tyle, żeby mieć za co wrócić, i wyjechałem. Władze nie robiły mi trudności: nigdy nie byłem aresztowany, moje prawdziwe nazwisko było względnie czyste. Owszem, jako brat i syn anarchistów byłem podejrzany o działalność w przeszłości, ale pamiętano mi także mój udział w obronie więzienia w Bilbao, co, jak się okazało, miało znaczenie decydujące. Wróciłem do Hiszpanii w sześćdziesiątym roku. Miałem czterdzieści sześć lat i - masz pojęcie? - kompletnie siwe włosy. Tak samo siwe jak dzisiaj.

Nie trafiłem źle. Moi dawni znajomi z korridy załatwili mi robotę w górach pod Madrytem, przy rozwożeniu napojów po wsiach. Parę miesięcy później żandarmeria, w wyniku strzelaniny w Geronie, zabiła innego Sabatera, tego słynniejszego: Quico Sabatera, ostatniego partyzanta CNT. Wraz z nim przeminął klasyczny anarchizm.

Kilka dni po tym, jak dotarły do mnie owe wieści, pojechałem ciężarówką do miejscowości Somosierra. Akurat mieli jakieś lokalne święto, więc zostałem. Wieś nie posiadała jeszcze asfaltowanej drogi, a światło elektryczne było tylko na ulicach, w domach nie. Na dużym placu ustawiono estradę, orkiestra przygrywała paso doble. Był sierpień, ale nocą zerwał się chłodny i przenikliwy wiatr, od którego różowiały policzki dziewczętom, a one owijały się szczelnie swoimi sweterkami z perelki. Na przewodach dyndały mętne żaróweczki, przystrojone łańcuchami z papieru. Dzieci ganiały się po placu, dziewczyny i chłopcy popatrywali na siebie roziskrzonymi oczami, małżeństwa przechadzały się w rytm muzyki, wzbijając chmury pyłu. Było to bardzo ubogie i smutne święto i może uznasz to za absurd, ale pamiętam, że patrzyłem na całą scenę i myślałem: „To właśnie jest szczęście”. Prawie łzy mi z oczu pociekły. I w tym momencie, tak banalnie i po prostu, żeby tylko się nie rozbeczeć, wziąłem do tańca pierwszą z brzegu dziewczynę. Tą dziewczyną była Margarita, która została moją żoną.

Kochaliśmy się bardzo. Uczuciem łagodnym i pełnym zaufania. Spędziliśmy razem trzydzieści lat, aż wreszcie zdradziła mnie, bo zmarła wcześniej niż ja, mimo że była młodsza. Ależ ludzie są nienormalni: zadręczałem cię własną gadatliwością przez wiele, wiele godzin, żeby opowiedzieć ci kawałek swojego życia, a tu załatwiam trzydzieści lat w dwóch zdaniach.

Zawsze mnie intrygowała ta wspólna nam wszystkim dysproporcja w rachubie czasu. Czytam wiele biografii, to znaczy czytałem, kiedy miałem lepszy wzrok, zanim operowali mi katarakty, bo teraz oczy mi się męczą. I we wszystkich biografjach jest to samo: całe strony autorzy poświęcają na lata młodości, a przez wiek dojrzały przelatują z ogromnym pośpiechem, jakby nie było już co opowiadać, jakby życie traciło esencję. Albo jakby czas nabrał piekielnego, zawrotnego tempa. To ostatnie to najczystsza prawda: im jesteś starsza, tym czas biegnie szybciej. I nie sądzę, by ta różnica w prędkości wynikała ze złudzenia, z subiektywnego postrzegania, bo jest to fizyczna rzeczywistość. Percepcja czasu u motyla, który żyje czterdzieści osiem godzin, z konieczności musi być inna niż u krokodyla, który dożywa stu dwudziestu lat. W dzieciństwie zegar biologiczny ludzi jest bardziej precyzyjny, chodzi wolniej, w wieku dojrzałym wszystkie twoje komórki pędzą na spotkanie końca. Pomyśl: skoro opowiedziałem ci o trzydziestu latach z Margaritą w dwóch zdaniach, to obecna chwila mojego życia nie zasługuje nawet na jedno słowo, choćby na jedną literę, bo zmieści się w jednym westchnieniu, które wkrótce przeistoczy się w śmiertelne rżenie.

1 Paso dobre - taniec hiszpański na 2/4.

Powiem ci coś, co cię zdziwi: pierwszy raz opowiedziałem komuś całe swoje życie. Pierwszy raz niczego nie ukrywam, nie udaję. Margarita nigdy nie dowiedziała się o mojej poprzedniej egzystencji, o mojej działalności anarchistycznej, o podziemiu i napadach. Kiedy się poznaliśmy, wymyśliłem na jej użytek alternatywną przeszłość: byłem, owszem, toreadorem, a potem wprawdzie nie należałem do żadnego ugrupowania, ale pozostawałem zwolennikiem republiki, dlatego musiałem po wojnie udać się na emigrację. Tak też wyglądała moja oficjalna biografia w archiwach policyjnych, ja zaś nie chciałem narażać Margarity. Frankizm miał się dobrze, a dyktatury takie są: wypełniają życie tajemnicami. Mój przypadek nie był odosobniony, tysiące rodzin tak skrzętnie wymazało swoją przeszłość, że po nastaniu demokracji wiele dorosłych dzieci ze zdumieniem stwierdzało, że na przykład ojciec spędził po wojnie cztery lata w więzieniu albo że dziadek zmarł nie w łóżku, a został rozstrzelany. Ale ja za demokracji dalej milczałem. Bo chciałem zapomnieć. Dalej trwałem w kłamstwie. A jednak Margarita była tą osobą, która poznała mnie najlepiej. Mimo mojego udawania, mimo obłudy, wiedziała o mnie. Tożsamość to dziwna rzecz, niemal tak dziwna jak pożądanie, jak pamięć, jak miłość. Wiesz, jak najżywiej zapamiętałem Margaritę, co mnie najbardziej rozczuła na myśl o niej? Chwile, kiedy się na mnie gniewała. Była kobietą uporządkowaną i metodyczną i z równowagi wyprowadzały ją moje, jak to nazywała, sztuczki, kiedy w ostatniej chwili zmieniałem plany albo pozwalałem sobie na jakąś ekstrawagancję. Wtedy przekrzywiała głowę jak wiewiórka, patrzyła z ukosa, zaciskając ze

złości usta i ze dwa, trzy razy głośno parskała, a ja wiedziałem, że czeka nas parę cichych godzin. Dziś oddałbym wszystkie dni, jakie mi jeszcze zostały (choć to bardzo skromny skarb), byleby Margarita mogła być tu znowu, patrzeć z ukosa, złościć się i parskać.

Rzecz w tym, że Félix Roble nie umarł. To znaczy wtedy nie umarł. Bo, jak się dobrze przyjrzeć, wszyscy cały czas umieramy, wszyscy z nerwowym tupotem przebiegamy krótki dystans dzielący początkową czerń sprzed narodzin od końcowej czerni po śmierci. Prawda, niektórzy, na przykład starzy lub chorzy, umierają nieco szybciej niż inni, ale to i tak tylko kwestia czasu i odrobiny cierpliwości. Czyli Félix Roble jeszcze nie umarł, wylizał się z zapalenia płuc i wyszedł ze szpitala rzeński jak osiemdziesięcioletni wróbelek.

Nasze poszukiwania z kolei od paru tygodni tkwiły w martwym punkcie. Od czasu spotkania z Li Ciao nie mieliśmy żadnych wiadomości. Inspektor García co jakiś czas dzwonił albo nas odwiedzał, by po swojemu, lakonicznie, poinformować, że nic nowego. Początkowo tak się martwiłam o zdrowie Feliksa i tak zaangażowałam emocjonalnie w burzliwy związek z Adrianem, że jakoś nie dręczył mnie zastój w śledztwie: tamte dwie sprawy to i tak dużo na moją głowę. Ale z biegiem dni mój niepokój znów zaczął narastać. Wreszcie postanowiliśmy zejść do automatu i jeszcze raz zadzwonić do Manuela Blanco, niewydarzonego kilerka ekonomicznego.

- Tak, tak, tak, tak - powiedział szybko głos po drugiej stronie, gdy tylko się przedstawiłam. - Tak, proszę pani, tak. Sprawa naszych dyni rozwija się pomyślnie.

- Że co?

- Rozumie pani, co? Partia dyni, która panią zainteresowała. No, interesowała się pani czymś, prawda? Dyniami. No więc, największy handlarz dyniami w Hiszpanii jest gotów umówić się z panią. No, powiedzmy to tak, dobra? Rozumie pani - powtórzył tak znaczącym tonem i z tak czytelnym drugim dnem, że nie miałam oczywiście żadnych wątpliwości, że mówi szyfrem, podobnie jak nie mogli ich mieć wszyscy, którzy w tym momencie podsłuchiwali jego telefon. - Ktoś się z panią skontaktuje w najbliższych dniach, dowie się pani, gdzie i kiedy.

Po tej rozmowie odniosłam wrażenie, że wszystko znów rusza z miejsca. Nazajutrz wychodziłam z domu sama, chyba po zakupy do supermarketu, kiedy zbliżyła się do mnie niewielka postać w żółtym nieprzemakalnym płaszczku z kapturem - było deszczowe nieprzyjemne popołudnie. Żółty Kapturek spojrzała mi w oczy (byłyśmy tego samego wzrostu) i szepnęła:

- Ty pójdziesz jutro w południe do palku Juana Callosa Pielwsiego, oglódek alabáski.

Młoda, ładna Chinka, może ta sama, którą spotkaliśmy w restauracji przy pasażu

Cuesta del Rio.

- Co? - krzyknęłam, bardziej zaskoczona niż zdezorientowana niezrozumiałą informacją.

- Ty pójdziesz jutro rano do oglódek alabáski, park Juana Callosa Pielwskiego. O dwunastej - powtórzyła zakapturzona kurierka z niezbyt wschodnim zniecierpliwieniem.

- Po co?

- To informacja od cígodny Li Ciao. Cígodny Li Ciao mówi ty potsebiejes iść jutro park Juana Callosa Pielwskiego. Oglódek alabáski. Ty siedzieć oglódek i ciekać, duzi, duzi cias.

- Jak to czekać dużo czasu? Czekać, ale na co? Na kogo? Przyjdzie Li Ciao?

Chinka z niechęcią zmarszczyła czoło.

- Ty siedzieć oglódek i ciekać duzi cias. Siedzieć ławka koło celozje. Nie wstawać. Nie lobić ziaden hałas. Uklywać się. I ciekać duzi cias. To wsińtko. Dotalło?

Owszem, dotarło. Żółta figurka obróciła się na pięcie i zwinnie wtopiła w tłum przechodniów, a ja weszłam na górę, żeby przekazać Adrianowi i Feliksowi dziwną wiadomość. Po dłuższej dyskusji ustaliliśmy, że dziadek nie pójdzie. W parku było zimno, Félix nadal dochodził do zdrowia, poza tym Li Ciao znał tylko mnie i Adriana, może by mu się nie spodobało, gdyby liczba rozmówców nagle wzrosła. O ile to oczywiście przyjdzie Li Ciao.

W nocy spadła rzęsisista ulewa i następnego ranka świat wyglądał wyjątkowo mokro i posepnie. Nigdy przedtem nie odwiedziłam parku imienia Juana Carlosa I i miałam wątpliwości, czy był to najwłaściwszy dzień, by się z nim zapoznać. Przybytek, utworzony niedawno, okazał się pustym, ogromnym wygwizdowem, wypełnionym tu i ówdzie świeżo posadzonymi rachitycznymi drzewkami i pretensjonalnymi rzeźbami w stylu farańsko-postmodernistycznym. A fakt, że pod nogami mieliśmy błotnistą breję, a nad głowami ponure sklepienie koloru ołowiu, wcale nie poprawiało nastroju. Oprócz kilkorga młodych ludzi, którzy puszczała latawce przy wejściu, w całym wielkim parku nie było nikogo. Zapuściliśmy się w głąb z duszami na ramieniu.

Ogródek arabski znajdował się prawie na samym końcu parku, a był to, rzecz jasna, wyludniony plac z sadzawkami, z altanką otoczoną celozjami i paroma ławeczkami pod daszkiem. Doszliśmy na miejsce za dziesięć dwunasta, usiedliśmy na ławce i przystąpiliśmy do oczekiwania. Kwadrans po dwunastej nie czułam już stóp. O wpół do pierwszej zdrętwiały mi kolana. Za piętnaście pierwsza bałam się, że na skutek szczęknięcia zębami nos mi odpadnie, niczym sople. Co mógł mieć na myśli Li Ciao, mówiąc „dużo czasu”? I na kogo, do licha, czekaliśmy?

- Chyba ktoś idzie - szepnął Adrián.

Chciałam wstać, ale Adrián pociągnął mnie z powrotem w dół.

- Nie pamiętasz instrukcji? Chyba nie chce, żeby nas widziano.

Racja. Altanka otoczona krzewami, na dodatek w zagłębieniu terenu, istotnie stanowiła dobrą kryjówkę. Gdy się patrzyło ze środka, zza celozji, miało się niezły widok na okolice, zwłaszcza na sąsiadujący z nami tak zwany ogródek hebrajski, czyli gołą, otwartą przestrzeń. Na wzniesieniu ogródka hebrajskiego rzeczywiście ukazał się jakiś mężczyzna. Rozejrzał się i stanął pośrodku pagórka. Znajdował się jakieś trzysta metrów od nas.

- Zdaje się, że to... - mruknął Adrián prosto w moje ucho i westchnął cicho.

- Tak, to on - jęknęłam.

Był to Pan Ładny, który napadł na nas po wyjściu z El Cielo Feliz, ten zbir, co obciął ucho Suce-Foce. Nie było najmniejszych wątpliwości, jego ruda czupryna wyraźnie odcinała się od ciemnego widnokręgu. Nie wiem, czy ktokolwiek z was musiał kiedyś trwać w bezruchu, żeby ujść z życiem. Jeśli tak, to wiecie, że zapada wtedy absolutna cisza, że ciało tężeje wam na marmur, że krew przestaje krążyć w żyłach, że nawet serce przerywa swoją pulsację, jakby się było fakirem. To właśnie przytrafiło się nam, gdy zziębnięci, skamieniali i zeszywniali ze strachu obserwowaliśmy rudzielca z naszej altanki.

Za to Pan Ładny wcale nie zachowywał się spokojnie, przytupywał z zimna i wypuszczał wściekle kłęby pary z nozdrzy. Najwidoczniej czekał na kogoś. W końcu ujrzeliśmy, jak wypręża się i z wyraźną uwagą i czujnością opuszcza dłonie po obu stronach ciała. Na ścieżce ukazała się kolejna postać: facet otulony w ciemnoniebieski płaszcz i dziwnie znajomy. Podeszedł do zbira i skinął mu głową. Następnie zwrócił się do nas profilem. W szarym świetle ujrzeliśmy zarys jego twarzy. Był to José García, inspektor policji.

Miejsce spotkania nie zostało źle wybrane. Stojąc na ogołoconym i wzniesionym terenie ogródka hebrajskiego, mogli kontrolować otoczenie w promieniu paruset metrów. My znajdowaliśmy się tak daleko, że oczywiście nie słyszeliśmy treści ich rozmowy. Widzieliśmy tylko, że chwilę pogadali, pokiwali głowami, coś między sobą wymienili. Ich spotkanie potrwało może z pięć minut, po czym każdy odmaszerował w przeciwnym kierunku.

- No to niezły mamy pasztet - orzekł Adrián posępnym głosem.

To prawda, bardzo niezły. Odczekaliśmy w ogródku jeszcze pół godziny, żeby nie natknąć się na któregoś z nich, po czym wróciliśmy do domu. Najpierw udaliśmy się do Feliksa i przez pięć minut dzwoniłszy do jego mieszkania, ale on nie otwierał. Zaczęłam się niepokoić.

- Coś takiego.

- Może jest u ciebie. Albo wyłączył aparat i nas nie słyszy - powiedział Adrián.

Wtedy spróbowałam otworzyć drzwi do mnie, ale i to mi się nie udało. Tak jakby klucz tkwił w zamku od wewnątrz. To potwierdzałoby tezę, że dziadzio siedzi w środku, ale właściwie było to mało prawdopodobne. Poza tym tu też nikt nie odpowiadał na nasze dzwonki.

- I co robimy?

Od czasu spotkania z rudym po wyjściu z chińskiej restauracji ufortyfikowałam swoje mieszkanie, jakby to była siedziba CIA. Wstawiłam drzwi pancerne, trzy zamki antywłamaniowe nie do pokonania i alarm w futrynie, połączony bezpośrednio z centralą firmy ubezpieczeniowej. Prywatnej firmy, jak pomyślałam z ulgą, świadoma, że policji nie mogę ufać. W każdym razie moje mieszkanie było teraz jak niezwyciężona forteca (tak twierdzili specjaliści), więc zaczęłam się zastanawiać, czy żeby wejść do domu, będę musiała wyrąbać dziurę w ścianie.

- Spróbuj jeszcze dzwonkiem - podsunął Adrian.

Próbowałam, aż w końcu przepalił się bezpiecznik i zapadła cisza. Poza tym kopaliśmy w drzwi, poszliśmy na górę do Adriana, żeby zadzwonić do mnie (odzywała się tylko sekretarka - posłuszny automat), wyliśmy „Félix!” przez dziurkę od klucza, w nadziei, że może w ten sposób dźwięk przedrze się przez pancerz. Oczami wyobraźni widziałam już sceny dantejskie, przedpokój ze smugami krwi na ścianach, okna trzaskające jak w koszmarach sennych, ciała wykręcone konwulsjami.

- Coś mu się musiało przydarzyć, to nienormalne, coś się stało.

- No, ale policji zawiadamiać nie możemy - rzekł Adrian.

- Nie, policji nie. A może zadzwonimy po straż pożarną?

Już pół godziny walczyliśmy z drzwiami, kiedy nagle szcęknął zamek i wejście do mieszkania cicho stanęło otworem. Po drugiej stronie ukazał się Félix z ogłupiałą miną.

- O, jesteście tu?

- Jak to, jesteśmy? Dobijamy się od pół godziny!

- Co? Poczekajcie, włączę sobie to cholerstwo - powiedział Félix, nieporadnie nastawiając aparat. - Przepraszam, droga młodzieży, ale zdrzemnąłem się na sofie.

- Co tak śmierdzi?

Mieszkanie zalatywało środkiem owadobójczym.

- To? A, byli tu z wydziału dezynsekcji urzędu dzielnicowego.

- Kto? Skąd?

- No, przyszło dwóch z urzędu dzielnicowego, żeby rozpylić środek. Jest inwazja

karaluchów, wszędzie rozpylają. Najpierw przyszli do mnie, potem pytali, czy dozorca ma klucze od tego mieszkania. A że ja mam klucze, no to im otworzyłem.

- I wpuściłeś ich? - wystraszyłam się.

Félix patrzył na nas nieprzytomnie. Félix, przebiegły Félix, Félix weteran walk w podziemiu, sprawiał teraz wrażenie bezradnego staruszka, którego byle łotr może wystrychnąć na dudka. Od czasu pobytu w szpitalu mój sąsiad stetryczał w stopniu chyba nieodwracalnym; jego mózg chwilami pracował bardzo opieszale i z oporami.

- Na Boga, Félix, coś ty narobił? Przynajmniej kazałeś im się wylegitymować?

Félix z zakłopotaniem przesunął okaleczoną dłońią po twarzy.

- Tak, to prawda. Masz rację. Nie wiem, dlaczego ich wpuściłem. Idiotyzm. Nie wiem. Boli mnie głowa. Jest mi trochę niedobrze.

Posadziliśmy go na sofie.

- No, stało się, nie myśl już o tym - pocieszałam go, zawstydzona własnym wybuchem. - Zresztą wszystko jedno, mogli mieć fałszywe papiery. A poza tym to naprawdę mogli być ludzie z urzędu.

Ale w środku rosły we mnie niepokojące podejrzenia: a jeśli założyli nam mikrofony, a jeśli podłożyli bombę, a jeśli... Poczułam mróz na karku.

- Gdzie sunia? - spytałam zdławionym głosem.

- Sunia? - powtórzył tępo Félix. - A, tak. Ukaralem ją. Przewróciła kubek ze śmieciami i za karę zamknąłem ją w kuchni.

Poleciałam do kuchni i otworzyłam drzwi: oczywiście, była tam. Oklapnięta na podłodze jak włochaty jasek. Na mój widok spróbowała wstać. Coś tu nie grało, coś było nie w porządku. Pośliznęła się, łapy się pod nią ugięły, upadła pyskiem na posadzkę. Wreszcie wyprostowała się i ruszyła przed siebie zygzakiem. Kulejąc wyszła z kuchni, na progu zaczęła wymiotować. Nie wiem, co mnie oświeciło, jak wpadłam na zbawienną myśl. Zerknęłam za siebie i zobaczyłam, że Adrián wyciąga papierosa.

- Nie! - pisnęłam. - Nie zapalaj!

Strażacy powiedzieli nam później, że sprężony gaz rzeczywiście mógł wybuchnąć pod wpływem płomienia. A nawet gdyby nie, to i tak potruilibyśmy się jak myszy. Gdybyśmy nie zamknęli suki w kuchni, gdzie znajdował się piecyk, z wolna i niezauważenie ogarnęłaby nas senność i wreszcie śpiączka. Co roku sporo ludzi umiera w ten sposób, taką podstępna śmiercią; nas spotkałby ten sam los. Ktoś, nie wiadomo kto, najwidoczniej nie chciał, żebym się spotkała z Największym Handlarzem Dyniami w Hiszpanii, jak go nazwał ten kretyń Blanco. W przewodzie gazowym pojawiła się szczelinka. Była to nowa, błyszcząca rura z

miedzi, ale coś, może kwas, zniszczyło część metalu. Zawiadomieni przez strażaków policjanci z komendy miejskiej odcięli ten fragment i zabrali ze sobą. Nikt nie słyszał o żadnej pladze karaluchów w Madrycie.

- W lecie to tak. Ale teraz...

Na moją prośbę sprawdzili piecyki u Feliksa i u Adriana - obydwu były w nienaruszonym stanie. Naturalnie: trzy instalacje uszkodzone w tym samym momencie to byłoby za dużo jak na zbieg okoliczności. Panowie ze straży byli nieco zakłopotani, kiedy nalegałam, żeby starannie posprawdzali także w pozostałych mieszkaniach, i kiedy uporczywie powtarzałam, że rura pękła na skutek wypadku. A co miałam im powiedzieć? Udział inspektora Garcii w spisku zamknął mi buzię na kłódkę.

Konieczność mówienia kłamstw wprawiła mnie w takie zdenerwowanie, że w końcu zostawiłam straż i policję na karku Adriana i Feliksa, w nadziei, że się ich pozbędą, a sama wyprowadziłam biedną Sukę-Fokę, żeby odetchnęła świeżym powietrzem i się odtruła. Zwierzak z rozkoszą zwiedzał z nosem przy ziemi wszystkie najbardziej śmierdzące zakątki placu, dochodząc jako tako do siebie, kiedy w pewnym momencie poczułam, że ktoś klepie mnie w prawe ramię. Odwróciłam głowę: był to inspektor Jose Garcia. Podskoczyłam i pisnęłam.

- Co się stało? - zdziwił się inspektor. Ciągle miał na sobie ten sam niebieski płaszcz, co rano.

- Przepraszam - wybelkotałam, starając się zachować spokój, chociaż serce podeszło mi nagle do gardła. - Myślałam, że... Nerwy mam trochę zszargane.

Rozejrzałam się. Do swojej bramy miałam najdalej ze sto metrów, a na czwartym piętrze, za otwartymi na oścież oknami mojego mieszkania znajdował się cały batalion policji z komendy miejskiej i strażaków. Ale nie mogli mnie zobaczyć ani usłyszeć. Była chyba gdzieś piąta po południu, na ulicy dosłownie żywego ducha. I tylko po drugiej stronie placu z klombem, przy huśtawkach, kilka kobiet przyglądało się zabawom swoich dzieci.

- Wszystko wiem. Nieprzyjemna sprawa - rzekł Garcia.

Wpadłam w panikę: co miało znaczyć „wszystko”? Widział nas rano w parku?

- O gazie. Ci z miejskiej dali znać.

- Aha - odetchnęłam, a mojej paranoi ubyło nieco balastu. Cofnęłam się o krok.

Garcia zrobił krok naprzód.

- Nieprzyjemna sprawa - powtórzył.

Czy nie jest za blisko? Czy inspektor Garcia nie znajduje się za blisko mnie jak na człowieka wychowanego, przyzwoitego i wykształconego? Zerknęłam kątem oka za siebie:

przy krawężniku stał wielki samochód. Czarny, z przyciemnionymi szybami. Nic nie było widać, ale z pewnością wewnątrz siedzieli ludzie, a samochód stał bardzo blisko mnie, zbyt blisko. O duży krok, o jedno szarpnięcie. Paranoja znów eksplodowała we mnie jak fajerwerk. Ziemia zatańczyła pod stopami.

- Dziwnie się pani zachowuje - powiedział Garcia.

Znów dałam krok do tyłu, a on do przodu.

- To ze... ze strachu - odparłam, absolutnie nie mijając się z prawdą.

Garcia chwycił mnie pod ramię.

- Musimy pojechać na komisariat. Tu mam wóz.

Usiłowałam się wyrwać, ale jego ręka przytrzymała mnie z dużą siłą.

- Dlaczego? Po co?

- Złożyć doniesienie. To bardzo ważne. Chodźmy. Jedziemy.

- Nie mogę - oświadczyłam, wbijając stopy w ziemię. Spojrzałam ku bramie z nadzieją, że może akurat będą wychodzić gliniarze z miejskiej, może Adrián będzie mnie szukał. - Bo... Bo suka... odprowadzę ją do domu i pojedziemy, dobrze?

- Suka też jedzie. Dowód rzeczowy. Zatruta. Zrobimy analizę. Jedziemy natychmiast.

Garcia zaczął mnie ciągnąć w kierunku samochodu. Prawie przestał się maskować, jeszcze chwila, a normalnie mnie uderzy. Będę krzyczeć, będę walczyć, ma się rozumieć, ale to im nie przeszkodzi w porwaniu. Wóz stał zbyt blisko, a kobiety na placu zabaw, jedyne żywe istoty w zasięgu wzroku, nie zdołałyby zareagować dostatecznie szybko, widząc z dala dwie zupełnie obce osoby. Kiedy ewentualnie zdecydowałyby się ruszyć, ja znajdowałabym się już bardzo daleko.

- Nie mam przy sobie dowodu! - wrzasnęłam.

- Nie szkodzi! - odburknął Garcia. I jeszcze mocniej zacisnął palce na moim ramieniu.

Pod nasze nogi zaplątała się piłka. Obydwoje zgodnie spojrzeliśmy w dół i zobaczyliśmy, że po zabawkę przybiegł może czteroletni chłopczyk, opatulony w skafander z kapturem, jakby wybierał się pieszo na biegun północny. Bez zastanowienia pochyliłam się i chwyciłam dzieciaka na ręce. Na coś wreszcie przydał się mój karli wzrost: mogłam złapać chłopca, chociaż wciąż trzymał mnie policjant.

- Widzi pan, śliczności dziecko! - powiedziałam. Dzieciak wil się jak piskorz.

Ale wiadomo nie od dziś, że desperacja potrafi obdarzyć niespodziewaną siłą. Nie dość, że zdołałam utrzymać wyrywającego się chłopaka, to jeszcze udało mi się uszczypnąć go solidnie w pupę pomimo grubego skafandra. Mały otworzył buzię szeroko jak tunel metra i jął drzeć się niczym opętany. Garcia i ja popatrzyliśmy do tyłu: całe stado rozwścieczonych

matek pędziło ku nam złowrogim galopem. Policjant puścił mnie.

- Hmmmm... Może kiedy indziej - powiedział.

I prędko wskoczył na tylne siedzenie samochodu, który zaraz ruszył z rykiem silnika. Postawiłam dziecko na ziemi, otoczona przez matki, które wyraźnie miały zamiar mnie ukamienować. Natychmiast się przedstawiłam imieniem i pełnym nazwiskiem i podałam swój adres. Na szczęście jedna z bab znała mnie z widzenia.

- Tak, ona tu mieszka po sąsiedzku. W tej bramie, znam ją - rzekła oschle.

Wówczas zaczęłam im wyjaśniać sytuację, starając się zachować jak największy spokój. Uznałam, że lepiej powiedzieć mniej więcej prawdę, która i tak była wystarczająco nieprawdopodobna, by jeszcze łądować się w kłamstwa.

- Zapewniam, że jest mi szalenie przykro, ale ten facet chyba chciał mnie porwać, więc złapałam dziecko, żeby zwrócić waszą uwagę i mu przeszkodzić - powtórzyłam z dziesiąty już raz.

- Trzeba było łapać własną w dupę pieprzoną matkę, laluniu - rzuciła matka chłopczyka z arcymadryckim fasonem typowym dla mojej dzielnicy, siedliska folkloru.

- Tak, masz rację - zgodziłam się bez trudu. Czułam, jak po zażegnany niebezpieczeństwie rozpięta euforia, upaja adrenalina. - Gdyby moja matka była w pobliżu, też bym ją złapała. No, bardzo mi przykro, co mam jeszcze powiedzieć? Jak ci się nie podoba, to zadzwoń po policję.

I poszłam do domu, śmiejąc się w duchu z własnego makabrycznego żartu.

Odkrycie, że inspektor José García jest zamieszany w spisek, oczywiście wprawiło mnie w przerażenie. Po wyrwaniu się w ostatniej chwili z jego szponów, dzięki plutonowi gniewnych matek, usiadłam w kuchni z Adrianem i Feliksem, by odbyć nadzwyczajny rodzinny konwentykiel. Postanowiliśmy, że chwilowo. zarzucamy poszukiwania Ramona i ruszamy co prędzej w jakieś nieznanne, ciche miejsce.

- Chociaż wy tak naprawdę to nie musicie wyjeżdżać - zaproponowałam półgębkiem, bo samotna ucieczka wcale mi się nie uśmiechała.

- Pójdę za tobą wszędzie - odparł Adrián czule, jakby odśpiewywał bolero. - Poza tym mam wrażenie, że Félix i ja też nie będziemy tu bezpieczni.

- Ma się rozumieć - przytaknął stary. - I nawet chyba wiem, dokąd jechać. Zobaczycie, że czasem najlepsza kryjówka znajduje się najbliżej. Brat Margarity ciągle ma dom we wsi Somosierra. To wielka chałupa, a on żyje tam sam, bo jest wdowcem, dzieci przeniosły się do miasta. Wielokrotnie mnie zapraszał, żebym u niego pomieszkała. Na pewno chętnie nas przyjmie, a mimo że to tylko osiemdziesiąt kilometrów od Madrytu, to w rzeczywistości - sto

lat świetlnych stąd. Nigdy nas tam nie znajdują.

Plan miał i tę zaletę, że nie łączyły się z nim duże koszty. W owym czasie moja sytuacja finansowa była niemalże katastrofalna. Pensja Ramona na wszelki wypadek została zablokowana, splukaliśmy się już doszczętnie z miliona pozostałego z okupu za mojego męża, a ja w dodatku od dawna nie napisałam ani linijki. Kilka tygodni wcześniej odwiedziłam mojego wydawcę, prosząc go o zaliczkę na poczet kolejnej książki. Emilio, jak zawsze uroczy, wił się w przeprosinach i przesadzonych komplementach na temat mojej twórczości:

- Wiesz dobrze, że uwielbiam twoją Śliczną Kokoszkę, że jesteś naszą autentyczną gwiazdą, ale niestety obecnie przeżywamy trudny okres, powiedzmy, utraty płynności. Musieliśmy na nowo negocjować w sprawie rozmaitych weksli i nasza sytuacja jest niezwykle delikatna, co więcej, nie wykluczam, że całe wydawnictwo popłynie. Nawet nie masz pojęcia, jak mi przykro, ale nie jestem w stanie ci pomóc.

Adrián nigdy nie miał grosza przy duszy, a ja nie śmiałabym wykorzystywać skromnych oszczędności biednego Feliksa, wobec czego stan naszych finansów zaczynał być naprawdę tragiczny. Dlatego propozycję Feliksa rozpatrzyliśmy z wyjątkową uwagą. Zdecydowaliśmy, że wyjeżdżamy natychmiast, i rozbiegliśmy się pakować walizki. Obdzwoniłam mamę i tatę, mówiąc im, że wyjeżdżam na jakiś czas do Paryża.

- I bardzo dobrze, skarbie, no pewnie, że ci się to przyda po tym koszarze z porwaniem. Też marzyłam, żeby wyjechać do Paryża, kiedy było mi źle! Ale oczywiście za moich czasów to było wykluczone. Ledwie w ogóle miałam własne oszczędności, bo zrezygnowałam z kariery na rzecz kariery twojego ojca. I na co to wszystko, możesz mi powiedzieć? Do tego jeszcze ty już byłaś na świecie, a ja nie chciałam cię zostawić samej. Nie żebym teraz żałowała, zrozum, ale sama nie wiesz, jak to dobrze, że nie masz dzieci - rzekła moja matka.

- Wspaniale! Przywieziesz mi kapitalną marynarkę, którą widziałem na jednym znajomym. Ze sklepu przy Champs-Elysees. A właśnie, wiesz coś o Ramonie? - rzekł mój ojciec.

Wcale nie zdziwiły mnie ich uwagi, obydwójce perfekcyjnie opanowali swoje role. Nigdy nie byli w stanie powiedzieć mi tego, na co czekałam.

W pół godziny byliśmy gotowi do wyjazdu. Pozamykałam okna, zaryglowałam drzwi na wszystkie siedem zamków i na palcach zesliśmy po schodach, jak zbiegowie z Alcatraz. Nadaremno. W bramie stało dwóch młodzieńców wielkich jak dęby. Obydwaj mieli niewinne minki, obydwaj nosili takie same tanie, szare garnitury. Wyglądali na przerośniętych

chłopców idących do pierwszej komunii.

- Pani Lucia Romero? - spytał jeden z bliźniaków z wykwintną uprzejmością.

Poczułam, że się pocę.

- Nie wiem - odparłam. - Mieszka na czwartym. Proszę sprawdzić, czy jest.

- Pani Romero - powiedział tamten, ze spokojem pokazując mi identyfikator. - Jesteśmy z wydziału śledczego policji. Pani pojedzie z nami. Przysłała nas po panią sędzia Martina.

- Sędzia? A po co?

- Nie wiemy. Wiemy tylko, że mamy panią doprowadzić.

- Ale to... to jest niezgodne z przepisami, z konstytucją, to porwanie!

Adrián postąpił krok naprzód, ale jeden z bliźniaków położył mu delikatnie dłoń na piersi. Przewyższał Adriana o dwie głowy, był też dwukrotnie cięższy.

- Niech pani nie przesadza, proszę nie dramatyzować.

Co za język - pomyślałam z ironią - jakże właściwe użycie czasownika „dramatyzować”. Bardzo się ostatnio podniósł poziom kultury zbirów.

- Chcemy tylko zawieźć panią na krótką rozmowę z sędzią. To wszystko.

Krótką rozmowę z sędzią. Niespecjalnie lubiłam sędziów. To istoty, które przez całe lata zajmowały liche stanowiska, a więc egzystowały w ubóstwie, zakopane w swoich kodeksach jak krety w norach, i nagle, nie osiągnąwszy za grosz dojrzałości, nie doświadczywszy prawdziwego życia, wchodziły w rolę bogów, co to mogą bez litości sądzić ludzi. Poza tym jedyny kontakt, jaki miałam dotychczas z sędziami i sądami, zanim doszło do przykrej historii z porwaniem, był na tyle obłądny, że w jego wyniku znacznie osłabła moja wiara w skuteczne funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. Raz skradziono mi torebkę ze wszystkimi dokumentami, złożyłam więc doniesienie i porobiłam duplikaty, jak to zwykle bywa. Ale cztery lata później zaczęłam otrzymywać rozmaite pozwy. Ktoś zarejestrował na moje nazwisko samochód, forda fiestę, którym z uporem maniaka władowywał się w różne rzeczy: inne samochody, jakąś wystawę, w zaparkowany rower, z którego została miazga. Co gorsza, fiesta nie była ubezpieczona, stąd postanowienie sędziów: wszyscy poszkodowani mieli domagać się pieniędzy ode mnie, bo w świetle prawa to ja byłam właścicielką pojazdu. Udało mi się wywieść, że samochód został kupiony u dealera, poszłam więc do niego na rozmowę.

- Oczywiście, że pamiętam tę fiestę. Przecież to pani sama ze cztery czy pięć lat temu kupowała ją u nas razem z mężem Irańczykiem.

Na nic moje przysięgi, że fiesta nie należy do mnie, wszędzie figurowało moje

nazwisko. Musiałam po kolei spotkać się ze wszystkimi sędziami i spłacić wszystkie szkody, aż wreszcie przestały przychodzić skargi. Może facet wrócił do Iranu albo umarł na raka wątroby, czego życzyłam mu co noc przez ostatnie półtora roku - a może, co najbardziej prawdopodobne, zmienił samochód i papiery. To mnie nauczyło, że Temida jest nie tylko ślepa, ale czasem też głupia. Nie miałam więc wystarczająco pochlebnych doświadczeń, żeby teraz w te pędy pobiec na spotkanie z panią sędzią.

A zwłaszcza z sędzią, której wyjątkowo nie ufałam. Bo w naszym pierwszym spotkaniu uczestniczył inspektor García. Co tam, u licha, robił milczący i nieustraszony García? Już wtedy dziwiła mnie jego obecność w gabinecie, ale teraz cała sprawa zaczynała mi śmierdzieć. Może oboje są w zмовie? Oczywiście, była i gorsza ewentualność: że te dwa wytworne i niewinne osiłki zwyczajnie kłamią. Że nasłał ich inspektor García. Albo terroryści z Dumy Robotniczej. Albo ten przerażający rudy zbir, który już groził Adrianowi i mnie.

- A skąd mogę wiedzieć, że panowie są tymi, za których się podają, skąd mogę wiedzieć, że naprawdę pojedziemy do sądu?

- Widziała pani nasze identyfikatory.

- Też mi gwarancja. Mogą być fałszywe. Albo i są prawdziwe, a fałszywe są intencje.

Goryl, który ze mną rozmawiał, westchnął:

- W takim razie chyba nie ma pani innej możliwości, jak nam zaufać.

I tak zrobiłam - zaufałam. Intuicja to impuls, to wyładowanie elektryczne, które transportuje po neuronach podskórną informację, dane tak ulotne, że człowiek nawet nie jest świadom ich istnienia. Zawsze kierowałam się intuicją i zawsze pierwszy odruch okazywał się właściwy. Teraz intuicja podpowiadała mi, że ci młodzieńcy nie zwiastują niebezpieczeństwa. Położyłam więc dłoń na ramieniu Feliksa i ścisnęłam lekko dla dodania otuchy.

- Niedługo wracam. Nic się nie dzieje. Czekaście tu na mnie.

Minutę później siedziałam w samochodzie jadącym w kierunku sądu. Tak przynajmniej sądziłam. Kierowca strasznie kręcił, jechał jakąś dziwną trasą. Z nagłym niepokojem zaczęłam sobie przypominać te wszystkie momenty, kiedy moja słynna intuicja zawiodła w sposób spektakularny. Jak wtedy, gdy wjechałam na motocykl jakiegoś faceta: wysiadłam z samochodu, bo gość wydawał się sympatyczny, a ten prawie mnie udusił. A tamten raz, kiedy dałam dwieście tysięcy peset facetowi, który sprzedawał taniutkie komputery dopiero co sprowadzone ze Stanów, a potem okazał się szachrajem? Albo pewien uroczy chłopak, z którym poplirtowałam w barze, a on potem ukradł mi teczkę. Już dochodziłam do złowieszczych przekonania, że zawsze popełniam błąd, idąc za głosem

intuicji, kiedy samochód nieoczekiwanie skręcił po raz ostatni i o dziwo znaleźliśmy się na ulicy, przy której mieścił się sąd. Westchnęłam z ulgą: byłam bezpieczna. Przynajmniej na razie.

Sędzia przyjęła mnie w tym samym obskurnym gabinecie, co za pierwszym razem. Zaszły jednak pewne istotne zmiany. Po pierwsze i najważniejsze, inspektor Garcia był nieobecny. Po drugie i najdziwniejsze, sędzia nie dość, że zdążyła w tym czasie urodzić, to jeszcze przyniosła do pracy latorośl, która teraz leżała obok biurka w wiklinowej kołysce: małe, zaróżowione ciało zanurzone w falbankach i koroneczkach. Kotka też urodziła: leżała w kącie na kanarkowej poduszce i lizała pół tuzina kociąt z miną zadowolonej tygrysicy. Powietrze było gorące i gęste jak w inkubatorze, wszędzie unosił się zapach pudru i siary.

- To początek końca - oświadczyła sędzia z dość uroczystym wyrazem twarzy, gdy tylko weszłam.

- To dobrze - rzuciłam, żeby coś powiedzieć. Pragnęłam opuścić natychmiast to duszne pomieszczenie, ten gabinet-macicę.

- Zechce pani wybaczyć, że wezwałam tu panią w trybie trochę nagłym, ale czas goni, a sytuacja jest krytyczna.

- To dobrze.

- Powiem jasno: pani mąż to tylko wierzchołek góry lodowej. Jeden skruszony przestępca dostarczył nam fotokopie czeków, wykazy, które miały zostać zniszczone, tajne dokumenty. Ten człowiek pracował jako księgowy w Capital SA i Pstroszka SA, dwóch spółkach-widmach, na których konta pani mąż przelewał skradzione pieniądze. Ale zdaje się, że pojawiły się kłopoty. Księgowy twierdzi, że go zdradzili, że nie zapłacili mu jakiejś należnej kwoty i że teraz obawia się o swoje życie. Możliwe. Niewykluczone też, że księgowy chciał zaszantażować kolegów i że interes się nie powiódł. Ale motyw naszego konfidenta na razie nas nie interesują. Ważne są informacje, jakich nam dostarcza.

Sędzia zamilkła na chwilę, jakby się zastanawiała, w jaki sposób dalej poprowadzić rozmowę lub jak daleko się w niej posunąć. Nieco nerwowo otworzyła i zamknęła jakieś teczki, nie wyjmując z nich żadnych papierów.

- Dowody, jakie posiadamy, wskazują, że pani mąż nie był zmuszany do kradzieży na rzecz Dumy Robotniczej.

Nasze informacje nie są jeszcze do końca pewne, bo księgowy, nasz świadek koronny, to łajdak, który chowa karty w rękawie i częściej kłamie, niż mówi prawdę. Ale nie mamy już wątpliwości, że zawiązał się spisek mający na celu zagarnięcie pieniędzy skarbu państwa, i to ogromnych pieniędzy, za pośrednictwem rozmaitych ministerstw. Pani mąż należał do tej

mafii.

- Musiałaby to pani udowodnić - powiedziałam machinalnie, w zwierzęcym odruchu samoobrony, bo na swój sposób Ramón należał wciąż do mnie. Lecz gdzieś w środku pojawiła się nieuchronna pewność, że sędzia Martina mówi prawdę.

- Udowodnię, proszę się nie martwić. Wspomniałam, że pani mąż należał do tej mafii, że ma powiązania ze zwykłymi przestępcami i z organizacjami terrorystycznymi w rodzaju Dumy Robotniczej. Ramón Iruña był jednak tylko drobnym trybikiem w tej maszynie, w sprawę są zamieszani wysocy urzędnicy administracji rządowej. Obecnie dysponujemy niezbitymi dowodami obciążającymi kilku dyrektorów generalnych, trzech sekretarzy stanu, dwóch podpułkowników i co najmniej trzech ministrów bądź byłych ministrów. Korupcja ogarnęła tak szerokie kręgi aparatu władzy, że bardzo trzeba uważać, z kim się rozmawia. Na przykład pracuje dla nich inspektor Garcia.

Czy to pułapka? Czy sędzia Martina starała się zaskarbić sobie moje zaufanie, żebym wygadała wszystko, co wiem? Różowe ciało w kołysce rozbeczało się, więc gospodyni gabinetu wyciągnęła rękę i energicznie pobujała dziecko. Kiedy poznałam Marię Martinę, wydała mi się nieduża, ale teraz, gdy znikł zaokrąglony brzuch i poduszka pod siedzeniem, stała się dosłownie drobniutka. Jej głowa ledwie wystawała znad rozchwierutanego biurka. Do diabła - pomyślałam - ta miniaturka kobiety nie sprawia wrażenia przestępczyni. Pewnie, na sędzię też nie wyglądała, ale wołałam pominąć tę drugą część mojego rozumowania.

- Tak, wiem. To znaczy, o Garcii. Widzieliśmy, jak inspektor rozmawiał z bandytą.

I szczegółowo opowiedziałam sędzi o wszystkim, co nam się przydarzyło. Maria Martina notowała moje słowa w zeszytiku z podnieceniem i zapalem. Wyglądała jak mysz, której trafił się kawałek sera.

- Tak - rzekła wreszcie. - Tak. Oczywiście, wszystko się zgadza.

- No to ja nic nie rozumiem. Czy według pani mój mąż nie został porwany?

- Tego nie możemy jeszcze potwierdzić z całą pewnością. Nie wiemy, czy zamieszani w sprawę korupcyjną politycy mieli problemy z Dumą Robotniczą, czy też pani mąż odmówił dokonania jakiejś wpłaty na konto terrorystów. Może go porwali, a może to zasłona dymna. W tym przypadku wciąż mamy do czynienia z wieloma niewiadomymi. Tak wieloma, że prawdę mówiąc byłoby dobrze, gdyby poszła pani na spotkanie z tym całym Handlarzem Dyniami. To, co ten człowiek pani przekáže, może dostarczyć nam jakichś wskazówek.

- Co też pani mówi? - przeraziłam się. - Nie. Mowy nie ma. Wykluczone. Nie zamierzam się z tym gościem spotykać. Nie mogę. Przecież chcieli mnie zabić, słyszała pani. Wyjeżdżam. Gdyby pani goryle mnie nie zatrzymali, w tym momencie siedzielibyśmy już w

dobrej kryjówce.

Sędzia przesunęła dłonią po twarzy. Wyglądała jak zmęczona małpka.

- Moi goryle... To są chłopcy z wydziału śledczego. Osobiście przeze mnie wybrani. Najlepsi w całym zespole, może pani być pewna. To jedyni, jakim mogę ufać. Tym dwóm i jeszcze jednemu, który w tej chwili sprawdza pewien donos. Ci trzej młodzieńcy, świeżo po akademii, to moje jedyne oparcie. Jestem sama. Nawet na macierzyński pójść nie mogłam, bo wiem, że pod moją nieobecność sprawie ukręcono by łeb.

Zamyśliła się przez chwilę. Wreszcie popatrzyła mi bystro w oczy.

- Nie będę pani oszukiwać, to niebezpieczna historia. Nawet bardzo niebezpieczna. Jednakże jestem zdania, że dla śledztwa byłoby to bardzo korzystne, gdyby poszła pani na umówione przez pani łącznika spotkanie, spotkanie z Największym Handlarzem Dyniami. Proszę panią o jedno: by pozostała pani w Madrycie do czasu rozmowy z tym człowiekiem, następnie opowiedziała mi wszystko, co pani powie, a potem, jeśli pani chce, to może się pani ulotnić.

Czułam, że odpowiedzialność mnie przygniata. Siedząc na brzeżku, krzesła, z trudem przełknęłam porcję strachu i śliny.

- Co to za ministrowie? - spytałam.

Sędzia uśmiechnęła się nieznacznie.

- To są informacje utajnione. Ale ponieważ zależy mi na pani pomocy i mam do pani zaufanie, podam jedno nazwisko, które pojawia się bardzo często: Zurriagarte. Oczywiście mówię to pani absolutnie poufnie.

Zurriagarte! Jak to? A tak mu dobrze z oczu patrzy... Uchodził za jednego z najbardziej szczerych i najuczciwszych polityków w kraju! Przecież to on wygłosił słynne zdanie: „Bez etyki nie ma polityki”!

- Niemożliwe... - wymamrotałam.

- Tak, aż trudno uwierzyć. Mnie to też zaskoczyło - odparła sędzia. - Ale teraz zaczynam już rozumieć, jak do tego doszło. Jak w ogóle dochodzi do takich spraw. Widzi pani, to tylko hipoteza robocza, ale założmy, że zostaje pani mianowana ministrem któregoś z resortów zamieszanych w mafijne interesy. Bo tylko niektóre ministerstwa są w to wplątane. No więc, jak mówię, mianują panią ministrem, a pani przyjmuje stanowisko. Nominacja zostaje podana do wiadomości publicznej, nadchodzi dzień objęcia urzędu, pani składa przysięgę albo przyrzeczenie, robią pani odpowiednie zdjęcie, wszyscy pani gratulują, wreszcie wkracza pani do swojego gabinetu w pełnej glorii. A tam, w gabinecie, czeka na panią człowieczek z czarną teczką. Pani już jest po rozmowach z ustępującym ministrem, zna

pani ogólny stan spraw, przedstawiono już panią sekretarzom, podsekretarzom i podpodsekretarzom, ale dotąd nikt pani nie wspomniał o tym człowieczku z czarną teczką. I facet zamyka starannie drzwi gabinetu, po czym otwiera swoje akta. A z nich wypełzają gadziny i robactwo: jakich przestępców opłacamy, kto dokonuje dla nas kradzieży, jak wygląda dystrybucja lewych pieniędzy od ministra w dół. I ile trupów mamy na sumieniu, bo jest też mowa o zabójstwach. I teraz ma pani do wyboru: albo donieść natychmiast na tego urzędnika, ryzykując gigantyczny skandal, albo oswoić się z myślą, że życie ministra ma także taki aspekt.

Nie wiem, dlaczego postanowiłam pomóc sędzi Martinie, bo przecież jej opowieść napawała mnie potwornym przerażeniem. A mimo to, nim skończyła mówić, ja już podjęłam idiotyczne postanowienie, że zostanę bohaterką. Może to przez egocentryzm: wszyscy lubimy uważać się za niezbędnych. Albo powodował mną zwykły wstręt.

- No dobrze. Hm... Zostanę.

Sędzia na moment przymknęła oczy i odetchnęła.

- Dzięki.

Teraz nędzny gabinet już nie robił wrażenia dusznej macicy, tylko dryfującej łodzi, tratwy, której uchwycili się rozbitkowie, najpierw kobiety i dzieci, na środku morza pełnego rekinów. Niemowlę znowu zaczęło nieznośnie popiskiwać.

- Bardzo... Bardzo miłutki dzidzius - odezwałam się. To były pierwsze słowa, jakie przysły mi na myśl.

Maria Martina wstała i wzięła na ręce hałaśliwe ciało.

- To dziewczynka. Przykro mi. Nie powinna tu być. Ale... - Sędzia rzuciła w moim kierunku szybkie i zakłopotane spojrzenie. - Ale nie chcę jej zostawiać samej w domu, wie pani? Dostaję tyle, no, nieprzyjemnych anonimów. Na wszelki wypadek wolę się z nią nie rozstawać.

Do domu wróciłam przytłoczona strachem i nabytą wiedzą. Bo informacje też mają postać fizyczną. Są takie, które ciążą jak bale drewniane, i takie, które postarzają bardziej niż bolesna i nieuleczalna choroba. Po prawdzie to niektóre informacje po prostu są bolesnymi, nieuleczalnymi chorobami. Siedzą w tobie na podobieństwo pulsującej rany, fatalnej wady wzroku, która zniekształca rzeczywistość. Na przykład taki Ramón. Mój obraz Ramona rozpadał się w drobny mak. Mój stosunek do niego był coraz bardziej obojętny, coraz bardziej chłodny. Prawdę powiedziawszy, już nie czułam się jego żoną, ale raczej wdową po nim, bo dla mnie był teraz na poły martwy.

- Przyśniła mi się kolejna zagadka - powiedział Adrian tego wieczoru, chyba po to,

żeby odpędzić ode mnie ponure myśli.

Była dziewiąta, siedzieliśmy we trójkę w kuchni, pojadając chleb z serem - pierwszy konkretny posiłek, jaki mieliśmy w ustach od śniadania.

- Trzech mężczyzn spotyka się w portowym mieście - ciągnął chłopak. - Znają się od lat, ale dawno się nie widzieli. Postanawiają wejść do restauracji nad morzem, siadają przy jednym stole i wszyscy zamawiają pieczoną mewę. Przynoszą im dania, oni zaczynają jeść. Dwóch nic nie mówi, ale trzeci woła z ożywieniem kelnera: „To naprawdę mewą?” - pyta. A kelner na to, że tak. Wtedy, facet zrywa się na równe nogi, wylatuje z dzikim wrzaskiem z restauracji i rzuca się do morza.

- No cóż, pewnie żarcie musiało być okropne - odezwał się Félix z pełnymi ustami.

Ja nic nie powiedziałam, bo ser utkwiał mi w sztucznej szczęce i wypchnął ją z jej miejsca, więc teraz starałam się językiem naprawić tę niedogodność, tak żeby nikt nie zauważył.

- Ale śmieszne - fuknął Adrián.

- Poza tym mew się nie je. Wszyscy wiedzą, że są potwornie niesmaczne - Félix nie ustępował.

Ależ te zagadki Adriana są kojące - pomyślałam, słuchając, jak kłócą się po raz enty. Głupie tajemnice, pozornie bez sensu, dla których w końcu zawsze znajdowała się jakaś przyczyna, wytłumaczenie, jakiś wystarczający powód. Zagadki Adriana pomagały wierzyć, że w sumie egzystencja jednak ma swój sens. Że życie nie jest chaotyczne i absurdatne, a tylko enigmatyczne, że to rodzaj łamigłówki, którą można rozwikłać, gdy się porządnie zastanowić. Rozmyślałam sobie o tym, o rozkoszach poznania, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

To idiotyczne, kiedy próbuje się rozpoznać kogoś po głosie przez zaryglowane drzwi pancerne, ale tak właśnie postąpiliśmy, stłoczyliśmy się wystraszeni w przedpokoju i zaczęliśmy drzeć się jak opętani.

- Kto tam?!

- Lucia Romero?

- Czego pan chce?

- Przychodzimy od Manuela Blanco.

Liczba mnoga nie umknęła mojej uwadze. Przez judasz dostrzegłam co najmniej dwóch. Młodzi, porządnie ogoleni, dobrze ubrani, rośli, mało wyraziści.

- A kim panowie są?

- Niech pani otworzy.

- Po co?

- To pani zależy na rozmowie z naszym szefem. Jeśli to prawda, to pani otworzy. Jak nie, to pójdziemy.

Handlarz Dyniami. Właśnie dziś musieli przyjść od Handlarza Dyniami. To będzie bardzo długi dzień. Otworzyłam.

- Od razu łatwiej - uśmiechnęli się.

Bardzo przypominali policjantów od Marii Martiny. W tym samym wieku, tej samej postury, tej samej banalnej urody, o takich samych kwadratowych szczękach nawykłych do żucia gumy i nieznających smaku papierosa. Od tamtych różnili się na oko tylko strojem: byli lepiej ubrani. Też mieli na sobie szare garnitury, ale były to garnitury markowe. Najwidoczniej prywatni goryle zarabiali lepiej niż goryle na stanowiskach państwowych.

- Jesteśmy tu po panią. Nasz szef zgodził się z panią spotkać. Teraz.

- A skąd mam wiedzieć, że panowie są tymi, za kogo się podają?

- Chyba musi nam pani zaufać.

Tak jakbym słyszała już kiedyś ten dialog.

- Oni pójdą ze mną - powiedziałam, wskazując na przyjaciół.

Goryl spojrział na mnie z wahaniem. Postanowiłam mówić dalej, zanim zaprotestuje, a potem będzie podtrzymywał tę odmowę przez zwykłą impertynencję.

- Chyba panowie wiedzą, kim jest pan van Hoog. No więc ten pan jest przyjacielem van Hooga - pokazałam na Feliksa. - I mamy list od Holendra do waszego szefa, w którym jest o nas mowa.

Facet skinął nieznacznie głową.

- Zgoda. Wiemy, że nie jest pani sama.

No i znowu usiadłam na tylnym siedzeniu samochodu, tym razem między Feliksem a Adrianem, i znowu jechałam przez miasto w nieznanym kierunku. Który zresztą okazał się kierunkiem nie tak nieznanym: wóz zatrzymał się przed Paraiso.

Jeden z bandziorów wysiadł z nami i poprowadził nas przez zatłoczoną salę kawiarni ku pewnemu mężczyźnie, w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, siedzącemu samotnie przy stoliku. Przy sąsiednim zobaczyłam czterech odzianych na szaro osiłków, którzy usiłowali ukryć fakt, że są ochroniarzami. Mężczyzna gestem dłoni zaprosił nas, byśmy usiedli. Miał wspaniałe, srebrzyste włosy, zaczesane do tyłu, pociągnięte brylantyną, na karku ułożone w misterne kędziorki. Czarny blezer, ciemnoczerwone spodnie, jedwabna chustka zawiązana wokół szyi, w sumie odpychający playboy, istna „śmierć w Wenecji”.

- I co tam u mojego serdecznego przyjaciela van Hooga? - spytał na powitanie.

- Nic specjalnego. Hm. Wszystko w porządku - odparłam.

- A co w końcu postanowił zrobić z Ludmiłą?

- Prawdę mówiąc, to nie wiem. Hmhm. Nie zdążyłam zapytać - improwizowałam.

- Jak się z nim ostatni raz widzieliśmy, to całe przedpołudnie rozprawał o młodzieńczych wyczynach, jak to współpracował z Résistance i walczył przeciwko hitlerowcom. Sam pan wie, jaki on jest - wtrącił Félix w mistrzowskim stylu.

- Pyszałek pełną gębą, ot co! Bo czy rzeczywiście walczył po stronie Résistance... Uuu, nie bardzo w to wierzę. Teraz pewnie gada, co mu ślina na język przyniesie, ale van Hoog zawsze był tam, gdzie warto było być, ni mniej, ni więcej.

Uśmiechał się z zadowoleniem i pewnością siebie, ukazując galerię przepysznych zębów, z których każdy musiał kosztować z grubsza ze trzysta tysięcy peset. A więc to jest Największy Handlarz Dyniami: nie wygląda szczególnie groźnie. Wydał mi się wręcz tak zwyczajny i pospolity, że przyszła mi do głowy idiotyczna chęć, by się z nim podroczyć.

- Co pan chce powiedzieć? Ze warto było popierać nazistów?

Félix kopnął mnie pod stołem, zresztą sama się ugryzłam w język, jak tylko to powiedziałam. Ale już było za późno. Tamten przeszył mnie spojrzeniem jak włócznią. Aż się zatrzęślam. Kto wie, może ten właściciel jachtu bez jachtu wcale nie jest taki zwyczajny i pospolity... Może nie.

- Jak rozumiem, zależy pani na informacji - zaczął monotonnym tonem. -1 rzeczywiście, jak widzę, jest pani troszkę zdezorientowana. Otóż ja też opowiem państwu o pewnym swoim wyczynie, podobnie jak van Hoog. Rzeczą dotyczy walki, którą prowadziłem nie ja, a mój dziad. Był wojskowym i w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym uczestniczył w bitwie, zwanej klęską pod Annuaem1, do której to klęski po prawdzie doszło nie tylko pod Annuaem, ale w wielu miejscach Afryki Północnej. Latem tegoż roku w ciągu dwudziestu dni i Bitwa pod Annuaem (20 lipca 1921) - Hiszpanie zostali pokonani przez pospolite ruszenie Berberów, zamieszkujących góry Rif, którymi dowodził Abd elKarim. Hiszpania utraciła wtedy wschodnią część protektoratu w obecnym Maroku.

Rifeńscy buntownicy rozbili w drobny mak kolonialne oddziały hiszpańskie. Paru obdartusów uzbrojonych w pałasze i kindżały zdołało zmasakrować niezliczoną rzeszę żołnierzy hiszpańskich, ze dwanaście tysięcy albo i więcej. Nie wiadomo dokładnie, ilu żołnierzy stacjonowało w Rifie, bo liczby były zawsze zawyżane: niektóre jednostki miały wypłacany żołd w nadmiarze. Prawdziwą przyczyną klęski były korupcja, tchórzostwo i nieudolność dużej części oficerów. A wiem o tym, bo mój dziad był jednym z tych tchórzów i sam mi to opowiedział. Służył wówczas jako pułkownik pod rozkazami generała Navarro.

Jeśli wierzyć mojemu dziadowi, klęska w Rifie miała wymiar dantejski. Wojsko się rozpierchło, żołnierze pędzili, depcząc rannych, niżsi rangą oficerowie zdzierali dystynkcje, żeby nie rozpoznano ich jako oficerów, wyżsi zaś uciekali samochodami, tak zwanymi „szybkimi pojazdami”, co i raz przejeżdżając po ciałach własnych żołnierzy. Rifowie zabijali uciekających Hiszpanów kamieniami, torturami zamęczali na śmierć rannych: przykuwali ich do murów, przypalali im genitalia, pętali im ręce ich własnymi jelitami. Oczywiście, podczas tego koszmaru dochodziło do licznych przypadków niewiarygodnego heroizmu. Na przykład pułk Alcántara w sile sześciuset dziewięćdziesięciu jeźdźców szarżował raz po raz na wroga, by osłonić wycofujące się oddziały. Ostatnią szarżę przeprowadzili spieszeni, bo ani konie, ani jeźdźcy nie mieli już sił atakować. Dziewięćdziesiąt procent żołnierzy pułku zginęło, to największa strata, jaką kiedykolwiek poniosła jednostka kawalerii europejskiej. Kiedy wojsko hiszpańskie odbiło Rif, natknęło się na trupy poległych z Alcantary w miejscu, gdzie tamci padli: leżeli jeszcze w szyku bojowym. Przy okazji klęski pod Annuałem doszło więc zarówno do czynów chwalebnych, jak i haniebnych. Na przykład generał Navarro został okrzyknięty bohaterem, a pułkownik Morales niktzemnikiem. I co państwo na to powiedzą?

Wzruszyłam ze zdumieniem ramionami. Historia była fascynująca, ale nie miałam bladego pojęcia, ku czemu zmierzamy.

- Nie wiem. A co mam na to powiedzieć?

- To jest kłamstwo! Powinni państwo powiedzieć, że to kłamstwo, bo było dokładnie na odwrót: generał Navarro zachował się jak nędznik, a pułkownik Morales zginął jak przystało na oficera kawalerii, walcząc z bronią w ręku, gdy tymczasem wszyscy wokół uciekali. Morales walczył ramię w ramię z paroma innymi oficerami. Przysięgli sobie, że się sami nawzajem pozabijają, żeby nie wpaść w łapy katów rifeńskich. Morales padł ranny. Błagał towarzyszy, żeby dotrzyмали słowa, ale tamci dwaj porucznicy nie śmieli go dobić. Zapewne nie uczynili tego ze zwykłego strachu, bali się, że, zabiwszy przełożonego, trafią potem przed sąd wojskowy. W każdym razie umknęli, zostawiając rannego i bezbronniego pułkownika samego, na zboczu Izzumar. Tam też Rifowie zamęczyli go na śmierć. Za to generał Navarro postanowił poddać się wraz z dwoma tysiącami trzystu ludźmi pod górą Arruit, chociaż wiedział, że buntownicy zabijają pokonanych. Tak też było: Navarro, jeszcze dziewięciu oficerów, tłumacz i siedmiu przybocznych schroniło się w kwaterze jednego z przywódców mauretańskich, a tymczasem Rifowie wykończyli dwa tysiące trzystu żołnierzy. Zresztą i tu nie wszyscy oficerowie zachowali się identycznie. Na przykład Navarro zaprosił do swego grona majora Alfreda Marquerie, ojca przyszłego znanego krytyka teatralnego, ale major wolał umrzeć ze swoimi żołnierzami. I co państwo na to?

- Wstrząsające.

- A ja uważam, że to głupota. Bo na przykład mój dziad był jednym z tych oficerów, którzy przyłączyli się do Navarro. I ocalał życie. Po klęsce pod Annualiem przeprowadzono odpowiednie śledztwo, ma się rozumieć, i kilku nadwrażliwych wojskowych wniosło sprawy, które wykazały winę najwyższego dowództwa na czele z generałem Berenguerem, głównodowodzącym siłami w Afryce. Ale szczęśliwie generał Primo de Rivera wprowadził w dwudziestym trzecim roku dyktaturę i przeszkodził w wymierzeniu sprawiedliwości. Czyli, sama pani widzi, tchórze, którzy ocalili życie, teraz zdołali ocalić całą resztę, nawet honor, bo pamięć ludzka jest zawodna. Mój dziad, bogaty z domu, zrobił parę dobrych interesów, podwoił majątek i dokonał żywota jako czcigodny patriarcha, prawdziwy ojciec Ojczyzny: jedna z głównych alei w Madrycie nosi jego imię. Mój ojciec poszedł w jego ślady i dzięki niemu nasze nazwisko jeszcze urosło w potęgę w trudnych latach powojennych. Po nim nadszedłem ja, też pracując w tym samym kierunku. Jesteśmy dziś jedną z najbardziej wpływowych rodzin w tym kraju. Nie ma mnie w gazetach, moja twarz nie jest znana, ale bramy każdego pałacu otwierają się na oścież, kiedy do nich zapukam. Prawdziwa potęga zawsze chowa się w cieniu.

Przerwał swoją perorę i pociągnął z kieliszka nieco wytrawnego jerezu. Nas nawet nie zapytał, czy byśmy się czegoś napili. Słuchaliśmy go o suchym pysku.

- Powiem państwu, jak ja to widzę. Jak działa ten świat. Czasami nie ma prawie żadnej różnicy między heroizmem a nikczemnością. Wielu ludzi nagle osaczonych w Rifie pierwszy raz w całym swoim życiu musiało wybrać pomiędzy Dobrem a Złem, między honorem a życiem. Była to kwestia godzin, a nawet minut, a gra szła o wszystko: mogli pozostać wierni ideałom i wpaść w łapy oprawców albo zdradzić i przeżyć. Trzeba było wybrać i wszyscy wybrali. Jedni bohatercko padli w boju albo jeszcze straszliwszą śmiercią. Inni tchórzliwie wrócili do Hiszpanii, wychowali dzieci, porobili interesy, czasem stali się wybitnymi obywatelami, jak mój dziad. Na co przydały się tortury, na co przydała się ofiara żołnierzy z Alcantary? Powiem państwu: na nic. Życia nie ocalili, bo Rifowie wszystkich dorznęli. Ziemi nie ocalili, bo terytorium przeszło we władanie buntowników. A najgorsze że Hiszpania, niezdolna dłużej utrzymać chwiejącego się imperium kolonialnego, w końcu oddała Rif miejscowej ludności. Poza tym nie pamiętamy nazwisk bohaterów. Jak widać, mogę państwu teraz nakłamać, wmawiając, że bohater był tchórzem czy na odwrót, ponieważ nikogo to zupełnie nie obchodzi. Nie, bohaterowie są najzwyczajniej w świecie niepotrzebni. A budowniczymi krajów zostają zawsze ci drudzy. Ci, co uciekają i zdradzają. Ci, co potrafią ocalić własną skórę. Ci, co przeżyli, bo to właśnie oni w ostatecznym rozrachunku piszą

Historię. Mówię to z dumą, bo niełatwo być zwycięzcą. Posługiwałem się terminami „heroizm” i „tchórzostwo”, żebyśmy się lepiej rozumieli, ale w rzeczywistym świecie mają one inne znaczenie, niż zazwyczaj się im przypisuje. W świecie rzeczywistym tchórzostwo to mądrość, a heroizm to głupota. Należę do starego rodu triumfatorów, zawsze wiedzieliśmy, co trzeba zrobić, żeby zwyciężyć. A jeśli przy tym trzeba postępować w sposób nielegalny? No cóż, światem nielegalnym też trzeba zarządzać, żeby cała machina funkcjonowała. Niech mi nie gadają o zmarłych i zapomnianych bohaterach, bo to tylko banda przegranych. Nam za to wznoszą pomniki, naszymi imionami nazywają ulice. Tak to wygląda, na tym świat polega.

Félix wiercił się obok mnie i zaciskał pięści. Tym razem to ja kopnęłam go ostrzegawczo.

- Pani chce wiedzieć, co się stało z pani mężem. Powiem pani, że ostatnio słyszę nazwisko pani męża stanowczo zbyt często. Powiem pani, że zaczynam mieć dosyć pani męża i przyjaciół pani męża. Człowiek mojego pokroju bywa nie tylko w pałacach, jak już mówiłem. Człowiek mojego pokroju musi też stykać się z ludźmi poślednimi, z szaraczkami. Przyjaciele pani męża to parweniusze. Usiłują w parę lat osiągnąć taki sam status, jaki moja rodzina i jej podobne wypracowujemy od pokoleń. A tego się oczywiście nie da zrobić. Porządek świata, o którym wspomniałem, to struktura społeczna istniejąca od tysiącleci. Ta rzeczywistość powstawała od początku dziejów, rządzi się pewnymi normami, ma swoją hierarchię. A parweniusze zawsze wszystko płaczą. To ignoranci i na dodatek drobni sklepikarze, ale, widzi pani, są niezbędni, bo ktoś musi odwalać brudną robotę, a parweniusze zrobią wszystko, żeby tylko się im lepiej wiodło. Dla nas są, jak by to powiedzieć, zwierzętami domowymi: kiedy stają się kłopotliwe, kiedy stają się krnąbrne, wymieniamy je na inne i cześć pieśni. To trochę kosztowny system, ale bardzo skuteczny. Tłumaczę to pani, bo właśnie teraz znajdujemy się w takim momencie odnowy. Pani chce wiedzieć, co się stało z pani mężem, a my z kolei mamy już dosyć tych durni. Dlatego pomogę pani: niech pani czeka spokojnie, bo niedługo dostanie pani informacje z pierwszej ręki. I niech pani powie to sędzi Martinie, niech pani jej zakomunikuje, że z prawdziwą przyjemnością deklaruję współpracę. Niepotrzebne mi kłopoty. Jeżeli pani zrozumiała wszystko, co powiedziałem, to orientuje się już pani, że nie interesują mnie skandale, bo ja sam jestem częścią ładu i porządku. Niech pani to powie sędzi.

Może jak sobie nawzajem wszyscy pomożemy, to położymy kres tej idiotycznej sprawie. Co pani na to?

- Widzi pan, jestem panu wdzięczna za gotowość udzielenia pomocy, ale chciałabym...

- Czyli rzecz została załatwiona - przerwał mi i wyciągnął dłoń na pożegnanie. - Proszę pozdrowić ode mnie poczciwego van Hooga.

Oprychy przy sąsiednim stoliku podniosły się, żeby nas odprowadzić do wyjścia. Spotkanie ewidentnie dobiegło końca, a ton głosu Handlarza Dyniami aż nadto czytelnie sugerował, żeby uciekać w te pędy. Ale Félix oparł obydwie pięści na marmurowym blacie i pochylił się do przodu. Tamten siedział, my staliśmy otoczeni przez goryli.

- Miara człowieczeństwa - odezwał się Félix.

- Co? - zapytał Handlarz Dyniami.

Jeden z ochroniarzy chwycił mojego sąsiada za łokieć, ale szef skinieniem głowy dał mu znak, żeby go puścił.

- To, co pan powiedział wcześniej - ciągnął Félix. - Ze niby po co zachowywać się z godnością. To miara tego, kim jesteśmy. Bo my, ludzie, nie umiemy wyobrazić sobie tego, co nie istnieje. Jeżeli potrafimy mówić o takich rzeczach, jak radość, solidarność, miłość i piękno, to tylko dlatego, że one naprawdę istnieją, bo są częścią ludzkich istot, podobnie jak okrucieństwo czy egoizm. W sytuacjach ekstremalnych ujawniają się, dlatego dochodzi do czynów wszelkiego rodzaju, i wzniosłych, i podłych. A czemu na przykład służyło poświęcenie ludzi z pułku Alcantara? Temu, żebyśmy pozostali sobą. Ich śmierć, bezużyteczna z praktycznego punktu widzenia, potwierdziła także tę stronę naszej natury. Ze nawet w najcięższej sytuacji bywamy zdolni do wielkości. Gdyby pod Annuałem nie doszło do ani jednego aktu heroizmu, czyli gdyby w ludziach nie istniał ten automatyczny odruch szlachetności, świat byłby miejscem nie do wytrzymania, a ludzie przypominaliby dzikie bestie.

- Możliwe - odparł tamten, kokieteryjnie przyglądając loczki na karku. - Może i pan ma rację. Ale w takim przypadku i w takim świecie ja należałbym do rasy panującej, do tych dzikich bestii, a pan, drogi Fortuno, byłby tym samym, czym pan jest teraz, czyli beznadziejnym przegranym. Starym, biednym i w dodatku anarchistą. Współczuję życiorysu, drogi przyjacielu. Brnie pan od jednej klęski do następnej.

Czyli wiedział wszystko. Ze dogadałam się z sędzią Martińą, że Félix należał do CNT. Wyglądał na picowatego garderobianego, na bogacza z operety, ale wiedział wszystko. Siedział pewien siebie, rozpromieniony i zadowolony z własnej kondycji. Baśnie i przypowieści nie mówią prawdy. Żli nie zawsze płacą za swoją nieszczemność, dobrzy nie zawsze zostają wynagrodzeni, łotrów nie zawsze dręczy niepokój i strach. Przeciwnie, do niezliczonych nędzników uśmiecha się szczęście. Chwyciłam Feliksa za ramię i pociągnęłam go ku sobie.

- Idziemy.

Dał się wyprowadzić, jakby lekko oszołomiony. Junacy w szarych ubraniach odprowadzili nas do wyjścia i tam zostawili. Przekroczyliśmy we trójkę próg Paraiso i zaraz się zatrzymaliśmy na chodniku, mając nadzieję, że chłodna noc ześle na nas spokój. Po płaskich dachach domów przechadzał się piękny, niebieskawy, zimowy księżyc w pełni. Staliśmy dobrą chwilę bez ruchu, być może zbyt wycieńczeni, by cokolwiek zrobić. Ten dzień zdawał się nie mieć końca. Najpierw odkryliśmy zdradę Garcii, potem o mało co nie wylecieliśmy w powietrze na skutek uszkodzenia piecyka gazowego, następnie inspektor usiłował mnie porwać, później sędzia objawiła mi, że Ramón jest bezapelacyjną świnią, na finał zaś niewydarzony mafioso jął nas przekonywać, że świat należy do niego. A wszystko to bez chwili na posiłek, z marnym kawałkiem sera w żołądku. Byliśmy wyczerpani, a nasze zmęczenie za bardzo upodobniło się do klęski. Z góry ciemność spoglądała na nas krzywo swoim jednym, nieprzychylnym okiem - księżycem.

Rezygnacja - to słowo najlepiej określa klęskę. Życie to długa i męcząca podróż. Przypomina pociąg dalekobieżny, który co jakiś czas musi przejechać przez tereny objęte wojną albo po prostu dzikie. Droga usłana jest niebezpieczeństwami i łatwo się wykoleić. A cel można stracić na różne sposoby. Na przykład pognać bezpośrednio do piekła, co przez parę lat było udziałem Feliksa Robie. Inni wprawdzie nie wypadają z torów, za to stopniowo zmniejszają prędkość, z dnia na dzień jadą coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymują się na amen i zostają w miejscu, na wpół nieżywi, pogrążeni w beczynności i degrengoladzie, a ich ciała i myśli rdzewieją, jak blacha, z nieubłagany wpływem czasu.

To właśnie przydarzyło się Lucii Romero. W podobnej sytuacji nasza bohaterka znajdowała się na początku niniejszej książki.

Którejś nocy Ramón i ona kochali się. Czasem tak było: Ramón nalegał, a ona nie widziała powodów, żeby oponować. Ramón natęzał się, a Lucia marszczyła czoło. W łóżku czoło było jedyną częścią ciała Lucii, która funkcjonowała bez przymusu: brwi zbiegały się na znak niechęci, aż w rezultacie bolała ją skóra. Owej nocy padało, krople deszczu bębniły delikatnie o parapet w kuchni - pas blachy cynkowej rozłożonej na zbiorniku zabezpieczającym przed zalaniem. Lucia wsłuchiwała się w lekki stukot kropel, który dochodził do sypialni, a Ramón tymczasem uwijał się przy jej znieczulonym, kto wie, może martwym ciele. Już od tysiąca lat Lucia nie czuła własnego ciała, nie pragnęła zagubić się w męskich ustach, nie lgnęła do męskiego ciała. Teraz zносиła tylko sapanie Ramona i rozmyślała o rekinach, szczęśliwych stworzeniach dysponujących kilkoma garniturami zębów, dzięki czemu gdy stracą jedne, mogą zastąpić je następnymi. Bębnił deszcz o cynk w

kuchni, a każda kropla pochłaniała kolejną sekundę, stracony czas życia. Gdzie zatrzyma się ów stracony czas? Może powalęsa się jeszcze po bezdrożach przedpiekła, pośród nienapisanych książek, niewypowiedzianych słów, nieprzeżytych uczuć i zębów Lucii, tych prawdziwych, wyrwanych z korzeniami w wyniku tamtego głupiego wypadku. Teraz Lucia miała zęby z żywicy i ciało z drewna, kompletnie nieczułe na dotyk dłoni Ramona. Czy nigdy już nie poczuje pożądania? Puk, puk, puk - odpowiedział deszcz. A Lucia zrozumiała: nigdy więcej, nigdy więcej. No - powiedziała w duchu - nie ma co, poddałam się. I prawie odczuła spokój.

Z tego grobowego, śmiercionośnego spokoju wyrwały ją porwanie, przyjaźń z Feliksem i przede wszystkim miłość Adriana. Jeśli przeżyliście kiedykolwiek miłosne uniesienie, to zrozumiecie gorączkę Lucii, bo uniesienie lubi się powtarzać: to jak siedzieć w kinie ciągle na tym samym seansie, kiedy wyświetlają raz za razem ten sam film z tym samym amantem. I mimo że Adrian był od niej dwadzieścia lat młodszy, wiercie mi, że w tym uniesieniu Lucia nie czuła się starsza nawet o minutę od owego chłopaka, bo gdy miłość zawraca nam w głowie, wszyscy głupiejemy i młodniejemy. Ale miłość po grób trwa najczęściej ze trzy miesiące. Jeśli sprawy ułożą się dobrze, uniesienie staje się miłością na całe życie, czyli mniej więcej jeszcze na dwa lata. W sumie więc konwulsja sercowa zazwyczaj obejmuje okres dwuipółletni. Mając na uwadze powyższą regułę miłości, niepisaną, ale za to ewidentną jak dziura ozonowa, Lucia nie powinna była martwić się różnicą wieku, jaka dzieliła ją i Adriana - przecież zanim lata uczynią z niej strupieszalą babinę, ich związek ulegnie kompletnemu zwapnieniu (co, jak się dobrze zastanowić, jest krzepiącą myślą). A jednak Lucia przejmowała się, iowszem. Nie tylko różnicą wieku, ale przede wszystkim różnicą ich potrzeb.

Początkowo było radosne szaleństwo, bo na progu miłości ludzie zawsze okazują się uroczy, niezmordowanie czuli i oddani, słowem: wspaniali. Z czasem ten epicki szal przemija, a na wierzch wypływają nasze 'małe życia. No i drobne życia Adriana i Lucii też się wynurzyły i zaczęły się zderzać ze sobą jak góry lodowe dryfujące po coraz bardziej zamarzniętym oceanie.

- Czekałem na ciebie przez całe moje życie - mówił Adrián do Lucii, nie zauważając, że takim komplementem nie mógł jej zaimponować. - Jestem pewien, że znamy się z poprzednich wcieleń, śniłem o tobie od dziecka.

Był jeszcze chłopcem i mylił pragnienie kochania z miłością. Emanowało z niego takie pożądanie, że powietrze wokół aż wibrowało. W miarę jak dni upływały, a godziny się kurczyły, w ich związku rosło coraz większe napięcie, Adrián zaś coraz częściej wypowiadał

swoje liryczne deklaracje.

- Kocham cię, tak cię kocham, tak bardzo cię kocham... - skomlał na Lucii, błyszczący od potu i wyczerpany.

Poszukiwał Raju, bo nie wiedział, że takie miejsce nie istnieje. Poszukiwał dopełnienia, ale jego wewnętrzna czarna dziura wciąż się powiększała. Pojawiały się szorstkie gesty, padały cierpkie słowa. Pewnej nocy Adrián kolejny raz oznajmił Lucii:

- Chcę się z tobą ożenić, chcę być z tobą zawsze.

- Nie zapominaj, że nadal jestem żoną Ramona.

- No to zamieszkajmy razem. Jesteśmy parą, nie rozumiesz tego?

- A po co taki pośpiech? Czy nam źle? Masz jeszcze całe życie przed sobą... - zaczęła tłumaczyć Lucia, jak po tylekroć przedtem.

Ale w tym momencie puściły mu nerwy. Skoczył na równe nogi (leżeli nago w łóżku) i unióśł ją w górę, trzymając ramiona. Wpite w jej ciało dłonie Adriana przypominały teraz obcęgi, imadła do tortur.

- Puść, boli!

- Dlaczego taka jesteś? Dlaczego mnie tak traktujesz? Dlaczego mi to robisz?

Doprowadzasz mnie do szału!

- zawył ochryple, poczerwieniały na twarzy.

Mówiąc to, potrząsał nią jak kukłą, jej stopy ledwie muskały podłogę, głowa latała jak serce dzwonu. Teraz mogę umrzeć - pomyślała Lucia - teraz może mnie zabić, wiem, takie wstrząsy potrafią okazać się zgubne. Ale nim ta nagła początkowa panika zdążyła urosnąć do głębokiego, zniewalającego strachu, Adrián rozwarł dłonie. Lucia opadła na pięty. Teraz stał, wpatrywał się w nią, twarz mu się mieniła i ledwie można go było rozpoznać, bo w owej chwili sam z trudem się rozpoznawał.

- Przepraszam... O mój Boże... Strasznie cię przepraszam, Lucia...

Trwali tak parę sekund naprzeciwko siebie, porażeni i niezdolni wypowiedzieć choćby słowa. Wreszcie on wyciągnął rękę i nieśmiało, delikatnie przesunął palcem po jej policzku. Palec dotarł do kącika jej ust, przewędrował różowym skrajem warg, w końcu jednym drobnym ruchem wsunął się do wilgotnego i ciepłego wnętrza. Wynurzył się stamtąd pokryty śliną i rozpoczął podróż szyją w dół, dalej przełęczą między piersiami, potem po wybrzuszeniu pępka, gdzie zatrzymał się na parę chwil jak w oazie. Ostatni etap ekspedycji pokonał z pośpiechem, szukając miejsca na popas między pachwinami. Z tym palcem w środku Lucia upadła plecami na łóżko. Adrián wspiał się na swoją kobietę z taką samą determinacją, z jaką przemarznięty Szerpa wdrapuje się na ostatni garb grani Everestu. Cała

chwała i cały ogień cielesny z pierwszych dni przeistoczyły się teraz w znojną robotę, w strach przed niemożnością sprostania własnym żądom. Lucia czuła na sobie chłopaka, ale w rzeczywistości widziała go bardzo daleko, uwięzionego we własnym wnętrzu, zziąjanego galernika, który wypruwa z siebie mechaniczny, wściekły orgazm. Wreszcie osiągnąwszy cel, objął Lucię.'

- Nigdy nie sądziłem, że mógłbym kochać kogoś tak bardzo, jak Kocham cię - powiedział z płaczem.

A ona z całą wyrazistością pojęła, że to koniec tej historii.

Po spotkaniu z wielkim mafiossem nie pozostało nam nic innego, jak czekać na następne wydarzenia. Po prawdzie czyniliśmy to od początku powieści, czekaliśmy, aż ktoś po nas przyjdzie albo do nas zadzwoni, albo jakoś się skontaktuje. Byliśmy więc skazani na bierność i kompletnie zbici z tropu. Zaczynałam odnosić wrażenie, że moje mieszkanie jest czymś na kształt sceny teatralnej, na której ktoś wystawia wodewil, bohaterowie bez ustanku wchodzą i wychodzą, a każdy wypowiada wcześniej uzgodnione kwestie. Aczkolwiek w tym przedstawieniu czarne charaktery grały tak świetnie, że zachodziła obawa o własne życie.

- Niech się państwo nie boją, ciche poparcie, jakiego udzielił państwu Handlarz Dyniami, gwarantuje, że nikt nie ośmieli się was tknąć - powiedziała sędzia Martina, kiedy opowiedzieliśmy jej o naszym spotkaniu.

Na pewno miała rację, chociaż niedobrze mi się robiło na myśl, że miałabym być za cokolwiek wdzięczna temu łotrowi o wysmarowanych brylantyną włosach. W każdym razie wróciliśmy do domu względnie uspokojeni i zasiedliśmy wokół kuchennego stołu, skracając sobie oczekiwanie zajadaniem pomarańczy i picciem gorącej kawy z mlekiem.

Wieczorem, nazajutrz po spotkaniu w Paraíso, rozległ się dzwonek do drzwi. Zerknęłam przez wizjer: ktoś zasłaniał mi całe pole widzenia rudą, kędzierzawą czupryną.

- To chyba ten bandzior, ten, co nas napadł po spotkaniu z Chińczykiem - wymamrotałam trwożliwie.

Przez chwilę staliśmy sparaliżowani, nie bardzo wiedząc, co robić. W tym momencie zza drzwi dobiegł nas donośny przerażony głos:

- Lucia! Błagam, Lucia! Pomóż mi!

To był Ramón. Bez wątpienia był to Ramón. Popatrzyłam znów przez wizjer: teraz wyraźnie widziałam zadowoloną twarz bandyty, za którym majaczyła sylwetka jakiegoś innego mężczyzny. To mógł być mój mąż.

- Błagam, Lucia! Tylko na ciebie mogę liczyć!

- Muszę otworzyć - szepnęłam skonsternowana.

Félix skinął głową przyzwalająco, natomiast Adrián, który ostatnimi czasy nabawił się ostrej nienawiści do Ramona, fuknął nerwowo i z irytacją. Odemknęłam wszystkie zamki i uchyliłam drzwi, zostawiając łańcuch. W szparze pojawili się Pan Ładny i jeszcze jeden, młodszy. Mojego męża ani śladu. Rudzielec uśmiechnął się nieprzyjaźnie: trzymał w dłoniach mały dyktafon, właśnie przewijał taśmę. Wreszcie puścił nagranie od początku. Jeszcze raz rozległ się rozpaczliwy głos Ramona:

„Lucia! Błagam, Lucia! Pomóż mi! Błagam, Lucia! Tylko na ciebie mogę liczyć! Jestem w strasznej sytuacji! Nie zostawiaj mnie samego! Błagam, pójdz z tymi ludźmi! Obiecali mi, że nic ci nie zrobią! Zaprowadzą cię do mnie i pozwolą nam porozmawiać przez chwilę! Błagam, Lucia! Jestem uwięziony, jak nie przyjdiesz, to nie wiem, co się ze mną stanie!”.

Facet wyłączył dyktafon i uśmiechnął się jeszcze szerzej, wykrzywiając usta w diabelskim grymasie.

- Błagam, Lucia... - powtórzył kpiąco. I pokazał dłońią na łańcuch.

No, dokładnie na to czekaliśmy. Przecież Handlarz Dyniami obiecał: „Niedługo dostanie pani informacje z pierwszej ręki”. Właśnie spełniała się jego obietnica. Przynajmniej taką miałam nadzieję. Miałam nadzieję. Drżącą ręką zdjęłam łańcuch. Rudy pchnął drzwi palcem i dumnie wkroczył do środka, Adrián zaś, Félix i ja wycofaliśmy się do salonu. Kiedy Suka-Foka rozpoznała Pana Ładnego, zerwała się przerażona i usiłowała się schować pod sofą. Zdołała tam wepchnąć tylko głowę, reszta jej korpulentnego ciała wystawała na zewnątrz.

Rudzielec zaczął przechadzać się po pokoju, tu podniósł książkę, tam wziął do ręki jakieś zdjęcie, przejechał palcem po półkach, jakby sprawdzał stan higieny w mieszkaniu. Sardoniczny uśmieszek ani na chwilę nie zniknął z jego twarzy. Najwyraźniej chciał nas podenerwować. Ten drugi, dużo młodszy i bardzo podobny do klonów w szarych garniturach, zatrzymał się przy wejściu do salonu. Stał w rozkroku, dłonie miał splecione. Był tępy i umięśniony.

- Tak, tak, tak... - odezwał się w końcu Pan Ładny.

- Zdaje się, że masz przyjaciela na górze.

Mówił, nie patrząc na nas, zajęty własnym odbiciem w lustrze na ścianie. Przyjrzał się sobie en face, lekko klepnął się wierzchem dłoni po ledwie zarysowanym podwójnym podbródku, wreszcie z zadowoloną miną oszacował obydwie półprofile, najpierw prawy, później lewy. Młasnął tymi swoimi ustami przedwojennego amanta i uśmiechnął się ponownie.

- A ten przyjaciel chce, żebyś spotkała się z mężem.

- Gdzie on jest, jak się czuje? - spytałam.

Rudzielec błyskawicznie stanął przede mną. Obrócił się z niewiarygodną prędkością i jednym susem znalazł się tuż koło mnie. Prawą dłonią chwycił mnie za twarz i tak ścisnął policzki, że usta wysunęły mi się do przodu, jakbym była rybą.

- Już ci mówiłem, żebyś nie zadawała tylu pytań. Mówiłem.

Adrián pospieszył mi z pomocą, ale kiedy do nas podszedł, zbir zdążył mnie puścić.

- Te, nie dotykaj jej - powiedział mój kochany Adrián, jak przystało na bohatera filmowego, i szturchnął tamtego w ramię.

Chwilę potem upadł na kolana.

Przypuszczalnie bandzior zdzielił go piąchą w splot słoneczny, chociaż ja nie zdołałam zauważyć najmniejszego ruchu. Pochyliłam się nad chłopakiem, który spazmatycznie usiłował złapać oddech.

- Zwierzę! - krzyknęłam.

- Spokojnie, dzidzia. Spokojnie - odrzekł rudy palant.

- Chodzi tylko o darmowy przewóz. Zawiozę cię, dzięki czemu nie musisz płacić za taksówkę. Po co nam niepotrzebne nieprzyjemności?

Posadziłam dyszącego Adriana na sofie i starałam się uspokoić.

- Dobra. Jak tylko on poczuje się lepiej, możemy jechać.

- „Możemy”? Jacy my, laleczko? Tylko ty jedna masz bilet na tę podróż. Tych dwóch zostaje.

Rozległ się ochryply głos Feliksa:

- Tak nie będzie. Nie pozwolimy, proszę pana, żeby pojechała z panem sama.

Rudzielec wybuchnął śmiechem.

- Co tam gadasz, dziadku? Że nie pozwolicie na co?

- spytał ubawiony.

Félix zbliżył się do niego, z lekka kulejąc. Włosy stanęły mi dęba. Jeśli tamten rąbnie Feliksa tak jak Adriana, mój sąsiad rozpadnie się na pół.

- Zostaw, Félix. Daj spokój, zostaw - odezwałam się z niepokojem.

Ale Félix kontynuował swój uparty, żółwi marsz, aż wreszcie dotarł przed oblicze łajdaka.

- Masz zostawić, dziadu, nie słyszałeś, ty głąbie? - rzekł rudzielec, wykrzywiając pogardliwie usta i chwycił Feliksa za klapy.

Muszę coś zrobić - pomyślałam - muszę zainterweniować. Stali na środku salonu, parę

metrów przede mną, Félix tyłem do mnie, zbir twarzą. I wtedy stało się coś, czego warto było dożyć: oblicze rudzielca zaczęło blednąć, aż osiągnęło barwę popiołu. Zobaczyłam, jak ostrożnie puszcza Feliksa. A potem zorientowałam się, że Félix wbił mu w brzuch lufę swojego pistoleciska.

- No. Odwróć się.

- Ostrożnie, dziadku, licho wie, co siedzi w środku tej zabawki...

- Odwróć się!

- Już, już.

Młodzieniaszek, który czekał przy drzwiach, zrobił dwa kroki w naszą stronę, ale pistolet Feliksa, zręcznie wycelowany to w jednego, to w drugiego, zatrzymał go w miejscu. Coś w wyrazie twarzy i ruchach mojego sąsiada, w jego spokoju i swobodzie, z jaką posługiwał się bronią, zmuszało do posłuszeństwa, tak groźne sprawiał wrażenie. Rudy stanął do niego plecami. Wówczas Félix chwycił kołnierz jego marynarki i mocno pociągnął w dół. Marynarka wywróciła się na lewą stronę i zsunęła, zatrzymując się w pół drogi i krępując ręce mafiosa. Félix, zręcznie manewrując palcami, wyjął rudzielcowi broń z odsłoniętej kabury.

- A teraz kładź się na podłozie, nogi rozsunięte.

- Spokojnie, dziadziu...

- Kładź się, bo strzelam.

Pan Ładny opadł niezgrabnie na wykładzinę i wyrznął w nią podbródkiem, bo ręce miał skrępowane. Adrián wstał z sofy, ciągle skulony.

- Trzeba rozbroić drugiego! - powiedział, kierując się ku drzwiom.

- Cicho, nie zbliżaj się do niego! - powstrzymał go Félix. - Ty, zdejmuj marynarkę.

Młody goryl spojrzał niepewnie na Feliksa.

- Rób, co ci każe, durniu! - jęknął Pan Ładny z podłogi. - Bo jak nic nas pozabija!

Félix kopnął rudzielca w bok czubkiem buta. Tamten odpowiedział krótkim krzykiem.

- Co, chcesz, żeby nas zabił, tak? - warknął stary.

- Nic takiego nie mówiłem!

- Jak to nie? Sam słyszałem! „Teraz ich masz pozabijać”, tak powiedziałeś do tego młodego.

- Nie, nie! „Bo jak nic nas pozabija”, tak mówiłem, tak powiedziałem! „Bo jak nic nas pozabija”!

Félix poskrobał się po głowie nieuzbrojoną dłonią.

- Aha. Czyli że źle usłyszałem. Przykro mi z powodu tego kopniaka. Jestem nieco przygłuchy. No, jak tam z marynarką?

Młodzieniaszek zdążył już ją zdjąć i upuścić na podłogę. Też miał pod pachą kaburę.

- Weź pistolet w dwa palce, bardzo powoli, i rzuć go na sofę.

Chłopak wykonał polecenie.

- A teraz chodź tu, weź tę lampkę i zwiąż temu ścierwu nogi i ręce przewodem.

Félix miał na myśli niewielką lampkę z drewna, której abażur zrobiony był z imitacji lamparciego futra - postmodernistyczny bibelot o bardzo długim kablu, stojący na stoliku w kącie. Goryl wziął lampkę i dokładnie związał rudego.

- Pomóż mu wstać.

Teraz zbir nie robił już takiego groźnego wrażenia - nogi miał związane, ręce na plecach, marynarkę skotłowaną między łokciami, a z nadgarstków zwieszała mu się lampka ze sztucznym lampartem. Ponaglany pistoletem Feliksa rudzielec drobnymi skoczkami skierował się ku wielkiej szafie w ścianie przedpokoju, gdzie został zamknięty na wszystkie spusty.

- Porąbało cię, stary, już nie żyjesz, jeszcze mnie popamiętasz! - groził buńczucznie z tamtej strony drzwi. Odzyskał riieco tupetu, widząc, że nie zostanie zastrzelony.

Félix spokojnie zwrócił się do drugiego gangstera.

- A teraz ty zawiesz nas tam, gdzie miałeś nas zawieźć. Ale wszystkich. Zgoda? Tylko spokojnie. Nie chcemy tu awantur.

Młody wzruszył ramionami.

- A co mi tam.

Jazda samochodem zabrała trochę czasu. Wyjechaliśmy z Madrytu szosą na La Coruñę. Młodzieniaszek prowadził, obok niego siedział Adrián. Félix i ja z tyłu. Początkowo Félix przytykał gorylowi lufę do karku, ale po paru kilometrach chłopak zaprotestował w kulturalny sposób:

- Przepraszam pana, ale tu jest sporo wybojów i może się coś stać.

Félix uznał to za słuszną uwagę i opuścił broń. Były to, nawiasem mówiąc, jedyne słowa, jakie chłopak wypowiedział przez całą drogę. Jechał milcząco, nieobecny i znudzony, jak zawodowy szofer pokonujący znaną mu na wylot trasę turystyczną. Wreszcie dotarliśmy do celu, czyli do psiarni w okolicach Valdemorillo, która, jeśli wierzyć reklamom na tablicach, specjalizowała się w hodowli dobermanów. Facet zahamował, a Félix poklepał z uznaniem jego potężne plecy.

- Bardzo ładnie się spisujesz, mały. Zobaczmy, czy dalej też będziesz taki grzeczny.

- Nie przynudzaj, dziadku - odparł tamten ze spokojem, niemal uprzejmie, jakby naprawdę był wnukiem Feliksa.

Po czym wysiadł i ruszył przed siebie wielkimi krokami. Pospiesznie podążyliśmy za nim.

Psiarnia była potworną budowlą z betonu i żółtej cegły, przypominającą zamek. Ledwie było ją widać zza sosen i gęsto tu rosnących żywopłotów. Zaparkowaliśmy na wyłożonym płytami dziedzińcu przed wejściem. Wokół nie było nikogo, nie licząc psów, które czyniły niebywały harmider w swoich boksach z metalowej siatki. Zwierzaków musiało być co najmniej kilkanaście.

Chłopak skierował się prosto do największej z klatek, przylegającej do ściany domu. Wewnątrz ujadły wściekle trzy rosłe dobermany, wiedzione morderczym instynktem. Chłopak wyciągnął mały gwizdek, który miał zawieszony na szyi na łańcuszku, i zagwizdał dwukrotnie. Słyszac to, psy natychmiast się uspokoiły, podkuliły ogony pod siebie i odbiegły w najdalszy kąt klatki, gdzie potulnie przycupnęły. Goryl otworzył boks.

- Proszę.

- Serio? - spytał Adrián, zerkając z ukosa na trzy monstra.

- Łagodne jak baranki. Tę po prawej sam karmiłem butelką.

Weszliśmy do klatki gęsiego i skierowaliśmy się ku przeciwległej ścianie. Tu facet pomajstrował coś przy dwóch ceglach i nagle otworzyły się zamaskowane drzwi. Za nimi znajdowały się drugie drzwi z kołatką, a dalej zwykły pokój: drewniana podłoga, kilka krzeseł, stół i jeszcze troje zamkniętych drzwi. Przy stole siedziało i grało w karty trzech zbirów w średnim wieku i o koszmarnym wyglądzie. Byli w samych koszulach, pod pachami mieli kabury z bronią. Zupełnie nie wyglądali na lewackich terrorystów, raczej na statystów z filmu gangsterskiego. Na nasz widok wstał najstarszy z nich. Był łysy, zęby miał zepsute i żółte.

- To jest przesyłka? - spytał, wskazując nas podbródkiem.

- No - odparł młody. - Przecież nie turyści japońscy.

Tamten nic nie odrzekł. Wycelował we mnie palec zakończony potwornie brudnym paznokciem.

- Tylko ona wchodzi do męża. Reszta niech tu czeka.

Odezwałam się szybko, żeby uprzedzić Feliksa i jego pistolet.

- Dobrze. Dobrze! Czekaście tu na mnie.

Właściciel przegniłych zębów ruszył w kierunku jedynej drzwi, które miały zamek. Wyjął z kieszeni klucz, otworzył i odsunął się na bok, żeby mnie przepuścić. Za plecami usłyszałam ponowny zgrzyt klucza.

- Lucia...

Ramón zeszczupłał, włosy miał w nieładzie. Stał na środku pomieszczenia w tandetnej piżamie i kapciach, blady i drżący. Biedny Ramón. Podbiegłam do niego, padliśmy sobie w objęcia. Mój mąż jęknął cicho nad moim uchem.

- Dzięki, że jesteś. Dzięki, że jesteś.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. Źle. Nie, dobrze. Nie martw się.

Usiedliśmy na łóżku, bo było. tam też łóżko, i chwyciłam go za dłonie. U lewej mały palec świecił nieobecnością. Rana po amputacji ładnie się zabiłiżniła, ale jeszcze była miękka i różowa. Pogładziłam pozostałe cztery uratowane palce i powstrzymałam się od płaczu.

- Oj, Ramón, Ramón... W coś ty się wpakował?

- Wszystko ci wytłumaczę. Wszystko. Szantażowali mnie. Musiałem to zrobić. Grozili, że mnie zabiją, że zrobią ci krzywdę. Musiałem to zrobić.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem, choć wyglądało na to, że mówi szczerze. Może sędzia myli się co do Ramona. Ostatecznie sama mówiła, że w całej historii jest jeszcze sporo niejasnych punktów. Rozejrzałam się: siedzieliśmy w małym pokoiku bez okien, ale całkiem przytulnym, z wersalką, regałem pełnym książek i telewizorem.

- Ale przecież już zapłaciliśmy, dlaczego cię nie puszczają?

- Bo ja ich znam, bo ich widziałem. Albo może trzymają mnie jako zakładnika, sam nie wiem. Ale wczoraj powiedzieli, że mnie uwolnią. Zdaje się, że jacyś ważni ludzie domagają się zakończenia sprawy.

Biedny Ramón. Siedział na krawędzi łóżka, kolana trzymał razem, odziany w lichą piżamę. Przypominał dziecko, które boi się ciemności. Jego twarz tak znajoma, jego zmarszczki, mały zygzak na podbródku, ślad po kocich pazurach sprzed wielu lat. Dezynfekowałam mu wtedy ranę wodą utlenioną, a on syczał i popiskiwał.

- Oj, Ramón, Ramón.

Nie wiem, jak do tego doszło. Pewnie z nerwów, z emocji na skutek spotkania po tylu miesiącach, a może ze wzruszenia, że widzę go tu w zamknięciu, w łapach tamtych obrzydliwców. W każdym razie objęłam go, potem on objął mnie, ja go pocałowałam w policzek, on mnie pocałował w usta, padliśmy na łóżko, a tanie piżamy strasznie łatwo rozpiąć. Próbowaliśmy się opierać, bo sytuacja była cokolwiek niewłaściwa: porywacze w każdej chwili mogli wejść i nas przyłapać. Ale z tego samego powodu poczułam nieopisane podniecenie, Ramón pociągał mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek. Nawet nie zdołaliśmy się do końca rozebrać, to był najszybszy seks w moim życiu. Szaleństwo, otchłań, błysk. Momentalnie odsunęliśmy się od siebie, bez tchu, w oszołomieniu poprawiając ubranie.

- A kiedy... kiedy mówisz, że cię wypuszczą? - spytałam, jeszcze nie bardzo przytomna, usiłując odzyskać spokój i rozsądek, a jednocześnie szperając pod łóżkiem w poszukiwaniu jednego buta.

- Natychmiast, ale musiałem im coś obiecać - odparł Ramón.

- Co?

Ton jego głosu wcale mi się nie spodobał.

- Musiałem im przyrzec, że wyjadę daleko. Do Brazylii, do Ameryki Środkowej, na Mauritius czy w jakieś takie miejsce.

- Jak to?

- Tak, muszę zniknąć na parę lat! Żeby policja mnie nie przesłuchiwała, rozumiesz?

- Nie. Nie rozumiem. Bardzo to wszystko dziwne.

- To jasne jak słońce. Ja wyjeżdżam, ty spokojnie czekasz. Jak tylko będę mógł, zadzwonię do ciebie i powiem ci, gdzie jestem. A ty przyjedziesz do mnie w odwiedziny albo może nawet zamieszkas z mną, jeżeli chcesz. Albo trochę mieszkas z mną, a trochę w Madrycie. Przez parę lat. Aż Duma Robotnicza o mnie zapomni.

- Ramón, ja niczego nie rozumiem. Mówisz mi jakieś absurdalne rzeczy. Czy ty coś ukrywasz przede mną?

- Ja? Niczego nie ukrywam. Przysięgam, kochanie, przysięgam. Czy ja cię kiedyś okłamałem? - odpowiedział z natarczywą gwałtownością. A potem nagle zamilkł z otwartymi ustami i tylko patrzył na coś, przed siebie, szklistym wzrokiem.

Odwróciłam się, podążając za jego spojrzeniem: w drzwiach pojawił się inspektor Garcia. Był to bowiem Garcia, choć wyglądał zupełnie inaczej. Miał na sobie beżowe spodnie z tergalu, obcisłe w zadku, i czarną skórzaną kurtkę, bardzo punkową. Poza tym był inaczej uczesany, a najdziwniejsze, że się uśmiechał. Z kieszeni spodni wystawał mu breloczek z flagą Hiszpanii. Przedtem robił wrażenie szarego funkcjonariusza policji, zupaka z archiwów, a teraz – policjanta-oprycha i drania, takiego, co wybijają zęby aresztowanym.

- Wolnego, miocie. Przestań pani nawijać głodne kawałki i powiedz prawdę.

Ramón pozieleniał.

- A... ale co pan mówi? - wybelkotał.

- Żebyś się, facet, wyluzował. Przegraliśmy. Ta kurwa z sądu wszystko wie. Fiuty z góry nas sprzedały, czyli że koniec pieśni. Prokuratura lada chwila nas wygarnie jak kaczkę, niżej podpisany się ulatnia. Ty sobie radź sam, jak zakombinujesz, tak wylądujesz. Ale opowiedz jej, opowiedz swojej lalce całą historyjkę, może uda się nam zapudłować paru palantów, zanim znikniemy.

- Ale pan... - odezwałam się zdumiona. - Ale pan to nie pan. Ubrany inaczej, mówi pan inaczej...

- Naturalnie - odparł Garcia z dumnym, chępliwym uśmiechem. - Zrobiłem cię w konia, nie? Sztuczka aktorska, nic innego. Znaczący, zachowywałem się tak, bo wiesz co? Pomyślałem, że w ten sposób będę mniej podejrzany. I wiesz co? Umiem też naśladować Colombo. Udawanie to dla mnie malina. Kupę razy działałem w przebraniu. Dzisiaj jestem ćpunem, jutro księdzem. W komendzie mówią na mnie Marlon, że niby Marlon Brando. I wiesz, na co cała ta przebieranka? Żeby teraz wrobiło nas paru fiutów.

Zwróciłam się do męża:

- Co tu się dzieje?

Ramón poczerwieniał.

- Wszystko ci wytłumaczę, wszystko wytłumaczę, zaraz zobaczysz.

- Nie chcę, żebyś mi tłumaczył! Już wiem, ile są warte twoje tłumaczenia. Masz mi opowiedzieć od początku do końca. Wszystko. I bez przymiotników. Słyszałeś? Gołą prawdę.

- Ja ci opowiem, mała. Sam ci powiem. Twój mąż, hoho, od'lat zgarnia gigantyczne ekstra pieniądze. To znaczący podprowadzał kasę z ministerstwa, podpisywał zlecenia na fikcyjne inspekcje, te sprawy. Ale nie kradł. Co to, to nie. Jego szefowie też są umoczeni. Wszyscy są umoczeni. Ministrowie, oficerowie, wielcy adwokaci. I jeszcze więksi bankierzy. Ale ostatecznie kozłami ofiarnymi zostaniemy my - ten kapeć, twój mąż, i ja. Nie ma lekko.

Garcia zamilkł na parę chwil, porażony kolejnym atakiem litości nad sobą.

- Czyli że sędzia Martina mówiła prawdę... - mruknęłam.

- A co gadała ta suka? - spytał Garcia.

- Niech sobie pan oszczędzi tych chamskich odzywek, dobrze?

- E, kobieto, nie rób z siebie paniusi, szkoda czasu. Co gadała?

- Że Ramón jest zamieszany w aferę korupcyjną razem z kilkoma ministrami. I że pan też jest w to zamieszany.

- No, zgadza się. Z grubsza. Szczwana suka.

- Lucia, może ja ci to wyjaśnię - wtrącił Ramón, który dotąd przysłuchiwał się w milczeniu naszej rozmowie i tylko wykręcał sobie dłonie.

Spojrzałam na niego z oburzeniem.

- Nie chcę dalszych kłamstw.

- Nie, nie. Tym razem powiem całą prawdę. Widzisz, ja nigdy... Ja nie... Dużo o tym myślałem, szczególnie przez ostatnie miesiące, kiedy siedziałem tu zamknięty, i doszedłem do wniosku, że nigdy nie zrobiłem niczego złego sam z siebie. Jestem zbyt... Chyba zbyt

wielkim tchórzem. I mam nadzieję, że także jestem na to zbyt uczciwy. To znaczy byłem. No, troszeczkę uczciwy to jednak byłem.

- Zaraz się rozplacę, piździelcu - zadrwił Garcia.

- Uważam, że na świecie istnieje garstka ludzi pozbawionych skrupułów - ciągnął Ramón, nie zwracając nań uwagi. - Nie jest ich wielu, ale to prawdziwe kanalie. Ludzie bez zasad, którzy nadużywają władzy i w ogóle.

. - Jakież to szkaradne ptaszki fruwią sobie po świecie... - Garcia zarżał z uciechy.

- I jest też garstka ludzi szlachetnych. Ale naprawdę szlachetnych, takich niezłomnych i prawych, z kręgosłupem moralnym, co to nigdy nie popełnią niczego złego, nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Ale tych szlachetnych też nie jest wielu.

- I Bogu dzięki - zakonkludował Garcia.

- Uważam, że pomiędzy tymi dwiema skrajnościami rozciąga się bezkształtna masa, ogromna większość, ludzie odobrych intencjach, mili, ale słabi, tchórzliwi, nazbyt ambitni, niepewni czy po prostu głupi. Ta masa postępuje wzorowo przez całe swoje życie, o ile zło jej nie skusi. Ale w czasach demoralizacji, nikczemności, korupcji schodzą na drogę przestępstwa albo przynajmniej na nie przyzwalają i stają się współnikami. Przypomnij sobie Trzecią Rzeszę: wszyscy Niemcy wiedzieli o obozach zagłady, ale woleli o tym zapomnieć.

Przemowa mojego męża niepokojąco przypomniła mi dawnego Ramona. Ramona lewicowca, zwolennika postępu, dumnego z przynależności do grupy marksistowskiej podczas studiów, któremu zdarzało się uciekać przed glinami, rzucając ulotki.

- Spore tło historyczne, zważywszy, że chce się tylko powiedzieć, jak bardzo ma się umoczone łapy... - parsknął Garcia.

- Ja właśnie do nich należę, Lucia. Jestem słabym, zwyczajnym przeciętniakiem. Widzisz, nikogo nie skorumpujesz z dnia na dzień. Nie jest tak, że dożywasz czterdziestki wolny od szwindli i nagle wchodzi ci do gabinetu gość z teczką z krokodylej skóry, wyładowaną banknotami, i mówi: „Dostaniesz dwieście patyków, jak jutro zrzucisz ze schodów swoją babcię”.

- Kurwa! Co za bałwański przykład - odezwał się inspektor.

- Tak się nie dzieje, tak się nie dzieje. Przeciwnie, pokusy są drobne, stopniowe, za to liczne. Wiesz, życie to pasmo pokus. Każdego dnia musisz podejmować decyzje, które mają jakieś podłoże moralne. I podejmujesz je. Robisz małe kroczki. Naprzód, do góry albo w dół. A każdy krok zbliża cię do następnego. Na przykład zgadzasz się na skromny dodatek do swojej miesięcznej pensji. To nie musi być wielka suma, najwyżej pięćdziesiąt czy sto tysięcy, ta forsa pojawia się w kosztorysach pod przykrywką zakupu, dajmy na to, jakichś

materiałów biurowych. Oczywiście, to wykroczenie, ale w końcu wiadomo, jak działa administracja rządowa, trzeba się uciekać do takich sztuczek, bo inaczej biurokracja nie dopuści do twojej podwyżki. A ty oczywiście uważasz, że zasługujesz na te pięćdziesiąt tysięcy ekstra. Zasługujesz na nie, mówi ci szef, czyli ten, co ci je wypłaca, a sam sobie wypłaca przy okazji trzy razy tyle. A poza tym, to tak niewiele! Wszyscy zgarniają taki sam dodatek, przecież nie będziesz jedyną oferą, która nie weźmie.

- Pięknie powiedziane, nie ma co - przyklasnął policjant.

- Zaczynasz od takiego głupstwa, ale z czasem potrzebujesz coraz więcej pieniędzy, a twoje zasady moralne stają się coraz mniej ważne. Wtedy proszą cię o niewielkie przysługi w zamian za dodatek do pensji, a ty się zgadzasz. Tak mijają lata, a ty bez przerwy mówisz „tak”. Aż któregoś dnia budzisz się zamknięty w takim właśnie pokoiku i tłumaczysz swojej żonie, jaka z ciebie Świnia.

Prawie się wzruszyłam. Prawie mu wybaczyłam. Ale wtedy przypomniałam sobie, co mi zrobił. Przypomniałam sobie mój strach, niepokój, a przede wszystkim całe to oszustwo, nieznośne, niedopuszczalne oszustwo. I jeszcze parę minut temu dalej kłamał!

- Tak, tłumaczysz mi, jaka z ciebie Świnia, ale w kieszeni masz dwieście milionów.

Na ustach Ramona pojawił się grymas, nieco podobny do uśmiechu. Wreszcie mój mąż opanował się i westchnął:

- Tak. To prawda.

- I zdaje się, że nie jesteś gotów się ich pozbyć, chociaż tak mi tu dramatyzujesz. Po prostu podejrzewam, że wolisz mieć dwieście milionów i być skorumpowany, niż być niewinny i ich nie mieć.

Znowu westchnął.

- No, może i masz trochę racji. A co twoim zdaniem mam zrobić, Lucia? Takie jest życie. Przykro mi.

- A Duma Robotnicza?

- Nie istnieje. Kiedy zorientowaliśmy się, że wśród nas są wtyki, wymyśliliśmy tę organizację-widmo i napisaliśmy listy, patynując je przy okazji, żeby wyglądały na stare. Parę miesięcy wcześniej podobny numer wyciął jeden facet z Walencji i podziałało. Zgodnie z planem dochodzenie miało utknąć na najniższym szczeblu, czyli na naszym. Żeby sędzia myślała, że pieniądze poszły w łapy jakiegoś ugrupowania politycznego, i przestała węszyć po kontaktach bankowych.

- Ale dlaczego sam nie zwinąłeś tych dwustu baniek? Po co ta cała szopka z sejfem?

- W ten sposób wszystko wyglądało bardziej prawdopodobnie - odezwał się García. -

To był mój pomysł. Niezły, co?

- A próba porwania?

- To też moje dzieło - nadał się inspektor. - Żeby pozbyć się kłopotów. Pieniądze z okupu to zawsze skomplikowana sprawa, mogły nas zdradzić. Na dodatek dzięki temu dalsza nieobecność twojego męża nie wyglądała za bardzo podejrzanie. To znaczy, skoro nie ma pieniędzy na zapłacenie okupu, to łajdaki terroryści pewnie załatwili zakładnika, co nie?

- A ja tu w rozpacz... Dranie... - nie posiadałam się z oburzenia.

- C'est la vie, jak mawiają żabojady - zażartował García.

- Tak się sprawy mają, dziewczynko. Jemu też trzeba było urznąć paluszek, a wcale tego nie chciał. Ale, kurwa, musiał.

- I na co się to zdało, a? - odwarknął Ramón. - Na co się zdało? I tak cały pasztet się wydał, więc po co mi było ucinać palec, ty kundlu?

- Ależ co ty gadasz, facet, to był majstersztyk. I nie narzekaj, bo sporo zgarnąłeś za swój paluszek.

- A Duma Robotnicza?

- Nie istnieje. Kiedy zorientowaliśmy się, że wśród nas są wtyki, wymyśliliśmy tę organizację-widmo i napisaliśmy listy, patynując je przy okazji, żeby wyglądały na stare. Parę miesięcy wcześniej podobny numer wyciął jeden facet z Walencji i podziałało. Zgodnie z planem dochodzenie miało utknąć na najniższym szczeblu, czyli na naszym. Żeby sędzia myślała, że pieniądze poszły w łapy jakiegoś ugrupowania politycznego, i przestała węszyć po kontaktach bankowych.

- Ale dlaczego sam nie zwinąłeś tych dwustu baniek? Po co ta cała szopka z sejfem?

- W ten sposób wszystko wyglądało bardziej prawdopodobnie - odezwał się García. -

To był mój pomysł. Niezły, co?

- A próba porwania?

- To też moje dzieło - nadał się inspektor. - Żeby pozbyć się kłopotów. Pieniądze z okupu to zawsze skomplikowana sprawa, mogły nas zdradzić. Na dodatek dzięki temu dalsza nieobecność twojego męża nie wyglądała za bardzo podejrzanie. To znaczy, skoro nie ma pieniędzy na zapłacenie okupu, to łajdaki terroryści pewnie załatwili zakładnika, co nie?

- A ja tu w rozpacz... Dranie... - nie posiadałam się z oburzenia.

- C'est la vie, jak mawiają żabojady - zażartował García.

- Tak się sprawy mają, dziewczynko. Jemu też trzeba było urznąć paluszek, a wcale tego nie chciał. Ale, kurwa, musiał.

- I na co się to zdało, a? - odwarknął Ramón. - Na co się zdało? I tak cały pasztet się

wydał, więc po co mi było ucinać palec, ty kundlu?

- Ależ co ty gadasz, facet, to był majstersztyk. I nie narzekaj, bo sporo zgarnąłeś za swój paluszek.

- Jak to zgarnąłeś? - zdumiałam się.

- No, wiesz... - Ramón aż się zarumienił. - Bo... To nie za palec, to znaczy, nie tylko za palec, ale za to, że się mnie pozbywają. Że jestem spalony, dzięki czemu góra ratuje tyłki. W zamian dołożyli mi następne... Taa... Następne dwieście milionów. Dlatego się zaśmiałem wtedy, kiedy... Uśmiechnąłem się, kiedy. Kiedy mówiłaś o tych pieniądzach, co wiesz...

Nie mógł dalej mówić, bo wpadł w niepohamowany chichot, któremu towarzyszyło potężne klepanie się po udach i spazmatyczne wstrząsy przepony. Gapiłam się na niego z niedowierzaniem.

- Przepraszam... Hihih... Ojej, przepraszam... - wybełkotał w końcu ze skrucą, ocierając łzy i opanowując się. - To z nerwów.

No, nie było już o czym więcej rozmawiać. Przeżyliśmy razem dziesięć lat, znałam tak intymne szczegóły, jak zapach ciała Ramona po nocy pełnej żaru i namiętności, ale teraz nie mieliśmy sobie kompletnie nic do powiedzenia. Do tej chwili Ramón był częścią mnie, ale dziś stał się częścią obumarłą. Jak obcięty paznokieć. Zbutwiały fragment tkanki. Dotarło do mnie, że to koniec, i nawet nie miałam ochoty czynić mu wyrzutów ani żądać zadośćuczynienia. Chciałam tylko wyjść stamtąd, zapomnieć o nim, nigdy więcej go nie zobaczyć. To ostatnie mogło być bardzo łatwe, skoro mój mąż i jego kompani mieli się ulotnić w ciągu najbliższych godzin.

- Wychodzę - wykrzyknęłam, kierując się do wyjścia. Czulałam, że się duszę.

- Ale, Lucia... - zaskomlał Ramón.

- Ani słowa więcej. Nie mów więcej ani słowa. Nie chcę cię już nigdy w życiu widzieć. Przepadnij.

García wetknął mi w dłonie wielką kopertę.

- Masz, aniołeczku. To w prezencie. Sarta dokumentów interesujących jak cholera. Pokaż je sędzi: jeżeli suka jest tak sprytna, na jaką wygląda, to dzięki tym papierom niejednego zapuszkuje. Powiedzmy, że to instrukcja, jak dorwać parę grubych ryb.

Odepchnęłam Gardę, otwarałam drzwi i jednym susem opuściłam pokój. Po drugiej stronie czekali na mnie Félix i Adrian, niespokojni jak dwie pantery w klatce. Spojrzałam na nich, wciąż ściskając kurczowo burą kopertę i dusząc się własną udręką. Skóra Ramona. Jego ciało dojrzałego mężczyzny, mięśnie zwiotczałe na skutek całego przeżytego życia. Poruszyła mnie ta zniszczona skóra, jej szczególna miękkość pod moimi palcami. Wzruszyła mnie

chwila seksu z Ramonem, i to nie tylko dlatego, że to był on, ale dlatego, że był człowiekiem w średnim wieku. Przybywał z daleka, podobnie jak ja. I był na wpół martwy, podobnie jak ja. Félix i Adrián stali, nie spuszczać ze mnie wzroku. Z trudem połykałam łyżę.

- To koniec - powiedziałam.

Poczułam, że mi ulżyło i że trochę umarłam.

Skłamałam. Napisałam już setki stron tej książki i nakłamałam na nich prawie tyle samo, co w życiu. Skłamałam na przykład na temat mojej sytuacji zawodowej. Na początku napisałam, że jestem w stanie wyżyć z mojej twórczości, co już dawno przestało być prawdą. W ciągu minionej dekady sprzedaż opowieści o Pstroszce Kokoszce nieustannie i coraz wyraźniej malała. Moje książeczki są na rynku równie słabo widoczne jak „Monitor Rządowy”. Beznadziejne powodzenie czegoś, co samo w sobie jest już beznadzieją, to jazda w dół po wybojach totalnej klapy: poświęcałam się czemuś, co uważałam za kiepskie, i do tego jeszcze robiłam to źle.

Krnąbrność mojej muzy nadszarpnęła mi morale: zamiast szukać innych źródeł utrzymania, coraz bardziej uzależniałam się od pensji Ramona. Z czasem stałam się utrzymanką, ja, która zawsze pogardałam tradycyjnym modelem żony - biernej kury domowej. Wskutek tej sytuacji jeszcze bardziej oddaliliśmy się od siebie, a mnie pozostały bardzo ulotne powody do dumy. Aż nadeszła chwila, kiedy nie miałam śmiałości choćby pójść do banku na spotkanie z moim kasjerem. Któregoś dnia wreszcie stało się to, czego obawiałam się najbardziej. Pamiętacie, jak prosiłam mojego wydawcę o zaliczkę? Otóż jego odpowiedź nie brzmiała tak, jak napisałam. Wręcz przeciwnie, kiedy zwróciłam się z prośbą o pieniądze, Emilio chrząknął, zarumienił się i zapalił papierosa. Odczytałam to jako wielce złowróźbny znak, bo przed nim w popielniczce dymił już jeden papieros.

- Ba... Bardzo mi przykro, Lucia, ale to wykluczone.

- Nie możesz dać mi zaliczki na kolejną książkę? Przeżywacie utratę płynności? - starałam się pomóc jemu i sobie.

- Nie, nie chodzi o to, ale... Nie mogę dać ci zaliczki, Lucia, bo wyniki ekonomiczne dotyczące twoich ostatnich prac nie... powiedzmy, nie rokują nic dobrego. Rzecz w tym, że nie zwróciły nam się pieniądze, które ci zapłaciliśmy za pięć poprzednich książek, i już niemożliwe, żebyśmy je odzyskali, bo reszta nakładów idzie na przemiał.

- Ale dlaczego? Czy to nie głupota niszczyć takie piękne książeczki? Wytrzymajcie jeszcze trochę, jestem pewna, że sprzedaż ruszy, była recesja.

- Nie oszukujmy się, Lucia. Pstroszka Kokoszka nie budzi zainteresowania. Może i jest wspaniała, wcale nie przeczę, ale dzieci ona nie obchodzi. I damy na przemiał wszystko,

co nam zostało, bo nie ma jak tego sprzedać, a składowanie też nas kosztuje. Lucia, nie masz pojęcia, jak mi z tego powodu przykro i jak ciężko mi przychodzi mówić ci o tym. Ale to jest koniec Pstroszki Kokoszki. Nie mogę ci dać zaliczki, bo nie będzie już więcej zaliczek. Przystajemy wydawać twoje książki.

Poczułam, że się zapadam w studnię, że robię się maleńka i krucha, jak Alicja w Krainie Hańby.

- Ale mogę zmienić główną postać, mogę pisać o Misiu Znakomisiu albo o Mrówisi Agnisi, nie wiem sama, Emilio, nie rób mi tego, błagam.

- Żałuję, Lucia, ale, jak wiesz, nie jestem tu jedynym udziałowcem. Na razie ustaliliśmy, że nie publikujemy cię dalej. Ale słuchaj, świat się nie kończy. Popróbuj w innych wydawnictwach.

Rzecz jasna, nie odważyłam się próbować: moja duma doznała takiego uszczerbku, że kolejnej odmowy już bym nie wytrzymała. Zraniona duma to przedziwna rzecz - jak zwierzę, co ryczy ci w piersi. Wycie dogorywającej bestii doprowadza cię do szaleństwa, każe ci kłamać, byleby zapomnieć. Byle znieść to, co nie do zniesienia.

Odwagi, Lucia, jeszcze jeden wysiłek, dojedź do końca. Nie skończysz tej książki, póki nie powiesz wszystkiego, co masz do powiedzenia. Na przykład o Ramonie. Bo przekazałam wam też fałszywy obraz Ramona. Moja relacja z mężem wcale nie wyglądała tak, jak to zasugerowałam. Napisałam, że był facetem okropnym i obrzydliwie nijakim, zapytacie więc: „Skoro jest tak nudny, dlaczego postanowiła z nim żyć?”. Odpowiem wam: otóż dlatego, że go kochałam.

Z początku, kiedy się poznaliśmy, Ramón wzbudzał we mnie typową szaleńczą namiętność połączoną z właściwymi temu stanowi wyskokami: palpacyjnymi, skurczami żołądka, potami przedśmiertnymi, seraficznymi ekstazami spowodowanymi dźwiękiem jego głosu w słuchawce telefonicznej, zapachem jego skóry, smakiem jego warg. A potem to wszystko minęło. Umarło tak, jak umierają wszelkie namiętności. Zgasło pośród rutyny i pogardy.

To ja jestem winna, wiem aż za dobrze. To we mnie zanikły złudzenia i pożądanie. Zawsze dzieje się to samo, jak powtarzająca się nieubłagana katastrofa. Po paru latach, mniej więcej, wysłałam swojego partnera w kosmos, a może to ja sama mentalnie odfruwam na Księżyc. Od tej chwili koniec z oszustwem, Człowiek przez duże „C” przekształca się w człowieczka, przy którym nagle stwierdzam, że zasypiam. Takie odkrycie to wielkie rozczarowanie.

Ludzkie namiętności prawie zawsze tak się kończą, wewnętrzną ruiną, ale sam fakt, że

chodzi tu o bardzo powszechne zjawisko zaniku czułości, bynajmniej nie umniejsza mojego poczucia odpowiedzialności i klęski. Bo na dodatek, co może się wydać nieprawdą, niektórych ten fatalny los oszczędza. Znam jedną kobietę zamężną od czternastu lat z architektem, z którym dochowała się okazałej kolekcji pięciorga dzieci: dziewczynek, chłopców, blondynów, brunetów, pełen asortyment. No i ta pani i ten pan wciąż okrutnie się nawzajem pożądamy, czasami gwałtownie i wręcz brutalnie wyrzucają z domu gości, żeby następnie obnażyć się w zapamiętaniu i paść sobie w objęcia na kanapie jak para młodzieniaszków. To jedyny potwierdzony przeze mnie przypadek tego typu, niebywała rzadkość, potworne szczęście, jakby trafili skumulowane bingo. Otóż tacy wybrańcy fortuny są rzadkością, ale jednak - co jeszcze bardziej napawa goryczą. Wyobraźcie sobie, że istnieje na świecie jedna osoba, choćby jedna jedyna, która jest nieśmiertelna. Taki wyjątek spowodowałby, że nieuchronność umierania byłaby jeszcze straszniejsza. No więc z miłością i pożądaniem dzieje się coś podobnego: coś w tobie umiera, kiedy rozwiewają się złudzenia, kiedy nie odczuwasz już woli, by kochać wciąż tę samą osobę. Innym się to udaje - mówisz sobie, gdy udręczona rozsuwasz nogi, a czoło ci się marszczy. Innym się to udaje, a mnie nie. I szlochasz po cichu suchymi łzami za wszystkim, co było i minęło.

Kiedy spotkałam Ramona, aż nazbyt dobrze znałam już wówczas taki proces rozkładu miłości. Pomyślałam, że ten spokojny i dobry z natury człowiek, z którym ani razu się nie pokłóciłam, który nigdy nie powiedział mi ani słowa w gniewie, oznacza kres mojego pielgrzymowania, że dzięki jego rozwadze stworzymy stabilny związek. Ale po paru latach jego spokój zaczęłam odbierać jako gnuśność i doszłam do przekonania, że skoro się nigdy nie kłóci, to znaczy, że wszystko jest mu obojętne. Po paru latach Ramón stał się w moich oczach istotą słabą, pozbawioną życia i nieznośną. Gdzie przepadło całe piękno świata? Ta obfitość, pośród której żyłam, ów niezmierny raj namiętności - gdzie się podziały? Już wolę być zdradzaną i porzucaną, wolę stracić ukochanego podczas paroksyzmu miłości, wolę wrywać sobie włosy z głowy w bezsenne burzliwe noce, niż znowu poczuć, jak gasną dla mnie po kolei wszystkie gwiazdy na niebie, jak próżnia po miłości pochłania wszystko na podobieństwo biblijnej plagi, jak niegdyś tak soczyste życie wysycha niby zgniły owoc, by w ustach zostawić na koniec tylko pylisty posmak krzywdy.

Bo krzywda zawsze smakuje jak pył - chociaż dla mnie pewnego razu, przy jednej okazji miała smak krwi. Trzy lata temu, kiedy wpadłam na ciężarówkę. Było mgliście, asfalt śliski, noc, mnie ogarniało ogromne zmęczenie, jechałam za szybko, skręciłam w jakąś ulicę, a tam właśnie hamowała ciężarówka. Wyliczam tu na chłodno elementy katastrofy. Myślałam o tym wielokrotnie, usiłując w wyobraźni wyłączyć któryś z czynników. Co by się stało,

gdyby nie było mgły? Albo gdybym nie była tak skonana, gdybym tak bardzo nie pragnęła powrotu do domu? Albo gdyby twarda nawierzchnia jezdni była rzeczywiście twarda, jak sugeruje nazwa, a nie śliska jak tor łyżwiarski? W moje usta wbiły się wszystkie żelastwa świata. Wszystkie prócz jednego, które sperforowało mi brzuch. Byłam w szóstym miesiącu ciąży. To była dziewczynka. Nóżki, główka, rączki o zaciśniętych paluszkach. Widziałam moją córeczkę w czerni i bieli zdjęcia USG, całkowicie ukształtowaną, niewyraźny cud wyrosły z mego ciała. Zabiłam ją tym uderzeniem, a przy okazji straciłam macicę. To drugie właściwie nie miało znaczenia, i tak ciąża zdarzyła mi się w dość późnym wieku. Byłam leciwą pierwiastką, jak mawiają lekarze w swoim ohydny żargonie. Tak długo nie mogłam się zdecydować, tak długo zagłuszałam głos wewnętrzny doradzający mi, bym nie miała dzieci, ignorowałam nakaz przetrwania, który matka wszeptowała mi w ucho. I oto jestem czysta. Tak mawiają kobiety poddane takiej samej operacji: Wyczyścili mnie. Jakby całą ich naturę stanowiła macica. Rzymianie nie przyznawali kobiecie bezdzietnej miejsca w społeczeństwie. Mamy to zakorzenione w podświadomości. Ludy zwane przez nas prymitywnymi nie znają pojęcia kobiety wysterylizowanej, bo to aberracja niemal aspołeczna. I to też mamy zakorzenione w podświadomości. Nawet producenci gadżetów erotycznych wypuścili ostatnio nadmuchiwaną lalę z zaokrąglonym brzuchem ponad sprawną pochwą!

Związano mi drutami szczękę, starannie pozszywano dziąsła, ale córeczki nie zdołano uratować. Jestem kobietą, która nie wie, co to znaczy urodzić, niektórzy mówią, że to tak, jakby być jeleniem i nie umieć biegać. Oczywiście dali mi znieczulenie, zanim na stole operacyjnym wydobyli ze mnie moją nieżywą córeczkę, dlatego nie zachowałam wspomnienia po tej traumie. Ale za każdym razem, gdy wyjmuję sztuczną szczękę i widzę czarnoróżową próżnię w górnej części ust, przypomina mi się, jak żelastwo wryło mi się w buzię. Przypomina mi się ból, strumień krwi, tkanki kostnej i fragmentów ciała. Krew, ciało i kości połączone z bólem, zupełnie jak przy porodzie. Ale połamane, zmieszane, jak w przerażającej pantomimie potwornego porodu. Moje usta są grobowcem mego dziecka.

Tego wszystkiego, co w tej chwili opowiadam, jeszcze nigdy nikomu nie mówiłam. Można kłamać, przemilczając coś i to właśnie jest ten przypadek. Na przykład nigdy nie wspomniałam Adrianowi o mojej ciąży. Oczywiście, kłamstwa padają na wcześniejsze kłamstwa, podobnie jak krople deszczu spadają na poprzednie krople. Bo moja relacja z Adrianem też nie wyglądała tak, jak to przedstawiłam. To znaczy wszystko, co powiedziałam, jest prawdą czy w pewnym sensie prawdą, a przynajmniej częściowo prawdą. Ale trzeba by jeszcze dodać parę słów. Słów nieprzyjemnych, ostatecznych, które zachwieją dotychczasową narracją.

Pochodziliśmy z różnych galaktyk, jak dwie komety, które spotykają się przelotnie w kosmosie. On przybywał z dzieciństwa i nigdy dotąd nie był w stałym związku. Chciał mną zawładnąć na amen, chciał, żebyśmy wspólnie zamieszkali, wymarzyli wspólną przyszłość, zakopali się po uszy w kompromisach. Ja przybyłam z nużącego okresu przejściowego, czyli dojrzałości, i wiedziałam, że wieczność zawsze ma swój koniec, a im bardziej jest wieczna, tym wcześniej ów koniec następuje. Dlatego skąpiłam mu, odmawiałam mu, odsuwałam go od siebie. Im bardziej się mnie domagał, tym bardziej się dusiłam. A im bardziej mu się wymykałam, tym usilniej pragnął mnie pochwyć. Z kolei kiedy on się wycofywał, ja nacierałam, ściagałam go i domagałam się go. Bo miłość to przewrotna gra naczyń połączonych.

Adrián zaczął być zazdrosny, co okazywał na przemian poprzez agresję i melancholię. Obydwoje popadliśmy w szaleństwo, jeśli rozumieć przez to kompletny brak kontroli nad własnym zachowaniem, zwichrzenie emocjonalne, niezrozumienie własnych słów, odkrywanie, że stoisz, gdy sądziłaś, że siedzisz, i na odwrót. Dużo płakaliśmy, czasami jedno z powodu drugiego, a czasem wspólnie. Skończyło się na tym, że robiliśmy sobie nawzajem krzywdę, choć podejrzewam, że żadne z nas nie marzyło o tym, by zadawać rany. Z naszego życia uczyniliśmy melodramat i podczas tej farsy wyprowadzaliśmy na spacer własne upiory. On był dla mnie złudzeniem, namiastką młodości, obrazem każdego mojego nieprzeżytego życia, dzieci, których nie miałam, rzeczy, których nie zrobiłam, lat, które zmarnowałam. A ja dla niego byłam może ostatnim przełomem wieku dojrzewania, trochę niezdrowym ucieleśnieniem absolutnej i niszczącej miłości do matki. Ale ja nie byłam jego matką, ja w ogóle nie mogłam być matką. Jestem tylko czterdziestoletnią, podstarzałą córką, córką w stanie połowicznego rozpadu wskutek przebytej drogi życiowej. A teraz właśnie wymyślam prawdy i wspominam kłamstwa, byleby nie rozpląnąć się w kompletnym niebycie. Jesteśmy tylko słowami, słowami, które rozbrzmiewają w eterze - powiedział Félix. - Słowami szeptanymi, krzyczanymi, wypluwanymi, słowami powtarzanymi miliony razy albo ledwie wymawianymi przez niezdecydowane usta. Ja nie wierzę w zaświaty, ale wierzę w słowa. Wszystkie słowa, które my, ludzie, wypowiedzieliśmy od początku świata, ciągle krążą zanurzone w magmie wszechświata. Tym właśnie jest wieczność: niedosłyszalną wrzawą słów. Kto wie, może i sny są tylko słowami zmarłych, które ładują nam do głów, kiedy śpimy, i malują w nich obrazy. Jestem przekonany, że wszystkie dźwięki okrążają nas ruchem wirowym: krzyk „Ziemia!”, którym Rodrigo de Triana przywitał wybrzeże amerykańskie podczas pierwszej wyprawy Kolumba, przedśmiertne słowa „I ty, Brutusie”, którymi Cezar ubolewał nad swymi zabójcami, przecudna kołysanka, którą moja matka mnie usypiała. Nie

pamiętam tej piosenki, ale nie mam wątpliwości, że wciąż jest blisko mnie, a to pocieszające. Czasami chyba czuję, jak słowa mojej matki przelatują obok niczym leciutki wietrzyk, co gładzi mi czoło. I ciągle żywię nadzieję, że kiedyś pochwycę nocą te słowa i zapamiętam je, jakby właśnie przyszły do mnie ze snu.

(Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybym nie miała przy sobie Feliksa. Kiedy wreszcie wyszła na jaw cała prawda o Ramonie, kiedy wróciliśmy do domu, a ja czułam się jak statek w suchym doku ze storpedowaną linią zanurzenia, kiedy okazało się, że Adrián i ja nie możemy liczyć na wspólną przyszłość, Félix umiał powiedzieć mi to, czego mi było potrzeba, by wyjść z dołka).

- Dam ci dobrą radę, Lucia, bo, jak widzę, upływ czasu ismierć za bardzo wpędzają cię w obsesję. Piękno jest wszędzie, nawet w zgrozie, nawet w starości. Dam ci przykład: pewnie nie wiesz o tym, ale my, staruszkowie istaruszki, kochamy aż do końca. Nawet gdy nie starcza już sił ani umiejętności, by przejść od słów do czynów, zakochujemy się w lekarzu, w pielęgniarce, w pani z opieki społecznej. Niektórzy naśmiewają się z tych późnych uniesień, bo wydają im się zabawne i groteskowe, ale dla mnie są to miłości równie poważne i autentyczne, co każde uczucie z czasów młodości. I równie piękne. Bo ja cię kocham, Lucia, wybacz mi. Kocham cię i jeśli omal nie umarłem na zapalenie płuc, to ze zwykłego strachu, że cię utracę, wiesz? Wtedy w Amsterdamie, kiedy Adrián i ty... Ale nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiała: ja cię kocham i oczywiście niczego nie oczekuję. Wystarcza mi ta miłość i to, że słuchasz od czasu do czasu wspomnień z mojego burzliwego życia.

Wiesz, jak umarła Margarita, moja żona? Była dziesięć lat młodsza ode mnie, ale zachorowała na alzheimera. Alzheimer to okrutna dolegliwość: zżera ci pamięć, odbiera ci nie tylko przyszłość, ale także wszystko to, czym byłaś. Trzeba ci było widzieć moją Margaritę, zawsze tak uporządkowaną i skrupulatną, gdy nagle zaczęła zostawiać zapalone światła, otwarte krany. Któregoś dnia Margarita przepłakała cały wieczór, bo zapomniała, jak się wiąże sznurowadła. Wiedziała, w mrok jakiej choroby życie ją unosi, i wołała sama odejść. Opiekowałbym się nią aż do końca, aż stałaby się pustą skorupą samej siebie. Ale Margarita była we wszystkim tak staranna i drobiazgową, tak kochała schludność, że pragnęła odejść w sposób uporządkowany i metodyczny. Widziałem, jak przygotowywała sobie ostatnią miksturę, jak kruszyła po kolei pigułki nasenne i wsypywała proszek do wielkiej filiżanki kawy z mlekiem, paluszki wciąż miała sprawne, dłonie pewne i zwinne, te cudowne dłonie silnej kobiety, które potrafiły pogłaskać i ukręcić kark kogutowi, wytrzeć pupę niemowlęciu i otrzeć pot z czoła umierającemu. Margarita krzątała się po kuchni ze swobodą i precyzją, jak gdyby szykowała którąś ze swoich wyśmienitych potraw, a nie śmiertelny napój. A kiedy

wszystko już przygotowała, usiadła przy kuchennym stole z niewinnie Wyglądającą filizanką w dłoniach i wypila miksturę małymi łykami. Przez okno zaglądało wesole słońce ostatnich dni lutego, cała kuchnia lśniła porządkiem i czystością, jak w radosny niedzielny poranek. Margarita wzięła mnie za rękę i popatrzyła na mnie przez okulary. „Jaki piękny dzień” - powiedziała i uśmiechnęła się. Sama widzisz, Lucia, nawet u kresu istnienia znajdziesz piękno.

Bywa, że starość jest smutna, bywa, że jest nie do wytrzymania. Przepelnia cię wtedy tęsknota za wszystkim, co straciłaś, brodzisz w melancholijnych słowach: Nigdy Więcej. Nigdy więcej nie będę mieć niegdysiejszej władzy nad swoim ciałem, nigdy więcej nie zaznam rozkoszy młodzięcych nocy, nigdy więcej nie wrócą mi siły ani nadzieja na przyszłość. Człowiek tak stary, jak ja, staje się własnym wspomnieniem.

A mimo to, kochana Lucio, podeszły wiek nie jest pustynią. Jest w nim coś, co cię chroni, co ci wynagradza braki: pewna akceptacja, pewne zrozumienie. Na przykład gdy dożywasz mojego wieku, zaczynasz trochę lepiej rozumieć śmierć. Ludziom się wydaje, że śmierć to wróg zewnętrzny, obcy, który nas osacza i usiłuje co i raz wtargnąć w nasze ciało przy okazji rozmaitych chorób. Ale nie. W rzeczywistości nie umieramy na coś obcego, co przychodzi z zewnątrz, ale na naszą własną śmierć. Nosimy ją w sobie od dnia, gdy się rodzimy, ona jest czymś tak bliskim i codziennym, tak naturalnym jak samo życie. To, co mówię teraz, to największa oczywistość, jaka istnieje, a przecież nasz mózg wciąż nie chce przyjąć jej do wiadomości.

Kiedy dożywasz mojego wieku, zaczynasz wierzyć, że chaosem świata rządzi pewien porządek. Może to rezultat moich własnych potrzeb, obrona przed pustką i bezsensu, ale bez wątplenia dzień po dniu jestem coraz bardziej przekonany, że harmonia istnieje. Ze gdzieś ponad zgiełkiem drobnych spraw panuje powszechny niezmacony spokój. Tak powszechny i tak niezmacony, że niewielką przynosi ulgę, kiedy nieszczęście zwała się na nasze niewiele znaczące tu i teraz. Ale czasem umysł czerpie pociechę ze świadomości tej globalnej równowagi, z przecucia, że wszystko jakoś się ze sobą łączy. Na przykład ból. Wiesz, że jest coś takiego jak genetyczny syndrom niezdolności odczuwania bólu? Owszem, tak. I dzieci, które rodzą się z tą przypadłością, umierają bardzo wcześnie, bo nie zauważają ran, jakie same sobie zadają, nie dostrzegają objawów choroby we własnych organizmach. Nieboraki palą sobie skórę, opierając się o rozżarzone piecyki, albo godzinami nie zmieniają pozycji, przez co często obumierają im kończyny. Zmierzam do tego, że nawet ten potworny ból, nieznośny, niedopuszczalny, zajmuje swoje miejsce w układzie, ma swoją rację bytu, bo tak naprawdę pomaga nam utrzymać się przy życiu.

Wewnętrzna harmonia rzeczy. To właśnie usiłowałem wytłumaczyć Handlarzowi Dyniami: że w naszej egzystencji, choć to mu się może wydawać śmiechu wartą utopią, dobro też ma swój bezapelacyjny udział. To prawda, nie zaprzeczam, że we wszystkich epokach na pozór wygrywają Handlarze Dyniami. Ale jeżeli uczynimy wysiłek i przyjrzymy się dziejom ludzkości, dostrzeżemy nieustanne napięcie między tym, co daje życie, a tym, co niesie śmierć, między wolą zrozumienia a wolą złupienia. Historię tworzy właśnie owa walka i można by powiedzieć, że na przekór wszystkiemu zwycięża rozum i wiedza. Dziś na przykład niewolnictwo jest zjawiskiem potępianym na całym świecie, choć nielegalnie utrzymuje się przecież niewolników, chociaż powstały inne formy niewolnictwa. Ale samo pojęcie zostało już w świadomości społecznej obłożone anatema. Może to mały, ale jednak krok naprzód, bo ta powszechna zgoda, to słowo zaakceptowane z wolnej woli przez wszystkie strony - to fundament cywilizacji. Mówiłem ci już, że słowo jest dla nas wszystkim.

Pozwól, że opowiem ci o pingwinach, tych niezgrabnych ptakach, których miliony zamieszkują Antarktydę. Kiedy pingwiniątka wychodzą z jajek, rodzice zostawiają je same i udają się do morza w poszukiwaniu pożywienia. I tu powstaje poważny problem, bo małe pingwinki pokryte są tak delikatnym upierzeniem, że nie zniosłyby lutyh mrozów, jakie panują wokół bieguna południowego. Pisklaki gromadzą się więc na swoich skrawkach lodu - tysiące świeżo wyklutych pingwiniątek wtula się w siebie, żeby się nawzajem ogrzać. I żeby nie zamarły te, które są na zewnątrz grupy, pisklęta pozostają w ciągłym zajmuje swoje miejsce w układzie, ma swoją rację bytu, bo tak naprawdę pomaga nam utrzymać się przy życiu.

Wewnętrzna harmonia rzeczy. To właśnie usiłowałem wytłumaczyć Handlarzowi Dyniami: że w naszej egzystencji, choć to mu się może wydawać śmiechu wartą utopią, dobro też ma swój bezapelacyjny udział. To prawda, nie zaprzeczam, że we wszystkich epokach na pozór wygrywają Handlarze Dyniami. Ale jeżeli uczynimy wysiłek i przyjrzymy się dziejom ludzkości, dostrzeżemy nieustanne napięcie między tym, co daje życie, a tym, co niesie śmierć, między wolą zrozumienia a wolą złupienia. Historię tworzy właśnie owa walka i można by powiedzieć, że na przekór wszystkiemu zwycięża rozum i wiedza. Dziś na przykład niewolnictwo jest zjawiskiem potępianym na całym świecie, choć nielegalnie utrzymuje się przecież niewolników, chociaż powstały inne formy niewolnictwa. Ale samo pojęcie zostało już w świadomości społecznej obłożone anatema. Może to mały, ale jednak krok naprzód, bo ta powszechna zgoda, to słowo zaakceptowane z wolnej woli przez wszystkie strony - to fundament cywilizacji. Mówiłem ci już, że słowo jest dla nas wszystkim.

Pozwól, że opowiem ci o pingwinach, tych niezgrabnych ptakach, których miliony

zamieszkują Antarktydę. Kiedy pingwiniątka wychodzą z jajek, rodzice zostawiają je same i udają się do morza w poszukiwaniu pożywienia. I tu powstaje poważny problem, bo małe pingwinki pokryte są tak delikatnym upierzeniem, że nie zniosłyby lutych mrozów, jakie panują wokół bieguna południowego. Pisklaki gromadzą się więc na swoich skrawkach lodu - tysiące świeżo wyklutych pingwiniątek wtula się w siebie, żeby się nawzajem ogrzać. I żeby nie zamarzły te, które są na zewnątrz grupy, pisklęta pozostają w ciągłym ruchu rotacyjnym, dzięki czemu ani jedno małe nie pozostaje w chłodzie dłużej niż parę sekund. Gdyby taki pomysłowy fortel zastosowali mężczyźni i kobiety, uznano by to za przejaw ludzkiej solidarności. Ale w przeciwieństwie do nas małe pingwiny nie porozumiewają się za pomocą słów, a chronią się w grupie, bo w ten sposób mają większą szansę na przeżycie. To prezent od pamięci genetycznej, od pierwotnej mądrości komórek. Mówiąc ci to wszystko, Lucia, chcę ci udowodnić, że to, co nazywamy Dobrem, jest od początku obecne w środku wszechrzeczy, w nierozumnych zwierzętach, w ślepym losie. Świat to nie tylko opętanie, gwałt i chaos, ale także te zdyscyplinowane, braterskie pingwiny. Nie warto bać się rzeczywistości, bo nie tylko jest przerażająca, ale również piękna.

Opowiem ci coś, czego nigdy dotąd nikomu nie mówiłem. To było siedem lat temu, parę miesięcy po śmierci Margarity. W owym czasie dom był dla mnie za ciasny i całe dnie spędzałem na ulicy. Była zima, panował chłód, a ja nabrałem zwyczaju chodzenia wieczorami na dworzec Atocha, do wielkiej sali z palmami. Siadałem na ławce i zabijałem czas w tej cieplarni. Któregoś razu usiadł obok mnie ze dwudziestoletni chłopak, chudy brunet o czarnych oczach. Miał na sobie garnitur i krawat, a w rękach teczkę, którą położył na kolanach. Zaczął w niej grzebać z widocznym niepokojem, potem wyciągnął notes, zapisany drobnym pismem, i jął gwałtownie przerzucać kartki. Ewidentnie szukał czegoś, czego nie mógł znaleźć, a to poszukiwanie przyprawiało go o spore nerwy. Wreszcie poddał się i znieruchomiał, szklisty wzrok wbił w przestrzeń. Pocił się obficie, musiał poluznić sobie węzeł krawata. Nie miałem pojęcia, czemu ten chłopak tak przykuwa moją uwagę, ale jego kłopoty bardzo mnie zajmowały. Obserwowałem go uważnie i wcale się z tym nie kryjąc, bo zdjęła go taka rozpacz, że w ogóle mnie nie zauważał. Jego twarz była mi zupełnie obca - a jednocześnie wydał mi się bliski, jakbym widział starego znajomego. W końcu ochota, by z nim pogadać, wzięła we mnie górę, więc powiedziałem: „Nie martw się”.

Chłopak aż się wzdrygnął i spojrzał na mnie zdumiony.

„Co pan mówi?”

„Mówię, żebyś się nie martwił. Wszyscy się kiedyś czuliśmy tak, jak ty w tej chwili. Przychodzą takie krytyczne momenty, kiedy myślimy, że życie się zaraz zawali. I boimy się,

że nie damy rady znieść tego, co przyjdzie”.

Słowa spływały mi z ust, jakby ktoś je wcześniej napisał. Młodzieniec wpatrywał się we mnie oniemiały, ale i z pewnym zaciekawieniem. Zacząłem odczuwać lekki niepokój: znałem tę sytuację, to już się kiedyś zdarzyło.’

„Powiem ci coś, co wiem, bo sam to przeżyłem: zapewniam cię, że takie chwile mijają. Życie toczy się dalej, mimo naszych lęków. I jesteśmy zdolni przetrzymać znacznie więcej, niż byśmy chcieli. Więc bądź spokojny. Któregoś dnia, za wiele lat, przypomnisz sobie dzisiejszą rozpacz i pomyślisz, że to nieprawda. Jeszcze coś ci powiem: całkiem możliwe, że będziesz tęsknił za tą chwilą”.

Zakomunikowałem mu takie oczywistości czy coś w tym rodzaju, a teraz, gdy powtarzam to na głos, słyszę we własnych słowach ton paternalistyczny i zwykły banał. Ale ów młodzian mnie wysłuchał, a co najdziwniejsze, zauważyłem, że moja przemowa odniosła skutek. Jego nieszczęśliwa twarz zaczęła odzyskiwać rumieńce, oddech się uspokoił.

„To brzmi rozsądnie - powiedział i westchnął. Wreszcie, lekko zaczerwieniony, uśmiechnął się: - Aż tak widać?”.

„Ale co?”.

„Ze jestem wykończony. Aż tak widać?”.

„Trochę tak. Przynajmniej ja widzę”.

Chłopak znowu się uśmiechnął. Zamknął walizeczkę, wstał i podał mi rękę.

„Dzięki”.

Dopiero kiedy oddalał się w kierunku peronów, dostrzegłem pewien szczegół: jego lewa dłoń, dłoń, w której trzymał teczkę, była okaleczona. Brakowało mu co najmniej dwóch palców.

I wtedy wszystko dosłownie spadło na mnie, zrozumienie, wspomnienie, olśnienie. Przeżyłem już tę samą scenę, tyle że byłem po drugiej stronie, Lucia, po drugiej stronie. Nie traktuj mnie jak wariata, nie myśl sobie, że dziadzio oszalał. Dawno temu, kiedy byłem młody, znalazłem się w takiej sytuacji jak ten chłopak. Był rok tysiąc dziewięćset trzydziesty trzeci, Durruti właśnie wzniecił powstanie w Aragonii, a rząd republiki odpowiedział surowymi represjami. J[ą] czułem się fatalnie, bo nie zostałem z Durrutim, niczego nie dokonałem dla sprawy, myślałem, że postępuję jak plugawy burżuj. Nie mam pojęcia, co wywołało desperację chłopaka z dworca, ale podejrzewam, że w tamtej chwili absolutnie siebie nie cenił, to samo działo się ze mną owego wieczoru w trzydziestym trzecim roku. Też siedziałem na ławce pogrążony w rozpacz, kiedy zbliżył się do mnie jakiś starzec i przemówił w bardzo rozsądnych słowach. W takich samych mniej więcej, jakie wiele lat

później przekazałem temu chłopcu. Te same słowa, ten sam wiek, nawet podobne palmy wokół, bo tamto spotkanie przed wojną miało miejsce na esplanadzie w Alicante, czyli w mieście, do którego pojechałem na korridę. Pojmujesz, co chcę ci powiedzieć? Sam nie śmiem tego wyrazić wprost, ale mam głębokie przekonanie, że drogi życiowe nas wszystkich krzyżują się w jakimś momencie z naszym przyszłym ja. Albo z naszym ja z przeszłości. Zrozum, nie mówię tu o reinkarnacji czy o zjawach. Mówię o rzeczywistości, która wyrasta poza czas i przestrzeń, o harmonijnej ciągłości, nieskończonej i niepojętej. Stanowimy części wielkiej całości, gigantycznej i nieczytelnej mapy. Nie wierzę w istnienie Boga, Nieba czy Pieła, ale może jest coś takiego jak powszechny rytm, który nas wciąga. Mieć gdzie swoje miejsce, do którego się przynależy, to wielka ambicja człowieka, dlatego wierzący wymyślili religie, my zaś, anarchiści, odwołaliśmy się do Rewolucji - byleby nadać sens tej wielkiej znikomości. Dziś jednak raczej wierzę w głuchą ciszę materii, w nadludzki spokój, będący źródłem wszelkiego piękna.

Według mnie ta ciągłość przejawia się w niekończącym się gwarze rozmów. We wszystkim, co mówimy do siebie z pokolenia na pokolenie. W tych wszystkich słowach, które bują w eterze od czasu, gdy ktoś tam wypowiedział pierwszą sylabę. Dlatego właśnie, dlatego, że jesteśmy tylko słowami, opowiadałem ci przez ostatnie miesiące moją historię. Jestem szczęśny Félix, „Fortuna” fortunny: dożyłem osiemdziesięciu lat, chociaż kosztowało mnie sporo czasu i wysiłku. Tak wiele godzin, tyle dni, tyle mozołów i przeżyć. A teraz, pod koniec życia, wszystko sprowadza się do potoku słów, który wypuszczam w przestrzeń. Zeby nie umrzeć na amen, opowiedziałem ci swoje życie. To tak, jakbym oddał się w twoje ręce.

Jestem sama i nie mam powodów do narzekań.

Wiele się ostatnio pozmieniało. Adrián ruszył w drogę na spotkanie reszty swojego życia. Teraz przebywa w Bilbao, gdzie założył ze swymi rówieśnikami wytwórnę wydającą muzykę alternatywną. Żyje w komunie, nie ma grosza przy duszy i podejrzewam, że jest szczęśliwy. Robi to, co mu odpowiada, i jestem przekonana, że znajdzie się cały tabun dziewcząt, które z zachwytem będą dzielić z nim materac na podłodze, kłębówisko brudnych skarpetek w szafie i brudną, wspólną łazienkę. Fascynujące perspektywy, z których ja już chyba wyrosłam. Ale dalej się lubimy i nawet regularnie do siebie pisujemy.

Félix też odszedł. Udało mi się, mimo jego protestów, wysłać go na wakacje do Palma de Mallorca. Tak jak przewidziałam, zaprzyjaźnił się z moją matką. Wydzwaniają do mnie co jakiś czas, rozszczebiotani i rozchichotani jak para podrostków, opowiadają, na które plaże poszli, ile spacerów odbyli, ile przeczytali książek, a nawet jakie posiłki zjedli (ze szczegółami) w ciągu ostatnich dni. Jestem pewna, że lgną do siebie, że przeżywają gorącą

namiętność osiemdziesięciolatków, co sprawia mi dziwne zadowolenie, przynosi głęboką ulgę, której do końca nie rozumiem.

Jak powiedziałam, jestem sama i nie mam powodów do narzekań. Po tylu latach przeżytych z Ramonem odzyskuję wolność we własnym mieszkaniu z łapczywością równą tej, z jaką dawna kolonia uniezależnia się od imperium. Teraz jestem księżną mojego salonu, królową mojej sypialni i cesarżową moich godzin. Pozostawiam kompakty w totalnym nieporządku, czytam do piątej rano i jem, kiedy jestem głodna. Współżycie oznacza ustępstwa. Kompromisy, zawsze za jakąś cenę, za minuty i marzenie twojego własnego życia. Oczywiście rezygnacja z codziennych praw dokonuje się w zamian za schronienie, za czułość, towarzystwo, seks, rozrywkę, wspólność. Ale kiedy związek się rozpada, wspólny interes robi kompletną klapę. Pod koniec naszego małżeństwa Ramón i ja nie ofiarowywaliśmy sobie już niczego. Znudzona para przypomina niewygodny zajazd ze zbyt dużą liczbą gości. Mimo to jestem gotowa poprobać jeszcze w innym zajeździe. Ale spokojnie, bez upajania się widziadłami. Powiedzmy tak: wypatrzywszy sobie oczy w poszukiwaniu Idealnego Mężczyzny, zaczynam podejrzewać, że bardziej opłacalne i właściwe będzie znalezienie po prostu jakiegokolwiek porządnego mężczyzny.

Ostatnie miesiące wiele mnie nauczyły. Wiem już na przykład, że w okolicach czterdziestki musimy przejść drugi okres dojrzewania płciowego. Jest to równie wyraźnie i ostro wyodrębniony okres przejściowy, jak w młodości. Zresztą i w tym, i w tym wieku przeżywamy bardzo podobne rzeczy. Chociażby przemiany fizyczne: ciało, które nabiera wypukłości w wieku lat czternastu, zaczyna więdnąć przy czterdziestce. Albo utrata niewinności: w czasie dojrzewania grzebiesz dzieciństwo, a na progu wieku średniego grzebiesz młodość, rzeczywistość znów dokonuje w tobie spustoszenia, a ty tracisz resztki naiwności. Jak to, więc na tym polega byt? Na grzybieniu rodziców, na moim starzeniu się, na stopniowym pogarszaniu się wszystkiego, na nieznośnej utracie? I jeszcze do tego dochodzą zdrady, kłamstwa, korupcja, nikczemność, powszechna podskórna brzydota?

- Co za okropny świat - sarkałam któregoś dnia przygnębiona. - Politycy kłamią, dziennikarze kłamią, sąsiedzi kłamią, wszyscy są sprzedajni i skorumpowani, wielcy mężowie są zamieszani w zabójstwa, Handlarzom Dyniami włos z głowy nie spada, co więcej, ich imionami nazywa się ulice. Żyjemy w najgorszym momencie historii.

- Zgadza się, to napawa goryczą, ale nie dramatyzuj - odparł Félix. - Widzisz, ja jestem optymistą. Jak wiesz, pesymiści są zdania, że jest już tak fatalnie, że nie może być gorzej, my zaś optymiści, wierzymy, że zawsze jeszcze może się pogorszyć. A mówiąc serio, uważam, że wszyscy musimy stanąć twarzą w twarz ze straconymi złudzeniami. Że w każdej

epoce dochodziło do wielkiego, zbiorowego rozczarowania. Weź na przykład tę powieść Flauberta Szkota uczuć. Jej bohater, już nie pamiętam, jak mu było, za młodu wziął udział w rewolucji tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku, a gdy dorósł i nie spełniły się jego młodzieńcze marzenia, doznał takiego samego zawodu jak na widok trwonienia naszych ideałów anarchistycznych. A przecież te wszystkie marzenia, powracające na swój sposób u kolejnych pokoleń, są niezbędne do tego, by świat szedł naprzód. Mówisz, że teraz znajdujemy się w najgorszym momencie historii? Nie, nie sądzę. Dawne ideały utopiły się rozwiały, jak na przykład rewolucja francuska, przemieniając się w wielkie rzezie. A dziś żyjemy w czasach oportunistów i średniactwa, z utopii zaś zostały bagienko, brudne pieniądze i konta w Szwajcarii. I może nawet tak jest lepiej, niż gdyby miała ci spaść na kark gilotyna.

- A mnie to, co mówisz, pachnie starą gadką - odezwał się Adrián (bo nasza rozmowa miała miejsce jeszcze w czasach, gdy tworzyliśmy trójkę i cały czas spędzaliśmy razem). - Ze niby marzenia młodzieńcze to głupota, z której się wyrasta, tak? To samo mówi mój ojciec. Drętwa mowa.

- Ja nie twierdzę, że to głupoty, wręcz przeciwnie. I widzisz, jak mnie słuchasz? Ja mówię, że dzięki tym utopiom świat się kręci. Natomiast owszem, uważam, że pomiędzy utopią a rzeczywistością jest dystans nie do pokonania. Dorastanie oznacza utratę i zdradę samego siebie: tracisz ukochane istoty, tracisz młodość, tracisz własne życie, a często w końcu tracisz i własne ideały, a to właśnie sygnalizuje zdradę samego siebie. Tyle że niektórzy dokonują jej w sposób żalostny, schodzą na drogę nieuczciwości i zbrodni, jak ci wszyscy pazerni, których ciemne sprawy wyłażą na jaw wraz z aferą korupcyjną. Inni zaś jakoś się urządają, z jaką taką godnością znoszą pułapki świata realnego, ustępują pola przy okazji małych bitew, ale trzymają jaki taki pion.

- Ale dlaczego mielibyśmy ustępować pola w małych bitwach? - zaprotestował znowu Adrián.

- Nie chodzi o to, że mamy ustępować, tylko o to, że absolutna uczciwość nie istnieje. Świat cię kusi, oślepią, mami. A ludzie są nikczemni, próżni, ambitni, słabi. Tak naprawdę jesteśmy byle czym, a życie pełne jest pokus. Dlatego wszyscy wykorzystujemy własny abonament świąt, popychamy je przed sobą jak żuki gnojowe: kłamstwa, których dopuściliśmy się dla własnej korzyści, uczucia, które udawaliśmy, by uniknąć samotności, tchórzostwa, w których nie chcemy sami siebie rozpoznać. Ale nie należy mylić tych potyczek z wielkimi bataliami: gdy przekroczysz pewne granice etyczne, stajesz się nędznikiem. Takiej właśnie zdrady człowiek winien się wystrzegać.

- Czekaj, czy dobrze zrozumiałem: mogę oszukiwać przy grze w kanastę, ale nie

wypada mi założyć spółdzielni związkowej, a później ulotnić się z forszą do Brazylii - zakpił Adrián.

- Śmieję się, śmieję. W twoim wieku pewnie wydaje się, że Dobro i Zło to ściśle rozgraniczone kategorie, ale w rzeczywistości żyjemy w świecie niejednoznacznym i bez wyraźnych granic. A mimo to dzień w dzień podejmujemy decyzje, które będą miały swoje reperkusje praktyczne i moralne, więc może przygotuj sobie zawczasu kodeks postępowania, bo inaczej skończysz w sposób tak niepożądany, jak Ramón. Możemy tu sobie paplać, ale ciekawe, jaki finał będzie miało twoje życie. Nie wiem dlaczego, ale wyobrażam sobie ciebie jako jednego z rekinów finansowych, tych, co to zajmują się eksmitowaniem na bruk biedaków, którzy nie są w stanie opłacić hipoteki swoich domów. Na przykład.

- A zatem, według ciebie, dorastanie oznacza utratę i zdradę samego siebie - wtrąciłam się, chcąc zapobiec ich kolejnej kłótni. - To niespecjalnie obiecująca perspektywa.

I wówczas Félix powiedział coś, w co chcę wierzyć, co uważam, że jest prawdą.

- Ale jest jedna rzecz, która to wszystko wynagradza, czyli mądrość. Dorastając, zdobywasz wiedzę. To jedyny aspekt życia, który wzbogaca cię z upływem czasu, ale za to aspekt ważny. Niewinności towarzyszy taka ignorancja, że często stan ten budzi moją niechęć.

To prawda, że wiedza może przynieść wyzwolenie. Któregoś dnia jadłam obiad z ojcem. Poszliśmy do restauracji z ogródkiem, żeby nacieszyć się wspaniałą pogodą, i od pierwszej chwili było dla mnie jasne, że to spotkanie inne niż wszystkie. Nagle zauważyłam, że jest stary - w sumie nic dziwnego, przecież skończył siedemdziesiąt osiem lat. Ale do tamtej chwili nie umiałam sobie nawet wyobrazić, że mojego Ojca-Kanibala także dotyczą powszechne prawa starzenia się. W ogródku nagle odkryłam człowieka prawie sędziwego, pozbawionego jakichkolwiek cech ludożerczych. Wręcz przeciwnie, uparł się, że będzie jadł co najwyżej jakieś jarzynki, bo dba o sylwetkę i o żołądek. Był to miły, zabawny obiad, uśmialiśmy się do łez i ani razu się nie starliśmy, w przeciwieństwie do poprzednich naszych spotkań. Przy deserach, upojona rozmową i winem, nagle postawiłam mu niespodziewane pytanie:

- Dlaczego się popsuło między mamą a tobą?

Moje zaciekawienie właściwie wcale go nie zaskoczyło. Przechylił butelkę riojy, żeby nalać sobie ostatni kieliszek, i westchnął.

- To długa historia.

- Mam czas.

- Najpierw ja się zachowałem nieładnie, potem ona zachowała się nieładnie, później

obydwoje zachowaliśmy się nieładnie, by w końcu zadać sobie nawzajem spory ból. No, ale jeśli szukasz jednego winnego, to siedzi obok ciebie. To ja pierwszy nawaliłem. Był ze mnie kawał kutasa, córeczko. Za przeproszeniem.

Ja jednak nie szukałam winnych. Nie tym razem.

- Ja tylko chcę wiedzieć, co zaszło. Czy kiedykolwiek naprawdę kochałeś mamę?

Ojciec uniósł brwi z udanym oburzeniem.

- Czy kochałem? Jeszcze jak! Niczym cielę. Obydwoje byliśmy bardzo młodzi. A Amanda była prześliczna, nawet sobie nie wyobrażasz. Promieniowała jakimś światłem. Była najbardziej obiecującą młodą damą sceny hiszpańskiej. Tworzyliśmy kapitalną parę. Kiedy ogłosiliśmy zaręczyny, staliśmy się popularni. Wszędzie robiono z nami wywiady, pozdrawiano nas na ulicy, impresariowie nas rozrywali, a ona była tak szczęśliwa i piękna... Wydawało się, że zawojujemy cały świat, rozumiesz, że życie to jeden wielki bankiet... No, nic. Minęło.

Mój ojciec farbował sobie tę resztkę włosów, jaka mu jeszcze została; niemodna sztuczka starych aktorów. W bezlitosnym słońcu południa jego rzadkie kosmyki prezentowały w całej okazałości swoją „linię zanurzenia” w postaci białych odrostów. Byłoby mu znacznie lepiej w naturalnym kolorze - pomyślałam, wspominając siwą głowę Feliksa.

- No i co się stało?

- Nie wiem. Źle wybieraliśmy. Mieliśmy pecha. Zaliczyliśmy ze dwa albo trzy bardzo kiepskie sezony, spektakle ponosiły klępkę, pojawili się nowi aktorzy, których publiczność bardziej polubiła, nie wyszły nam próby wkręcenia się do filmu. Może nie byliśmy wystarczająco dobrzy, bo ja wiem. A przynajmniej ja, bo twoja matka zawsze mówi, że była wspaniałą aktorką i że to ja jej zmarnowałam karierę. Może to i prawda. Założyliśmy własny teatr niedługo po ślubie, kiedy jeszcze szło nam całkiem nieźle, ale te dwa lub trzy sezony niepowodzeń wpędziły nas w ruinę i załatwiły na zawsze. Musieliśmy brać, co się nawinęło, koszmarnie role, byle tylko wyjść z dołka. To też nam wcale nie pomogło, jak mi się zdaje.

- I wtedy zaczęły się problemy między wami.

- No tak, zgadza się, to logiczne. „Z tobą przez życia trudy” to idiotyzm. Poza tym zawód aktora to ciężka robota. Jesteśmy bardzo próżni, bez wątplenia, ale najgorsze, że klęskę przeżywasz tam, na pierwszej linii. Bo widzisz, klęski ponoszą wszyscy, czy prawie wszyscy, nie? Większości ludzi nie udaje się osiągnąć w życiu tego, czego chcą. Tobie też, prawda? Zawsze chciałaś być wziętą pisarką, a proszę, masz już swoje lata, ale zajmujesz się głupimi książeczkami o jakichś kurach.

- No, tato, piękne dzięki.

- Wybacz, córeczko, i nie zrozum mnie źle. Po pierwsze, i tak zdziałałaś dużo więcej niż ja, bo ze mnie jest prawdziwe zero, a po drugie, uważam, że dobrze jest jak najwcześniej poznać prawdę i ją przetrwać. Poza tym najważniejsze to zdawać sobie sprawę z tego, że to normalna rzecz. To znaczy, wszyscy dożywamy pewnego wieku, spoglądamy za siebie i stwierdzamy, że nie osiągnęliśmy tego, co chcieliśmy. No i nic, takie jest życie. Życie to klęska. Tyle że ludzie ponoszą klęski w zaciszu domowym, ukradkiem. A najgorsze kurewstwo to ponieść klęskę pośród dekoracji i wobec całego tłumu, najgorsze kurewstwo w zawodzie aktora to fakt, że twoja porażka jest tak świetnie widoczna.

- Dobijasz mnie, tato. Mówię poważnie.

- A nie powinnaś. Jestem fenomenalnym aktorem komediowym! Powinnaś już na sam mój widok pękać ze śmiechu.

Gestem uniesionej ręki przywołałam kelnera.

- Trzeba to uczcić - powiedziałam.

- Co?

- Ze oto dwoje partaczy zdało sobie sprawę z własnego położenia. Cudownie! Koniec z udręką, z marzeniami osławie, koniec ze strachem przed niepowodzeniem. Już gorzej nam być nie może. Co za swoboda!

- No tak, córeczko, masz całkowitą rację. Zwłaszcza co do mnie, bo ja wyciągnę kopyta lada chwila. Dla mnie whisky! I pies jebał prostatę.

Wznieśliśmy toast i wypiliśmy jak przyjaciele. Nigdy jeszcze nie było mi tak dobrze z ojcem.

- Mów - powiedziałam, rozsiadając się w krzesło.

- O czym?

- Opowiadaj dalej. Przerwaliśmy, kiedy przestało się wam powodzić w zawodzie, kiedy zaczęliście się źle prowadzić. To było jeszcze przed moim narodzeniem, co?

- O tak, tak, to było jeszcze w latach czterdziestych! Ty nam jeszcze nawet do głowy nie przysłaś.

Zamilkł i w zamyśleniu zatopił wzrok w szklance whisky.

- Wiesz, tak naprawdę nie o to poszło - odezwał się wreszcie. - To nie trudności finansowe zniszczyły nasz związek. Owszem, kłóciliśmy się, byliśmy dużo bardziej nerwowi, bez wątplenia. Ale kochaliśmy się. Byliśmy pięć lat po ślubie i wciąż się kochaliśmy. Lecz w końcu stało się, co się stało.

I znów zapadła cisza. Ja też nic nie mówiłam. Wyznania zazwyczaj uplecione są z nitek tak cieniutkich i delikatnych, że lepiej nie szarpać kłębka zbyt mocno.

- Wypalił kontrakt z przedsiębiorstwem rewiowym, długie tournee po paru prowincjach: Bilbao, Saragossa, Walencja, Barcelona. Wiesz, nie była to praca, o jakiej człowiek marzy. Taka popularna rzecz, przedstawienie z muzyką, piosenkami i drobnymi scenkami komicznymi, a te były popisowymi numerami twojej matki i moimi. Ale cóż, podpisywało się kontrakt, płacili, a poza tym przynajmniej mogliśmy być razem. Więc to wzięliśmy. I wtedy zwariowałem.

Potrząsnął szklaneczką, lód zadźwięczał jak maleńki dzwoneczek.

- Kompletnie zwariowałem na punkcie pewnej kobiety. To nie była miłość, Lucio, zapewniam cię. To było coś więcej. To była choroba. W momencie, gdy tylko ją ujrzałem, straciłem zmysły. Myślałem wyłącznie o jej oczach, o jej dłoniach, jej słowach, jej głosie, jej ustach.

Ojej fenomenalnym, cudownym ciele, które stało się jedynym miejscem na ziemi, gdzie znajdowałem jakąś ulgę w cierpieniu. Bo cierpiałem w stopniu niewyobrażalnym. Nie wiem, czy to rozumiesz, przeżyłem z tą kobietą nie romans, ale katastrofę. Kiedy byłem daleko od niej, czułem, że dogorywam, a kiedy byłem przy niej, pragnąłem umrzeć. Do dzisiaj nie jestem w stanie pojąć, co mi się wtedy stało, ale wyszło ze mnie coś dziwnego, coś zupełnie obcego. Stałem się człowiekiem bez godności. Robiłem okropne rzeczy. Na przykład zostawiłem twoją matkę samą w Saragossie w lichej izdebce jakiegoś pensjonatu. Prawie bez pieniędzy i na dodatek bez pracy. Bo kobieta, na której punkcie zwariowałem, była gwiazdą rewii, która nas zaangażowała.

- „Srebrzyste Rączki” - powiedziałam, a słowa te wyrwały mi się z ust, zanim zdałam sobie sprawę, co mówię.

Mój ojciec podskoczył ze zdumienia.

- Czyli wiesz wszystko? - wybąkał w końcu.

- Nie. Nic nie wiem - wyjaśniłam. Przez plecy przebiegł mi dreszcz. - Do głowy by mi nie przyszło, tato, mowy nie ma. To przypadek. Niedawno czytałam coś opewnej gwiazdzie z lat czterdziestych i... A więc trafiłam. To była „Srebrzyste Rączki”.

- Tak... - westchnął. - Amalia Gayo. Kobieta nadzwyczajna. Istota nie z tej ziemi. Nie mam do niej żalu, wiesz? Podejrzewam, że to ja sam sobie zrobiłem krzywdę. Ona była tylko katalizatorem. A poza tym dała mi zakosztować życia, jak nikt dotąd. To najmocniej wryło mi się w pamięć, rozumiesz, o czym mówię? Kiedy będę umierał, co pewnie nastąpi lada moment, jestem pewien, że będę ją wspominał.

Przez kilka chwil znowu milczeliśmy. Wreszcie odchrząknęłam i spytałam:

- A co się stało z mamą?

-,Srebrzyste Rączki” rzuciła mnie parę miesięcy później, odepchnęła mnie od siebie. Ja wtedy przez kilka dni wyprawiałem różne bzdury, aż do wypicia trzech butelek koniaku za jednym zamachem. Ocknąłem się w szpitalu, a twoja matka była przy mnie. Wezwano ją telefonicznie z Madrytu, bo oczywiście ciągle była moją żoną. I przyjechała. Opiekowała się mną niezwykle czule przez cały długi okres mojej rekonwalescencji, co najmniej ze dwa lata. Chodzi mi nie o zdrowie fizyczne, ale umysłowe. I w końcu, kiedy rany mi się zabiły, przystąpiła do zemsty za to, co jej uczyniłem. Zatrwała mi życie na ładne parę lat.

- Mama zatrwała ci życie?

- Tak, wiem, że to ona zawsze uważana była za ofiarę, na pewno sama się tak czuje, może i ma rację, bo to ja pierwszy złamałem zasady i zachowałem się jak Świnia. Ale nie ulega kwestii, że odpłaciła mi pięknym za nadobne. Tyranizowała mnie, zaczęła mieć kochanków...

- Mama miała kochanków?

- Tak, córeczko, tak. I nie ma się co tak dziwić, droga Lucio! To się zdarza na każdym kroku. A ty nigdy nie byłaś nowoczesna? Nie byłaś zwolenniczką wolnej miłości? Cóż, takie jest życie. Przypuszczalnie twoja matka nie miała złych zamiarów, przypuszczalnie chciała dalej żyć ze mną, odbudować nasz związek i być szczęśliwa, ale dręczył ją ból, jaki jej zadałem, i nie mogła się pohamować. Doszło do tego, że po krótkim czasie i ja zacząłem mieć kochanki i skończyło się tak, jak się skończyło. Traktowaliśmy się nawzajem coraz podlej, padały coraz ostrzejsze obelgi, sytuacja stała się pogarszała.

Czyli że mój ojciec wcale nie był Kanibalem, a normalnym człowiekiem, pełnym lęków, słabym i popełniającym błędy. Nieszczęśnikiem zdolnym stracić głowę dla kobiety, wyrzucić wszystko za burtę. Zdało mi się, że widzę go pierwszy raz, i zrobiło mi się go żal. W tym momencie w mojej głowie zaczęła kiełkować pewna drobna myśl, aż osiągnęła nieprawdopodobne rozmiary: skoro mój ojciec nie jest Kanibalem, to i ja nie jestem Córka Kanibala.

- A ja?

- Cóż, ty pojawiłaś się na początku tego fatalnego okresu. Wtedy jeszcze usiłowaliśmy coś tam naprawić i stać się normalną rodziną. Ale sama widzisz, że się nie udało.

Faktycznie, widziałam to. Zauważyłam już we wczesnym dzieciństwie, że związek moich rodziców jest nieudany, a teraz, gdy osiągnęłam wiek średni, odkryłam, że moi rodzice istnieli jeszcze przed moim narodzeniem, że moja obecność nie była esencją ich życia. Co więcej, dowiedziałam się wreszcie, że moi rodzice poczęli mnie nie po to, żebym się narodziła, ale wyłącznie w celu odzyskania wzajemnego porozumienia, w celu ratowania

miłości. Przedziwne relacje łączą nas, dzieci, z naszymi rodzicami: zawłaszczamy ich, czynimy z nich nienaruszalne rogi naszego kosmosu, założycielskie mity naszej interpretacji rzeczywistości. A kiedy myślimy o nich, zawsze widzimy ich jako trwałe elementy krajobrazu, jako teatralne dekoracje zdobiące scenerię naszego życia. I tak naprawdę nie chcemy uznać, że nasi rodzice nie są tylko naszymi rodzicami, ale osobami od nas niezależnymi, istotami z krwi i kości, żyjącymi w zupełnie innej rzeczywistości niż nasza. Być może te dzieci, które potem mają własne dzieci, potrafią otrząsnąć się ze szczeniackiej bezmyślności, z jaką widzą w rodzicach tylko własne przymioty. Ale my, to znaczy dzieci, które nie mają swoich dzieci, dzieci skazane na życie w dziecięctwie aż do grobowej deski, mamy skłonność do tego, by trzymać się owej pępownicy mentalnej, owego fałszywego, dziecko-centricznego wspomnienia.

Musiałam skończyć czterdzieści jeden lat, musieli mi porwać męża, następnie musiało się okazać, że wcale go nie porwano, pewien dwa razy młodszy chłopak musiał mi wyznać miłość, a Félix, właśnie Félix, musiał mi opowiedzieć całe swoje życie - żebyśmy zdołała się wyzwolić od tych wyimaginowanych rodziców, których więziłam w sobie jak zakładników, tych jednowymiarowych i schematycznych rodziców, na których tworzyłam co i raz mój własny obraz. Dzisiaj wiem, że moi rodzice to osoby skończone i złożone, niepojęte. Istoty wolne. Teraz mogę sobie wyobrazić, jak żyły niegdyś, szczęśliwe, nim ja się pojawiłam. I widzę, jak tańczą na olśniewających balach, jak szumią jej jedwabie przy kankanie, jak on pachnie wodą kolońską i brylantyną, widzę, że są młodzi, pełni życia i pożądania, że suną w rytm sonu kubańskiego aleją posypaną pyłem gwiazdym. Nad nimi rozpościera się letnia noc, widać ciemne sylwetki palm na tle tropikalnego nieba, i gdzieś tam, pomiędzy mosiężnymi skrami, jakie światło wydobywa z instrumentów, śpiewa niejaki *Compay Segundo*, jeszcze młody, o silnej piersi, uwodzicielskich oczach, pies na kobiety, czarujący słowami: „Jestem zakochany, Clarabello, życie moje, nie zapomnę cię, skarbie, po dni moich kres; dlatego, gdy patrzę na ciebie i widzę, żeś jest piękna, nie wierzę, bym kiedykolwiek umrzeć miał”.

A skoro w umyśle już uwolniłam moich rodziców, sama też się czuję bardziej wolna. Skoro pozwoliłam im być sobą, chyba sama zaczynam być tym, kim chcę być. Tożsamość to mętna i przedziwna sprawa. Dlaczego ja to ja, a nie jakaś inna osoba? Mogłabym być na przykład Marią Martiną, sprawiedliwą sędzią o imieniu Matki Ludzkości. Albo mogłabym być Toni, nieobecną córką tamtego starca, co umierał wtedy w szpitalu. Mogłabym być żoną Irańczyka, który kupił samochód na moje nazwisko, albo prawdziwą kochanką tamtego Constantina, który zdręczał swoją żonę złudzeniami na mój temat. Oczywiście równie

dobrze mogłabym być Feliksem i stać już u kresu życia, mieć prawie wszystko za sobą i bardzo niewiele przed sobą. Albo nawet mogłabym być pisarką Rosą Montero, czemu nie? Jako że nakłamałam już tyle na tych stronicach, kto wam teraz zaświadczy, że nie jestem Rosą Montero i że nie wymyśliłam sobie tej płoczej igadatliwej Lucii, Feliksa i całej reszty? Ale nie. Nie jestem Gwinejką jak ta pisarka, nie napisałam tej książki najpierw w języku bubi i następnie nie przełożyłam jej sama na kastylijski. Poza tym wszystko, co tu opowiedziałam, naprawdę przeżyłam, nawet - a może przede wszystkim - swoje kłamstwa. I wreszcie mam wrażenie, że rozpoznaję siebie w lustrze własnego imienia. Koniec z zabawami w trzeciej osobie: choć to niewiarygodne, ale sądzę, że ja to ja.

Właśnie skończył się dziennik w telewizji: zaczęli od afery korupcyjnej. Dzięki dokumentom wręczonym przez inspektora Garcíę nieustraszona sędzia Martina wsadziła za kratki dwóch ministrów, dwóch byłych ministrów i z pół tuzina wysokich urzędników, nie licząc rudego bandziora, którego policja wyciągnęła z mojej szafy inatychmiast przewiozła do więzienia Carabanchel, z którego podobno nawiał kilka lat temu. Inspektor José Garcia i Ramón przebywają w miejscu nieznanym, a o Handlarzu Dyniami, rzecz jasna, nikt nie pisał ani słówka, bo sędzia Martina nadludzkim wysiłkiem zdołała tylko naruszyć wierzchołek góry lodowej. Ale na szczęście życie nie kończy się na tym, życie wyrasta ponad cudze nieszczęście, a nawet ponad własne nieszczęście. Dziennikarka telewizyjna napomknęła o moim udziale w tej sprawie:

„W śledztwie pomocy sędzi Martinie udzieliła Lucia Romero, autorka książek dla dzieci i żona Iruńi, jednego z zamieszanych w aferę. Romero, zupełnie nieświadoma działalności małżonka, przeprowadziła własne dochodzenie i zdołała zgromadzić ostateczne dowody. Jej chwalebny czyn został natychmiast i w nieoczekiwany sposób wynagrodzony: opowiadania o Kaczuszcze Kwaczuszcze, najśłynniejszej bohaterce autorki, znalazły się w całej Hiszpanii na szczytach list bestsellerów”.

Prawdę powiedziawszy, nie rusza mnie to. Guzik mnie obchodzi, że ta kanciara Francisca Odón i jej bezmózga kaczka korzystają z mojej rzekomej nagiej popularności. Pewnie, dobrze byłoby zarobić choć trochę na własnych książkach, ale tak nienawidzę Kokoszki Pstroszki, że wolę jej niczego nie zawdzięczać. Znalazłam pracę w żłobku. Tak, w żłobku, bo dzieci już mnie nie wkurzają tak jak kiedyś, teraz nie znoszę ich tylko połowicznie. Biorę dyżury przedpołudniowe, a dzięki temu, co zarobię, choć nie jest to wiele, jakoś wiązę koniec z końcem, dlatego wieczorami mogę się zająć pisaniem. Nie mam zamiaru pisać jakichkolwiek książek dla dzieci, od tej chwili będę pisać dla dorosłych. Może czasem aż trudno w to uwierzyć, ale istotnie człowiek uczy się całe życie. Ewoluuje, mądrzeje,

dorasta. A za dowód niech posłuży niniejsza książka. Dzięki własnym przeżyciom byłam w stanie stworzyć tę powieść.

Ponieważ jest to opowieść ze szczęśliwym zakończeniem, dodam, że życie Suki-Foki znacznie zmieniło się na lepsze pod nieobecność Ramona, ponieważ psina przejęła na własność fotel mojego byłego męża i obecnie korzysta z uroków spokojnej starości w królewsko wygodnym otoczeniu poduszek. Dawny Kanibal z kolei zdobył pierwszoplanową rolę dziadka w serialu telewizyjnym i jest szczęśliwy, bo, jak mawia, na moment przed kojfnięciem może wreszcie osiągnie sukces, który dotąd się nań boczył (muszę kiedyś zapytać Feliksa, czy facetem, który tarosił „Srebrzyste Rączki” przed teatrem Barcelona, był mój ojciec). Roztocze zaś co noc wyśpiewują mi do ucha wesołe, chóralne kompozycje.

Tak chyba wygląda dojrzałość: zdaje się, że pogodziłam się z życiem, także z mrokami życia. Reszta mojej egzystencji przemknie jak zefir i umrę, po czym minie czterysta lat, a następnie czterysta tysięcy lat, a ja nawet wtedy nie zbliżę się do długowiecznego snu dinozaurów. I w porządku, przyjmuję to: dziś chyba zrozumiałam świat. Jutro przestanę go rozumieć, ale dzisiaj wydaje mi się, że wyjawiał mi swój sekret. Czuję, jak płynę w czasie i przestrzeni szlakami wytyczonymi na niewidzialnej mapie wszechrzeczy. Dopełniają się moje dni, może staję się powoli jedną z tych babć na wózkach inwalidzkich, tych ponaddziesięćletnich staruszek, które rozbijają się samolotami po całym świecie. Może staję się - przyszło mi do głowy - tamtą staruszką, kiedyś spotkaną w windzie na lotnisku, tamtą bezzębną mumią, która rzekła mi:

„Z życia trzeba korzystać, kiedy tylko się da”. Zgoda, postaram się. Na przekór utratom i zdradom, koszmarom nocnym i czającej się zgrozie. Ale, jak powiada Félix, we wszystkim istnieje piękno. A poza tym nie możemy być gorsi od pingwinów.